

Małgorzata J. Kursa

Tajemnica sosnowego dworku

Prozami 2010

WYSTĘPUJĄ:

MARTA ARTYMOWICZ - zwana czasem Malutką, Pchełą lub Cyganczką, mężatka, żona Michała, matka Aleksa i Neli, z zawodu pielęgniarka, interesuje się medycyną niekonwencjonalną, prowadzi salon masażu i pomaga Oleńce Nicińskiej w gabinecie ginekologicznym; w wolnym czasie chętnie zajmuje się życiem prywatnym swoich przyjaciół.

MICHAŁ ARTYMOWICZ - mąż Marty, właściciel sklepu z komputerami, który parę lat wcześniej dorobił się w Kanadzie; człowiek o anielskiej cierpliwości, zakochany w małżonce i pogodzony z jej dziwacznymi niekiedy pomysłami.

MAREK DOROSZ - szkolny przyjaciel Artymowiczów, pracownik kraśnickiej kabłówki, zdeklarowany wróg małżeństwa.

KATARZYNA RAWSKA - ze względu na swój potulny charakter nazywana Króliczkiem, była wolontariuszka w Fundacji RAFA wspomagającej narkomanów i ich rodziny, szkolony ochroniarz, beznadziejnie od lat zakochana w Marku.

ALEKSANDRA NICIŃSKA - zwana przez przyjaciół Oleńką, lekarz-ginekolog, żona Andrzeja, matka Emilii i Daniela.

ANDRZEJ NICIŃSKI - zwany Rambo, mąż Oleńki, wpływowy kraśnicki biznesmen, za którym ciągnie się opinia tutejszego mafioso; dorobił się w Niemczech dużych pieniędzy i tam ma większość firm, w Kraśniku założył Fundację RAFA i prowadzi kawiarnię „Rambo”.

ARNI, STASIO - ochroniarze Nicińskiego.

HANKA I TOMEK - małżeństwo, on - stolarz, ona - pielęgniarka w przychodni, właściciele działki, na której odbywają się spotkania szkolnej paczki.

DOROTA I KAMIL - małżeństwo, on - lekarz-pediatra, ona - pielęgniarka, rodzice ukochanego jedynaka Grzegorza.

MARYLA - koleżanka ze szkolnej ławy, nauczycielka historii w kraśnickim liceum.

WERONIKA WOJNAR - zwana Niką, żona Radka, matka Basi i Bartka zwanych w skrócie Be-Be - dzieci z pierwszego małżeństwa. Po śmierci pierwszego męża, alkoholika,

wyszła za mąż za Wojnara i urodziła córkę Zosię; fachowiec od giełdy, założycielka fundacji pomagającej kobietom w trudnej sytuacji życiowej.

RADOSŁAW WOJNAR - z wykształcenia prawnik, pracuje w rodzinnej kancelarii z siostrą i szwagrem, mąż Weroniki.

EWUNIA WALISZEWSKA - bratowa Marty, żona Januszka, utalentowana malarka prowadząca przy okazji sklep pod nazwą BABA JAGA, matka Alicji.

ELIZA I PIOTR DORTOWIE - rodzice Oleńki.

ALA I JACEK MINATOWIE - znajomi ze szkolnej paczki; ona jest bibliotekarką, on pracuje w sklepie Michała Artymowicza.

Andrzej Niciński, zwany w Kraśniku Rambo, siedział w swoim domowym gabinecie, czekając na ważny faks. W międzyczasie przeglądał notowania niemieckiej giełdy, zadowolony, że w porę pozbył się akcji kilku niepewnych spółek.

Patrząc na niego, nikt by się nie domyślił, że ma za sobą doświadczenia, z jakimi niejednen by sobie nie poradził. Ojciec był alkoholikiem i dzieciństwo Andrzeja nie było idyllą. Po ciężkiej chorobie zmarła mu matka. Po jej śmierci, kiedy sam zaczął utrzymywać rodzinę, Rafał - jego młodszy brat - zaplątał się w narkotyki i w końcu zmarł, mając zaledwie dziewiętnaście lat. Andrzej długo nosił w sobie piętno winy. Żeby ją choć trochę odpokutować, założył Fundację RAFA, która opiekowała się narkomanami i ich bliskimi. Stać go było na to, bo w Niemczech, dokąd wyjechał po śmierci najbliższych, nieźle się dorobił. Po powrocie kupił duży dom i kawiarnię, którą nazwał „Rambo”, bo takie nosił przezwisko w młodości. Wielu mieszkańców Kraśnika podejrzewało go o rozmaite sprawy i konszachty, ale niewielu wiedziało, jaki naprawdę jest bogaty. Większość jego majątku ulokowana była zagranicą, a on nie widział powodu, by się tym chwalić. Odkąd się ożenił, a na świat przyszły bliźnięta, pilnował interesu głównie z powodu rodziny. Jego dzieci miały skorzystać z każdej możliwej szansy, by sięgnąć po wszystko, co zechcą.

Drzwi gabinetu były zamknięte, ale przez uchylone okno do uszu Andrzeja dotarło alarmujące szczekanie psa, a zaraz potem gniewny głos Oleńki, podwójne klaśnięcie i obrażony ryk sponiewieranych cieleśnie bliźniąt. Szybko odsunął teczkę z papierami i wyszedł na werandę, zastanawiając się, po czyjej stronie za chwilę będzie musiał się opowiedzieć.

- Psiakrew! - Oleńka stała przy basenie z rękami na biodrach, patrząc złowrogo na swoje pociechy. - Ile razy wam mówiłam, że nie wolno nawet zbliżać się do basenu, jeśli w pobliżu nie ma nikogo z dorosłych?! Malutki przy was to geniusz intelektu!

Na widok ojca bliźniaki zamilkły raptownie, spojrzały na siebie spłoszone i spuściły głowy, prezentując tatusiowi obraz skruszonych niewiniątek. Andrzej nie dał się zwieść. Skrucha była pojęciem całkowicie obcym jego wszędobylskim dzieciom. Za kilka miesięcy miały skończyć po trzy lata i w tej chwili były na etapie odkrywania świata na własną rękę. Andrzej czasami miał ogromną chęć zamknąć je na cztery spusty i uwolnić dopiero, gdy upomni się o nie szkoła.

- Co znów zmalowały? - zapytał z westchnieniem.

- Malutki w ostatniej chwili odciągnął ich od skraju basenu - odparła gniewnie Oleńka, wskazując pokornych winowajców upapraną w ziemi ręką. - Psiakrew! Dwa małe zwierzaki! Nie można spuścić ich z oczu! Jak mam skończyć to pielenie? Zafundować sobie oczy na szypułkach? - podeszła do męża i klapnęła ciężko na schodkach werandy, ramieniem odgarniając włosy ze spoconego czoła.

Andrzej usiadł obok, przyglądając się dzieciom z namysłem, a wyżej usadowił się olbrzymich rozmiarów pies, wystawiając pomiędzy nich kudłatą mordę. Wyglądali jak trójka sędziów, która za chwilę ogłosi wyrok.

Bliźnięta stały naprzeciwko, przestępując z nogi na nogę i popatrując na siebie niepewnie. Ich kędzierzawe, czarne łebki uniosły się wreszcie jednocześnie, a szare oczy wpatrzyły w rodziców, oczekując kary. Daniel pomasaował czule tę część ciała, której dosięgła karząca dłoń matki. Widać było po nim, że z filozoficzną rezygnacją przyjmie wszystko, co go za chwilę spotka. Emilia, która imię dostała po matce Andrzeja, a którą w domu nazywano Milą, podjęła bohatersko próbę uniknięcia kary.

- Umamy pływać! - wysunęła wojowniczo brodę do przodu i rzuciła matce wyzywające spojrzenie.

- Owszem - Andrzej zrobił surową minę, choć serce w nim stopniało na widok tej determinacji. - Umiecie pływać. Ale kiedy biega się wokół basenu i zniemacka wpada do wody, można się uderzyć i pójść na dno, zanim człowiek zorientuje się, co się stało.

- To nie ja, to Danek - spróbowała jeszcze raz córka. Zanim któreś z rodziców zdążyło się odezwać, Daniel spojrzał na siostrę ostrzegawczo, wytknął palec w stronę błękitnego nieba i oznajmił złowieszczo:

- Dziadek mówił, że on sysko słysy. Pódzies do piekła, zobacys.

- Jesce nie tak od łazu - Mila zadarła hardo głowę. - Dziadek mówił, że dopięło, jak się umzy.

Oboje Nicińscy jednocześnie przygryźli usta, żeby nie parsknąć na głos. Starannie unikali patrzenia na siebie, kontemplując przestrzeń nad głowami dzieci. Wreszcie Andrzej uznał, że jest w stanie mówić i groźnie oznajmił:

- Jeśli chcecie popływać, to macie przyjść do mnie albo do mamy i zameldować, jasne? Niech tylko was przyłapię samych w pobliżu basenu, to przyrzekam, że przez tydzień nie siędziecie na pupach!

- Ale my już scemy! - oświadczyły jednocześnie bliźnięta.

- Za chwilę. Muszę poszukać kąpielówek - ustąpił Andrzej. - Malutki, pilnuj ich - polecił psu, wstając i pociągając żonę za sobą. - Jak będą rozrabiać, to gryź w kupry.

Pies szczeknął zgodnie i zerwał się z werandy, a Miła zażądała stanowczo, ciągnąc ojca za spodnie:

- Powiedz mamie, że nie ma pława nas bić!

- A to dlaczego? - zainteresowała się Oleńka złowieszczco.

- Dziadek mówił, że lekarz ma leczyć, a nie się zmęcać! - wypaliła córka.

- Co, przepraszam? - Oleńka znieruchomiała.

- Bicie to jest zmęczenie!

- Ro... rozumiem - Oleńka pośpiesznie skinęła głową i wpadła jak burza do domu.

Zaraz za nią zrejterował z placu boju Andrzej. Dopiero w kuchni padli oboje na krzesła i zaczęli się śmiać.

Andrzej raz jeszcze dokładnie przestudiował projekt umowy, który przefaksował mu Radek Wojnar - znajomy prawnik - przejrzał dokumentację budynku, westchnął, pomyślawszy o kosztach, ale uznał, że gra jest warta świeczki. Telefonicznie umówił się na spotkanie z Radkiem, schował papiery do teczki i poszedł na górę.

Oleńka spoczywała w ogromnym łożu wsparta wygodnie o wysoko ułożone poduszki i z zainteresowaniem przeglądała jakieś czasopismo, zakreślając w nim coś od czasu do czasu. Andrzej zerknął na tytuł. No, oczywiście. Ogrodnicze. Od chwili, kiedy Marta wmówiła jej, że najlepsze są warzywa z własnej uprawy, z uporem zakładała ogródek warzywny. Bez żalu oddał jej na ten cel kawałek łąki przy basenie, ogrodził żywopłotem, by wszędobylskie dzieci nie wtykały tam nosa i z zadowoleniem przyglądał się, jak realizuje swoje zamiary. Przynajmniej nie musiał się martwić, że robi sobie krzywdę. Kłopoty kochały jego żonę i wolał nie ryzykować.

- Wojnar dogadał się wreszcie z parafią - powiedział, zdejmując koszulę. - Jutro finalizujemy umowę.

Oleńka odłożyła czasopismo i przyjrzała się z uwagą mężowi. Wciąż zdumiewało ją, jak bardzo się zmienił w ciągu tych kilku lat. Zniknął gdzieś tamten zamknięty w sobie Rambo. Na jego miejscu pojawił się otwarty, cieszący się życiem mężczyzna, który chętnie opowiadał jej o swoich planach, a czasami nawet zasięgał rady. Kiedy widziała, jak zajmował się dziećmi, serce w niej rosło z dumy. Może i były piękniejsze i mądrzejsze od niej kobiety, ale to ona dała mu rodzinę. A on dotrzymał obietnicy - miała kochającego męża, dzieci i własny gabinet, który wcale nieźle prosperował.

- Czegoś się tak uparł na ten Sosnowy Dworek? - jej spojrzenie mimo woli przyłgnęło do nagiego torsu Andrzeja.

- To nie ja. Nika Wojnarowa zakłada fundację, która ma pomagać samotnym matkom i szukała lokalu - wyjaśnił, zdejmując spodnie. - Upatrzyła sobie Sosnowy Dworek, a ponieważ RAFA potrzebuje świetlicy dla podopiecznych, zaproponowała mi spółkę. Obejrzelismy wspólnie budynek i stwierdziłem, że mi odpowiada. Tam są dwa wejścia i dużo miejsca w środku. Tylko coś mi się zdaje, że najpierw trzeba będzie włożyć kupę pieniędzy w remont. Dobrze, że Radek ma już pozwolenie od konserwatora zabytków.

- Rozmawiałaś z Martą?

Wśród przyjaciół Artymowiczów utarł się zwyczaj, że wszelkie poważniejsze decyzje czy inwestycje konsultowano z Martą. Choć głośno się śmiała, że nie ma o tym zielonego pojęcia, jej opinie, a może przecucia, dziwnie się sprawdzały. Jedną tylko Weronikę Wojnarową twierdziła z uporem, że rozum i wiedza znaczą więcej niż przecucia i pokpiwała z własnego męża, że niedługo zaczną ustalać z Martą, jaką koszulę ma założyć na ważne spotkanie.

- Rozmawiałem i mam jej błogosławieństwo - Andrzej uśmiechnął się z rozbawieniem, bo w oczach Oleńki błysnęła wyraźna ulga. - Malutkiej bardzo podoba się pomysł, żeby ktoś wreszcie zajął się tym dworkiem. Uważa, że mamy zbyt mało zabytków, by pozwalać sobie na ich marnotrawienie... No, Wojnar musiał chyba użyć całej swojej elokwencji i sporo gotówki, żeby parafia zgodziła się na wynajem.

- Myślałam, że to kupujecie? - zdziwiła się Oleńka.

- Zapomnij, moja śliczna - Andrzej ruszył do łazienki. - Nasi duszpasterze to urodzeni biznesmeni. Zgodzili się wydzierżawić nam budynek na dziesięć lat pod warunkiem, że go wyremontujemy. Podejrzewam, że trochę przeraża ich sąsiedztwo ludzi upadłych - zaakcentował z lekką ironią.

- To co to za interes?

- Zobaczymy - Andrzej wzruszył ramionami. - Jedno, co wiem, to fakt, że Weronika się uparła na dworek, a kochający małżonek postanowił spełnić jej kaprys za wszelką cenę.

- Nie bądź złośliwy - Oleńka rzuciła w niego czasopismem. - Jesteś taki sam. I ty, i Michał...

- Ja? - uniósł brwi. - Czyżbyś uważała, że spełniam twoje zachcianki?

- A nie?

- Nic podobnego, czupurze. Ja tylko dbam o własną wygodę. Lubię spokój i umiem kalkulować, co mi się bardziej opłaca.

Oleńka prychnęła pogardliwie i rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

- Idź lepiej do tej łazienki, zanim mnie rozzłościysz.

- Idę. A ty zbierz wszystkie siły, bo jak wrócę, mam zamiar trochę się nad tobą „pozmeć” - obiecał i uśmiechnął się do siebie, kiedy się roześmiała.

Katarzyna Rawska siedziała na ławce w parku, patrząc z niedowierzaniem na trzymany w dłoni telefon. Miała spotkać się z Markiem, żeby umówić się na niedzielę. Wiedział, jakie to dla niej ważne. W niedzielę były imieniny jej babci, która od kilku lat zastępowała jej całą rodzinę, bo rodzice postanowili wyrwać starszą córkę, siostrę Kasi, z nieciekawego środowiska, w którym się obracała i wyjechali do kuzynów we Włoszech. Chcieli, żeby i młodsza pojechała z nimi, ale ona się uparła, że ktoś musi się zaopiekować babcią. No i uważała, że ma osobisty dług wobec Fundacji, która wyciągnęła Inkę z nałogu. Została i nie żałowała tego ani przez chwilę. Wiedziała, że obie z babcią są sobie potrzebne. Marek też to wiedział, a mimo to... „Sorry, mam wyjazd. Wracam w poniedziałek”. - na tyle tylko się wysilił. Tchórz - pomyślała z nagłym rozzaleniem. - Bał się powiedzieć mi to prosto w oczy.

Schowała telefon, zwiesiła głowę i zadumała się ponuro. Nie ma co ukrywać, nie jest najlepiej. Spotykali się od paru lat, a nigdy nie wydusił z siebie żadnej uczuciowej deklaracji. Tylko raz, kiedy babcia była w szpitalu, a ona sama o mało nie zwariowała z nerwów, zaopiekował się nią serdeczniej... Kasia poczerwieniała jak wiśnia na wspomnienie tej opieki... No, a zaraz potem zaczął się zachowywać, jakby tego żałował i wyraźnie próbował wepchnąć ich związek w przyjacielskie ramy. Rozczarowała go?

- Kasia! Co tu robisz? - usłyszała obok ciepły znajomy głos.

Poderwała głowę i zaskoczona Marta, która właśnie zażywała spaceru z prawie roczną Nelą, zobaczyła ogromne zielone oczy, zaszklone łzami i pełne rozpaczy.

- Co się stało, Króliczku? - natychmiast przysiadła obok i pogładziła dziewczynę po lśniącej, kasztanowej grzywie.

- Nie mów tak do mnie! - wymamrotała Kasia z goryczą i strumyczki łez pocięły jej po twarzy.

- Dojrzał już, czy dopiero go wysiadujesz? - Marta spojrzała na nią ze współczuciem.

- Kto? - Kasia zamrugła oczami.

- Twój problem. Chcesz o tym pogadać, czy jeszcze za gorący?

- Parzy - Kasia pociągnęła nosem i wzięła się w garść. - Nie chcę o tym mówić.

- Masz czas? - Marta zerknęła na zegarek i spojrzała na córeczkę, która spała w najlepsze, ściskając w małych łapinach ukochaną pluszową małąkę.

- Jasne. To jedyne, czego mam w nadmiarze - odparła Kasia z goryczą. - W zeszłym tygodniu dostałam wymówienie z pracy. Redukują personel w banku. Ja byłam na umowie, więc sama rozumiesz...

- Chodź, mój nieszczęsny Kasiulku - Marta wstała i pociągnęła ją za rękę. - Należy ci się kojące popołudnie z przyjaciółmi. Nie martw się, coś wymyślimy. W razie czego porozmawiam z Rambo. Albo z Niką. Ona też zakłada fundację, a ty masz sporą praktykę. Byłabyś dla niej cennym nabytkiem.

- Daj spokój, Marta - przestraszyła się Kasia, posłusznie drepząc obok wózka. - W RAF-ie pracuję tylko jako wolontariuszka. Jestem im to winna za to, co zrobili dla Inki.

- Mam wrażenie, że odpracowałaś to z nawiązką. Andrzej nie zbiednieje, jeśli weźmie cię na etat. RAFA to jego oczko w głowie, a ty jesteś świetnym pracownikiem. Sama słyszałam, jak cię chwalił - wyszły z parku, przeszły przez jezdnię i zatrzymały się przed sklepem Michała. - Popilnuj przez chwilę Neli - poprosiła Marta. - Zajrzę tylko i zaraz wracam.

Wbiegła prawie do sklepu, a Kasia posłusznie pochyliła się nad wózkiem, z rozczuleniem przyglądając się przekrzywionemu kapelusikowi na ciemnowłosej główce najmłodszej latorośli rodu Artymowiczów. Malutka Anielka była żywym odbiciem matki - drobniutka, czarnowłosa, szarooka i tak samo ruchliwa.

Kasia uwielbiała dzieci. Boże - pomyślała z nagłym strachem - mam już prawie dwadzieścia dziewięć lat. Niedługo będę stara. Moje rówieśnice mają mężów, dzieci, a ja co? Trzymam się Marka, jakby był jedyny na świecie, a on najwyraźniej nie ma zamiaru zakładać rodziny. W ten sposób mam szansę zostać starą przyjaciółką z emerytalnym stażem...

- No, już jestem - Marta zbiegła ze schodków i popchnęła zamasyżycie wózek. - Chciałam tylko sprawdzić, czy Michał nie utknął w sklepie. Miał wcześniej odebrać Aleksa od rodziców.

- Przecież mogłaś go wziąć ze sobą - zdziwiła się Kasia.

- Mogłam, ale chciałam, żeby Nela trochę pospała, a Aleksowi na spacerze buzia się nie zamyka - wyjaśniła Marta ze śmiechem. - Wszystko go interesuje i wszystko chce wiedzieć. Dzięki Bogu, uzgodniliśmy ostatnio, że wszelkie kwestie techniczne ma wyjaśniać z Michałem. Ja pozostanę przy sprawach mniej konkretnych.

- Nie bałaś się drugiej ciąży? - zapytała nagle Kasia. - Z pierwszą miałaś kłopoty...

- Jakieś ziarenko niepewności we mnie tkwiło, dopóki USG nie wykazało, że to dziewczynka. Byłam już pewna, że wszystko będzie dobrze. Po prostu to czułam.

- Dobrze, że Marek tego nie słyszy - w głosie Kasi była gorycz. - On uważa, że zabobony i przeczucia wymyśliła Ewa, żeby jej było łatwiej rządzić Adamem.

- Marek! - Marta prychnęła pobłaźliwie i wydeła usta. - On się boi wszystkiego, czego nie może pomacać i zrozumieć. Czasami prawie mi go szkoda, a czasem mam ochotę zdrowo nim potrząsnąć. W gruncie rzeczy to dobry chłopak, tylko strasznie nieufny. Kiedy do nas przychodzi, mam wrażenie, że tylko czeka, aż skoczymy sobie do oczu. Jakby uważał, że to wszystko jest tylko na pokaz. I wciąż nie może uwierzyć, że Maciek jednak pozbiierał się po Beacie i jest szczęśliwy z Nicole... Musisz mieć do niego anielską cierpliwość, że tak długo z nim wytrzymujesz.

- Właśnie... chyba mi się skończyła - oświadczyła Kasia gwałtownie i zaczerwieniła się, speszona.

Marta spojrzała na nią bystro i pokiwała głową, otwierając furtkę.

- Może to i dobrze - mruknęła. - Małe trzęsienie ziemi niekiedy dobrze wpływa na umysł... Jak się miewają moi mężczyźni? - przykucnęła, otwierając szeroko ramiona, bo Aleks siedzący z ojcem na ławce przed domem natychmiast rzucił się ku niej. - Czyżby ktoś za mną tęsknił? - zaśmiała się, przytulając synka.

- Obaj - Michał ostrożnie wyjął z wózka śpiącą Nelę. - Cześć, Kasiu. Dobrze, że przyszłaś. Marta zawsze ma w pogotowiu coś słodkiego dla gości. Może się załapiemy, co, Aleks?

- Opowiesz mi, co widziałaś w parku, mamó? - brązowe oczy synka błyszczały ciekawością.

- Opowiem - przyrzekła. - Wieczorem, jak będziesz kładł się spać... Czyżbyście popadli w niełaskę u babci Heleny? Nie dała wam deseru?

- Jedliśmy placek - wyjaśnił Aleks z powagą i posłał w stronę Kasi powitalny uśmiech. - Dzień dobry, ciociu - powiedział układnie, po czym zsunął się na ziemię i spojrzał podekscytowany na matkę. - Wiesz, tata mi pokazał takiego dużego robala. On ma takie coś na głowie - przyłożył rączki do gęstej czupryny. - Takie dwa wąsy albo rogi. I jest twardy. I tak

śmiesznie warczy jak mały samolot. I drapie po skórze. I tata mówił, że raz ci włożył za koszulę i strasznie krzyczałaś. Tylko się trudno nazywa i zapomniałem. Ale tata wie - dodał pośpiesznie.

- Nazywa się chrabąszcz, Aleks - Michał rzucił żonie rozbawione spojrzenie. - Jeśli na chwilę przestaniesz mówić, synu, to może uda mi się położyć Nelę do łóżeczka i posiedzimy przy komputerze. Chodź, kolego - z drepczącym u boku chłopcem wszedł do domu.

- Boże, on mówi, jakby miał dziesięć lat, nie cztery - Kasi udało się wreszcie dojść do słowa. - Nieprawdopodobne.

Marta prychnęła śmiechem i popatrzyła na nią z dużym rozbawieniem.

- Od kołyski miał wokół siebie samych dorosłych. Nikt, nawet moja bratanica Alicja, nie używał przy nim spieszceń, a dziadek Ludwik wciąż coś mu opowiadał. Jakie, biedak, miał wyjście? W dodatku moja mama uznała za punkt honoru, żeby pokazać Majewskiej, swojej znajomej, że jej wnuk jest ósmym cudem świata, i w ogóle genialnym dzieckiem... Chodź, Kasienko. Poszukajmy jakichś smakołyków - złożyła wózek, popchnęła dziewczynę na schodki i poprowadziła prosto do kuchni.

Odkąd teściowie przenieśli się do dziadka Aleksandra, który coraz częściej niedomagał i potrzebował stałej opieki, dom nieco zmienił oblicze. Michał bez żalu zrezygnował z dużego pokoju na górze, przerabiając go na dziecinny. Do sypialni wstawili nowy telewizor, bo Aleks uwielbiał oglądać dobranocki, wylegując się na ich łóżku, a stary odbiornik i sprzęt grający znalazły się na dole. W kuchni rządziła Marta i był to jedyny teren, po którym Aleksowi nie wolno było się kręcić, kiedy matka była zajęta. Dlatego teraz pociągnęła Kasię do swego królestwa, usadziła na taborecie i zapytała:

- Jesteś głodna? Czego się napijesz? Kawy, herbaty, czegoś zimnego czy lampkę wina dla kurażu?

- Nie rób sobie...

- Skąd ci się wzięły te rude włosy, dziewczyno? - fuknęła Marta z irytacją. - Zawsze myślałam, że istoty rudowłose, szczególnie rodzaju żeńskiego, mają temperament wulkanu, a ty przepraszasz, że żyjesz. Nic dziwnego, że Marek robi z tobą, co chce. I wygodnie mu z tym.

- Tak uważasz? - Kasia znieruchomiała i w jej zielonych oczach błysnęły dziwne iskierki.

- Tak uważam - Marta już kręciła się po kuchni, wydając z lodówki miseczkę z zimnym deserem. - Proszę - postawiła przed dziewczyną kolorową galaretkę ozdobioną kleksem bitej śmietany i owocami. - To zadatek. Jedz i myśl, czego się napijesz.

- Herbaty - oznajmiła Kasia zdecydowanym tonem.

- To rozumiem - Marta z aprobatą skinęła głową, ukrywając uśmiech i włączyła, czajnik. - Zaczekaj chwilę. Zaniosę to swoim głodomorom - wetknęła do miseczek łyżeczki i wyszła z kuchni.

Kasia skubnęła kawałek galaretki, rozglądając się po jasnym pomieszczeniu. Szeroko otworzyła oczy na widok zabawnych rysuneków i pięknie wykaligrafowanych podpisów pod nimi. Prawie się roześmiała, czytając je z zainteresowaniem. Jeden przedstawiał siedzącego przy nakrytym stole chłopczyka wyraźnie podobnego do Aleksa, a napis pod nim głosił: „Trzymaj łyżkę w prawej ręce, nie będzie kapać ci po szczęce”. Na kolejnym widniał talerz z jakimś smakowitym drugim daniem, a pod nim napisano: „Nóż w prawej, w lewej widelec, niech widzą, żeś nie cieleń”.

- Podobają ci się rysunki Ewuni? - prawie podskoczyła na głos Marty.

- To Ewunia napisała? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie - Marta parsknęła śmiechem. - Wierszyki to dzieło Alicji w ramach troski o wychowanie kuzyna. Sama miała kłopoty ze sztukami i postanowiła ulżyć Aleksowi.

Kasia nagle spochmurniała. Westchnęła mimo woli i wbiła wzrok w miseczkę przed sobą. Marta przycupnęła obok na taborecie i zachęciła serdecznie:

- No, jazda, Kasiu Scarlett. Powiedz mamusi, gdzie boli. Podmuchamy i od razu będzie lepiej.

Dziewczynę ogarnęło nagle takie rozzalenie, że słowa popłynęły jak Niagara. Łzawym głosem wyznała Marcie, jak Marek sprytnie wykręcił się od rodzinnej uroczystości, wytknęła wszystkie jego przewinienia, te ważniejsze i te błahe, które wcale nie bolały mniej, kompletny brak romantyzmu, cynizm, przesadne eksponowanie jego reporterskiej misji, ocenianie ludzi z założeniem, że kryją w sobie jakieś podejrzane drugie dno, brak poszanowania dla jej uczuć, megalomanię, i w ogóle. To „w ogóle” tak ją przygnębiło, że rozszlochała się w głos.

Marta w milczeniu pogładziła ją po włosach, podała chusteczkę i zadumała się nad czymś.

- Pytanie będzie z gatunku wścibskich - uprzedziła uczciwie. - Nie pytam z ciekawości, tylko próbuję coś zrozumieć. Spałaś z nim?

W Kasię jakby piorun strzelił. Wyprostowała się gwałtownie, otworzyła usta, spojrzała na Martę, zamknęła je bez słowa i zarumieniła się jak wiśnia.

- Tylko raz - szepnęła z wyraźnym poczuciem winy. - A zaraz potem... On... Głupia byłam, co?

- Rozumiem - mruknęła Marta, marszcząc w zamyśleniu brwi. - Nie czuj się winna. Nie masz powodu. To Marek... Zrozumiał, że podszedł za blisko i się przestraszył. Teraz pewnie próbuje przekonać samego siebie, że kompletnie mu na tobie nie zależy.

- A zależy? - spytała Kasia z goryczą. - Sama widzisz. Kiedyś mi powiedział, że jak gdzieś z nim idę, to ma pretekst, żeby spławiać inne dziewczyny.

- Idiota! - prychnęła Marta pogardliwie. - Już prędzej te inne dziewczyny stanowią pretekst, żeby nie wisiął bez przerwy oczami na tobie. Kogo on chce oszukać?

- Myślisz, że... Że jemu naprawdę zależy?

- Jasne! - Marta spojrzała jej prosto w oczy. - Coś ci powiem, Katarzyno. Marek jest astrologicznym Rakiem i dokładnie tak się zachowuje. Jak zrobi krok do przodu, to natychmiast cofnie się o dwa. Nie wiem, co go tak ciężko przestraszyło, że boi się dziewczyn, ale nie mam zamiaru puścić go tak samopas. Będziesz musiała trochę popracować nad swoim gołęmbim charakterem i pokazać mu, że nie dasz sobą pomiatać... Psiakrew, poradziłam sobie z Radkiem i Andrzejem, myślisz, że nie dam rady Mareczkowi? - zrobiła groźną minę. - Nie martw się, wytresujemy pana redaktora - poderwała się z taboretu i sięgnęła do szafek. - Ale najpierw wrzucimy coś na ruszt, żeby nam sił nie zabrakło, bo to jednak może być wyczerpu...

Urwała i rzuciła się ku schodom, bo z góry dobiegł płacz dziecka. Słysząc było wyraźnie, że najmłodsza z Artymowiczów jest śmiertelnie oburzona i uspokajający głos ojca nie robi na niej wrażenia. Dopiero kiedy Marta z tupotem wpadła na górę, płacz urwał się na wysokiej nucie i w tej samej chwili uszu Kasi dobiegło uszczęśliwione:

- Mama!

Przez uchylone okno do pokoju wpadają świeży, majowy powiew, poruszając delikatnie firanką, a słońce świeciło wprost na ekran komputera, na którym widniały jakieś zapiski. Marek gapił się na nie bezmyślnie, usiłując zmusić oporny umysł do współpracy, ale nic z tego nie wychodziło. Poddał się wreszcie. Odsunął krzesło od biurka, oparł nogi na blacie i założył ręce za głowę. Szczerze mówiąc, czuł się trochę parszywie i cholernie mu to przeszkadzało w pracy. No i dlaczego właściwie? Przecież uprzedził. Wysłał SMS-a w samą porę, żeby Kasia nie robiła sobie wielkich nadziei na domową imprezę. Nie lubił takich spędów. Rodzina, głupie dowcipy, przesłuchania: a z kim, a co, a jak, a kiedy... Marek wzdrygnął się z obrzydzeniem. To właśnie z tego powodu wolał pracować w święta niż siedzieć z rodziną przy stole i odpowiadać na pytania w stylu:

- Marek, kiedy ty się wreszcie ożenisz?

Jakby już nic ciekawszego nie było na świecie do roboty. Gdzie jest napisane, że każdy mężczyzna musi się ożenić? Na świecie było dość takich, którzy zrobili to parę razy w ciągu całego życia, więc on mieści się w średniej. Nie, żeby miał coś przeciwko kobietom. Broń Boże. Same w sobie były nieszkodliwe i niekiedy stanowiły przyjemne wytchnienie dla zmęczonych oczu. Sprawy przybierały z reguły zły obrót dopiero wtedy, gdy do głosu zaczynały dochodzić hormony, czy to coś, co romantycy zwykli nazywać miłością. No, musiał przyznać, że niektórym chłopakom nawet się udawało poskładać jakoś do kupy. Właściwie kiedy przyglądał się Michałowi czy Rambo, to prawie im zazdrościł. Ten błysk w oku, gdy patrzyli na swoje kobiety, ta aura spokoju i samozadowolenia, która ich otaczała. Prawie, ale nie do końca. Bo, jak się tak dokładniej przyjrzeć, to i Marta, i pani doktor wodziły mężów za nos i robiły, co chciały. Weronika Wojnarowa, choć sporo od nich młodsza, zachowywała się już rozsądniej. Była fachowcem w dziedzinie giełdy, a przecież nie robiła do Radka słodkich minek, tylko spokojnie wyluszczała swoje racje i nakłaniała go do zmiany zdania logicznymi argumentami. Zawsze opanowana i pełna dystansu, z pewnością, nie wykorzystywała w walce z mężem swojej kobiecości. Bo Marek uważał małżeństwo za walkę płci. I zawsze to kobieta za wszelką cenę próbowała wygrać, stosując wszelkie środki, w jakie wyposażyła ją natura.

Marek zmarszczył brwi i zadumał się głęboko. Właściwie z tego punktu widzenia znajomość z Kasią nie była niebezpieczna. Dziewczyna była spokojna, jakaś taka wyciszona. Każdy komplement czy pomoc przyjmowała z wdzięcznością, a przede wszystkim niczego od niego nie żądała.. Nie zachowywała się, jakby był jej własnością. Niczego przy niej nie musiał. Za to zawsze umiała słuchać z należytą uwagą i widać było, że go podziwiała. Tak, Kasia zdecydowanie nie stanowiła zagrożenia...

Marek wykrzywił się paskudnie, bo przypomniał sobie tamten wieczór, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją przestraszoną i zapłakaną. Wyglądała na tak bezradną, że byłby ostatnią świnią, gdyby nie próbował jej pocieszyć. Nie jego wina, że to pocieszenie skończyło się w łóżku. Wcale tego nie planował. Nigdy żadna dziewczyna nie przekroczyła progu jego mieszkania. Kasia była pierwsza. Ale przecież kawiarnia nie była najlepszym miejscem na płacze i lamenty. Co miał zrobić? Zabrał ją tam, gdzie mógł ją uspokoić. No, fakt, przesadził trochę. Jeszcze dziś, gdy przypomniał sobie te jej zielone, świetliste oczy, robiło mu się nieswojo. Nie było w nich cienia wyrzutu, tylko wdzięczność.

Trzymaj się, stary - nakazał sobie w duchu, z trudem wracając do rzeczywistości. - Lepiej teraz niż później. Po co dziewczyna ma sobie robić nadzieję. Raz każdemu może się przytrafić, ale następane to już ryzyko. Aż taki głupi nie jestem.

Zdjął nogi z biurka i z determinacją zabrał się do pisania konspektu na kolejny wywiad.

- Można powiedzieć, że odniosłyśmy sukces - stwierdziła Oleńka, włączając alarm, w który jej zapobiegliwy mąż wyposażył gabinet. - Ale, wiesz, bez ciebie nie dałabym rady.

- Chrzanisz, szefowo - Marta wzruszyła ramionami. - To ty przyjmujesz pacjentki. Ja jestem tylko pielęgniarką.

- Marta, ja bym utonęła w tej parszywej księgowości - w głosie pani doktor dźwięczało granitowe przekonanie. - Jedyne papiery, które nie sprawiają mi problemów, to karty pacjentów. W dodatku... Wiesz, dopiero teraz zaczynam rozumieć, dlaczego Andrzej wciąż powtarza, jak wiele ci zawdzięcza. Pamiętasz tę nastolatkę, którą w zeszłym tygodniu matka przeprowadziła na badanie? Dziewczyna prawie wpadła w histerię na widok fotela, a ty z nią chwilę pogadałaś i przestała się bać... Wiesz, że nawet głos ci się zmienia, jak rozmawiasz z pacjentami? Kiedy urodziłaś Nelę i musiałam na pół roku zatrudnić Jagodę, wszystkie stałe pacjentki pytały o ciebie...

- Przestań, bo zażadam podwyżki - zachichotała Marta, idąc za nią w kierunku domu. - Oleńka, Andrzej jest w domu? - zmieniła pośpiesznie temat. - Muszę z nim pogadać.

- A co się stało? - Oleńka spojrzała na nią niespokojnie, otwierając drzwi.

- Mnie nic. Kasię wywaliło z roboty i trzeba się nią zająć. Może Andrzej zatrudniłby ją na etacie. Wolontariat jeść jej raczej nie da... Malutki, nawet o tym nie myśl! - powiedziała groźnie, bo w holu dostrzegła potężnego psa, który już szykował się do skoku. - Kto mnie potem zdrapie z podłogi?

Oleńka prychnęła śmiechem i pociągnęła ją do salonu, a stamtąd na tylną werandę. Przy stoliku obok basenu siedział Niciński z teściem. Popijając chłodne napoje z wysokich szklanek, przeglądali jakieś papiery, wymieniając od czasu do czasu uwagi i zerkając na bawiące się w pobliżu bliźnięta.

- Tak sobie zawsze wyobrażałam rodzinną sielankę - wyznała Oleńka ściszym głosem. - Ale nigdy nie myślałam, że to będzie moja własna sielanka.

- Wszyscy dostajemy to, na co sobie zapracowaliśmy - Marta uśmiechnęła się ze zrozumieniem i powiodła spojrzeniem po rozluźnionym Andrzeju. - Jego matka byłaby szczęśliwa, gdyby go teraz widziała... A może widzi...

Przyjrzała się z uwagą Dortowi, który tłumaczył coś zięciowi. Wyglądał na człowieka nie tylko całkowicie pogodzonego z losem, ale i takiego, który odnalazł wreszcie swoje miejsce. Przypomniała sobie, jak Oleńka mówiła, że bardzo się zaangażował w działania rady

parafialnej. Wyobraźnia podsunęła jej przed oczy skrzywioną, nadętą pretensjami twarz Doretowej. No - pomyślała z zadowoleniem - teraz nawet, gdyby ta nieszczęsna Eliza miała piłę zamiast języka, jego to już nie ruszy. Oleńki, dzięki Bogu, też.

- Słyszałam, że twoja matka zapisała się do Klubu Seniora - zagadnęła ściszym głosem, zerkając na przyjaciółkę.

- Zgadza się. Nareszcie ma odpowiednie audytorium - odparła sucho Oleńka. - Jeszcze parę lat i zostanie arbitrem moralności w mieście. Wszystko wie najlepiej i nigdy w życiu nie zbłądziła... Ostatnio, wprowadzcie dość ostrożnie, próbuje namówić Andrzeja do kandydowania na burmistrza. Wbiła sobie do głowy, że bycie teściową głowy miasta to rola w sam raz dla niej... Jakoś jej wyleciało z pamięci, że jeszcze niedawno uważała, że wyszłam za mąż za kryminalistę - dodała z przekąsem.

- A co na to Andrzej? - Marta uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Powiedział, że najpierw musi opanować zarządzanie własną rodziną - Oleńka zachichotała. - Ciężko mu to idzie, bo podobno jesteśmy niesubordynowani. A jak już zostanie burmistrzem we własnym domu, to pomyśli o naprawianiu świata...

- Skończyłyście na dziś? - zapytał Rambo, nie odrywając oczu od trzymany w ręce dokumentów. - Jeśli nie dzwoniłaś po Michała, to mogę cię podrzucić do domu, Malutka. Jadę do Wojnarów.

- Ty masz oczy na plecach? - mruknęła Marta z irytacją. - Nawet poplotkować sobie nie można, bo też pewnie wszystko słyszysz, co? Dobrze, że Michał tak nie ma, bo bym nie wytrzymała.

- Ja też czasem nie wytrzymuję - poinformowała ją pani doktor. - Ale przynajmniej się uodporniłam... Miła, co ty wyprawiasz? - skarciła córkę, która przypadła do ojca, usiłując wdrapać mu się na plecy.

- Sukam - oznajmiła donośnie Emilka, przesuwając brudnymi łapinami po Andrzeju koszuli. - Nie ma!

- Czego nie ma? - zainteresował się Niciński. Odwrócił się błyskawicznie, złapał wpół piszczące radośnie dziecko i posadził na swoich kolanach. - Chyba ci się zmienia kolor skóry, panienko - roześmiał się, widząc poszarzałe dłonie córki.

- Nie masz oczu na plecach. Ciocia myślała, że masz...

- Ciocia - u boku Marty wyrósł Daniel, patrząc na nią z zaferowaną miną. - Po co mucha lata?

- O rany! - jęknęła Oleńka, mierzwiąc loki. - Zaczyna się! Zabawa w sto pytań!

Marta na szczęście była zaprawiona w tego typu bojach. Odkąd Aleks nauczył się jako tako zrozumiale posługiwać ludzką mową, zmusił ją do odpowiadania na setki skomplikowanych pytań. Zmobilizowała umysł i spojrzała ciepło na chrześniaka.

- Bo ma skrzydła - powiedziała przekornie.

- I musi? - Daniel zmarszczył ciemne brwi. - Ja bym nie lubił musieć.

- A któraś ci mówiła, że lubi? - zapytał kpiąco Andrzej.

- Ja też bym nie lubiła - przyznała równocześnie Marta i usiadła na schodkach, przyciągając chrześniaka do siebie. - Ale, wiesz, myślę, że ona nie musi. Ma wybór. Przecież ma jeszcze...

- ... dużo nogów - Mila porzuciła ojca i przyłgnęła do jej drugiego boku.

- Właśnie. Więc czasami sobie lata, a czasami chodzi.

- Ale po co? - drążył Daniel. - Po co ona lata?

- A ty byś nie chciał, gdybyś miał skrzydła? Bo ja bym chciała - Marta zamysliła się na chwilę. - Fajnie tak patrzeć na wszystko z góry. Leciłam kiedyś samolotem i bardzo mi się to podobało. Może ona lata, bo jest estetką i lubi podziwiać widoki? - zaśmiała się przekornie.

Oleńka prychnęła pogardliwie, a Dort i Niciński spojrzeli na siebie z rozbawieniem.

- Tata też latał. Zutowcem - oznajmiła z dumą Mila.

- Mama też latała - mruknęła Oleńka z wyraźną urazą.

- Dziadek też latał - dołożył Dort rozweselony.

- Łatana łodzina - w głosie Daniela była gorycz. - A my? Ciocia, Aleks też latał?

- Samolotem jeszcze nie - uspokoiła go Marta ze zrozumieniem, ignorując śmiech Andrzeja. - Na razie lata tylko, kiedy śpi.

- Jak? - zapytały jednocześnie bliźniaki, wlepiając w nią wzrok.

- Zamykacie oczy, zasypiacie i leciecie, dokąd chcecie. Marzenia są lepsze od skrzydeł - Marta wstała, otrzepała spódnicę i spojrzała wyczekująco na Nicińskiego. - Chętnie się z tobą zabiorę, bo mam zgryz i wydaje mi się, że będziesz najlepszym panaceum na moje dolegliwości.

- Słyszałeś, tato? - Rambo parsknął śmiechem. - To właśnie system Malutkiej. Nic na siłę. Najpierw ugłaskać, potem wymagać.

Marta uśmiechnęła się tylko i zaczęła, żegnać się z dziećmi.

Zegar na kościelnej wieży wybił północ. W środkowej sali Sosnowego Dworku panowała ciemność i niczym niezmacona cisza. Przez szczelnie zamknięte drewniane okiennice do

wnętrza nie przedostawała się nawet odrobina światła z ulicznych latarni. Nagle powietrze w pokoju jakby zafalowało i poderwało z posadzki drobinki wieloletniego kurzu. Przy starym, kamiennym kominku pojawiła się świetlista poświata, a po chwili wyłoniły się z niej dwie smukłe sylwetki. Miały na sobie dziwne suknie: długie, mocno wydekoltowane, z krótkimi bufkami, odcinane tuż pod piersiami. Wysoko upięte ciemne włosy spływały misternymi puklami na szyje ozdobione połyskliwymi perłami. Obie postacie wyglądały identycznie.

- *Mon Dieu*, jak tu nudno - westchnęła jedna, ziewając dyskretnie.

- Nie narzekaj, Zuzanno - skarciła ją druga. - Słyszałaś, co mówiła ta kobieta? Kupili to miejsce i będą je restaurować. Może tu zamieszkają?

- Kobieta? - Zuzanna wydeła kapryśnie usta. - Moja droga Marianno, a po cóż miałabym poświęcać swoją uwagę własnej płci? Widziałaś tych mężczyzn? Od wieków chyba nie oglądałam równie zajmujących panów - westchnęła rozmarzona.

- Byli trochę dziwnie odziani - odparła z niesmakiem zagadnięta. - Te krótkie rękawy...

- Ale jakie muskularne ręce! Zwłaszcza ten starszy... Nie udawaj purytanki, *ma soeur* - dodała złośliwie. - Kiedy była tu biblioteka, z wielkim zajęciem studiowałaś książki. Przy Franciszku też jakoś zapomniałaś o niewieściej skromności.

- Zawsze byłaś podła, Zuzanno - powiedziała Marianna ze zboląłą godnością i na znak obrazy po prostu zniknęła.

- Marianno! Wracaj! - jej siostra poruszyła się gwałtownie, próbując ją powstrzymać. - Myślałam, że po tylu latach i tych wszystkich lekturach trochę zmadrzałaś - dodała ze złością i poszła w jej ślady.

- Szefie, przyszła Kasia - ochroniarz Arni wetknął kudłatą głowę w drzwi gabinetu.

- Dawaj ją tu. - Rambo odsunął segregator i skinął dłonią w stronę wchodzącej dziewczyny. - Siadaj, Kasiu. Powiedz mi, jak długo dla mnie pracujesz? - zapytał łagodnie.

W zielonych oczach błysnęło zdziwienie i jakby niepokój. Kasia wyprostowała się na krześle i ostrożnie powiedziała:

- Od pięciu lat.

- No, właśnie - Andrzej spojrział na nią z wyrzutem. - To dlaczego dopiero od Malutkiej dowiaduję się, że zwolnili cię z banku?

- Ale ja... Szukam pracy - po twarzy dziewczyny przemknęło zakłopotanie. - Na pewno coś znajdę. Przecież...

- Już znalazłaś - przerwał Niciński niecierpliwie. - Jesteś najdłużej pracującą wolontariuszką. Przyglądałem ci się przez te lata. Nigdy o nic nie prosiłaś. Masz świetne relacje z naszymi podopiecznymi... Domyślam się dlaczego - uśmiechnął się ze współczuciem. - I umiesz samodzielnie podejmować decyzje. Bardzo dobrze. We wrześniu otwieramy świetlicę. Będziesz jej kierowniczką. - Kasia zamarła, patrząc na niego z niedowierzaniem. - Od przyszłego tygodnia wchodzi ekipy remontowe. Tobie zostawiam dopilnowanie wszystkiego. Tu masz papiery dotyczące dworku i naszych ustaleń z właścicielami i konserwatorem zabytków. Gdyby były jakieś wątpliwości, kontaktuj się bezpośrednio ze mną albo z Niką Wojnarową, bo działamy wspólnie. Tu masz numer mojej prywatnej komórki - podał jej wizytówkę z ręcznie dopisanymi cyframi. - Wyłącznie do twojej wiadomości - zastrzegł. - Jeśli o mnie chodzi, daję ci całkowicie wolną rękę, w granicach tych ustaleń, oczywiście - poklepał segregator. - Aha, jeszcze to - podsunął jej zadrukowaną kartkę. - To twoja umowa. Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu, masz niecały tydzień.

Kasia spojrzała na niego błyszczącymi oczami, sięgnęła po leżący na biurku długopis i bez namysłu złożyła podpis.

- Mamusia nigdy ci nie mówiła, że niczego nie należy podpisywać przed przeczytaniem? - Andrzej pokręcił głową z dezaprobatą.

- Mówiła - dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. - Ale miała na myśli różnych krętaaczy.

- A skąd wiesz, że ja do nich nie należę? - zainteresował się Rambo.

- Bo Marta mi kiedyś powiedziała, że jest pan najuczciwszym człowiekiem na świecie, a ja jej wierzę - wypaliła Kasia.

- No, tośmy sobie pogadali - mruknął zakłopotany Andrzej. - Może zachowaj jednak tę opinię dla siebie... Dobrze, zabieraj te papiery i zmykaj. Przejrzyj je dokładnie i daj mi znać, gdybyś miała jakieś pomysły... Aha, jeszcze jedno - zatrzymał ją w drzwiach. - Wypłata każdego ostatniego dnia miesiąca. Wolisz konto czy do ręki?

- Konto... Dziękuję... Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby pana nie zawieść...

- Tego jestem pewien - uśmiechnął się Niciński.

- Cześć, gwiazdo srebrnego ekranu - w słuchawce dźwięczał wesolutki głos Tomka. - Rozsyłam wici, bo zgodnie z klasową tradycją w sobotę robimy imprezę u mnie na działce. Przyjdziesz?

- Zaraz, czekaj - Marek, oderwany zniemacka od roboty, podrapał się po głowie. - W tę sobotę? O której?

- Wieczorem. Osiemnasta. Może być?

- A kto będzie? - Dorosz w myślach analizował swój terminarz.

- No, co się głupio pytasz? - zdziwił się Tomek. - Cała nasza paczka będzie. Ze swoimi połówkami. Tylko Justyna przyjdzie solo, bo jej luby dorabia w Stanach... Jak chcesz, to przyholuj kogoś ze sobą - dodał łaskawie po namyśle.

- Pomyślę - mruknął Marek niechętnie.

- To myśl prędzej, bo już muszę wiedzieć - ponaglił go kolega.

- Postaram się przyjść. Chyba żeby mi coś wypadło. Wiesz, jak to jest... Dobra, Tomciu, tyle chciałeś? Bo robota mnie goni.

- Uważaj, żeby cię całkiem nie złapała - prychnął Tomek i szybko się pożegnał.

Dorosz schował komórkę i wykrzywił się do ekranu komputera. Właściwie nie miał nic przeciwko spotkaniu. Pogadać, powspominać, napić się - dobra rzecz. Tyle że ostatnio kumple stali się szalenie monotematyczni. Chociaż z pewnością będzie też Kamil. Z panem doktorem da się jeszcze normalnie pogadać. Obaj mieli zbliżone poglądy polityczne i chętnie narzekali na aktualną władzę. W dodatku Kamil był na bieżąco z lokalnymi problemami. Może przy okazji podłapie jakiś ciekawy temat. W tym roku mają być wybory samorządowe. Dobrze byłoby wiedzieć, jakie pytania zadawać kandydatom. Pewnie najwięcej do powiedzenia na ten temat, jak zwykle, będzie miała Marta... Uśmiechnął się mimo woli i natychmiast pomyślał o Kasi. Przydałoby się zaklepać sobie jej towarzystwo na ognisku. Znała całą paczkę, a przy okazji zapewniłaby mu alibi i uniknęłyby docinków, że wciąż robi za singla.

Marek podrapał się po głowie i sięgnął po papierosa. Może to nie taki głupi pomysł, żeby zaprosić Kasię. Chyba się trochę obraziła o tamten unik, bo do tej pory nie zadzwoniła. Tłumaczył sobie, że z pewnością wiedziała, jaki jest zajęty i nie chciała mu przeszkadzać, ale mimo wszystko czuł się trochę nieswojo. Właściwie brakowało mu rozmów z Kasią. Jej nieśmiałe uwagi często bywały dla niego bodźcem do innego spojrzenia na jakiś temat i, co ciekawe, przeważnie wtedy właśnie zbierał pochwały od widzów.

No, dobra. Nie ma na co czekać. Trzeba wziąć sprawy w swoje ręce - jak powiadają wielcy tego świata - i pchnąć na właściwe tory. Kasia miała dość czasu, by dotarło do niej, że nie myśli o jakimś przyszłościowym związku.

Marek dopalił papierosa i wystukał numer dziewczyny.

- Kasia? Cześć, Króliczku. Co porabiasz?

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza i Marek w duchu pogratulował sobie właściwej taktyki, a potem, zamiast spodziewanej eksplozji radości, usłyszał:

- Marek?... O, rany boskie!... Zaczekaj...

W tle rozległ się jakiś rumor, a potem dobiegł go podniesiony głos Kasi:

- Co wy robicie? Co to jest?!... No, widzę, że plama... Samo? To, jak samo się wylało, zróbcie, co chcecie, żeby się samo sprzątnęło... Laluniu? - głos dziewczyny stwardniał. - Posłuchaj mnie, mój dobry człowieku. Albo doprowadzicie ten kąt do porządku, albo od jutra poszukacie sobie nowej pracy! Potrzebuję fachowców, a nie bandy partaczy! To zabytek! Do roboty, panowie!... Jesteś tam jeszcze? - rzuciła niecierpliwie do aparatu. - Naprawdę nie mam czasu, więc jeśli to pilne, to mów krótko, o co chodzi... Marek! - podniosła głos, bo zaskoczony Dorosz zaniemówił. - Jesteś tam?

- Przepraszam, jestem... - przemknęło mu przez głowę, że może Kasia ma jakieś straszne kłopoty i nie panuje nad sytuacją. - Co ty robisz w tej chwili? - zapytał delikatnie. - Nie, wiem, że nie masz czasu - wycofał się szybko, kiedy usłyszał niecierpliwe prychnięcie. - Słuchaj, mam wolny wieczór. Może spotkalibyśmy się w „Rambo”? - wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć.

- Przykro mi. Dziś nie mogę. Wieczorem też jestem zajęta - ton Kasi był stanowczy, bez krzty żalu i bez śladu dawnej nieśmiałości.

- To może w sobotę, co? Tomek robi ognisko na działce. Będzie cała nasza paczka, znasz ich przecież - nagle zaczęło mu zależeć, żeby się zgodziła.

- Też nie mogę - Kasia westchnęła. - Muszę się dokładnie wgryźć w papiery... Słuchaj - zastanowiła się nagle - ty powinieneś wiedzieć. Gdzie mogę znaleźć jakieś dokładniejsze informacje na temat zabytków w naszym mieście?

- Zabytków? - Dorosz osłupiał, ale szybko wziął się w garść i zaczął grzebać w pamięci. - Cholera, czekaj... W Internecie może? Na naszej miejskiej stronie? Albo w Urzędzie Miasta? Albo może w „Regionaliście”?... Chodzi ci o jakiś konkretny?

- Owszem... Hej! A wy dokąd, panowie? - znowu podniosła głos. - Przepraszam, Marek. Nie mogę teraz... Zadzwoń później. Cześć!

Zdumiony Dorosz usłyszał przeciągły sygnał i z ociąganiem wyłączył komórkę. Nic z tego nie rozumiał. Zabytki? Co Kasia ma wspólnego z zabytkami? Pracowała przecież w banku. To komu ona wydawała polecenia? Ekipie sprzątaczy? W banku? Zaraz, a może złapał ją w fundacji? Ale ani budynek banku, ani lokal fundacji nie kwalifikują się do zabytków... I ta stanowczość... Co się stało ze słodką, nieśmiałą dziewczyną, którą znał od paru lat? Co w nią

wstąpiło, że grozi ludziom wyrzuceniem z pracy? Dostała awans i woda sodowa uderzyła jej do głowy?

Marka zawsze korciły zagadki i tajemnice. Wiedział, że nie odpuści. Dostał wprawdzie wyraźną odprawę, jeśli chodzi o wspólną imprezę, ale i tak pójdzie na to ognisko. Dopadnie Martę i wyciągnie z niej wszystko. Postawiłby cały swój majątek, że ta mała wiedźma jest doskonale zorientowana w sytuacji.

Dorosz dobił na imprezę jako ostatni, bo szef akurat zapragnął rzucić okiem na dokonania swoich podopiecznych i udało mu się dopaść jego i Lolka, kiedy montowali skrót z sesji rady miejskiej do „Informacji”. Zobaczył na ekranie ziewającego, znudzonego wyraźnie burmistrza i dostał piany na ustach, wrzeszcząc, że obaj podwładni albo stracili instynkt samozachowawczy, albo próbują na własną rękę uprawiać dywersję polityczną. Skutek był taki, że zostali zmuszeni do dokładnego przejrzenia materiału, by znaleźć takie ujęcia, na których władca Kraśnika sprawia wrażenie dogłębnie zainteresowanego toczącą się dyskusją. Nie było to łatwe, bo kiedy burmistrz nie ziewał, to wyglądał, jakby miał ochotę prac natychmiast wszystkich zebranych po pyskach, co nie było rzeczą dziwną, jako że sesja dotyczyła budżetu, który za wszelką cenę miał zostać zatwierdzony. Po wielkich wysiłkach udało im się wreszcie zadowolić wymagającego zwierzchnika i Marek z dużą ulgą opuścił miejsce pracy. Wpadł biegiem do domu, przebrał się tylko i pośpiesznie udał się na towarzyski spęd, pasąc po drodze rozbujała nagle wyobraźnię cudownym widokiem ogromnej wystrzelonej w przestrzeń kosmiczną rakiety, unoszącej w siną dal wszystkich polityków świata. Doznał nikłego wrażenia, że zaczyna rozumieć Martę, która twierdziła, że ma alergię na wszystkich polityków.

Wrzask radości, jaki na jego widok wydali starzy dobrzy przyjaciele, ukoił nieco zboląłą ambicję Marka, ale rychło dobre samopoczucie rozwiało się bez śladu, bo wśród siedzących przy ognisku dojrzał roześmianą Kasię pogrążoną w rozmowie z Niką Wojnarową. Wydało mu się nawet, że w oczach Marty dostrzegł złośliwy błysk. Po pośpiesznych powitaniach dopadł wreszcie lepszej połowy Artymowicza i podejrzliwie zapytał:

- Co tu robi Kasia?

- Czyżby jej obecność w czymś ci przeszkadzała? - zainteresowała się Marta.

- Nie - powiedział niecierpliwie. - Próbowałem ją namówić na to ognisko, ale twierdziła, że nie ma czasu.

- No cóż - Marta wzruszyła ramionami. - Ja jej nie namawiałam, tylko wydałam rozkaz. Uznałam, że świeże powietrze i miłe towarzystwo będzie przyjemną odmianą po wachaniu tych wszystkich farb i rozpuszczalników.

- To co ona robi? - zdenerwował się Marek. - Mają w banku remont? I pracują w szkolidliwych warunkach?

- W banku? - Marta uniosła brwi. - Chyba nie jesteś na bieżąco, mój drogi. Kasia już nie pracuje w banku. Wylali ją. Nic nie zrobisz - pokręciła głową, gdy otworzył usta. - Była na umowie. Wiadomo było, że w razie zwolnień poleci jako pierwsza... Kasia ma nową pracę, jest z niej bardzo zadowolona i dumna, ale trochę za bardzo chce udowodnić Andrzejowi, że się nadaje.

- A musi? - rozżłościł się Dorosz. - Pracuje w fundacji od lat. Sam słyszałem, jak Rambo mówił, że jest dobra.

- Ty to wiesz, ja wiem, Andrzej też. Pora, żeby Kasia też się o tym upewniła - stwierdziła Marta filozoficznie i pociągnęła go na szeroką drewnianą ławę. - Chodź, wszystko ci opowiem...

Marek wysłuchał z zainteresowaniem opowieści koleżanki, ale kiedy skończyła, westchnął i pokręcił głową.

- Ty wiesz, co to znaczy generalny remont? To codzienne użeranie się z bandą wiecznie niedopitych pseudofachowców, którym się wydaje, że mogą wszystko. Nie masz pojęcia, jak niesłowni bywają rzemieślnicy. Kasia jest łagodna jak owieczka. Nie jestem pewny, czy sama sobie poradzi.

- Andrzej twierdzi, że tak, a ja mu wierzę - Marta z wysiłkiem powstrzymała się od jakiejś kąśliwej uwagi.

- A co on wie o Kasi? - wkurzył się Marek. - Praca w Fundacji w papierkach to jedno, a nadzorowanie ludzi to zupełnie co innego.

- A ty, oczywiście, jesteś kasiologiem i wiesz wszystko? - warknęła Marta.

- Czym jestem?! - Dorosz osłupiał.

- Fachowcem od Kasi - wyjaśniła niecierpliwie. - Zapomniałeś, że ta owieczka pracowała kiedyś w ochronie.

- Bardzo krótko...

- Ale szkolenie przeszła - ucięła Marta. - I była dobra. Na tyle, że bez zastanowienia unieszkodliwiła naćpanego świra, który kiedyś wpadł do fundacji w nadziei, że zaopatrzy się za darmo w narkotyki... Andrzej uważa, że Kasia się marnowała za biurkiem. Dał jej szansę, żeby się sprawdziła. I jeśli ty w jakikolwiek sposób spróbujesz ją zniechęcić albo zdyskredytować to, co teraz robi, to ja osobiście cię zabiję.

Marek spojrzął ponad ramieniem Marty na Kasię, która w tej chwili z wielkim ożywieniem konwersowała z Alą i przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę telefoniczną.

- A może i nie... A może i da... - mruknął do siebie zamyślony.

- Idź sobie - Marta popatrzyła na niego z rozbawieniem. - Boję się osobników, którzy gadają do siebie... Aha, Marek - dodała ciepło. - Jesteś podobno reporterem. Poprzyglądaj się dzisiaj uważnie naszym parom. My naprawdę nie jesteśmy takie straszne...

Dorosz zjeżył się natychmiast, rzucił jej podejrzliwe spojrzenie i pośpiesznie ruszył w stronę Kasi.

- ... to poszukam w „Regionaliście” - usłyszał łagodny, miękki głos Ali. - Albo, wiesz, co? Mam lepszy pomysł. Pogadajmy z Marylą. Ona przecież uczy historii. Może wie coś na ten temat?

- Rozumiem, że mówicie o Sosnowym Dworku? - przysiadł obok Kasi. - Próbowałaś w Internecie?

- Próbowałam - dziewczyna westchnęła. - Na miejskiej stronie głównie wychwalane są dokonania burmistrza. Nie tego szukałam. Ala ma u siebie w bibliotece wszystkie numery „Regionalisty”. Obiecała, że je przejrzy... Tak bym chciała wiedzieć jak najwięcej o tym dworku - oczy jej błysnęły.

- Zawołam Maryłę - Ala poderwała się z miejsca. Dorosz spojrział ukradkiem na Kasię i poczuł dziwną urazę. Opętało ją coś z tym dworkiem, czy jak? W jego towarzystwie nigdy się tak nie zapalała, a teraz widać było, że aż ją ssie, żeby jak najwięcej dowiedzieć się o swoim nowym miejscu pracy. No, owszem, sam lubił zagadki, ale bez przesady. Jest na świecie jeszcze parę rzeczy, które są ważniejsze niż kupa starego drewna. Miał tyle rozumu, że ukrył przed Kasią te myśli. Zamiast tego, spytał niefrasobliwie:

- I co? Zadowolona jesteś z nowej pracy?

Dziewczyna prawie podskoczyła. Uśmiechnęła się tak promiennie, że znowu poczuł złość.

- Jasne! Och, Marek, ten dworek jest cudowny! Mogłabym stamtąd nie wychodzić! Tak bym chciała poznać jego historię!

- A jak sobie radzisz z remontem? - z trudem zdobył się na to, by w jego głosie zadźwięczał choćby cień zainteresowania.

- Nie jest tak źle - Kasia roześmiała się głos no. - W razie czego szef obiecał mi podeśłać Arniego i Stefanka...

- Przynajmniej tyle ma rozumu - nie wytrzymał Marek.

- ... ale na razie nie widzę takiej potrzeby. Wczoraj wyjaśniliśmy sobie z pracującą ekipą, kto tu wydaje rozkazy i podejrzewam, że dotarło do nich wreszcie, że nie dam sobie wejść na głowę. Gonią nas terminy...

- Kasia, podobno interesuje cię Sosnowy Dworek? - podeszła do nich Maryla z Alą. - Niewiele o nim wiem, ale coś tam pamiętam. Pisałam na studiach referat o naszych zabytkach - wyjaśniła, siadając obok. - Dworek powstał jako szpital przy kościele. Z tego, co pamiętam, to zbudowano go jeszcze przed ukończeniem świątyni. Ufundował go któryś z Tęczyńskich, ale musiałabym pogrzebać w swoich notatkach, żeby ci powiedzieć, który dokładnie...

- A wiesz, w którym roku? - Kasia patrzyła w nią jak w obraz.

- Czekał... - Maryla zmarszczyła ciemne brwi. - A, wiem! To był Jan Gabriel Tęczyński, starosta lubelski i wojewoda sandomierski - przypomniała sobie. - Dokładnej daty nie pamiętam, musiałabym przejrzeć stare notatki, ale na pewno to była pierwsza połowa szesnastego wieku.

- Boże, taki stary - szepnęła Kasia z wyraźnym szacunkiem. - Wyobrażacie sobie? Przetwał tyle lat.

- A, nie, to nie całkiem tak - Maryla potrząsnęła głową. - W tysiąc siedemset pięćdziesiątym trzecim roku w mieście był pożar. Spłonął wtedy i kościół, i dworek. Odbudowano go w drugiej połowie osiemnastego wieku, a potem jeszcze wiele razy był przerabiany. Przez cały czas należał do kościoła i prawdopodobnie używano go jako szpitala, ale po pierwszym budynku odziedziczył tylko miejsce. A, pamiętam jeszcze, że w latach siedemdziesiątych była w nim biblioteka gminna.

- No to i tak jest stary - stwierdziła Kasia z uporem. - Dzięki, Maryla. Znasz się trochę na architekturze? Bo tam jest taki kamienny kominek i ja bym chciała wiedzieć, z jakiego on pochodzi okresu...

Dorosz poczuł, że za chwilę wybuchnie. Ogłupienie Kasi na punkcie dworku przechodziło wszelkie granice. Przeprosił pośpiesznie zagadane dziewczyny, które i tak nie zwróciły na niego uwagi, i postanowił poszukać Kamila. Rozmowy z rozsądnym panem doktorem dobrze mu robiły. Kamil był współczesny do szpiku kości, a Marek wyraźnie czuł, że jakakolwiek wzmianka na tematy historyczne go dobije.

- Co się dzisiaj dzieje z Markiem? - zapytał rozdrażniony Maciek, dosiadając się do Michała i Radka. - Zaczął mu się kryzys wieku średniego?

Obaj zagadnięci parsknęli śmiechem. Michał powiódł wzrokiem po całym zgromadzeniu. Dziewczyny skupione wokół Tomka dzierżącego nieodłączną gitarę śpiewały jakąś tęskną balladę. Jacek stał przy ognisku, piekąc kiełbasę dla Ali, a Kamil prawił coś Doroszowi, który słuchał uważnie.

- Co ma się dziać? - Michał przeniósł spojrzenie na Maćka. - Pokłóciliście się?

- Nie - powiedział Maciek niecierpliwie. - Ale zaczyna mnie wkurzać. Najpierw wypytywał Nicole, czy jeszcze nie ma mnie dosyć. Potem przyczepił się do Doroty i próbował jej dowiedzieć, że nie zasługuje na Kamila. Tomkowi przy Hance wypomnił te wygłupy z Marylą, a w końcu Justynę oświecił, jak to nasi zabawiają się na saksach. Odbiło mu, czy szuka guza? A może się upił? Choć po prawdzie nie widzę możliwości...

- Może faktycznie ma kryzys. Tyle że sercowy - uśmiechnął się Michał.

- Marty jeszcze nie ruszał? - zainteresował się Radek.

- Patrz, jakoś nie - Maciek pociągnął łyk piwa. - Myślisz, Michał, że się z Kasią poprzytykał? Bo tak jakoś nie zwraca na niego wielkiej uwagi... To bym mu jeszcze darował, ale jeśli tylko próbuje tych swoich kombinacji...

- O czym tak dyskutujecie, chłopaki? - dopadła do nich zdyszana Marta. - Uciekłam, bo Dorota zaczęła opowiadać o swoim genialnym dziecku... Pić! - opadła na ławę obok nich i z urazą w głosie wysapała: - Moje też są genialne. Oboje. Ale nie uświadamiam na ten temat całego Kraśnika.

Michał powstrzymał uśmiech, podał jej butelkę z wodą mineralną i wyjaśnił:

- Maciek uważa, że Marek dzisiaj dziwnie się zachowuje. Wszystkim wciska szpilę, gdzie może. Zdaje mi się, że tylko paru dziewczynom się upiekło - spojrzał pytająco na kolegę.

- Dobrze ci się zdaje - pochwalił Maciek, któremu złość już przeszła. - Jak myślisz, Cyganeczko: kto pierwszy nie wytrzyma i da mu w mordę?

Marta prychnęła wodą i zachichotała.

- Mało brakowało, żeby padło na Dorotę... Już puściłam wici między dziewczynami, że Marek jest dziś trochę niesprawny umysłowo i należy lekceważyć to, co mówi. Ale i tak się wściekły i demonstracyjnie trzymają z Kasią...

Michał parsknął śmiechem i spojrzał na żonę z dzikim rozbawieniem.

- Ciekaw byłem, co się stało, że tak ją obstawiają. No, proszę. A mówią, że kobiety nie są solidarne...

- A Nika? - zdenerwował się nagle Radek. - Jeśli Marek chlapnie jej coś złośliwego, to osobiście go uszkodzę.

- Spokój, mecenasie - rozkazała Marta. - Niki nie ruszy. Dla niego ona stoi na półtora-metrowym cokole. Za wysoko.

- Z powodu? - Maciek spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Jest ekspertem od giełdy - wyjaśniła Marta. - On się boi mądrych kobiet. Maryla jest nauczycielką, w dodatku dobrą, więc też ją omija. Jej męża, Stefana, nie zna aż tak dobrze, żeby go zaczepiać, Kamila za bardzo lubi, a Kasi nie będzie się narażał, bo nie jest głupi.

- A my? - zainteresował się Radek. - Nam też woli się nie narażać?

- To nie to. Wy go wkurzacie maksymalnie, bo prezentujecie jakieś głupawe zadowolenie z małżeńskich okowów, ale poczeka spokojnie, aż przyjdzie dzień, kiedy tryumfalnie będzie mógł powiedzieć: a nie mówiłem? - Marta prychnęła z dezaprobatą. - Marek nie myśli racjonalnie na tematy damsko-męskie. Wciąż się okopuje.

- A co z tobą, Pchełko?

- Boi się, że zbuntuję mu Kasię - zachichotała Marta. - I zrobię to, jeśli mnie...

- To o co mu w końcu chodzi, na litość boską? - wkurzył się Maciek. - Przeszkadza mu, że wszyscy poza nim poukładali sobie życie i są zadowoleni?

- Wyżywa się na nas, bo nie może na Rambo - stwierdziła Marta pobłażliwie.

- A ten co mu zrobił?

- Spaskudził mu Kasię - Marta z tragiczną miną załamała rękę. - Dał jej odpowiedzialne zajęcie i Kasia nie ma czasu bić pokłonów i podziwiać pana redaktora. Powinniście wiedzieć z autopsji, jak trudno przestać być tym najważniejszym na nieboskłonie.

- My? - zdziwił się Maciek nieszczerze. - Ja tam o nic nie mam pretensji...

- Uderz w stół, a nożyce się odezwą - prychnęła Marta, patrząc na niego z naganą. - To, że Nicole więcej zajmuje się dziećmi niż tobą, nie znaczy, że przestało jej na tobie zależeć. Rusz tą tępą głową, Macieju, i nie rób z niej Beaty. Jedna cię olała, to o drugą dbaj. Zamiast stroić fochy, pomagaj jej częściej, to będzie miała więcej czasu dla ciebie.

- Już ci się skarżyła? - wymamrotał Maciek niechętnie.

- Nie musiała. Umiem patrzeć, słuchać i myśleć... Michał, ty masz to opanowane. Wy tłumacz mu, że pora wyrosnąć z głupich porównań i ubrań nastolatka... Wasza Madzia jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie widziałam. Ma twoje włosy, te migdałowe oczy po Nicole i jej wdzięk - spojrzała zmieszanemu Maćkowi prosto w oczy. - Kiedyś nie odgonisz od niej chłopaków. Chciałbyś, żeby trafiła na takiego, który nią będzie leczył dawne rany? - fuknęła, wręczając Michałowi pustą butelkę po wodzie i odeszła w stronę siedzącej chwilowo samotnie zadumanej Kasi, bo dojrzała Marka, który najwyraźniej szykował się do rozmowy z dziewczyną. Zamierzała mu trochę poprzekadzać.

- Cholera - powiedział Maciek, patrząc na kolegów ze zgrozą w piwnych oczach. - Musiała powiedzieć akurat to?

- Bo co? - Radek przyjrzał mu się z uwagą.

- Bo szlag mnie trafia na samą myśl, że kiedyś jakiś palant tak po prostu zabierze mi moją ukochaną córeczkę - wyjaśnił Maciek z pasją.

Radek i Michał wybuchnęli śmiechem.

- Ktoś powiedział, że córki to zemsta losu za młodość ojców - zauważył Artymowicz z udawaną powagą.

- Wiesz, Marta, dobrze, że mnie tu dziś zaciągnęłaś - Kasia spojrzała na przyjaciółkę z wdzięcznością. - Nie masz pojęcia, ile się dowiedziałam o tym dworku. Przy okazji rozmawiałam z Tomkiem. Dopytywał mnie, jaka tam jest stolarka... Mogłabym na ten temat napisać rozprawę - zaśmiała się nagle. - Przystudiowałam te wszystkie papierzyska i wydaje mi się, że znam już każdy kąt. Pogadam w poniedziałek z szefem. Okiennice nadają się do wymiany. Tomek mówi, że chętnie by się tym zajął.

- Zaczynasz mnie intrygować, Katarzyno - uśmiechnęła się Marta. - Chyba się wproszę któregoś dnia, żeby obejrzeć to cudo architektury. Musi być tego warte, jeśli aż tak cię urzekło.

- Wiesz... - Kasia zawahała się na moment. - Powiem ci coś, tylko nie śmiej się ze mnie... Mnie się wydaje... Czasami mam wrażenie, jakby ktoś mi się przyglądał... Może takie stare miejsca tak działają... - usprawiedliwiła się niepewnie.

- Bardzo możliwe - zgodziła się Marta w zadumie. - Kiedy zwiedzałam Łañcut i Kozłóvkę, przez cały czas wydawało mi się, że portrety na mnie patrzą, a na sali balowej słyszałam prawie szelest sukien, szmer rozmów, dźwięki muzyki...

- Kasia, jak masz zamiar wrócić do domu? - podskoczyły obie na głos Marka. - Specjalnie dzisiaj nie piłem, bo może po ognisku odwiózłbym cię swoim samochodem.

- Nie wysilaj się - Marta nie dopuściła Kasi do głosu. - Ona w ogóle dziś nie wraca. Przyszła z nami i nocuje u nas. Przygotowałam już pokój na dole, a jutro jedziemy do dziadka, to ją odwieziemy.

- Przecież macie dzieci! - warknął Dorosz, nie mogąc się powstrzymać.

- Uważasz, że Kasi szkodzi kontakt z dziećmi? - Marta spojrzała na niego kpiąco. - Dziś nocują u dziadków. A jutro Kasia te parę godzin jakoś przetrzyma. Odwieziemy ją po obiedzie.

- Ale ja lubię wasze dzieci! - zapewniła żarliwie Kasia, przestraszona trochę tonem i miną Marka. - Szczególnie Aleksa. Jest taki słodki...

Dorosz wydał z siebie pogardliwe prychnięcie, odwrócił się na pięcie i z godnością odmaszerował w stronę grupki kolegów. Po chwili dojrzały obie, jak w patetycznym toaście unosi puszkę z piwem.

- Co mu się stało? - Kasia popatrzyła zmartwiona na przyjaciółkę. - Dziwnie się dzisiaj zachowuje. I tak późno przyszedł... Może ma kłopoty?

- Ma - przyświadczyła radośnie Marta.

- Ale... Trzeba mu jakoś pomóc. Może powinnam z nim porozmawiać? - spytała Kasia niepewnie.

- Niech cię Bóg broni! - Marta przezornie przytrzymała ją za rękę. - Mareczek chwilowo stracił grunt pod nogami. Daj mu się ustabilizować, a wróci do normy...

Marek zatrzymał się przy domu Artymowiczów i niespokojnie zlustrował podwórko. Ulżyło mu, kiedy dojrzał uchylone drzwi wejściowe i wózek na werandzie. W głębi ogrodu na huśtawce siedziała Kasia z małym Aleksiem. Michał rozpiął się na ławce, wystawiając twarz do słońca i studiując jakieś czasopismo. Tylko Marty nie było widać, co - nie wiedzieć dlaczego - pocieszyło Dorosza.

- Cześć, Marek - powitał go Michał bez zdziwienia. - Siadaj. Marta się miota po kuchni, bo chce uraczyć dziadka swoim wypiekami... Przyjechałeś po Kasię? Dla nas to żaden kłopot...

- Wiem, ale... Mam interes w starej dzielnicy, chętnie ją podrzucę - plątał się Marek, unikając patrzenia na kolegę.

Dzięki temu nie dostrzegł rozbawienia w oczach Michała, który jednocześnie z lekkim niepokojem pomyślał, że powinien na klęczkach dziękować Bogu za dzisiejsze czasy. Parę wieków temu jego żonę z pewnością spalono by na stosie ku przestrodze innych niewiast albo przynajmniej spławiono w najbliższej rzece. Przewidziała zachowanie Marka z przerażającą dokładnością.

- Ciociu - dobiegł ich dźwięczny głosik Aleksa - mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie - Kasia pochyliła się w jego stronę i kasztanowa fala połyskująca rudo na skroniach zasłoniła jej twarz.

Michał porzucił rozmyślenia o podejrzanej wszechwiedzy Marty i spojrzął na nich z nagłym zainteresowaniem.

- Bo ja mam, ciociu, wielką troskę - zaczął Aleks wyraźnie zmartwionym tonem. - Bo najpierw myślałem, że ożenię się z mamą, ale potem zobaczyłem, że podoba mi się jeszcze ciocia Ewunia i ty. I teraz mam troskę, bo nie wiem, którą wybrać. I nie chcę, żeby mamie było smutno.

- Twój syn ma szerokie spektrum zainteresowań - mruknął Marek, patrząc kąpiąco na Michała. - Pełny wybór: czarna, blondynka i rudowłosa... Ja w przedszkolu przerzuciłem się z matki na panią od maluchów.

Zanim Kasia zdążyła się ustosunkować do Aleksowej troski, Artymowicz zrobił groźną minę i spojrzał na syna surowo.

- Masz pecha, mój drogi. Twoja mama jest już zajęta. Jeśli masz zamiar mi ją odebrać, będziemy musieli stoczyć pojedynek, bo dobrowolnie nie ustąpię.

- Pojedynek? - w brązowych oczach Aleksa błysnęła uciecha. - Taki, jak na filmach? Na pistolety czy na szpady?

- Na cokolwiek. I muszę cię uprzedzić, że prawo w tym kraju zabrania małżeństwa z własną matką, więc nawet, jeśli uda ci się mnie pozbyć, nic ci z tego nie przyjdzie.

Aleks zmarszczył brewki i zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie westchnął rzewnie.

- Rozumiem. A ciocia Ewunia ma wujka Januszka... Ale została mi jeszcze ciocia Kasia - spojrzał ufnie na dziewczynę. - Ciociu, ty nikogo nie masz, prawda? Ożenisz się ze mną, jak trochę urosnę?

- Nikogo nie mam - przyznała Kasia z zakłopotaniem. - Ale kiedy ty dorośniesz, ja już będę stara. Nawet na mnie nie spojrzysz...

Z domu wyszła obładowana Marta. Baczynym okiem zlustrowała śpiącą w wózku Nelę i stękając postawiła na ławce dwie pękate torby.

- Cześć, Marek. Zdecydowałeś się odwieźć Kasię?

- A ty wybierasz się na jakieś odludzie? - wymownym gestem wskazał wypchane siatki, unikając odpowiedzi.

Kasia dopiero teraz dostrzegła Dorosza i rzuciła mu zaskoczone spojrzenie. Otworzyła usta i zamknęła je bez słowa, postanawiając biernie czekać na rozwój sytuacji.

- Nie. Jedna wałówka jest dla dziadka Aleksandra, druga dla Kasi - wyjaśniła Marta uprzejmie. - Zamierzam podbić jej babcię... Nigdy nie wiadomo, jakie znajomości mogą się w życiu przydać - dodała filozoficznie.

Marek nie zdążył ustosunkować się do jej wypowiedzi, bo z huśtawki zerwał się Aleks.

- Mamusiu, tata powiedział, że nie mogę się z tobą ożenić, a ciocia mówi, że jest za stara - spojrzał na matkę niespokojnie. - Nie jest ci smutno, że ciocia mi się podoba? Kochasz mnie dalej?

- Kocham cię dalej - zapewniła Marta i prychnęła śmiechem. - I nie jest mi smutno. Cieszy mnie, że masz dobry gust.

- Masz na myśli siebie czy Kasię? - wtrącił Marek kąśliwie.

- Kasię, oczywiście. Ja już jestem zakontraktowana - przyjrzała się dziewczynie z upodobaniem. - Bardzo ładna ta nasza ciocia Kasia...

Jechali w milczeniu, bo Marek przeżywał swoją urazę, której powodów nie dociekał, ale która na dobre zaczynała zapuszczać w nim korzenie, a Kasia była tak zamyślona, że niewiele do niej docierało ze świata zewnętrznego. Dopiero, gdy minęli rondo, spojrzała na Dorosza niepewnie i z wahaniem zapytała:

- Mógłbyś na chwilę zatrzymać się przy dworku? Chciałabym tylko sprawdzić, czy farba wyschła...

Uraza Marka natychmiast napęczniała jak rozjuszony indyk, ale ciekawość przeważała. Niedbale skinął głową. Niech ja wreszcie zobaczę ten cholerny zabytek - pomyślał gniewnie. - Co też w nim jest takiego, że normalną dziewczynę zmieniło w nawiedzoną lokalną patriotkę?

Rozjaśniona Kasia postawiła na podłodze samochodu wałówkę od Marty, którą wcześniej piastowała na kolanach i zaczęła szukać klucza w torebce. Wyskoczyła, ledwie się zatrzymała, zrobiła zachęcający gest w jego kierunku i ruszyła ku wejściu. Naburmuszonemu Markowi nie pozostało nic innego, jak pójść za nią. W milczeniu przyglądał się, jak ostrożnie, prawie z nabożeństwem, otwiera drzwi.

Z zewnątrz budynek nie robił najlepszego wrażenia. Z kolumnienek przed wejściem zwały się całe płyty farby. To samo było z całą elewacją. Okiennice wyglądały, jakby za chwilę miały odpaść z trzaskiem. Kasia jednakże widocznie miała wypaczone poczucie estetyki. Z rozanielonym uśmiechem weszła do środka i zapaliła światło, bo wewnątrz panował półmrok.

Marek opanował złość i, wiedziony odruchem zawodowym, zaczął uważnie rozglądać się wokół. Długi korytarz przed nimi pełen był wiaderka z farbami i innych malarskich akcesoriów.

- Kazałam im zacząć od pokoju, w którym mam urzędować - powiedziała Kasia półgłosem. - Muszę się jakoś urządzić. Szef chce jak najszybciej zainstalować tu pełne wyposażenie biura...

- A co jest za tymi drzwiami? - Marek mimo woli też zniżył głos.

- Łazienka - otworzyła wypaczone drzwi. - To wszystko trzeba będzie wymienić, bo - zdaje się - to jeszcze słodkie wspomnienia lat siedemdziesiątych. Maryla mówiła, że kiedyś była tu biblioteka... Widziałeś, że ten dwór ma dwa wejścia od frontu, prawda? - odwróciła

się do Marka. - Tam będzie biuro fundacji Niki. Pokój, łazienka i korytarz są takie same, jak po tej stronie.

- A to? - Dorosz wskazał okazałe, podwójne drzwi na drugiej ścianie korytarza.

- Maryla mówiła, że był tu kiedyś szpital kościelny. Myślę, że to właśnie sala dla chorych - Kasia nacisnęła ozdobną, mosiężną klamkę i drzwi uchyliły się z przeraźliwym zgrzytem. - Zobacz, jaka jest duża - dziewczyna zapaliła światło. - To będzie nasza wspólna świetlica. Co o tym myślisz? - spojrzała na niego z dumą.

- Dla dwóch fundacji idealne miejsce - przyznał Dorosz po namyśle. - To o ten kominek wypytywałaś Marylę? No, faktycznie, niczego sobie. To chyba klasycyzm. Aż się prosi o duże lustro w ciężkich ramach...

- Co? - Kasia odwróciła się gwałtownie, spojrzała na ścianę nad kominkiem, przeniosła wzrok na Marka i jej zielone oczy zabłysły jak dwie żaróweczki. - Cudowny pomysł! Och, jak dobrze, że cię tu zaciągnęłam! - uściskała go spontanicznie, nie dostrzegając jego nagłej drętwoty. - Ty dużo jeździłeś, wiele widziałeś, to masz większe pojęcie o takich miejscach... Wiesz, Marta opowiadała mi dzisiaj o Kozłówce - zwierzyła się z rozmarzeniem. - Kiedyś muszę się tam wybrać. Podobno чудо.

- Mogę cię tam zabrać w którąś niedzielę - zaproponował Dorosz bez namysłu i natychmiast jęknął w duchu.

- Naprawdę? - oczy dziewczyny zrobiły się ogromne z przejęcia i Marek poczuł się niewyraźnie. - Byłoby cudownie! - na szczęście dla niego uwagę Kasi przykuło już coś innego. - Zobacz! Widzisz, jak starannie ułożono ten parkiet? Jeden rząd ciemny, dwa jasne. Na szczęście nie przegnił, ale trzeba go będzie odnowić...

- Skąd się wzięła ta nazwa? - Marek z ulgą zmienił temat

- Sosnowy Dworek? Pewna nie jestem, ale chyba stąd, że zbudowano go z sosny. Na trawniku też rosną dwie - Kasia pociągnęła go do drzwi i zgasiła światło. - Marta obiecała, że ściągnie tu Oleńkę i we dwie obsadzą klomby przed dworkiem. Och, to będzie piękne miejsce!... Chodź, musimy wracać, bo pewnie babcia już się o mnie martwi... A może wstąpisz na chwilę? - zaproponowała bez nacisku.

- Nie tym razem - ciężko spłoszony Marek z trudem opanował odruch ucieczki. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- No, tak. Zapomniałam, że jesteś pracoholikiem - Kasia uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- I kto to mówi - mruknął z urazą, bo mimo wszystko zabolalo go, że jego odmowa zupełnie jej nie obeszała.

Ledwo przebrzmiały uderzenia kościelnego zegara, w dużej sali dworku pojawiły się dwie smukłe, świetliste postacie.

- Słyszałaś? Zaczynam lubić tę dziewczynę - Zuzanna uśmiechnęła się z aprobatą. - Lustro! *Mon Dieu*, od wieków nie widziałam przyzwoitego zwierciadła - powiedziała z rozmarzeniem. - Ciekawa jestem, czy będę mogła się zobaczyć.

- Przypuszczam, że tak, jeśli się uprzesz - odparła Marianna nieco kwaśno.

- To coś, co wisiało w umywalni, kiedy była tu biblioteka, było koszarne - Zuzanna nie zwróciła uwagi na jej ton. - Choć do samej biblioteki nie mam pretensji. Przynajmniej jesteśmy wyedukowane, jak należy... Kwiaty przed wejściem... Będziemy mogły spacerować jak po ogrodzie...

- Ta dziewczyna bardzo niestosownie się ubiera - nie wytrzymała Marianna. - To w ogóle jakieś dziwne czasy, zdaje się, że nastąpił całkowity upadek obyczajów. Ci ludzie... Nie wiem, to jacyś chłopcy z okolicy? Wyglądali okropnie i zachowywali się jak w karczmie...

- Och, dałabyś spokój! - rozzłościła się w końcu Zuzanna. - Kręcisz nosem na wszystko! Zapach farby ci przeszkadza, łomoty cię denerwują... Nie jesteś w końcu żadną wielką damą, tylko jedną z dwóch córek złotnika. I nie zapomnij, z jakiego powodu tu jesteś - dodała złośliwie. - Twoja świętoszkowatość jest jakby nie na czasie, *n'est-ce pas*?

- Jak śmiesz mi to wypominać?! - Marianna prawie zachłysnęła się z oburzenia. - A co z tobą, ty... ty... ty Balladyno?! To ty bezwstydnie uwodziłaś biednego Franciszka!

- Biednego? - Zuzanna prychnęła pogardliwie. - Od tamtej pory minęły prawie dwa wieki, ale pamięć mam jeszcze dobrą. Twój „biedny” Franciszek najpierw uwiódł nas obie... nie bez naszej współpracy - dodała uśmiechem - ... a potem głupio dał się zabić, służąc cesarzowi... Nigdy nie lubiłam Napoleona. Podobno był mały i arogancki wobec dam...

- Franciszek... On nigdy... Gdybyś go nie zachęcała... Jesteśmy bliźniaczkami, może myślał, że ty to ja!

- Przypominasz mi ciotkę Teodorę - Zuzanna skrzywiła się z niesmakiem. - Była tak samo obłudna... Będziesz mi to wypominać do końca świata? Pomyśl lepiej, jakie przyjemne czasy dla nas nastaną. Remont się kiedyś skończy i wreszcie zamieszkamy w porządnym domu, a nie w rozsypującej się ruinie... Tak, wiem, czasy się zmieniły - odparła na pełne dezaaprobaty syknienie siostry. - Ale chyba nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Odnoszę wrażenie, że ojczyzna rzeczywiście jest wolna. Od wielu lat nie słyszałam tu ani słowa w żadnym obcym języku. Wszyscy mówili po polsku, może trochę niezrozumiale, ale nie mam wątpliwości, że

był to język polski... Pamiętasz to, co przeczytałyśmy w tym najgrubszym tomie? Tam było napisane, że po tych wszystkich powstaniach i wojnach - miałyśmy szczęście, że nas ominęły - panuje pokój i taki ustrój, gdzie wszystkim jest dobrze. Ciekawa jestem, kto jest obecnie na tronie. Jeśli Napoleon poniósł klęskę, a zaborców już nie ma, to chyba wybrali króla w wolnej elekcji, bo przecież Stanisław August nie pozostawił po sobie potomków z prawego łoża... A pamiętasz tych ludzi, którzy przychodzili po książki? Widocznie teraz istnieje dowolność w ubiorze. Pogódź się z tym, że to raczej my jesteśmy *passe*...

- Ale spodnie? - przerwała jej zgorszona Marianna. - Kobieta?

- Jesteś beznadziejna, moja droga... Zapomniałaś, jak kraśnickie mieszczki spluwały na nasz widok, kiedy po raz pierwszy założyłyśmy suknie w stylu cesarstwa? Że niby takie nieprzyzwoite? Odnoszę wrażenie, że ta mała *mademoiselle* wygląda o wiele skromniej niż my obie - wymownie spojrzała na odkryte ramiona i piersi siostry.

- Skromniej? - syknęła zbulwersowana Marianna. - Te dziwne spodnie... Ona miała opięty cały... tył! Myślisz, że ten mężczyzna, z którym była, nie zauważył tego? Patrzył na nią, jak... jak... - zabrakło jej słów.

- Czyżbyś była zazdrosna, *ma soeur*? - zapytała kpiąco Zuzanna i westchnęła, gdy obrażona śmiertelnie Marianna rozpląnęła się w powietrzu.

Czarny rover zatrzymał się na zwirowej uliczce między kościołem a dworkiem. Wyskoczyły z niego dwie ciemnowłose kobiety i zgodnie zaczęły wyciągać z samochodu nieforemne pakunki powiązane starannie sznurkami.

- Poczekajcie. Pomogę wam - Andrzej wysiadł i wyciągnął ręce z zamiarem uwolnienia żony od ciężaru.

- Nie dotykaj! - wrzasnęła Oleńka. - My same!

- Nie krzycz tak, Olinka, bo księża pomyślą, że jesteś jakimś wywrotowcem - skarcił ją Niciński.

- Wywrotowcy działają w ukryciu, a nie w biały dzień - sapnęła Marta, czule przyciskając do piersi papierową torbę, z której wystawał zielony pióropusik listków.

Andrzej zrezygnował z pomocy i postanowił rzucić okiem na efekty remontu. Przesuwał właśnie dłonią po otwartej okiennicy, kiedy tuż za nim stanęła zdyszana Kasia.

- Tomek dzisiaj założył ostatnią. Wypalił na nich takie same motywy, jakie są na tych kolumnach przed wejściem. Podobają się panu, szefie?

- Kasiu, kiedy ty wreszcie zaczniesz mówić do mnie po imieniu? - Andrzej spojrział na nią z naganą. - Mam ci wydać polecenie na piśmie?... Owszem, podobają mi się. Przede wszystkim są solidne... A, właśnie. Wysłałem tu ludzi od alarmów. Założyli?

- Tak. Byli dzisiaj rano - speszona Kasia poczerwieniała na samą myśl, że miałyby tykać człowieka, przed którym wszystko w niej stawało na baczność. - Pokazać?

Andrzej skinął głową i wszedł za nią do środka. Obejrzał dokładnie prawie niewidoczny przycisk umieszczony tuż przy drzwiach w sieni. Z aprobatą powitał wymienione okna, skrzywił się na widok bałaganu na korytarzu i zajrzał do pokoju, w którym miał się znajdować gabinet Kasi. Jasne meble na tle pomalowanych na dyskretną zieleń ścian dawały wrażenie czystości i przytulności.

- Dobierz do tego odpowiednią wykładzinę i zasłony - polecił zadowolony. - Poślę ci Stasia, żeby wszystko wymierzył. Pojedzie z tobą i pomoże przy zakupie. Płać tą kartą, którą ci dałem i, jak zwykle, bierz rachunki... Aha, pomyśl też o jakichś roślinach, żeby to nie sprawiało wrażenia surowego gabinetu. U Ewuni Waliszewskiej możesz zamówić kilka akwarelek na ściany, ożywią ten pokój.

- Tak jest - wyrwało się Kasi służbowo.

Andrzej zerknął na nią spod oka, westchnął i zajrzał do łazienki. Armatura była już wymieniona. Na podłodze położono łątwą do utrzymania w czystości terakotę, ściany pokrywały jasnobłękitne kafelki. Kiwnął głową z aprobatą i przeszedł do środkowej sali.

- Do tego kominka przydałby się prawdziwy fachowiec - zaszemrała Kasia nieśmiało. - Ten kamień zupełnie zmatowiał... I myślałam o takim dużym, ciężkim lustrze, żeby pasowało do wnętrza. I odpowiedni do tego żyran... - zamilkła raptownie.

Rambo przesunął spojrzeniem po zaniedbanym kominku, przeniósł wzrok na dziewczynę i w jego oczach mignęły iskierki rozbawienia.

- Dobrze ci idzie, Kasiu - stwierdził rozweselony. - Zdaje się, że zanim ten remont się skończy, naciągniesz mnie jeszcze niejedną raz na dodatkowe koszty... Dobrze, znajdę kogoś do renowacji i podrucę ci katalog wnętrza. Przejrzyj go dokładnie i spisuj wszystko, co uznasz za warte kupna, a potem to przedyskutujemy. Uprzedzam, że jestem z natury dokładny i uparty. Sprawdzę każdą pozycję, ale nie bierz tego do siebie.

Kasia rozluźniła się wyraźnie i poweselała.

- To ja też będę uparta, jeśli uznam, że mam rację - oznajmiła stanowczo.

Andrzej roześmiał się głośno.

- Bardzo dobrze - pochwalił. - Lubię współpracowników, którzy wiedzą, czego chcą... Na razie niech skończą tu malować, a potem Tomek może się zabrać za podłogę i boazerię. Gdyby były jakieś kłopoty z malarzami albo opóźnienia, daj mi znać. Popchnę ich trochę.

- Nie będzie, szefie - przyrzekła Kasia, żarliwie. - Już mnie słuchają.

- O proszę! - Rambo przyjrzał się jej z uwagą. - A jak tego dokonałaś?

- Ja... Bo... - dziewczyna poczerwieniała z zakłopotania. - Bo ten ich majster... próbował mnie poklepać po... Rz... rzuciłam go na glebę, a potem uprzedziłam, że pracowałam w ochronie i umiem sobie radzić - dokończyła nieszczęśliwym tonem.

Niciński spojrział na drobną postać przed sobą i parsknął śmiechem.

- Nie chwal się Malutkiej, bo cię zmusi, żebyś ją wszystkiego nauczyła - powiedział z rozbawieniem. - Powinienem dać ci podwyżkę... I może to zrobię, jeśli wreszcie się prze-
możesz i zwrócisz się do mnie po imieniu.

Kasia rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, przygryzła usta i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Chodź, zobaczymy, co porabiają te dwa niewiniątka - Andrzej zlitował się nad nią w końcu i wyszli przed budynek. - Rany boskie! - wykrzyknął na widok obu niewiast, które z pracowitym stękanem usiłowały przekopać trawnik. - Nie mogłyście mnie zawołać? Rzućcie natychmiast te łopaty! - spojrział na nie groźnie. - Powieście mi, gdzie chcecie sadzić, a ja zrobię resztę. Inaczej nie skończycie przez miesiąc.

Marta i Oleńka popatrzyły na siebie i z wyraźną ulgą porzuciły męczące zajęcia.

- To jest skała, nie trawnik - wymamrotała z urazą pani doktor. - Mogłeś mnie uprzedzić. Wynajęłabym buldożer.

- Ty nie pytałaś, a ja nie sprawdzałem - odparł uprzejmie jej mąż.

- Zaznaczyłyśmy palikami długość i szerokość każdej rabaty - pośpiesznie wtrąciła Marta, bo przyjaciółka już gotowała się do kłótni. - Ty jesteś silny, to szybko ci pójdzie... Chodź, Oleńka. Kasia nam pokaże te swoje włości od środka.

Pani doktor zapomniała o awanturze i w jej oczach błysnęła prawie dziecinna ciekawość. Rzuciła niedbale łopatę na trawnik i pobiegła do Kasi.

- Można tu gdzieś umyć ręce? Nie chciałabym sprofanować tego zabytku...

Kasia skinęła głową i we trzy weszły do środka.

- Miałaś rację, Katarzyno. Tu jest pięknie - oznajmiła z przekonaniem Marta, stojąc na środku sali. - Patrz, Oleńka, jakie szerokie te parapety. Można na nich zrobić cały ogród... O, to ten sam kamień, co na kominku. Też przydałaby im się renowacja.

- Będę pamiętać - obiecała Kasia, patrząc na nią z wdzięcznością. - Wiedziałam, że coś mi umknęło.

- Na tę ścianę między oknami trzeba będzie dać jakieś duże pnącze - mówiła Marta, wodząc wzrokiem po pokoju. - Wiesz, miałaś rację, Kasiu. Rzeczywiście czuję się, jakby ktoś nas obserwował...

- Co ty pieprzysz, Marta? - Oleńka rozejrzała się nerwowo. - Chcesz, żebyśmy miała w nocy koszmary?

- Przy Andrzeju nie masz szans na żadne koszmary - Marta stała bez ruchu, usiłując sprecyzować jakoś swoje odczucia i nagle wydało się jej, że tuż obok słyszy cichutki śmiech.

- Daj spokój, Oleńka, nie masz się czego bać - uspokoiła przyjaciółkę z roztargnieniem i przeniosła wzrok na Kasię, która tkwiła przy kominku z dziwną miną. - Słyszałaś coś?

- Co słyszała? - Oleńka patrzyła to na jedną, to na drugą z podejrzliwym przestraszaniem. - Przestańcie, bo zacznę wrzeszczeć - zażądała gwałtownie.

- Niczego nie słyszałam - powiedziała Kasia spokojnie, jednocześnie ledwie dostrzegalnie skinąwszy głową.

- Ja bym była ciekawa... Chciałabym wiedzieć... Jakoś nigdy wcześniej nie byłam w tym kościele - oznajmiła nagle Marta. - Chodźcie, obejrzymy go sobie. Jest tak stary, jak ten dworek - zagarnęła obie przyjaciółki ku wyjściu.

- Obejrzyj koniecznie - warknęła Oleńka, wychodząc pośpiesznie. - Może mają tam egzorcystę. Wybiłby ci z głowy te głupie pomysły...

- Byłam tam tylko parę razy na majówce, bo mam bliżej do tego dużego - powiedziała jednocześnie Kasia. - Chodź z nami, Oleńka. Spodoba ci się. Jest taki jasny.

Widok męża, który pozbył się koszuli, wieszając ją na jakimś krzaku i zapamiętałe walczył z opornym trawnikiem, złagodził trochę złość Oleńki. Potulnie dała się prowadzić ku stojącemu na wzniesieniu obok - kościołowi.

- Andrzej, idziemy obejrzyć kościół - zapowiedziała radośnie Marta.

- Tylko pilnuj tam Olinki, żeby nie poturbowała któregoś księdza - zaśmiał się Rambo.

Oleńka prychnęła pogardliwie i z zadartą dumnie głową, nie zaszczyciwszy już męża ani jednym spojrzeniem, zaczęła iść pod górę wąskim chodniczkiem.

Nie miały szczęścia. Kościół był zamknięty na glucho. Spojrzały na siebie rozczarowane i nagle Marta zaproponowała:

- Skoro już tu weszliśmy, to obejrzymy przynajmniej cmentarz.

- Zwariowałaś? - zachnęła się Oleńka. - Co ja jestem? Hiena cmentarna?

- Nie chcę, żebyś rabowała, tylko żebyś zobaczyła - stwierdziła Marta z naciskiem. - Lubię chodzić po cmentarzach. Są takie ciche. Tu można sobie wszystko spokojnie przemyśleć. Człowiek nie musi się donikąd śpieszyć...

- Ten, co tu już leży, z pewnością nie - mruknęła nieprzejednana Oleńka. - Zwracam ci uwagę, że ja jestem jeszcze żywa.

- Ale tu jest naprawdę pięknie, Oleńka - Kasia zachwycona przesuwiała oczami po nagrobkach. - Zobacz, jakie stare te drzewa...

- Nie marudź - Marta energicznie pociągnęła opierającą się panią doktor za ramię. - Zobacz, jesteśmy w środku miasta, a jaka tu cisza na tej górze.

- Bo nieboszczycy ożywają się podobno o północy... Dlaczego ty zawsze musisz wypróbować te swoje dzikie pomysły na mnie? - mamrotała gniewnie Oleńka, drepcząc wąską alejką. - Och! - stanęła nagle jak wryta. - Srebrzysty świerk! Patrzcie, jaki piękny! A tam modrzew! Ale gruby ten pień!

- Mówiłam - mruknęła z satysfakcją Marta. - Przycisz się trochę, bo ktoś nas w końcu wyprosi.

- Kto? Ksiądz czy tutejsi lokatorzy? - prychnęła Oleńka, ale posłusznie zniżyła głos. - Na cmentarzu w Urzędowie jest dużo drzew, ale takich nie widziałam...

Zamilkły wszystkie. Gdzieś z dołu docierał czasem stłumiony ryk przejeżdżającego TIR-a, pośród drzew odzywały się pojedyncze głosy ptaków, a z wysokiej trawy, rosnącej pod samym murem, dochodziło granie świerszczy. Oleńka szła, pasąc oczy wszystkimi odzieniami zieleni. Marta i Kasia w skupieniu studiowały napisy na pomnikach. Nagle przestało im się śpieszyć. Powolutku przemierzały alejki, delektując się przyjaznym spokojem tego miejsca. Delikatny, czerwcowy wietrzyk poruszał leniwie liście drzew i szeleścił kępami ozdobnych traw posadzonych przez żywych dla pamięci tych, którzy już odeszli.

Oleńka doznała wrażenia, że spokój tego miejsca wnika w nią samą. Pomyślała o Andrzeju, dzieciach i ojcu. Świadomość swojego własnego, osobistego szczęścia prawie pozbawiła ją tchu. Może rzeczywiście człowiek powinien od czasu do czasu popatrzeć na tę drugą stronę, żeby zrozumieć, ile mu darowano? - przemknęło jej przez głowę.

Marta miała dziwne uczucie, że cmentarz każdą rośliną, literą, nagrobkiem opowiada jej swoją historię i jej wyobraźnia zaczęła pracować na pełnych obrotach... Pod tą płytą pochowano młodą dziewczynę. Miała tylko dziewiętnaście lat. Czy dowiedziała się przed śmiercią, jakim cudem jest miłość? Kto ją oplakiwał? Jakie marzenia przerwała jej śmierć?... A tu, pro-

szę. Co za niesprawiedliwa rozrzutność losu. Staruszek miał dziewięćdziesiąt trzy lata. Piękny wiek. Odchodził z ulgą czy z żalem? Sympatyczny, starszy pan czy zrzędlawy, złośliwy starzec?

Kasia szła przodem, czytając w skupieniu napisy na pomnikach i nie mogła pozbyć się wrażenia, że przyszła tu w jakimś konkretnym celu. Nie, ot tak, żeby obejrzeć. Raczej, by coś odnaleźć. Nogi same niosły ją w kierunku najstarszej części cmentarza. Kiedy dostrzegła kamienny nagrobek, który wyglądał na bardzo stary i zniszczony, serce jej zabiło. Na wysokim postumencie, mocno nadwerżonym zębem czasu, stał samotny, kamienny wazon. Gorączkowo zaczęła szukać wzrokiem napisu, ale niczego nie znalazła. Grób był doskonale beziemienny. Zamarła, rozczarowana, patrząc na porośniętą mchem płytę.

- O, to może być rzeczywiście stare - tuż za nią stanęła Marta. - Litery zupełnie się zatarty albo może była tabliczka, która przepadła... Zaraz... - podniosła z alejki jakiś patyk i zaczęła delikatnie zdrapywać mech. - Patrz, tu coś jest! - szepnęła podekscytowana.

Kasia bez namysłu poszukała drugiego narzędzia i zaczęła jej pomagać.

- Co wy robicie? Rany boskie, demolujecie jakiś grób! - w głosie Oleńki była zgroza. - Oszalałyście?! Chcecie, żeby was zamknęli?!

- Przestań się miotać i pomóż nam - sapnęła niecierpliwie Marta, pracowicie usuwając mech. - Niczego nie demolujemy. Tu jest coś napisane. Chcemy to przeczytać.

Oleńka przezornie odsunęła się od nagrobka i ze strachem rozejrzała wokół. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo.

- Mogę stać na czatach - oznajmiła stanowczo - ale nie zmusicie mnie, żebym brała udział w dewastacji.

- Patrz, Kasia! To chyba jakaś data! - Marta przesunęła palcem po ledwie widocznych wgłębieniach. - Jedyńska... Piątka... I?... A to?... Zaraz... V... Aha, czekaj... Piętnasty czwarty... to kwiecień... A dalej... Jedyńska... Ósemka... Jedyńska... Piątka... Tysiąc osiemset piętnasty! - uniosła głowę i popatrzyła na przyjaciółki z tryumfem. - Kasia, wyjmij z mojej torebki notes i długopis. Trzeba to zapisać... Masz? To pisz, podyktuję ci jeszcze raz...

Kasia drżącą ręką zapisywała posłusznie kolejne cyfry, ale nie mogła pozbyć się rozczarowania.

- Co nam to da? - zapytała z goryczą. - I tak nie wiemy, kto to. Nie ma śladu po nazwisku. Jak je poznamy?

- A musicie? - wtrąciła zgryźliwie Oleńka. - Chcecie napisać dzieło historyczne?

- To chyba data śmierci - powiedziała Marta, nie zwracając na nią uwagi - bo z przodu był krzyż, sądząc po tych wgłębieniach. Może zachowały się księgi parafialne. Tam trzeba poszukać.

- Włamiecie się do kościoła? - spytała Oleńka z przekąsem.

- Nie - Marta uśmiechnęła się rozbijająco. - Zaprzyjaźnimy się z którymś księdzem. Ale to nie dziś, bo czekają na nas roślinki... Dobra, dziewczyny. Uprzątnijmy ten mech ze ścieżki i wracajmy. Później się zastanowimy, co dalej...

Kiedy wyszły z kościelnego dziedzińca, ku swemu zaskoczeniu, zobaczyły obok rovera Nicińskiego samochód Dorosza. Obaj odstawiali właśnie łopaty pod jedną z sosen, rozmawiając o czymś z ożywieniem.

- Marek! Co ty tu robisz? - Kasia zrobiła wielkie oczy.

- Ja wiem! - Marta podniosła rękę jak pilna uczennica. - Andrzej chciał się sklonować, żeby go było więcej do tej katorzniczej roboty, ale mu nie wyszło i zrobił się Marek.

Kasia zachichotała na widok wścieklej miny Dorosza, a Oleńka rozejrzała się niecierpliwie i po namyśle usiadła na schodku przy kolumnie.

- To są wariatki - oznajmiła stanowczo, patrząc na obie dziewczyny spode łba. - Ja się ich boję. Zaciągnęły mnie na cmentarz.

- Miałyście przecież obejrzeć kościół? - zdziwił się Andrzej, wyciągając z samochodu butelkę mineralnej. - Napijesz się, redaktorze?

- Kościół był zamknięty - wyjaśniła Marta i pokiwała energicznie na przyjaciółkę. - Rusz się, Oleńka. Jazda. Ja bym chciała pomieszkać w domu od czasu do czasu, zanim Michał zapomni, jak wyglądam... No, rusz się! Sadzimy!

Pani doktor zapomniała natychmiast o pretensjach i rażno poderwała się ze schodków. Kasia z zainteresowaniem przyglądała się, jak obie - kłócąc się zawzięcie - rozdzielają między sobą sadzonki.

- Pod tą sosną jest twój teren, tutaj mój - Marta wyprostowała się w końcu i rzuciła przyjaciółce ostrzegawcze spojrzenie. - Uprzedzam, że posadzę wszystko według swojego gustu i nie próbuj się wtrącać...

- Znowu wszędzie naćkasz nasturcji! - rozzłościła się Oleńka. - I będzie waliło po oczach!

- Odczep się. Lubię nasturcje - mruknęła Marta. - Ja ci nie wypominam, że twoje rabaty wyglądają jak zleżały nieboszczyk.

Oleńka zaniemówiła z obrazy, posyłając jej złe spojrzenie.

- Co masz na myśli? - zapytał zaintrygowany Dorosz, bo Kasia patrzyła na nie przestraszona, a Rambo dusił się ze śmiechu.

- Bladozielone i bez wyrazu... Dobra, dosyć tego. Później będziemy się bić. Do roboty, Oleńka.

Obie równocześnie opadły na kolana pośrodku trawnika i w milczeniu zaczęły roztawiać sadzonki na wybranych miejscach. Wreszcie sięgnęły po motyczki, by je posadzić.

Niciński oparł się o samochód i z rozbawieniem obserwował ich zaciętą rywalizację. Dobrze wiedział, że obydwie uwielbiają te kłótnie tak samo, jak swoje towarzystwo.

- Długo tu jeszcze będziesz? - zapytał Marek, siadając na schodku obok Kasi. - Mogę cię podrzucić do domu.

- Stąd mam zaledwie parę kroków - dziewczyna wystawiła twarz do słońca i przymknęła oczy. - Co tu właściwie robisz? Mówiłeś, że ostatnio jesteś bardzo zajęty.

- Przejeżdżałem - wyjaśnił kłamliwie Dorosz. Milczał przez chwilę, wreszcie zebrał się w sobie i z determinacją zapytał: - Co robisz w niedzielę? Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać do tej Kozłówki...

Kasia wyprostowała się gwałtownie i spojrzała na niego badawczo. Wyglądał, jakby miał szczerą ochotę cofnąć propozycję, a jednocześnie emanowało z niego pełne napięcia oczekiwanie. Nieśmiała nadzieja w jej sercu pisnęła i znikła. Poczowała, że ma dosyć tej emocjonalnej huśtawki.

- Nie musisz się tak wysilać - powiedziała sucho. - Wiem, że jesteś zajęty. Dziękuję za dobre chęci, ale nie lubię przymusu... Ustalmy jedno, Marek: nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań i ja naprawdę niczego od ciebie nie oczekuję. Przemyslałam sobie wszystko. Nie pasujemy do siebie. Ciebie interesuje tylko twoja praca. Rozumiem to, ja też lubię swoją. Ale ty potrzebujesz dziewczyny, która zawsze będzie gotowa na twoje zawołanie. Masz zwyczaj dzwonić w ostatniej chwili i narzucać swoje plany, nie pytając mnie o zdanie. Nie chcę tak - spojrzała mu prosto w oczy. - Ja nie żyję w próżni, Marek. Mam swoje zobowiązania i lubię myśleć, że potrafię ich dotrzymać... Bardzo ci dziękuję za tę propozycję, ale naprawdę nie chciałabym cię wykorzystywać.

- Chcesz powiedzieć, że masz mnie dość? - wykrztusił ogłuszony Dorosz, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Nie - odparła Kasia spokojnie. - Chcę powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale świat mi się nie zawali, jeśli zostaniemy po prostu przyjaciółmi. Wiem, że nie planujesz na razie zmiany stanu cywilnego, więc czasem chętnie ci posłużę za parasol ochronny pod warunkiem, że uprzedzisz mnie o tym odpowiednio wcześniej,

a nie w ostatniej chwili... Nie powiedziałam chyba nic obraźliwego? - dodała, widząc jego minę.

- Nie. Przynajmniej wiem, na czym stoję - mruknął Marek, czując się, jakby właśnie spadła mu na głowę sporej wielkości cegła. - No, dobra. Skoro mówisz, że nie potrzebujesz szofera, to zabieram się stąd - podniósł się sztywno nie patrząc jej w oczy, powiedział cicho: - Trzymaj się, Króliczku.

Andrzej ze zdziwieniem przyglądał się, jak Dorosz, nie żegnając się z nikim, wsiada do samochodu i odjeżdża z piskiem opon. Pokręcił głową w zadumie, przeniósł wzrok na Kasię, która z lekkim smutkiem, ale i czytelną ulgą śledziła odjeżdżającego Marka i, mimo woli, spojrzał pytająco na Martę. Przerwała na chwilę pracę. Zmarszczyła gniewnie brwi, obejrzała się na Kasię, a potem nagle uśmiechnęła się, jakby coś zrozumiała i w jej oczach pojawił się ten szelmowski błysk, na widok którego Michał już zacząłby się obawiać o spokój ducha swego kolegi.

Była czerwcową niedzielą. Z nieba lał się żar, ale najwyraźniej nie przeszkadzało to kraśniczanom, którzy szczelnie wypełnili miejski stadion w poszukiwaniu rozrywki. A tej było dość dla wszystkich. Odbywały się Dni Kraśnika. Za kawiarnią Nicińskiego zmontowano estradę, z której dochodził łomot ulubionej muzyki młodego pokolenia. Ten łomot zlewał się z radosną twórczością zwaną popularnie piosenką biesiadną, dobywającą się z głośników ulokowanych w prowizorycznych ogródkach piwnych, rozstawionych gęsto wokół stadionu. Pomędzy nimi tkwiły gdzieś budki z prażoną kukurydzą, sprzedawcy różnej maści baloników i stoiska, gdzie można było zaspokoić głód frytkami i porcjami kielbasek z grilla. W rogu stadionu, na murawie stała nadmuchiwana zjeżdżalnia, na której kłębiły się tłumy rozkrzyczanych, piszczących dzieciaków. Pośród obserwujących swoje pociechy rodziców, znajdowała się zbита grupka skupiona wokół wózka, w którym podrygiwała mała Nela, wymachując energicznie trzymanym w rączce czerwonym balonikiem.

- Siedź spokojnie, bo wypadniesz - skarciła ją Marta.

- Przyganiał kocioł garnkowi - zaśmiała się Nika, wypatrując jednocześnie swojej najmłodszej latorośli. - Nie widzę ich, Radek.

- Basia i Bartek ich pilnują - uspokoił ją mąż. - O, widzisz, już zjeżdżają... Zaraz stąd pójdziemy. Za głośno tu, jak na moją wytrzymałość... No, proszę. Nasza Zosia zdobyła nowego opiekuna - uśmiechnął się, widząc jak Aleks troskliwie przytula do siebie piszczącą ze strachu ich prawie trzyletnią córeczkę.

Po chwili dotarli do nich znudzone Be-Be popychające przed sobą dwójkę maluchów.

- Pić nam się chce! - oznajmiły jednocześnie. - Tato, daj na colę!

- Pilnowałem Zosi, ciociu - pochwalił się Aleks. - Ona się bała.

- Zauważyłam. Bardzo ci dziękuję, mój drogi - Nika z powagą skinęła głową.

- Podejźmy razem - powiedział równocześnie Radek, rozglądając się wokół. - Za dużo tu pijanych. Kupicie sobie, co tam chcecie i wynosimy się stąd. Już lepiej posiedzieć w parku.

- Albo popływać - podsunęły Be-Be z wyraźną nadzieją.

- Rozumiem. Nudzicie się i wolicie iść do domu. Szczerze mówiąc, ja też. Nie lubię takich spędów.

- To wychodźcie powoli i zaczekajcie za bramą, a ja pójdę z Be-Be - zaproponowała Kasia, którą Marta zmusiła do spędzenia niedzieli w towarzystwie przyjaciół.

Radek zawahał się na moment, ale w końcu skinął głową. Michał musiał jeszcze wytłumaczyć synowi, że nie puści go z ciocią, bo Zosia też będzie chciała pójść z nimi, a tłum jest zbyt duży, by ryzykować, że ktoś niechcący zrobi jej krzywdę. Aleks ustąpił, ale mina mu mocno zrzędła i Kasia, wiedzona odruchem serca, obiecała, że kupi mu to, na co miałby ochotę. Całkowicie pocieszony, wziął za rękę małą Zosię i razem z rodzicami ruszył do wyjścia.

Marek z ulgą przekazał prowadzenie kolejnej części koncertu koledze i zszedł z estrady. Otarł pot z czoła, rozpiął koszulę, po drodze złapał butelkę mineralnej ze stojącej przy schodach zgrzewki i napił się wreszcie, bo zaschło mu w gardle od przekrzykiwania wrzeszczącej (czytaj: reagującej spontanicznie) młodzieży. Pracował od dziesiątej, a była już piętnasta. Skrzywił się, bo napój był obrzydliwie ciepły i pomyślał, że z przyjemnością napiłby się w „Rambo” lodowato zimnego piwa. Miał wreszcie wolne, mógł sobie na to pozwolić. Zanim jednak ukoi pragnienie, zajrzy na stadion. Michał wspominał, że wybierają się z Wojnarami na rodzinny spacer. Zamierzał spotkać się z nimi - przypadkiem, oczywiście - i dyplomatycznie wypytać, co się dzieje z Kasią. Ambicja nie pozwalała mu na osobisty kontakt, ale przecież, gdyby okazało się, że dziewczyna ma jakieś kłopoty, to jako stary przyjaciel zawsze mógł jej pomóc.

Nie zauważył stojących przy głównym wejściu przyjaciół, bo zasłaniała ich skutecznie grupka wyrosniętych rozgadanych, gestykujących nastolatków. Wszedł na stadion i rozglądał się bacznie, przepychając się wśród tłumu. Gdzieś tam widać było spoconych umundurowanych strażników miejskich i Marek pomyślał, że szczerze im współczuje.

Już miał dać za wygraną, gdy usłyszał krzyk i odruchowo obejrzał się w kierunku, z którego dochodził. Jakaś kobieta wrzeszczała wniebogłosy, pokazując palcem przed siebie. Wszyscy gapili się na nią, wyraźnie nie mając pojęcia, co się stało. I w tym momencie dojrzał Kasię. Stała pośrodku tłumu, rozglądając się czujnie, odwróciła się na chwilę, powiedziała coś do kogoś, kogo nie widział i, jak błyskawica, śmignęła przed siebie. Zanim zdążył zrozumieć, co się dzieje, dopadła dwóch wyrostków. Powiedziała coś, co najwyraźniej nie zrobiło na nich żadnego wrażenia, bo obaj wzruszyli ramionami i przyśpieszyli kroku. Kasia nie czekała. Złapała obu za koszule i znowu coś powiedziała. Jeden zamachnął się w bardzo jednoznacznych zamiarach i Marek, któremu serce na sekundę zamarło z obawy, zobaczył zaskoczony, jak dziewczyna błyskawicznie odskakuje, a jej zgrabna noga zatacza łuk. Zanim ktokolwiek zdążył zrozumieć, co się stało, obaj młodzieńcy leżeli na trawie, a Kasia klęczała nad nimi, trzymając ich ręce w silnym uchwycie. Wrzeszcząca kobieta dopadła do nieszczęsnych delikwentów i zaczęła ich serdecznie okładać plastikową butelką z napojem. Dorosz próbował przepchnąć się do Kasi, ale wokół natychmiast zrobiło się zbiegowisko, które zwróciło wreszcie uwagę stróżów porządku. Postanowił iść za nimi, bo skutecznie torowali sobie drogę.

- Wujek! - poczuł, że ktoś szarpie go za koszulę z tyłu. Obejrzał się niecierpliwie i zobaczył starsze dzieciaki Wojnarów.

- Co wy tu robicie? Gdzie rodzice?

- Stoją za bramą. Byliśmy z ciotką Kasią - wyjaśnił Bartek i jego błękitne oczy błysnęły uwielbieniem. - Widziałeś? Ale ich załatwiła!

Marek złapał oboje za ręce i w końcu udało mu się przepchnąć do przodu. Strażnicy z trudem odsunęli rozszalałą kobietę i skuwali właśnie obu delikwentów, którzy awanturowali się głośno, rzucając Kasi wściekłe spojrzenia.

- Spokój! - powiedział groźnie jeden ze stróżów porządku. - Zamknij dziób, Czaja. Chcesz mi wmówić, że napadła na ciebie, bo jej się twoja śliczna buzia nie spodobała? Zobaczmy... - zapuścił rękę do kieszeni wyrostka. - No, no... - rozłożył wyciągnięty portfel i z uwagą przyjrzał się zdjęciom, które w nim były. - Rodzina ci się jakby zmieniła...

- Panie! To moje! - wrzasnęła kobieta. - Popchnęli mnie i ukradli!

- No i co na to powiesz, Czaja?

- Znalazłem - burknął nieprzyjaźnie młodzieniec. - Chciałem poszukać właściciela, a wtedy ona - wskazał wymownym ruchem brody stojącą obok Kasię - rzuciła mnie na glebę. Naruszyła moją... tego... nietykalność osobistą.

- Chce pani złożyć skargę? - strażnik odwrócił się do poszkodowanej kobiety.

- A po co? Panie, ja tylko chcę mój portfel! - zaprotestowała płaczliwie.

- OK - oddał jej portmonetkę i przyglądał się, jak nerwowo przelicza pieniądze. - Wszystko jest? To w porządku. Może pani iść...

- A my? - szarpnął się drugi zatrzymany.

- A wy chwilowo zmienicie lokal. Zawieziemy was w spokojniejsze miejsce - obejrzał się na stojącą spokojnie dziewczynę. - Dzięki, Kaśka. Powinnaś pracować z nami. Na szkoleniu byłaś najlepsza.

- Ty... - Czaja spojrział na nią z groźbą. - Ja cię jeszcze dorwę. Pożałujesz...

- Nie kłap dziobem na darmo - usadził go strażnik. - Ona ma czarny pas w karate. Ciesz się, że możesz chodzić... Co teraz robisz? - zwrócił się do Kasi. - Przydałabyś się w straży.

- Pracuję dla Rambo - uśmiechnęła się dziewczyna. - Lepiej płaci. I robota lżejsza.

- Słyszałem - strażnik westchnął. - Masz farta, Kaśka... Co was tak pogięło? - zdziwił się, widząc, że obaj zatrzymani skulili się nagle i spojrzeli na dziewczynę ze strachem. - A, jasne - uśmiechnął się szeroko. - Zadarliście z Rambo, synkowie. On nie lubi, jak ktoś grozi jego pracownikom... No, to chyba macie trochę przechlapane...

- T... to były tylko takie żarty - wystękał Czaja. - Nerwy mi puściły...

- Powinieneś się leczyć - zakpił strażnik i popchnął go przed sobą. - Dobra, idziemy. Cześć, Kaśka. Trzymaj się.

Kasia rozejrzała się wokół i dostrzegła wbite w siebie, zachwycone spojrzenia Be-Be. Pomiędzy dziećmi stał Marek i patrzył na nią z takim niepokojem, że zrobiło się jej go żal.

- Nic mi nie jest - uspokoiła go pośpiesznie i nagle struchlała. - O, rany! Czekają tam na nas! Chodźcie, Be-Be. Robimy te zakupy i wynosimy się stąd.

- Moment! - zaprotestował Marek. - Idę z wami! Szukałem właśnie Michała...

Dzieci, ponaglone przez Kasię, szybko dokonały zakupów i wreszcie ruszyli do wyjścia.

- Było ich dwóch. Mogli ci zrobić krzywdę - powiedział nagle Marek ze złością.

- Oni? - dziewczyna spojrziała na niego ze zdziwieniem. - Daj spokój. To gnojki. Nie mają pojęcia o prawdziwej walce.

- No, właśnie! Dlatego mogą być niebezpieczni! - warknął Dorosz. - A gdyby mieli noże?

- To mieliby większe kłopoty, niż mają - odparła Kasia spokojnie i zamachała ręką, bo dojrzała przyjaciół. - O, kurczę... - stanęła, jak wryta, patrząc na swoją bluzkę. - Oj, guzik mi się urwał...

Spod rozchylonej na piersiach bluzki wyglądał zachęcająco biały brzeżek koronkowego stanika. Marek spojrział i ciśnienie podskoczyło mu gwałtownie. Widocznie coś musiało odbić

się w jego oczach, bo Kasia poczerwieniała, niezdarnie zasłoniła się ręką i pośpiesznie wyśfrowała do przodu.

- Co tak długo? - Radek wymownie spojrział na zegarek. - Cały stadion stał w kolejce?

- Tato! Ale ciocia jest żyłeta! - Bartka wyraźnie roznosił zachwyty. - Położyła dwóch bandziorów! Straż ich zabrała! A ludzie tylko się gapili! A ona ciach! nogą i już!

- Zaraz! Po kolei! Co się stało, Kasiu? - Marta niespokojnie zlustrowała wzrokiem przyjaciółkę.

Zanim dziewczyna zdążyła się odezwać, Basia zdała dokładną relację z całego zajścia i Nika z Martą rzuciły się, by namacalnie sprawdzić, czy Kasia nie doznała żadnego uszczerbku na zdrowiu.

- Czemu nic nie mówisz? Jesteś w szoku? - wypytywała przejęta Weronika.

Kasia straciła cierpliwość. Te upiorne dzieci nie dawały jej dojść do słowa, przyjaciółki zachowywały się, jakby im rozum odjęło, a ten cholerny Marek stał jak słup i gapił się na nią jak na kosmitkę.

- Nie jestem w szoku! - wrzasnęła zdesperowana. - Jestem zła! Guzik mi się urwał! O! Tu!

Na moment cała gromadka zamarła. Stali jak zaczarowani, patrząc na dziewczynę, jakby nagle wyrosły jej rogi. Pierwszy nie wytrzymał Michał. Zaraz potem parsknęła Marta, a za nią pozostali. Nawet dzieciaki zwiły się ze śmiechu. Jeden tylko Dorosz nie brał udziału w ogólnej wesołości, gapiąc się na rozzłoszczoną Kasię, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. W głowie miał totalny chaos, z którego na pierwszy plan wybijała pretensja, nie wiadomo, o co i do kogo. Jakże ona ma zielone te oczy - przemknęło przez jego dziwnie zamroczony umysł. - Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem? Jak ona to robi, że tak zmieniają odcień? Raz są świetliste, prawie przejrzyste, a raz ciemne i tak głębokie, że można by się w nich utopić... I te włosy... Marta miała rację. Wcale nie są rude, tylko rdzawo-kasztanowe... Niezwykły kolor... Nigdy wcześniej nie widziałem jej w szortach - wzrok Marka przyłgął mimo woli do zgrabnych nóg Kasi. - Jak to możliwe, żeby taka noga mogła kopnąć z taką precyzją? - zastanowił się niemrawo. - I ja uważałem, że ona jest niegroźna? Chyba mi rozum odjęło. Ona jest bardziej niebezpieczna niż cała armia Usamy ibn Ladina... Trzymaj się, stary. Człowiek po to ma inteligencję, żeby unikać niepotrzebnego ryzyka...

Markowa inteligencja widocznie wzięła sobie wolne w tym momencie, bo nie mógł oderwać oczu od rozpiętej bluzki Kasi. Uświadomił sobie nagle, że wcale nie zapomniał, co się pod nią kryje. Przeciwnie. Pamięć mu dopisuje nawet bardziej, niż by chciał.

Pierwsza opanowała się Marta. Objęła dziewczynę w pól i pojednawczo zaproponowała:

- Zajrzymy na chwilę do „Rambo”. Któraś z kelnerek nas poratuje. Na pewno znajdzie się jakaś igła z nitką.

- A co mi to da? - Kasia spojrzała na nią żałośnie. - Przecież zgubiłam ten guzik na stacji. Mam cały przeszukać?

- Niekoniecznie, Kasiu - włączyła się Nika. - Przeszyjemy tymczasowo ten z dołu.

- Zaczekajcie tu na nas - zarządziła Marta. - Albo nie. Przejdźcie pod Dom Kultury i poczekajcie na chodniku przy kiosku. Załatwimy to i zaraz wracamy.

We trzy pośpiesznie rzuciły się w stronę kawiarni. Za nimi dostojnym krokiem udali się Michał i Radek, starając się nie spuszczać z oka rozbrykanych dzieci, a na końcu powłókł się zdezorientowany i rozgoryczony na cały świat Dorosz.

- Marek! Zaczekaj! Odbiło ci? Już nie masz z kim zadzierać? - Lolek złapał go za ramię i wepchnął do montażowni. - Co jest? Od tygodni zachowujesz się, jakby cię wściekła osa ugryzła.

- To już trzecie podejście! - wściekł się Dorosz. - I też mu się nie podoba! Ja rozumiem, że lokalna telewizja powinna popierać lokalnych przedsiębiorców, ale jak on to sobie wyobraża? Mam posadzić między szynką, a kaszanką gołe dziewczyny? Wtedy to będzie dobra reklama.? Cholera, ja jestem dobry w sondach i interwencjach, a nie w reklamach. Ma od tego fachowca, co się do mnie przyczepił?

- Daje ci popalić za ten ostatni wywiad - westchnął operator. - Starosta się obraził i opieprzył Bąbla. Teraz on ci oddaje, co sam zebrał. Przetrzymasz. To nie pierwszy raz...

Bąblem wszyscy pracownicy kablówki nazywali swojego szefa. Obdarzony nadmierną tuszą, skłonny do niespodziewanych wybuchów, zawsze musiał mieć pod ręką gazowaną wodę mineralną, której wypijał ogromne ilości.

W obecnym stanie ducha Marek skłonny byłby raczej określić szefa mianem wrzoda na tyłku.

- Mam pomysł - Lolek klepnął go w ramię. - Wytrzymaj jakoś do końca dnia. Posiedź w pokoju i poudawaj, że pracujesz. Masz rację. W sondach jesteś dobry. Jutro pojedziemy do tego cholernego sklepu i zaczniemy wypytywać wychodzących klientów, dlaczego akurat tu robią zakupy. Nie ma byka, żeby coś z tych wypowiedzi nie zmontować. Nakręcę szyld, potem wewnątrz, dodamy te komentarze i po kłopotcie. Bąbel żądał autentyzmu. Dasz mu to na otarcie łez i będziesz miał spokój. On będzie zadowolony, że ci dokopał i że nie okazałeś się geniuszem reklamy, a ty odpracujesz pokutę. No, jak? Pasuje?

- Pasuje - odparł Dorosz po namyśle.

- I dobrze. A zaraz potem napiszesz podanie i weźmiesz tydzień urlopu... Boże, jaki ja będę szczęśliwy przez ten tydzień - rozmarzył się Lolek. - Jak prosię w deszcz...

- Zaraz... Jaki urlop? Kto tak powiedział?

- Ja tak mówię. Mam po dziurki w nosie twoich humorów. Albo ty weźmiesz urlop, albo ja wyląduję u psychiatry. Wolałbym to pierwsze.

- Coś się taki delikatny zrobił? - burknął Marek z przekąsem.

- Ja? To nie ja się zrobiłem delikatny, tylko ty u... uciążliwy, powiedzmy. Lubię z tobą pracować, ale wszystko ma swoje granice. Weź ten urlop, Marek, i dobrze go wykorzystaj. Najlepiej wyluzuj się z jakąś panienką. Słyszałem, że w Lublinie jest niezła agencja towarzyska... Chociaż ty chyba jeszcze nie musisz płacić za usługi - zreflektował się Lolek.

Dorosz popatrzył na niego ciężkim wzrokiem i bez słowa ruszył do wyjścia.

- Jak się ma własną kobitkę, to człowiek nie musi się wysilać - rzucił za nim operator.

Dorosz o tyle skorzystał z rady kolegi, że włączył komputer i otworzył jakieś pliki, by sprawiać wrażenie, że ciężko pracuje, ale tak naprawdę nie mógł przestać myśleć o Kasi. Przypomniawszy sobie tamtą niedzielę i złość wybuchła w nim na nowo.

Kiedy szedł z chłopakami przez parking, spotkali wysiadającego z samochodu Rambo. Te cholerne dzieciaki od razu wyklepały mu, jaką to ciocia Kasia jest bohaterką. Niciński wysłuchał spokojnie, zmarszczył brwi i natychmiast zadzwonił do komendanta. Poprosił, by uprzedził obu delikwentów, że wie już o zajściu i w razie, gdyby przyszła im ochota na głupi rewanz, zajmie się nimi osobiście. A gdy dziewczyny wróciły z kawiarni, pogratulował Kasi refleksu i umiejętności. Rozpromieniła się, jakby order dostała. Aż go podrzuciło na tę niesprawiedliwość. To on się o nią martwił jak idiota, a Rambo tylko pochwalił i, proszę, jaki efekt. W dodatku uświadomił sobie, że to od momentu, kiedy zaczęła pracować bezpośrednio z Nicińskim, tak się zmieniła.

Z pamięci wyskoczyła nagle pewna rozmowa z Martą. Na chrzcinach Aleksa zwróciło jego uwagę dziwne zachowanie koleżanek. Odnosił wrażenie, że w towarzystwie Rambo zaczynają świecić własnym światłem. Wystarczyło, że którejs rzucił uśmiech czy słowo, a natychmiast przechodziła dziwną metamorfozę. Głos jej się zmieniał, oczy zaczynały błyszczeć, każdy ruch nabierał zmysłowości. Nie mógł tego zrozumieć. Znał te dziewczyny od lat i dobrze wiedział, że zwykle tak się nie zachowywały. Skomentował to złośliwie w rozmowie z Kasią, ale tylko popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem i skwitowała jego słowa bladym uśmiechem. Nie wytrzymał i dopadł Martę.

- Naprawdę tego nie widzisz? - zdziwiła się szczerze. - No, może rzeczywiście... Ja zupełnie nie rozumiem, na jakiej podstawie wy twierdzicie, że jakaś kobieta jest seksowna...

- I dlatego tak przy nim głupieją? - przerwał jej Marek z niedowierzaniem. - Bo uważają, że jest seksowny? Przecież on nawet z nimi nie flirtuje.

- Nie. To nie tak - powiedziała Marta i zamyśliła się na chwilę. - Jak ci to wytłumaczyć... Nie chodzi o jego wygląd czy pieniądze. On ma klasę. Każda kobieta, na którą spojrzy, wie, że patrzy na nią mężczyzna. Ma w sobie to coś, co sprawia, że przy nim każda z nas czuje się kobietą... Gdyby to on był Adamem, jestem pewna, że Ewa miałyby głęboko w nosie węża i jego pokusy - zaśmiała się.

- Naprawdę myślisz, że każda z nich - wskazał wymownym gestem koleżanki - poszła by z nim do łóżka?

- Powiedziałam coś takiego? Nie sprowadzaj wszystkiego do seksu - zniecierpliwiła się Marta. - To tylko wy oceniacie kobiety poprzez ich łóżkowe walory... Chodzi mi o to... My jesteśmy tak zaprogramowane, że każda rozpozna natychmiast mężczyznę z krwi i kości. Zawsze będzie nas pociągała siła i pewność siebie, bo wtedy mamy pretekst, by ulec.

- Ale ty wybrałaś Michała - nie wytrzymał Dorosz.

- Każda z nas kogoś wybrała. No, prawie każda... Idziemy za tym, który nam mówi, że dla niego jesteśmy jedyne - uśmiechnęła się Marta. - Ale to nie znaczy, że nagle tracimy wzrok. Wy prężycie mięśnie na widok byle kociaka, my rozkwitamy, kiedy widzimy takiego Rambo. To niezależne od nas.

- Chyba czegoś nie rozumiem - zastanowił się Marek. - To jak to w końcu jest? Kochacie jednych, a rozkwitacie przy innych?

- Nie. Po prostu ci inni upewniają nas, że jesteśmy jeszcze wiele warte dla tych, których wybrałyśmy... Znasz to: lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie? To właśnie takie lustreczka...

Długo medytował nad tym, co powiedziała Marta, przyglądając się ukradkiem Andrzejowi. Właściwie, dlaczego dziwił się dziewczynom, jeśli sam podziwiał Nicińskiego. Najbardziej chyba za to, że Rambo zawsze sprawiał wrażenie, jakby to on kształtował otoczenie do swoich oczekiwań, a nie odwrotnie. I pewnie tak właśnie było.

Jeśli Marta mówiła takie rzeczy, choć wiadomo było, że Michał jest dla niej najważniejszy, jeśli on sam miał do Nicińskiego szczególny stosunek, to co się dziwić Kasi? Pracowała z nim. Fundacja, którą założył, wyciągnęła z nałogu jej siostrę. Z pewnością był dla niej kimś wyjątkowym. Pytanie, jak bardzo. Bo teraz miał żonę i dzieci i każdy, kto go bliżej znał, wiedział, że rodzina jest dla niego wszystkim. Miał nadzieję, że Kasia o tym pamięta.

Marek poczuł, że znowu ogarnia go złość. To dlatego Kasia dała mu jasno do zrozumienia, że dla niego nie ma już czasu. Nie dorównywał ideałowi. A, może to i dobrze. Przynajmniej nie rąbnęło go tak, jak Maćka po Beacie.

W ogóle go nie rąbnęło. Serce ma w porządku i pod kontrolą... To dlaczego ma ochotę komuś przywalić?

- Marek! - do pokoju wpadł Lolek, odrywając go od ponurych rozmyślań. - Bąbel cię szuka! Spieprzaj stąd, ale już! Powiem, że byłeś umówiony w sprawie programu i musiałeś wyjść... No! Zostaw to i zmywaj się stąd!

Ostatnią rzeczą, na którą Dorosz miał ochotę, była rozmowa z szefem. Pośpiesznie wyłączył komputer, złapał aktówkę, przerzucił przez ramię marynarkę (dyrekcja życzyła sobie, by pracownicy urzędowali w pełnej gali), wyjrzał ostrożnie na korytarz, machnął koledze na pożegnanie i pognął do wyjścia. Z parkingu wyjeżdżał, jakby go diabeł ścigał. Pomyślał, że z przyjemnością zadekuje się w „Rambo”, wypije kieliszek czegoś mocniejszego i poflirtuje z kolejną panienką o nikłym mózdzku i rozsądnych rozmiarach, która chce zrobić karierę w telewizji, po czym - zupełnie niezależnie od swoich zamiarów - skręcił w przeciwną stronę i ani się obejrzał, jak parkował przy dworku.

Przez chwilę siedział nieruchomo w samochodzie, gapiąc się przed siebie i zastanawiając, co mu strzeliło do głowy. No, jak już tu jestem, to nie będę uciekał - uznał w końcu. - Zawsze mogłem wpaść z ciekawości... Albo akurat przejeżdżałem i tak przy okazji... Albo myślę o reportażu na temat Fundacji... Jakaś wymówka się znajdzie...

Niemrawo i z lekkim wewnętrznym oporem wysiadł wreszcie i rozejrzał się wokół. Drzwi i okna pootwierano szeroko, ale nigdzie nie było śladu ani robotników, ani Kasi. Trochę zaniepokojony zajrzał do sieni. Przeciąg niósł zapach świeżego drewna zmieszany z ostrą wonią lakieru. Pomyślał z ulgą, że dziewczyna po prostu próbuje zneutralizować w ten sposób efekty prac remontowych i z ciekawością wszedł do środka, zerkając uważnie pod nogi, bo korytarz pełen był przedmiotów, których przeznaczenia nie silił się nawet zgadywać. Przystanął przy drzwiach środkowej sali i z uznaniem pokiwał głową. Ogromny pokój obity był boazerią, a odnowiona podłoga lśniła świeżo położonym lakierem. Przypomniał sobie jedną z wcześniejszych wizyt i poczuł podziw dla umiejętności Tomka. Nawet jeśli prywatnie zdarzało mu się robić głupoty, nie przeszkadzało mu to znać się na swojej robocie.

Nagle przez otwarte drzwi gabinetu dobiegł go głos Kasi i Dorosz znieruchomiał, przysłuchując się z uwagą i próbując zgadnąć, z kim rozmawia.

- ... już pojechał. Jutro go chyba powitam fanfarami. Jest cudowny! - w głosie Kasi dźwięczał prawdziwy entuzjazm i Marek poczuł nieprzyjemne dżgnięcie gdzieś w środku; nie

próbował nazywać tego uczucia, tylko z napięciem słuchał dalej pewny, że dziewczyna mówi o Nicińskim. - Już nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałam... No, wiem, opowiadałaś mi, ale nie mówiłaś, jaki to fantastyczny fachowiec. Trochę się bałam, bo to ja namówiłam szefa, żeby go zatrudnić, ale... Marta, ta boazeria z sosny wygląda wspaniale! Teraz to już naprawdę będzie Sosnowy Dworek! - Marek odetchnął z ulgą, bo zrozumiał, że Kasia wygłasza te peany na cześć Tomka. - Już prawie przestałam wierzyć, że istnieje ktoś, kto dotrzymuje terminów, a on obiecał, że skończy w ciągu tygodnia i tak zrobił!... Co?... Nie, w kościele nie... - głos Kasi jakby zmatowiał. - Raz próbowałam, ale ksiądz akurat nie miał czasu... Oj, tak! Tak będzie najlepiej. Przy tobie ludzie zawsze się jakoś rozgadują. Może się czegoś dowiemy. Tylko... W tym tygodniu nie mogę - westchnęła. - Nie, nic takiego... Pamiętasz, że ja zawsze latem jeździłam do Włoch?... No, właśnie. A w tym roku nie dam rady i namówiłam babcię. Już kupiłam bilet w obie strony, ale boję się ją narażać na dodatkową podróż naszą komunikacją krajową, a muszę ją dostarczyć na lotnisko i tak się zastanawiam... Nie, no co ty... Marta, dziękuję, ale nie mogę nadużywać cierpliwości Michała. Przecież on pracuje... Nie, naprawdę. Coś wymyślę... Żartujesz? Nigdy w życiu! Już tyle mu zawdzięczam, że nie śmiała-bym... Wiem, że by nie odmówił, zawsze pomaga. Wiesz, że Mirkowi zapłacił za operację matki?... No, wiem, ale... - Kasia ściszyła głos i Marek prawie przestał oddychać z napięcia. - To jest najlepszy człowiek na świecie, ale ma w sobie coś takiego, że ja zawsze czuję się przy nim, jakbym zdawała ważny egzamin... Nie śmiej się. Wiesz, że kazał mi mówić do siebie po imieniu? Nie potrafię... Nie, pogadam ze Stasiem. Albo z Arnim. Oni mnie lubią, a szef na pewno zgodzi się wypożyczyć mi któregoś na jeden dzień... Dobrze, obiecuję, że w ostateczności zadzwonię do ciebie... Dzięki za telefon. Cześć.

W pokoju zapadła cisza, więc Dorosz uznał, że czas najwyższy ujawnić swoją obecność. Puknął w uchylone drzwi i wszedł do środka. Kasia siedziała za biurkiem, popatrując przed siebie zadumanym wzrokiem, ale na widok gościa otworzyła szeroko oczy i niespokojnie spojrzała na zegarek.

- Co ty tu robisz? Nie powinieneś być w pracy?

- Powinienem - przyznał Dorosz. - Ale wolałem się ewakuować - przysiadł na krześle naprzeciwko i opowiedział o swoich dzisiejszych perypetiach.

Słuchała z uwagą, a kiedy skończył, parsknęła śmiechem. Marek popatrzył na nią z urazą, ale po chwili wyobraził sobie swoją reakcję na taką opowieść i złość mu przeszła.

- No, fakt. Przegiąłem trochę z tym wywiadem - powiedział samokrytycznie.

- Zawsze przeginasz - prychnęła Kasia. - Na wszelki wypadek z góry zakładasz, że twój rozmówca będzie się starał ukryć coś przed tobą...

- Od kiedy to tak pokochałaś starostę? - przerwał jej, rozdrażniony.

- Nie pokochałam, tylko mówię, jak jest - odparła Kasia spokojnie. - Jeśli chcesz pokazać ludziom, jaki naprawdę jest twój rozmówca, zadawaj właściwe pytania i pozwól mu mówić. Telewidzowie myślą, Marek. Sami potrafią sobie wyciągnąć wnioski. To małe miasteczko. Tu się nie sprawdzi Olejnik i Wojewódzki.

Dorosz zastanowił się przez chwilę i po namyśle przyznał jej rację. Gdyby zastosował się do tych wskazówek, byłby kryty wóbec szefa. Niektórzy ludzie błądzą się sami, nawet nie trzeba im tego ułatwiać.

- Niedługo wychodzę - Kasia wstała, przerywając jego zadumę. - Muszę pozamykać okiennice...

- Podrzucę cię do domu - zaofiarował się skwapliwie. - A... Wiesz... Przepraszam, ale wszedłem, kiedy rozmawiałaś z Martą... Kiedy masz ten wyjazd?

- Marek, nawet nie brałam pod uwagę...

- Kiedy? - powtórzył Dorosz z uporem.

- Pojutrze... Daj spokój, wiem, że pracujesz - Kasia obserwowała go ukradkiem pewna, że jak zwykle uczepli się tej wymówki i cofnie swoją propozycję.

- Nie pracuję - oświadczył tryumfalnie Marek, któremu nagle zaczął się podobać pomysł Lolka. - Jutro kończę tę cholerną reklamę i biorę tydzień urlopu. Mogę was zawieźć... A w niedzielę moglibyśmy skoczyć do Kozłówek, jeśli dalej masz na to ochotę - popatrzył na nią, pytająco.

Kasia przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu, usiłując zrozumieć, co mu się nagle stało, ale nic jej nie przychodziło do głowy i w końcu zapytała niepewnie:

- Dlaczego to robisz?

Dorosz zdusił myśl, że głównie dlatego, by do kompletu zasług Rambo nie doszła jeszcze ta jedna, uśmiechnął się anielsko i odparł:

- Bo ty masz problem, a ja mogę go to związać.

- Ale ja... Tu chodzi o moją babcie, nie o mnie - powiedziała wolno Kasia.

- No, wiem. Trzeba ją dostarczyć na lotnisko i dopilnować, żeby poleciała do Włoch... Zaraz... - zrobił przestraszona minę. - Chcesz powiedzieć, że twoja babcia... Ona jest jakoś niebezpieczna dla kierowcy? - Kasia prychnęła, rozśmieszona. - Nie? - odetchnął z udawaną ulgą. - To czemu mnie straszysz? Nie wiesz, że dziennikarze są bardziej wrażliwi na stresy niż reszta ludzkości?

- Przepraszam, nie wiedziałam - dziewczyna roześmiała się w głos. - Przemyślę to jeszcze raz, ale najpierw pozamykam tu wszystko.

- Pomogę ci - poderwał się ochoczo i ruszył za nią.

- *Mon Dieu*, co za odór - poskarżyła się Marianna, marszcząc nos. - Nie do wytrzymania.

- Chodźmy lepiej do pokoju tej rudowłosej *mademoiselle* - zaproponowała Zuzanna, rozglądając się bystro po sali. - Musisz jednak przyznać, moja droga, że wygląda to o niebo lepiej niż kiedyś. Nie mogę doczekać się zwierciadła...

Po chwili obie siostry znalazły się w gabinecie Kasi. Marianna z gracją spoczęła na krześle i skrzywiła się z niesmakiem.

- Jakie to niewygodne. Jak można na tym siedzieć? Oddałabym wiele za miękki fotel albo szeslong - rozmarzyła się nagle. - Pamiętasz tę francuską reklamierę, którą papa dla nas sprowadził?

- Pamiętam - przytaknęła sucho Zuzanna i w jej oczach zamigotały złośliwe iskierki. - Franciszek zdołał skorzystać z niej zaledwie dwa razy, zanim przepadł w wojennej zawierusze. Efekty tego pozostały, niestety, z nami. Miał szczęście, że zginął, nim wpadł w ręce papy.

- Bo to wszystko przez niego! - wybuchnęła nagle Marianna.

- Przez Franciszka? Ja bym powiedziała, że przez naszą ciekawość... Grzeszną, jak mawiała ciotka Teodora.

- Przez papę! Miałyśmy posag! Każdy epuzer wzięłyby nas z zamkniętymi oczami! Cza-sy były niespokojne, nikt by się nie dziwił, że wychodzimy za mąż w pośpiechu!

- Z zamkniętymi oczami? - Zuzanna prychnęła kpiąco. - Przypominam ci, *ma soeur*, że dzięki Franciszkowi wniosłybyśmy mężom, prócz posagu, cudze potomstwo.

- Posag by im zamknął usta! Księżna Czartoryska też nie była święta, a księciu Adamowi to nie przeszkadzało!

- *Imbécile!* - nie wytrzymała Zuzanna. - Z kim ty się porównujesz? Wiesz, co by było, gdyby papa wydał nas za mąż? Nasi małżonkowie położyliby łapy na naszych posagach, a nas zamknęliby w domu i traktowali jak jawnogrzeznicę! Papa miał lepszy pomysł, tylko mu nie wyszło. To nie jego wina, że ten zakonnik przesadził z medykamentami... Chociaż... - zamyśliła się ponuro. - Wiesz, zawsze podejrzewałam, że on traktował wszystkie kobiety jak zło tego świata. Chyba się za bardzo nie zmartwił, kiedy obie nie wytrzymałyśmy tej kuracji... Ciekawe, co papa powiedział rodzinie...

- Pewnie to samo, co kanonik w czasie egzekwii - burknęła Marianna ze złością. - Że jako pobożne i miłosierne dziewice pielęgnowaliśmy w szpitalu chorą służącą i zgasłyśmy przedwcześnie... Horrible!

- No to przynajmniej odeszłyśmy w glorii... Ciotunię musiała zdziwić ta nasza nagła pobożność - zachichotała Zuzanna i przysiadła za biurkiem, z fascynacją wpatrując się w komputer. - Jak myślisz? Co to może być? W tamtych książkach niczego takiego nie widziałam. Muszę się przyjrzeć, co ta Kasia z tym robi...

- Szkoda, że ma takie pospolite imię - skrzywiła się Marianna.

- Oho, patrycjuszka się znalazła! A ja bym ją wypytała, tylko nie wiem jak. Nie chcę, żeby się przestraszyła.

- Po co ci to? Raz ci się udało przerazić zakonnice, która miała tu zrobić porządek. Tak krzyczała, że ja się przestraszyłam...

- Nie bądź taka delikatna - przerwała jej niecierpliwie Zuzanna i oznajmiła stanowczo: - Chcę się dowiedzieć, jak teraz jest na świecie. I co było po drodze. Z tego, co przeczytałyśmy w leksykonie, niewiele zrozumiałam. Przecież nawet nie wiemy, kto teraz rządzi!

- A po co ci ta wiedza? - zdziwiła się Marianna. - Jeśli uznasz, że źle rządzi, pójdziesz go postraszyć?

Zniecierpliwiona Zuzanna wydała z siebie pogardliwe prychnięcie i tym razem zniknęła pierwsza.

Marta wyszła z łazienki i jeszcze raz zajrzała do pokoju dzieci. Nela, jak zwykle, zdążyła się już rozkopać. Prawdopodobnie przyniosła już tę umiejętność ze sobą w chwili narodzin. Marta nigdy nie mogła pojąć, jak to się dzieje, że dziecko pieczołowicie ulokowane w zawiązanym beciku budzi się do karmienia, leżąc na jego wierzchu. Zupełnie, jakby ktoś uporczywie je wyjmował. Przy czym wiązania pozostawały w stanie nienaruszonym. Później, gdy córeczka sypiała już w łóżeczku, Michał wpadł na pomysł, by doszyć do kołderki tasiemki, które przywiązywali do szczebelków. Nie pomogło. Rano znajdowali Nelę na pościeli podziwającą z pełnym zadowolenia gaworzeniem własne kończyny.

Marta westchnęła, przykryła dziecko, wiedząc, że i tak za chwilę skopie z siebie kołderkę, po czym podeszła do śpiącego na tapczaniku Aleksa. Jak zwykle spał na boku, obejmując ramieniem ulubionego misia. Uspokojona, wysunęła się cichutko z pokoju i poszła do sypialni.

Kiedy czesała włosy przed lustrem, usłyszała narastający szum deszczu. Stała przy szeroko otwartym oknie, wdychając świeże, pachnące ogrodem i wilgocią powietrze. Wsłuchiwała się w melodię deszczu, zapominając o wszystkim.

- Zaglądałem do dzieci - Michał podszedł do zadumanej żony, obejmując ją w pasie. - Nela znowu się rozkopała.

- Widocznie tak lubi... Czujesz, jak pachnie deszcz? Szkoda, że już jestem za stara, żeby sobie pobiegać boso po kałużach - Marta westchnęła.

- Skarbie, ty nigdy nie będziesz za stara - Michał przytulił ją mocniej.

- Znowu podsłuchiwałaś? - prychnęła z dezaprobatą.

- Lubię twoje bajki - zaśmiał się Michał bez cienia skruchy. - Prawie tak, jak Aleks. On jest chyba jedynym dzieckiem w tym mieście, które bez protestów idzie spać. Sam co wieczór czekam, co tym razem przydarzy się kropelce Amelce. Powinnaś to spisać i wydać. Ewunia mogłaby zrobić ilustracje...

- Żartujesz chyba? - Marta gwałtownie obróciła się w jego ramionach. - Miałabym to napisać? Już na drugi dzień zapominam, o czym mówiłam.

- Kupię ci dyktafon - obiecał Michał. - Chodźmy do łóżka, skarbie. Ten deszcz jakoś tak lirycznie mnie nastroił...

Nikę obudził jednostajny szum deszczu. Oprzytomniała szybko, zerwała się z łóżka, wiedząc, że śpiącego Radka nie dobudziłby nawet strzał z armaty, i pobiegła boso do pokoju starszych dzieci. Zamknęła okno, zostawiając tylko uchylony lufcik i zajrzała do Zosi. Córeczka spała spokojnie, tuląc do siebie dużą, uszytą przez matkę szmacianą lalkę. Nika zapatrzyła się na jasną buzię dziecka. Było tak podobne do Radka. Ciemne włosy, oczy, długie, wywinięte rzęsy. Mała spryciara wiedziała, jak wykorzystać swój wdzięk. Z ojcem mogła zrobić wszystko. Kiedy robiła tę swoją kapryśną minkę, miękł jak wosk. Dzięki Bogu, ona sama i teściowa miały dość rozsądku, by najmłodszej Wojnarównie nie przewróciło się w uroczej trzyletniej główce. Ale z Radkiem trzeba będzie jeszcze pogadać na ten temat, zanim rozpuści ją zupełnie.

Westchnęła i wróciła do sypialni. Popatrzyła w zalane deszczem okno i uśmiechnęła się do swoich myśli. Ciekawe, co powiedziałby jej nieżyjący mąż, gdyby mógł ją teraz zobaczyć. Właściwie powinna być mu wdzięczna. Gdyby nie on, nie miałyby Be-Be, nie poznałyby Marty, nie spotkała na swej drodze Radka, nigdy nie dowiedziałyby się, że tak potrafi zmienić

siebie i swoje życie. Dziś już była w stanie zapomnieć o przepłakanych nocach, biedzie i jałństwie Darka.

Z ciepłą wdzięcznością pomyślała o Marcie. Nigdy nie będzie w stanie zwrócić jej długu, który zaciągnęła, ale przynajmniej może pomóc innym kobietom wyrwać się z piekła. Dobrze, że jej była szwagierka Irma zgodziła się pracować w jej fundacji i dobrze, że Andrzej znalazł Kasię. Irma w tej chwili kończyła kurs księgowości, a Kasia ma już praktykę, więc w razie czego będzie mogła jej pomóc.

Nika miała nadzieję, że jej fundacja zmieni życie choć paru kobiet tkwiących w beznadziejnym piekle nieudanego małżeństwa. Przy pomocy Radka opracowała statut i przemyślała dokładnie formy pomocy. Wiedziała z doświadczenia, że pieniężne zapomogi niczego nie zmieniają. Te kobiety musiały mieć zapewnioną konkretną, długofalową pomoc, która postawiłaby je na nogi. Dlatego Rena, siostra Radka, miała służyć poradami prawnymi, a ona sama - pomagać przy znalezieniu pracy. Przydałby się jeszcze psycholog, choć Nika była zdania, że w tym przypadku najlepiej działa Marta. Zawsze umiała intuicyjnie znaleźć odpowiedni klucz do człowieka. No, nic - pomyślała, ziewając. - Zobaczymy, jak to wyjdzie w praktyce. Jeśli uda mi się pomóc choć jednej, to i tak będę szczęśliwa...

W sen Andrzeja wdarł się narastający szum. Trochę trwało, nim oprzytomniał na tyle, by uświadomić sobie, że leje jak z cebra. Przypomniawszy sobie, że w pokoju bliźniąt okno jest szeroko otwarte. Ostrożnie wysunął się z łóżka, by nie budzić Oleńki i poszedł do dzieci.

Malutki, który leżał na dywanie pomiędzy dwoma łóżkami, zastrzygł czujnie uszami na jego widok i warknął cichutko na znak, że czuwa. Andrzej odruchowo kiwnął głową, przytknął okno, popatrzył z czułością na śpiące maluchy i wrócił do sypialni. Przesunął dłonią po parapecie. Suchy. Z tej strony nie zacinało. Nie będzie zamykał, lubił spać przy otwartym oknie. Z przyjemnością wciągnął w płuca świeże, pachnące deszczem powietrze. Poczuli się tak, jakby razem z nim wdychał wszechogarniający spokój. Przypomniawszy sobie, że za kilka dni będzie musiał polecieć do Berlina i skrzywił się lekko. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się, że nie miał ochoty opuszczać domu. Szkoda mu było każdego dnia bez rodziny. Obserwowanie własnych dzieci sprawiało mu nieustającą radość. Z dumą pomyślał, że one nie będą musiały wstydzić się za ojca i zaczynać od zera. Zapewni im wszystko, pomoże zrealizować marzenia, ale nigdy nie dopuści, by stały się takie, jak Rafał, jego tragicznie zmarły brat. Wiedział z własnego doświadczenia, że to, co przychodzi zbyt łatwo, budzi coraz więk-

sze apetyty i wymagania, ale, niestety, nie wobec siebie. Kochać to znaczy również wymagać i tego będzie się trzymał, wychowując swoje dzieci.

Nigdy by nie uwierzył, że kiedyś będzie wdzięczny Malutkiej za to, że odrzuciła jego miłość. A jednak tak było.

Teraz, kiedy miał Olinkę u swego boku, lepiej pojmował różnicę między obiema. Malutka w swojej rodzinie rządziła, jak chciała i wszyscy potulnie podporządkowywali się jej woli, co nie było specjalnie uciążliwe, bo jak do tej pory nie słyszał skarg. On sam chętnie słuchał jej rad i dobrze na tym wychodził. Wszyscy znajomi ze swoimi problemami zwracali się do niej. Była jak kapłanka w swojej małej społeczności. To nie ona była tą, która potrzebowała wsparcia. Spokój i opanowanie Michała pozwalały jej być sobą.

Olinka była inna. Jej świat składał się z dziesiątków małych problemów, na które jedynym antidotum był on, Andrzej. Coś się zepsuło, coś stukło, samochód nawalił, wróciła zła lub zmęczona ze szpitala - wszystko na gorąco przelewała na męża wciąż z tym samym zdziwieniem, że akurat jej się to przydarzyło. I Andrzej chuchał, koił, łagodził wszelkie drobne dolegliwości kolejnego starcia z prozą codzienności. Czasem szczerze go to bawiło, ale jednocześnie miał pewność, że jest żonie potrzebny. Był jej tarczą i ta rola bardzo mu odpowiadała.

- Rambo, dlaczego, do cholery, łazisz nocą po domu? - usłyszał zaspany głos Olinki, która usiadła na łóżku, patrząc na niego nieprzytomnie.

- Już się kładę, czupurze - powiedział uspokajająco. - Zaglądałem do dzieci, bo deszcz pada...

Kasia nie mogła zasnąć. W końcu usiadła na łóżku, oparła ręce na parapecie, brodę na nich i patrzyła na skapaną w deszczu noc, słuchając monotonnego szumu spadających kropli. Zastanawiała się, co nagle wstąpiło w Marka. Tak, jak zapowiedział, podwiózł ją do domu i jeszcze raz obiecał, że pojedzie z nimi na Okęcie. Nie mogła w to uwierzyć tak do końca. Zawodził ją już tyle razy, że postanowiła się zabezpieczyć i pogadać ze Stasiem. Zawsze może się okazać, że Markowi coś wypadnie w ostatniej chwili.

Trochę ją wytrąciło z równowagi to dzisiejsze spotkanie. Na widok Marka zapominała o jego wadach i nabierała nadziei. A przecież była rozsądna. Wiedziała, że Dorosz ma spore powodzenie u kobiet w wieku dowolnym. Sam widok mikrofonu i przyjazny, ciepły uśmiech, który miał opanowany do perfekcji, zjednywały mu płęć przeciwną. Różnorodność fanek najwyraźniej dawała mu satysfakcję i nic nie wskazywało na to, by - jak mawiała Marta - miał

zamiar zarzucić kotwicę. Kasia była zbyt mądra, by liczyć na cud. Jeśli do tej pory nie zrobiła na nim wystarczająco piorunującego wrażenia, to już nie ma na to szans. Fakt, że wylądowała w jego łóżku, też nic dla niego nie znaczył, skoro próbował utrzymać pozory luźnej znajomości... To dlaczego teraz zaczął jej nagle poświęcać tyle czasu?

W głębi duszy Kasia obawiała się, że nie jest to powód do zadowolenia. Zbyt częste przebywanie z Markiem sprawiało, że znowu nabierała idiotycznych nadziei na coś więcej z jego strony. I choć rozsądek podpowiadał, że nie ma na co liczyć, to serce rządziło się własnymi prawami. Nie znosiła tego rozdarcia i bała się rozczarowania. Nie miała ochoty płacić za Markowe frustracje i pretensje do kobiecego rodu.

Poczuła, że zdrętwiała, siedząc tak bez ruchu. Zrezygnowała z dalszych analiz i położyła się wreszcie. Zасыpiając, postanowiła, że potraktuje ten wyjazd jako przyjacielską przysługę, a potem poszuka jakiegoś antidotum na chorobę pod nazwą: Marek Dorosz.

Marek przewracał się z boku na bok, ale w żaden sposób nie mógł zasnąć. W pokoju było duszno. Mimo deszczu otworzył szeroko okno i do środka wpadło wreszcie świeże, nocne powietrze przesycone wilgocią. Od razu poczuł się lepiej. Zapalił papierosa i przysiadł na brzegu łóżka.

Może rzeczywiście istniało coś takiego, jak przeczucia? Bo przecież, gdyby nie spotkał się dzisiaj z Kasią, gdyby nie przyjechał akurat w tym momencie, nie usłyszałby jej rozmowy z Martą i nie miałby pojęcia, że potrzebuje kierowcy. Sama przyznała, że nie miała zamiaru o nic go prosić... No, tak, a Rambo by w końcu poprosiła... Marek poczuł złość, ale zaraz odezwało się jego nie całkiem czyste sumienie. Nie powinien się dziwić. Wycofywał się najczęściej wtedy, kiedy to jej zależało na czymś. No i dlaczego właściwie? Sam przed sobą mógł się przyznać. Bo nie chciał zależeć od jej kaprysów. Bo zbyt polubił jej towarzystwo. Bo bał się, że w końcu zacznie myśleć o niej jak Michał o Marcie. Bo niejedną raz był świadkiem, jak tak zwana miłość dokopuje chłopakom i robi z nich żalosnych pajaców... Co się więc stało, że nagle zmienił zdanie i uznał, że wyjazd z Kasią do Warszawy to dla niego sprawa życia i śmierci? Bo Rambo mógł... Nie, wróć. Nieprawda... jazda, powiedz to sobie szczerze, panie redaktorze... Bo Kasia zaczęła ci się nagle wymykać. I to w chwili, kiedy myślałeś, że zawsze będzie wygodnie pod ręką. Zaczyna się od zmiany pracy, a potem zmienia się wszystko. I nagle z takim samym zainteresowaniem, jak ciebie, mogłaby zacząć słuchać kogoś innego. I ten ktoś inny mógłby, tak, jak ty, zwabić ją do swego łóżka...

Nagle Marek zobaczył tuż przed sobą świetliste oczy Kasi, niemal usłyszał jej głos i poczuł zapach jej włosów, jakby stała obok. Cholera, dlaczego miałbym pozwolić, żeby to wszystko sprzątnął mi sprzed nosa jakiś drań? - pomyślał z irytacją. - Zgoda, nie jestem ideałem, ale ona i tak nie ma gwarancji, że nie trafi na gorszego. Jeśli wcześniej nie przeszkadzały jej moje wady, to może...

Zgasił papierosa, ułożył się wygodnie i długo jeszcze układał plany, które pomogłyby mu pokazać się dziewczynie z lepszej strony, aż wreszcie zmorzył go sen.

Kasia siedziała za biurkiem, wpatrzona służbowo w ekran komputera, na którym już dawno powinien był pojawić się przynajmniej załączek raportu dla szefa na temat stanu robót. Nie mogła się skupić w żaden sposób, bo słuch zajęty miała odgłosami dobiegającymi z sali przyszej świetlicy, a pozostałe zmysły zastrajkowały. Zrobiły to w perfidny sposób i Kasia czuła się z tym bardzo niewygodnie. Usiłowała je jakoś opanować, ale rezultaty były opłakane. Patrzyła na monitor, a widziała park w Kozłówce. Mimo przeciągu w całym budynku woniało przenikliwie lakierem do drewna, a ona czuła zapach wody po goleniu przynależny do Marka. Westchnęła rzewnie, wyprostowała się nagle, potrząsając głową, jakby chciała odpędzić natrętną muchę, i z uporem pochyliła się nad klawiaturą. Napisała parę zdań i umysł znów jej się zaciął. Zerwała się z krzesła i popędziła do łazienki. Pochlapała twarz zimną wodą, powiedziała sobie w duchu, że jest idiotką i wróciła do pracy, starając się ignorować męskie głosy dochodzące z sali kominkowej. Niciński, Arni i Marek zajęci byli wieszaniem ogromnego lustra w ciężkich ramach, które akurat dziś dostarczono.

Kasia z uporem maniaka skupiła się na opisywaniu robót podjętych właśnie w części należącej do fundacji Weroniki. Szło jej nieźle, dopóki nie usłyszała przekleństwa Arniego i śmiechu Dorosza. Nagle ekran komputera zginął jej z oczu. Znów była na lotnisku obejmowana przez babcię pożegnalnym uściskiem i słyszała jej zabarwiony śmiechem głos:

- Niezła rybka, Króliczku. Złap go sobie, zanim się opamięta.

Poderwała wtedy głowę, patrząc na nią z zaskoczeniem i w oczach babci zobaczyła figlarne iskierki. No, tak. Babcia usłyszała Markowego „Króliczka” i od razu wyobraziła sobie Bóg wie co. Nie miała pojęcia, że w życiu pana redaktora nie ma miejsca dla stałej partnerki, choć przez całą drogę do Warszawy Marek starał się usilnie, by sprawiać wrażenie, że jest inaczej. Wypytywał starszą panią o samopoczucie i jej oczekiwania wobec tej podróży, zaśmiewał się z jej opowieści o perypetiach młodszej wnuczki w dzieciństwie, wydawał się szczerze zainteresowany walką całej rodziny o wyciągnięcie Inki z nałogu, w końcu obiecał,

że zaopiekuje się Kasią podczas jej nieobecności. Dziewczyna podejrzliwie przyjęła tę nagłą zmianę frontu, a już w żadnym wypadku nie miała zamiaru poddawać się jego opiece, pamiętając, aż za dobrze, ostatni raz. Postanowiła, że będzie go unikać, zasłaniając się pracą.

Kiedy wrócili do Kraśnika, podziękowała za przysługę, wymówiła się zmęczeniem i z ulgą schroniła się w przytulnym mieszkaniu babci. Marek odjechał bez dyskusji, cmoknąwszy ją przyjacielsko w policzek. Poczuła jednocześnie satysfakcję z powodu swojej sprytniej strategii i rozczarowanie, że tak szybko zrezygnował. Noc spędziła, przewracając się z boku na bok i przekonując samą siebie, że powinna jak najszybciej zapomnieć o Doroszu. Prawie jej się to udało. Prawie, bo następnego dnia o jakiejś nieludzkiej godzinie została wyrwana z łóżka uporczywym dzwonkiem do drzwi. Przerazona, że stało się coś złego, pobiegła jak do pożaru i w progu zobaczyła rzeźkiego jak szczygiełek Marka. Zanim oprzytomniała, kazał jej umyć się, ubrać i zbierać do podróży. Akurat tę niedzielę wybrał sobie na wizytę w Kozłówcach.

W łazienkowym lustrze zobaczyła swoją poszarzałą z niewyspania twarz i rozczochrane włosy. Najpierw struchlała, wyobrażając sobie estetyczne wrażenia Marka, a potem złośliwie pomyślała, że w takim razie zasłużył sobie na to, by poznać drugą stronę jej osobowości. Koniec z grzeczną, układną Kasią. Teraz pokaże panu redaktorowi oschłą, naburmuszoną Katarzynę.

Chyba nie całkiem jej wyszło. W kuchni powitał ją apetyczny zapach jajecznicy na pomidorach przyrządzonej przez samozwańczego opiekuna. Potem przez całą drogę do Kozłówki opowiadał jej o wszystkim, na co warto zwrócić uwagę, nie dostrzegając jej wyniosłej miny, a w czasie całego pobytu na terenie posiadłości okazał się tak miłym i dbającym o jej samopoczucie towarzyszem, że Kasia zupełnie od tego zgłupiała. Przez jej oszołomiony umysł przemknęło, że albo ktoś go zamienił, albo na czymś cholernie mu zależy. Nie, nie na niej, broń Boże. Raczej potrzebuje od niej jakiejś potężnej przysługi i w ten sposób stara się ją zmiękczyć. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to kolejna impreza towarzyska, na której miałyby znowu pełnić rolę jego osobistej gwardii przybocznej. Była tego tak pewna, że gdy po powrocie wprosił się na kawę, czekała z niecierpliwością na moment, w którym wydusi z siebie zaproszenie. Zgodziłaby się. Przysługa za przysługę. A, kto wie, może przy okazji poznałaby kogoś miłego?

Nic z tego. Wypił tę cholerną kawę, podziękował za uroczę towarzystwo, cmoknął w policzek i na odchodne polecił dobrze zamknąć drzwi, jakby była małym dzieckiem. I poszedł sobie. No, pojechał...

A dziś diabli go przynieśli akurat wtedy, gdy szef z Arnim oglądali lustro i postanowił im pomóc... Co on kombinuje? Dlaczego właśnie teraz musiał wziąć ten cholerny urlop?...

Kasia westchnęła boleśnie i z trudem wróciła do rzeczywistości. Spojrzała na ekran, próbując skupić się na pracy. Przeczytała ostatnie zdanie i zamrugła oczami ze zdziwienia. A cóż, na Boga, za bzdury wypisała? Zuzanna? Nie znała żadnej Zuzanny, co jej przyszło do głowy? Wzruszyła ramionami, skasowała ostatni akapit i zaczęła sobie wyliczać w myślach, co jeszcze należałoby ująć w raporcie. Poczula nagły chłód na plecach. Spojrzała na drzwi, pewna, że to przeciąg. Były zamknięte. Wróciła wzrokiem do komputera i zdrętwiała. Pod pracowicie pisanym raportem pojawiały się kolejne litery. Ale to nie ona je pisała... Nie mogąc zrozumieć, co się dzieje, czytała je odruchowo.

jestem Zuzanna - glosiła wiadomość. - ty jesteś kasia chce cie poznać nie musisz się bac

Kasia gapiała się w ekran jak wyjątkowo dumne ciele, a potem zdenerwowała się nagle. Co to za jakiś... Wirus? Haker? Ktoś włamał się do jej komputera? Co to znaczy? Jakim prawem ktoś wchodzi do jej notatek? Zaraz, przecież to niemożliwe... Poczula lekki niepokój, ale zaraz się rozszłościła i postanowiła zdemaskować żartownisia. Przez chwilę jej palce zawisły niepewnie nad klawiaturą, ale w końcu wystukała:

Kim jesteś? Jak się dostałaś do moich notatek?

jestem zuzanna chce cie poznać dopiero sie ucze na tym pisac

Skąd się tu wzięłaś? - inteligentnie zapytała Kasia.

ja tu mieszkam z siostra marianna

Kasia w osłupieniu gapiała się na ekran komputera. W oszołomieniu nie zwróciła nawet uwagi na klawiaturę, po której niewprawna niewidzialna ręka wybijała powoli kolejne litery. Mieszka? Jak to mieszka? Bzdura! Nikt tu nie mieszka, to lokal Fun... Zaraz... Marta też wtedy słyszała czyjś śmiech. Też chciała zobaczyć cmentarz. Też czuła czyjąś obecność...

Mieszka tu... Z siostrą... O matko... Kasia poczuła, że zaczyna jej brakować tchu, włosy stanęły dęba, wrzasnęła okropnie i wypadła z gabinetu jak strzała.

Arni o mało nie zleciał z drabiny na ten przeraźliwy krzyk. Na szczęście udało mu się utrzymać równowagę i lustro, które miał akurat powiesić. Zamarł jak posąg, dzierżąc je czule w objęciach, kompletnie unieruchomiony, bo Niciński i Dorosz rzucili się do drzwi. Marek był pierwszy. Złapał w ramiona rozdygotaną Kasię, wypatrując z niepokojem ewentualnych obrażeń. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby tak krzyczała. Był przekonany, że musiało się jej stać coś strasznego, ale żadnych widocznych oznak nie dostrzegł.

- Co się stało? - wykrztusił przerażony.

Dziewczyna wbiła w niego przestraszone spojrzenie, wzdrygnęła się gwałtownie, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

- Co się stało, Kasiu? - to samo pytanie powtórzył Rambo, podchodząc do nich.

Kasia zmobilizowała umysł, przeniosła wzrok na szefa, który wyglądał raczej na zaintrygowanego niż zaniepokojonego i zrozumiała, że prawda nie przejdzie jej przez usta. Jeśli powie im to, co myśli, uznają, że zwariowała. Nie ma mowy. To już lepiej uchodzić za zwykłą nieszkodliwą idiotkę.

- M... m... - z trudem powstrzymała odruch, bo słowo „monitor” samo cisnęło jej się na usta, wzięła głęboki oddech i jęknęła: - M... mysz...

Przez chwilę w sali panowała cisza. Wreszcie nie wytrzymał Arni, który cierpliwie sterczał na drabinie z ciężkim lustrem w objęciach.

- Mysze?! - stęknął z niedowierzaniem i urazą. - Kaśka! Rany boskie! Myszy się boisz?! Ty?! Przez tę twoją mysz ręce mi zaraz odpadną!

Niciński parsknął krótkim śmiechem, pogłaskał dziewczynę pocieszająco po włosach i podszedł do ochroniarza. Odbierając od niego lustro, polecił:

- Jesteś przemęczona. Ostatnio trochę za bardzo się starasz. Zabieraj rzeczy i wracaj do domu.

Kasia nie protestowała. Zadrżała tylko na myśl, że musi wrócić do gabinetu, by wyłączyć komputer. Marek rzucił jej dziwnie tkliwe spojrzenie, którego nawet nie zauważyła, i zaproponował:

- Pójdę z tobą, Króliczku. A potem odwiozę cię do domu.

Skinęła tylko głową, zastanawiając się, jak go skutecznie zniechęcić, gdyby przypadkiem zechciał z nią posiedzieć. Miała zamiar możliwie szybko zadzwonić do Marty.

Marta pośpiesznie wyskoczyła z ciemnoniebieskiej toyoty Weroniki i rzuciła się ku stojącej pomiędzy kolumnami ganku Kasi.

- Jesteś gotowa? Bo ja się umówiłam na siedemnastą - spojrzała niespokojnie na zegarek i odetchnęła z ulgą. - Zdamy... Cholera, Irmina się spóźniła. Musiałyśmy na nią czekać...

- Dlaczego przyjechałaś z Weroniką? - spytała Kasia spłoszonym szeptem. - Myślałam, że będziemy same...

- Bo mi się miotła popsowała - burknęła niecierpliwie Marta i wzruszyła ramionami. - Daj spokój. Nika jest rozsądna i trzyma język za zębami. Co miałam zrobić? Przywlec ze sobą

Michała? Albo Oleńkę? Narobiłaby wrzasku na całą dzielnicę, a Andrzej by nam głowy pourywał za to, że ją przestraszyliśmy.

- A ty się nie boisz?

- Jeszcze nie wiem, czy mam czego. Najpierw chcę porozmawiać z księdzem. Mam dziwne przeczucie, że ta rozmowa jakoś nam pomoże... Nika - skinęła ręką na przyjaciółkę, która podeszła do nich z byłą szwagierką - obejrzyjcie sobie te wasze włości, a ja zabieram Kasię, bo jesteśmy umówione tu obok, w kościele...

- W moim pokoju jest ekspres - wtrąciła przepaszająco Kasia. - Zróbcie sobie kawę czy herbatę. Wszystko stoi na półce za drzwiami.

Weronika skinęła głową i z namysłem przyjrzała się podekscytowanej Marcie. Przyjaciółkę wyraźnie rozpierała jakaś podejrzana energia, i to już od chwili, kiedy zdyszana wpadła na posesję Wojnarów, domagając się natychmiastowego wyjazdu, choć jeszcze wczoraj umówiły się na konkretną godzinę. Nie mogąc się doczekać na Irmę, wydeptała prawie ścieżkę na podjeździe, jak podśmiewał się Radek.

- Nie wiem, po co wy tam idziecie, ale ty za bardzo nie rozrabiaj - powiedziała ostrzegawczo. - Weź parę głębokich oddechów, dobrze ci to zrobi.

Marta tylko prychnęła lekceważąco, pociągnęła Kasię za rękę i prawie powlokła ją za sobą w stronę kościoła.

- Chodź, Irma - Nika westchnęła. - Zobaczymy, jak to wszystko wygląda...

Kiedy, zaspane, wpadły prawie do pustego o tej porze kościoła, Marta raptownie stanęła i bystro rozejrzała się wokół. Zaskoczona Kasia zobaczyła, jak na twarzy przyjaciółki rozlewa się szczery zachwyt i głęboki spokój.

W głębi świątyni, w jednej z ławek siedział pogrążony w zadumie czy modlitwie starszy ksiądz, ale Marta zachowywała się tak, jakby poza nią nie było tu nikogo. Zrobiła parę kroków, uklękła pośrodku nawy i zastygła, wbijając wzrok w obraz nad ołtarzem. Kasia przyklękła obok, ale nie potrafiła skupić się na modlitwie. Przyglądała się Marcie, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Nagle zrozumiała słowa Nicińskiego, który powiedział kiedyś, że ta nieprawdopodobna energia, która z niej tryska, rodzi się z jej wewnętrznej siły. Patrząc na nią w tej chwili, Kasia pojęła, skąd się w niej bierze ta siła. Nigdy nie spotkała nikogo, kto potrafiłby tak całkowicie zatopić się w modlitwie.

Wreszcie Marta wstała, rozejrzała się trochę nieprzytomnie i zahaczyła spojrzeniem o księdza, który przyglądał im się z czytelną aprobatą. Wolnym, rozkołysanym krokiem podeszła do ławki, a za nią podreptała speszona Kasia.

- Pochwalony Jezus Chrystus. Szukamy księdza rektora.

- Na wieki wieków - twarz kapłana zdradzała podeszły wiek, ale jego głos był młody i pełen energii. - Właśnie go znalazłyście - ostrożnie wysunął się z ławki i machnął ręką ku wyjściu. - Zapraszam na plebanię. Tu za mało miejsca na rozmowy, a niedługo zaczną się schodzić wierni. Muszę przyznać, że zaintrygowała mnie pani przez telefon. Mógłbym policzyć na palcach jednej ręki osoby, które interesowała historia parafii.

- A, to dlatego zapytał ksiądz, czy jestem historykiem - uśmiechnęła się Marta, drepcząc za nim i ciągnąc za sobą przestraszona nagle Kasię.

Zanim dotarli do ulokowanego poza terenem kościoła murowanego budynku, który był pozostałością dawnych zabudowań klasztornych, a obecnie odnowiony pełnił funkcję plebani, ksiądz był już doskonale zorientowany w zainteresowaniach Marty, której usta się nie zamykały. Kasia milczała skromnie, podziwiając przyjaciółkę za jej swobodę i łatwość, z jaką nawiązywała kontakty.

- Zapraszam w nasze skromne progi - ksiądz otworzył szeroko drzwi i poprowadził obie petentki do pokoju znajdującego się na końcu korytarza. - Siostrzo Apolonio! - zahuczał donośnie. - Poproszę o kawę! Mamy gości!

Z bocznego pomieszczenia wyjrzała okrągłutka, niska zakonnica w ciemnoszarym habitcie, obrzuciła przybyłych bystrym spojrzeniem, skinęła głową i wycofała się w milczeniu.

- Siadajcie, moje panie - ksiądz wskazał dwa krzesła stojące przed masywnym biurkiem, a sam z widoczną ulgą usiadł naprzeciwko. - Chyba będzie zmiana pogody - sapnął wyjaśniająco. - Noga mnie strasznie rwie.

- Złamanie czy reumatyzm? - zainteresowała się natychmiast Marta.

- Reumatyzm, moje dziecko - westchnął kapłan. - W moim wieku powoli kończy się gwarancja na poszczególne części.

- Wpadnę jutro i przyniosę księdzu olejek do smarowania - zaproponowała uczynnie. - Pomaga. Mój ojciec i dziadek mojego męża bardzo go sobie chwalą.

- Olejek? - w głosie księdza dźwięczała nieufność. - Jakoś nie mam przekonania...

- Racji też nie - przerwała Marta żywo. - Jestem pielęgniarką. Zaraz księdzu wytłumaczę...

Kasia siedziała cichutko jak myszka, słuchając medycznych wywodów przyjaciółki i coraz mniej przekonujących protestów księdza. Do pokoju weszła zakonnica, postawiła na

biurku dzbanek z kawą, cukiernicę i trzy szklanki, posłuchała przez chwilę, oczy jej błysnęły i wyszła bez słowa. Po chwili pojawiła się z powrotem, niosąc paterę z ciastem i trzy talerzyki. Na ten widok ksiądz rektor urwał w pół słowa.

- Siostrzo Apolonio! - jęknął z udawaną zgrozą. - A cóż to za rozpusta!

- A on pomoże? Ten olejek? - zakonnica nie zwróciła uwagi na jego okrzyk, wpatrując się przenikliwie w dziewczynę.

- Jeśli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi - zaśmiała się Marta. - Wszystkie składniki pochodzą od matki natury. Trzeba go tylko regularnie stosować. Najlepiej nacierać na noc bolące miejsca i bandażować, żeby utrzymać ciepło i nie pobrudzić pościeli.

- Ja przypilnuję - zakonnica energicznie pokiwała głową. - Ksiądz rektor nieraz ledwo stoi przy oltarzu. Jak ten olejek podziała, to ja... - przez chwilę myślała intensywnie - ... to ja upiekę tort specjalnie dla pani.

- Oho! Zaraz tort - ksiądz spojrzał na nią przekornie. - A modlitwa dziękczynna nie wystarczy?

- Modlę się za wszystkich grzeszników, to i o księdzu nie zapomnę - oznajmiła z godnością zakonnica i wyszła, furkocząc habitem.

Marta zachichotała, a ksiądz z ubolewaniem pokręcił głową, choć oczy mu się śmiały.

- Siostra Apolonia traktuje nas jak srogi żandarm, ale gotuje jak anioł. Jeśli rzeczywiście zasłuży pani na jej tort, proszę się z nim zamknąć na cztery spusty, zanim rodzina się zorientuje - powiedział żartobliwie, po czym spoważniał i spojrzał na obie dziewczyny z nagłą uwagą. - No, dobrze. Wracajmy do naszych baranów... Rozumiem, że interesuje panie bardziej historia szpitala niż samej parafii? Co chciałbyście wiedzieć?

- Mówiłam księdzu, co wiemy o budynku - zaczęła ostrożnie Marta. - Ta duża sala z kominkiem to była izba szpitalna, tak?

- Owszem. A te dwie boczne zajmowali starcy i kaleki. Szpital był przeznaczony dla osiemnastu pacjentów, ale z ksiąg wynika, że rzadko było w nim aż tylu jednocześnie. Nie z powodu tego, że kraśniczanie byli wyjątkowo zdrowym społeczeństwem, ale w tamtych czasach ludzie bali się szpitali. Bogaci przeważnie mieli swoich lekarzy, a biedota wolała umierać w domu wśród swoich. Szpitalem opiekowali się zakonnicy, ale kiedy w pobliżu miasta toczyły się bitwy, trafiali tam żołnierze z różnych armii i bywało, że pojawiały się litościwe mieszczyki kraśnickie w roli samarytanek.

- A czy ksiądz słyszał kiedyś jakieś... opowieści związane z tym miejscem? - badała Marta.

- Opowieści? - zastanowił się kapłan i roześmiał się nagle. - Słyszałem wiele krańcickich legend, ale nie miały nic wspólnego ze szpitalem. Jeden z moich parafian, człowiek już mocno posunięty w latach, wyznał mi kiedyś, że gdy był młodym chłopakiem, usłyszał, że gdzieś w kryptach kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny pochowana została młoda kasztelanka z rodu Tęczyńskich. Podobno złożono ją do grobu w pięknych szatach i, proszę sobie wyobrazić, pantofelkach haftowanych perłami. Mówił mi, że te pantofelki tak rozpały wyobraźnię jego i kilku kolegów, że parę razy próbowali odkryć wejście do krypty, by odnaleźć ów skarb. Niestety, przyłapali ich na gorącym uczynku tamtejsi księża i młodzi najedli się jedynie wstydu... Czego to ludzie nie wymyślą - pokiwał głową z pobłażaniem. - Inny opowiadał mi, że po wojnie ludzie usiłowali odnaleźć lochy, których początek był rzekomo w kościele parafialnym, a wyjście na żydowskim kirkucie. Ciągnęły się podobno pod rynkiem, a w czasie okupacji nieuczciwy kościelny przeprowadzał tamtędy Żydów, rabując im przy okazji, co się tylko dało. Po wojnie ludzie szukali wejścia do tych lochów w nadziei, że znajdą tam jakieś resztki bogactwa, które rabuś przeoczył... A! - przypomniał sobie nagle i zerknął na wpatrzone w niego dziewczyny z wesołymi iskierkami w oczach. - Słyszałem coś i o szpitalu. Kiedy wreszcie usunięto bibliotekę i udało nam się odzyskać naszą własność, obejrzałem budynek i wysłałem jedną z sióstr, by podgarnęła. tam jako tako, bo myśleliśmy o remoncie. To była siostra Teofila, pobożna, rozsądna, pracowita niewiasta - zadumał się na moment. - I, wyobraźcie sobie, moje panie, moje zdumienie, kiedy ta opanowana zwykle osoba wpadła z wielkim krzykiem na plebanię, przerażona i rozdygotana. Kiedy już udało nam się ją uspokoić, powiedziała, że nie zbliży się więcej do dworku nawet, gdyby natychmiast odesłano ją do klasztoru.

- A co się stało? - spytała niecierpliwie Marta, bo Kasi nagle zabrakło głosu.

- No cóż. Siostra Teofila upierała się, że w dworku spotkała Szatana, który przybrał postać nieskromnie ubranej kobiety - oznajmił ksiądz z rozbawieniem. - Poszedłem tam zaraz, ale, oczywiście, nikogo nie zobaczyłem. Najwyraźniej ten diabeł uwziął się tylko na cnotliwe niewiasty... Musiało się biedactwu coś przywidzieć. Zresztą, niedługo potem rzeczywiście wróciła do macierzystego klasztoru. Zrobiła się bardzo nerwowa i uznałem, że odosobnienie dobrze jej zrobi... No, teraz w dworku taki ruch i gwar, że pewnie diabeł dał za wygraną - dodał z humorem. - Przyglądałem się. Robota idzie, aż miło patrzeć. Muszę przyznać, że trochę się bałem. Nie miał szczęścia ten dworek. Nam na renowację brakuje pieniędzy, a ewentualni inwestorzy wycofywali się, kiedy słyszeli o naszych warunkach... Właściwie to dalej mam pewne obawy - zauważył przekornie. - Nasi parafianie plotkują o narkomanach i upadłych kobietach...

Marta podskoczyła na krzesło i prychnęła z oburzeniem.

- Proszę księdza, to nie są żadne upadłe kobiety, tylko samotne matki, które nie dają sobie rady w tym naszym swojskim kapitalizmie - stwierdziła stanowczo. - To nie ich wina, że trafiły na drani. Moja przyjaciółka, która założyła tę fundację, sama kiedyś była w takiej sytuacji i dobrze wie, jak bardzo potrzebna im jakakolwiek pomoc...

- A ta druga fundacja też jest bardzo potrzebna - włączyła się niespodziewanie Kasia. - Opiekujemy się głównie rodzinami narkomanów i pomagamy w kierowaniu ich do odpowiednich ośrodków. Spotykamy się z młodzieżą, żeby pokazać, jakie zagrożenia niosą narkotyki. Staramy się wyleczonych powstrzymać przed powrotem do nałogu, załatwiamy szkołę albo pracę... Ta fundacja... Moja siostra była narkomanką. Teraz jest szczęśliwą mężatką i mieszka we Włoszech. Gdyby nie RAFA...

- Pax, pax, moje panie - ksiądz pojednawczo uniósł ręce. - Poddaję się. Przekonałyście mnie. Na zgodę spróbujcie ciasta siostry Apolonii.

Marta posłusznie przełożyła kawałek placka na talerzyk i niewinnie zapytała:

- Proszę księdza, czy istnieje jakaś możliwość, żeby sprawdzić, do kogo należy grób na tym cmentarzu?

- Przecież tam są pomniki albo tabliczki na krzyżach - ksiądz spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Ale znalazłyśmy bezimienny nagrobek i aż mnie roznosi, żeby się dowiedzieć, kto tam został pochowany - wyznała szczerze dziewczyna.

- A, to chyba wiem, o co chodzi. Ten z wazonem, tak? Przyznam się, moje dziecko, że sam się nieraz nad tym zastanawiałem. To chyba jeden z najstarszych nagrobków na naszym cmentarzu... Szkoda, że brak nam funduszy...

- Ja bym może znalazła. - zapaliła się Marta. - Tylko chciałabym, żeby już to zrobić tak porządnie. Z imieniem i nazwiskiem.

- Nie szkoda pieniędzy dla umarłych? Żywi bardziej ich potrzebują...

- Nie wątpię - prychnęła. - Ale żywi wciąż mają szansę zdobyć je sami. Umarli są jej pozbawieni.

- To też prawda - zgodził się ksiądz dobrodusznie, ale po chwili wyraźnie zafrasowany skubnął w zadumie rękaw sutanny. - No, dobrze, ale jak to zrobić? W starych księgach nie ma oznakowania poszczególnych kwater. Gdybyśmy chociaż znali datę...

- Znamy! - Marta podskoczyła podekscytowana. - Kiedy przesuwalam palcami po płycie, odczytałam datę! Piętnasty kwietnia tysiąc osiemset piętnasty! I tam był krzyż z przodu, więc to chyba data śmierci!

- Ciekawe - ksiądz przyjrzał się jej z uwagą. - Tyle razy tamtędy przechodziłem, ale nigdy nie zauważyłem żadnej daty.

- Ha, jeśli dostanę rozgrzeszenie, to się przyznam - Marta westchnęła ciężko i rzuciła mu przepraszające spojrzenie. - Użyłam patyka i wydrapałam mech na płycie. Pod nim była ledwo widoczna data.

- No cóż, moja córko - w niebieskich oczach księdza zamigotały wesole iskierki. - Ponieważ szczerze wyznałaś swój grzech, więc chyba ci odpuszczę. Pod warunkiem - uniósł groźnie palec - że nie posuniesz się dalej w dewastacji cmentarza.

- Przyrzekam! - Marta żarliwie poklepała się po biuście.

- No, dobrze. To poproszę do pomocy księdza Pawła, bo ja się nie znam na komputerach, a on to wszystko po swojemu uporządkował - wstał i ruszył do drzwi. - Zaczekajcie chwilę, moje panie...

Kiedy wyszedł, Marta i Kasia popatrzyły na siebie z błyskiem w oczach.

- Nie przywidziało mi się! - szepnęła Kasia z ulgą. - Ta zakonnica... Ona też...

- Opanuj emocje, Katarzyno - mruknęła Marta w zadumie. - Wymieniłaś dwa imiona: Marianna i Zuzanna. Ta zakonnica mówiła o jednej kobiecie... Wiesz, może się okazać, że ten nagrobek nie ma nic wspólnego z naszymi duchami... Ale i tak popytam fachowców - dodała po namyśle. - To kawałek historii miasta. Warto go odnowić. Może leży tam jakaś nieszczęsna ofiara efektu przesadnych ambicji Napoleona? Jeśli mnie nie będzie stać na taki ekspens, napuszczę Marka na zbiórkę społeczną...

- Prowadzę fachowca, moje panie - ksiądz rektor przepuścił w drzwiach młodego kapłana o szczupłej twarzy i ciemnych oczach, w których błyszczała ciekawość. - Ksiądz Paweł dokonał tytanicznej pracy i wprowadził do komputera całą ewidencję cmentarza. To znaczy, wszystko, co znalazł w księgach parafialnych.

Marta zerwała się z krzesła, przedstawiła Kasię i siebie, po czym z nadzieją zapytała:

- Mamy jakąś szansę? Ksiądz rektor pewnie mówił, czego szukamy...

- Spróbujemy - młody człowiek w sutannie czule poklepał laptopa, którego przyniósł ze sobą. - Jeśli coś tu jest na ten temat, to na pewno to znajdziemy, ale o cuda dziś ciężko, więc niczego nie obiecuję... Kiedy przyszedłem na parafię, najpierw zrobiłem ewidencję naszych parafian, a dopiero potem mogłem się zająć cmentarzem. Na szczęście zachowała się większość ksiąg zgonów i narodzin, a cmentarz zamknięto w tysiąc osiemset czterdziestym pierwszym roku, więc...

- Jak to? - w głosie Marty było zdziwienie. - Widziałam tu sporo współczesnych nagrobków?

- Mój poprzednik - wyjaśnił z westchnieniem ksiądz rektor - po dokładnych oględzinach cmentarza doszedł do wniosku, że w najstarszej części jest wiele ziemnych mogił, które się zapadły i o które nikt nie dba. Postanowił je zlikwidować, zresztą miał do tego prawo. Kości pieczołowicie zebrano i pochowano w jednej mogile, na której postawiono krzyż ufundowany przez parafian, a na odzyskanym terenie chowano najbardziej zasłużonych dla kościoła ludzi. Stąd te nowe pomniki.

- Rozumiem - mruknęła Marta. - Co nie znaczy, że mi się to podoba. Nawet po śmierci nie wszyscy są równi. Mam nadzieję, że Pan Bóg lepiej to u siebie zorganizował... No, dobrze. Księżę Pawle, znamy datę śmierci lokatora naszego grobu. Piętnasty kwietnia tysiąc osiemset piętnasty. I co dalej?

Młody kapłan postawił laptopa na biurku, przysunął sobie krzesło i otworzył walizczkę, której ekran po chwili rozblęsnął. Szczupłe palce księdza zwinnie przesunęły się po klawiaturze. Na monitorze pojawiły się jakieś łacińskie słowa i podana przez Martę data.

- Poszukamy w księdze umarłych - wyjaśnił ksiądz Paweł. - O, proszę. Pod tą datą mamy dwie osoby... A, ciekawe - zdziwił się. - Obie noszą to samo nazwisko.

- Jakie? - wyrwało się Kasi wpatrującej się w niego z napięciem.

- Molnar. Marianna Molnar i Zuzanna Molnar... Zapewne krewne - mrucał do siebie, bo obie dziewczyny zaniemówiły.

- Może matka i córka - podsunął ksiądz rektor w zadumie. - W tamtych czasach kobiety często umierały przy narodzinach.

- A... można ustalić, kiedy się urodziły? - zapytała Marta zdławionym głosem.

- Księgi chrztu są, niestety, niekompletne - zafrasował się ksiądz Paweł. - Ale możemy spróbować - wystukał kolejną łacińską nazwę i poznane przed chwilą nazwisko. - Mamy szczęście - oznajmił uroczyście. - Te dane się zachowały... Marianna Molnar urodzona dziesiątego czerwca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego... Zuzanna Molnar urodzona dziesiątego czerwca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego... To musiały być siostry! - w głosie księdza było zdumienie. - Bliźniaczki!

- W chwili śmierci miały tylko po dwadzieścia lat - policzyła szybko Marta. - Była wtedy jakaś epidemia?

- Ostatnia była w siedemnastym wieku. Księgi klasztorne o niej wspominają. Zdziesiątkowała miasto - powiedział ksiądz rektor. - Kraśnik najbardziej ucierpiał w pożarach... Molnar... Ciekawe... Nazwisko jakby węgierskie, ale imiona czysto polskie - zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Wśród rzemieślników kraśnickich wiele było nazwisk niemieckich, ale Węgrzy... No i ten nagrobek... To musiała być zamożna rodzina...

- Mamy znajomego w kraśnickiej kablówce - Marta myślała intensywnie. - Poproszę go, żeby poszukał w kronikach miejskich. Ksiądz może mieć rację. Ten Molnar mógł być bogatym mieszczaninem albo należał do jakiegoś cechu... A może trafimy jeszcze na jakichś Molnarów? - spojrzała pytająco na księdza Pawła, który posłusznie pochylił się nad laptopem, a po chwili z rozczarowaniem potrząsnął głową. - No, trudno... Tylko one są pod tą datą, prawda? To raczej możemy mieć pewność...No, teraz to już stanę na głowie, żeby odrestaurować ten pomnik... Och, dziękujemy bardzo i przepraszamy, że zabrałyśmy tyle czasu - wstała, pociągając Kasię za rękę. - Jutro przywiozę ten olejek. W razie czego zostawię u siostry Apolonii. Gdyby ksiądz miał ochotę osobiście zobaczyć, jak postępują prace w dworku, to Kasia chętnie wszystko pokaże, prawda? - obejrzała się na dziewczynę, która zdołała tylko pokiwać głową, ogłuszona nieco tym słowotokiem. - Jeszcze raz bardzo dziękujemy. Do zobaczenia, bo pewnie jeszcze nie raz się spotkamy - pośpiesznie wyciągnęła przyjaciółkę z pokoju.

- Niech was Bóg prowadzi! - rzucił za nimi ksiądz rektor i zmarszczył brwi w zadumie. - Miłe dziewczęta, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie powiedziały, o co im tak naprawdę chodzi... A ksiądz jak myśli?

- Ja myślę, księżo Stanisławie, że dobrze opracowałem nasze zbiory archiwalne - oświadczył z zadowoleniem ksiądz Paweł. - Kiedyś trzeba by było przekopywać się przez wszystkie księgi, a teraz wszystko łatwo znaleźć... A może znalazłbym coś o tych Molnarach, przeglądając księgi innych sakramentów? Może śluby? Zajmę się tym, kiedy znajdę trochę czasu...

Marta wróciła do domu, umówiwszy się z Kasią, że jutro spróbuje wyrwać się wcześniej i zręcznie uniknąwszy podejrzliwych wypytywań Weroniki o efekty ich wizyty w kościele. Odebrała od rodziców uszczęśliwioną Nelę, która natychmiast przyłgnęła do matki, reagując wrzaskiem, kiedy ta próbowała na chwilę ulokować ją w dzieciennym krzeselku.

- Posłuchaj, moja panno - Marta uniosła córeczkę do góry i popatrzyła z powagą w szare oczy ocienione firanką gęstych, ciemnych rzęs - albo grzecznie będziesz tu siedziała, a mama w tym czasie przygotuje podwieczorek dla taty i kolację dla Aleksa, albo nasi dwaj mężczyźni padną nam z głodu. Imię dostałaś takie bardziej anielskie, spróbuj udawać, że do ciebie pasuje, co? - przez chwilę doznała wrażenia, że w oczach dziecka błysnęły przekorne iskierki. - No, dobrze - westchnęła. - Zastosujemy metodę przekupstwa. Dam ci łyżeczkę i możesz sobie bębnić w stół. Tylko, na litość boską, nie zapominaj, że ja mam dwoje wrażliwych uszu. Dobrze?

Nela posłała matce anielski uśmiech, którym zdążyła już podbić serca wszystkich mężczyzn w rodzinie, i wyciągnęła rączkę. Marta z westchnieniem włożyła w nią łyżeczkę do herbaty, posadziła dziecko przy stole i zabezpieczyła przed wypadnięciem. Zajęła się produkcją kanapek, usiłując nie słyszeć radosnej twórczości córki, która z zapamiętaniem waliła nieszczęsnym sztucem w blat stołu. Na górze Aleks z ojcem beztriosko oddawali się komputerowym szaleństwom. Michał ostatnio z uporem wyszukiwał programy dla dzieci i testował je na własnym potomku. Efekt był taki, że Aleks posługiwał się komputerem z taką samą łatwością, jak rodzice komórką.

Ręce Marty zajęte były pracą, ale myśli znowu powędrowały do dzisiejszego popołudnia i w rezultacie przestały do niej docierać wszelkie dźwięki. Po raz kolejny analizowała opowieść Kasi, własne wrażenia z pobytu w dworku i to, co usłyszała od księdza. Zbyt wiele elementów się pokrywało, by mogło to być dziełem przypadku. Uznała, że powinna jak najprędzej zmusić Marka do współpracy. Rodzina Molnarów zaczynała ją fascynować, chciała dowiedzieć się o niej możliwie najwięcej. Postanowiła zadzwonić do Dorosza, gdy tylko nakarmi wygłodzonych domowników.

- Mamusiu! - dźwięczny głosik Aleksa wyrwał ją z zadumy. - Tata mówi, że coś by zjadł! Ja chyba też! - usiłował przekrzyczeć hałaśliwą działalność siostry.

- Przewidziałam to, mój drogi - mruknęła Marta, układając kanapki na wielkim talerzu. - Bądź łaskaw oderwać tatę od komputera, umyć ręce i schodźcie na dół.

- Już idę - Aleks zakręcił się na pięcie i po chwili usłyszała jego tupot na schodach.

Szybko wyniosła do jadalni pełen talerz i dzbanek z herbatą, po czym wróciła do kuchni, wyjęła butelkę z podgrzaną kaszką owocową i wyciągnęła ręce po najmłodszą latorośl.

- Chodź, mój aniołku. Kaszka z bananami dla jaśnie panienki.

Dałaby głowę, że przez chwilę widziała na drobnej buzi córeczki bolesne rozdarcie. Pełna butelka w dłoni matki przeważała szalę na korzyść jedzenia. Nela wypuściła łyżeczkę, która brzęknęła o podłogę i pozwoliła się zanieść do pokoju.

- Dlaczego mnie ściągnęłaś? - Marek siedział na ławce przed domem Artymowiczów i podejrzliwie patrzył na Martę. - Znowu będziesz mi truła o Kasi, czy chcesz mi sprzedać jakiś temat?

- Ja ci truję o Kasi? - zdziwiła się Marta leniwie, wodząc zachwyconym wzrokiem po niebie, na którym krwista czerwień zachodu zaczynała już zlewać się z ciemniejszymi tonami zmierzchu. - Nic mnie nie obchodzi twoje skomplikowane życie uczuciowe... A co? Jesteś zły, bo przerwałam ci randkę?

- Jaką znowu randkę? - warknął Dorosz ze złością. - Kasia ostatnio na nic nie ma czasu, tak oszalała na punkcie tego cholernego dworku. Dzisiaj podobno cały dzień miała zajęty i zażądała, żebym jej nie przeszkadzał! Zachowuje się jak pani na włościach!

- Przestań się wściekać, Marek - Marta pomyślała o śpiących dzieciach, powiodła spojrzeniem po Michale podlewającym ogród i uśmiechnęła się pogodnie. - Dzisiaj rzeczywiście nie miała czasu. Rano musiała odwalić całą robotę na dziś, bo popołudniu byłyśmy umówione w kościele na górcie. I właśnie o tym chciałam z tobą pogadać...

- Jeśli wykryłaś jakąś kościelną aferę, to ja pasuję - przerwał jej Marek stanowczo. - To za mała miescina, a ja nie mam pieniędzy Urbana, żeby mi było wszystko jedno.

- Czy ja cię kiedyś napuściłam na coś, co ci zaszkodziło? - Marta spojrzała na niego z wyrzutem. - Mógłbyś przynajmniej wysłuchać, co mam do powiedzenia. Potem możesz odmówić. Trochę brakuje mi czasu, ale - jeśli będę musiała - sama się tym zajmę.

- No, dobra - mruknął Dorosz, starannie kryjąc zaciekawienie. - To wał, o co biega.

Michał skończył podlewanie i usiadł na ławce obok żony, wyciągając nogi przed siebie i wdychając z przyjemnością rześkie powietrze wieczoru.

- Któregoś dnia - zaczęła Marta półgłosem - postanowiłyśmy z Kasią obejrzeć ten mały kościółek na górcie, ale był zamknięty i zawędrowałyśmy na cmentarz...

- To było wtedy, kiedy przyjechał Rambo z Oleńką? - skojarzył Marek. - Była na was zła, że ją tam zaciągnęłyście.

- Wtedy... Zapomnij na chwilę, że masz język i spróbuj poprzestać na uszach - skarciła go Marta i podjęła opowieść: - W najstarszej części cmentarza znalazłyśmy stary nagrobek, który wyglądał, jakby rozpaczliwie potrzebował renowacji. Niestety, wszystko wskazywało na to, że pozostanie bezimienny, bo nie znalazłyśmy niczego, co pozwoliłoby ustalić, do kogo należy. Trochę bezmyślnie zaczęłam zdzierać patykami mech z jego bocznej ściany i wtedy odkryłam ledwo widoczne żłobienia. To była data. A wiesz, jaka? - podniosła na kolegę pełne iskierki oczy. - piętnasty kwietnia tysiąc osiemset piętnasty... Z przodu był krzyż, więc uznaliśmy, że to data śmierci. Bardzo chciałyśmy dowiedzieć się czegoś więcej, ale akurat w dworku remont szedł pełną parą, ja też miałam sporo zajęć w domu i dopiero dzisiaj udało nam się dopaść księdza z tego kościoła. Nie miałyśmy wielkich nadziei, ale za to miałyśmy szczęście i udało nam się rozszyfrować tajemnicze lokatorki grobowca. Bo tego dnia w księdze zapisano dwa zgony i są to dwie kobiety o tym samym nazwisku. W dodatku urodzone tego samego dnia. Marianna i Zuzanna Molnar.

- Bliźniaczki! - wyrwało się Markowi, który słuchał z uwagą.

- Zgadza się. Miały w chwili śmierci po dwadzieścia lat. Uderzyło mnie to nazwisko - powiedziała Marta wolno. - Ksiądz sugerował, że mogły mieć węgierskich przodków i musiały pochodzić z dobrze sytuowanej rodziny, skoro stać ją było na pomnik. W ewidencji parafii nie natknęliśmy się więcej na to nazwisko. Podejrzewam, że na nich skończyła się linia, ale byłoby ciekawe prześledzić wstecz dzieje jednej kraśnickiej rodziny. Ksiądz nam podpowiedział, żeby szukać w kronikach miasta.

- I chcesz, żebym ja... - Marek usiłował zrobić obojętną minę, ale oczy mu błyszczały.

- Nie sam. Kasia i ja pomożemy ci w miarę możliwości - obiecała Marta. - Z tobą poszłoby łatwiej, bo jako dziennikarz masz wejścia tam, gdzie nas nie wpuszczą.

Dorosz milczał przez chwilę, ale temat go już zafascynował. To byłoby coś nowego w jego dorobku. Przeważnie zajmował się polityką lokalną i tematami społecznymi. W swoich programach nie sięgnął głębiej niż do PRL-u.

Michał popatrzył spod oka na kolegę, przeniósł wzrok na żonę, która z pobłażliwością obserwowała Markowe rozterki i nagle w jego głowie zakiełkowało pewne podejrzenie.

- Marta, a możesz mi powiedzieć, kto ma zapłacić za renowację tego nagrobka? - zainteresował się gwałtownie.

- Uważasz, że nie potrafię znaleźć sponsorów? - żona spojrzała na niego wyniośle.

- Ciekawe, dlaczego mam wrażenie, że jestem na szczycie twojej listy - powiedział bezradnie.

Marek prychnął z rozbawieniem, a Marta uspokajająco pogładziła męża po ramieniu.

- Nie bój się na zapas. Najpierw muszę się dowiedzieć, ile by to kosztowało. Zaprzęgnę do tego Radka, bo on zna już konserwatora zabytków. Jeśli mi się uda, zapłacę ze swojego konta - mówiłeś, że mogę robić z tymi pieniędzmi, co chcę. Jeśli nie - Marek poszuka sponsorów.

- Zostaw na razie sponsorów - zażądał stanowczo Dorosz. - Ja bym chciał wiedzieć, co mi przyjdzie z takiego programu prócz własnej satysfakcji.

- Ile programów kupił od was Lublin? - zapytała Marta niewinnie.

- Lublin? Żadnego w całości. Co najwyżej brali do „Panoramy” pojedyncze wydarzenia, które filmowaliśmy.

- No, właśnie. A to jest temat, który się sprzedaje i poza Kraśnikiem - oświadczyła Marta tryumfalnie. - Zrób swój własny, autorski reportaż i spróbuj go sprzedać. Naszej kablówce i Lublinowi. Dodatkowym profitem będzie dozgonna wdzięczność Kasi, że się tym zająłeś. Jeszcze ci mało?

Nie było mało. Marek wyraźnie poczuł, że rozpiera go chęć, jakiej dawno już nie czuł, a u ramion rosła skrzydła.

- Przestań robić te głupie miny! - zażądała gniewnie Zuzanna, patrząc na siostrę z niechęcią.

Marianna stała przed wielkim lustrem i z uśmiechem satysfakcji na pełnych ustach patrzyła na swoje odbicie. Z niekłamaną przyjemnością podziwiała bogactwo ciemnych pukli spływających na smukłą szyję, ciepły blask pereł, gładkie ramiona wyłaniające się ze zwiewnych rękawków i pełną wdzięku sylwetkę, którą miękko opływała biała materia sukni. Do tej pory musiało jej wystarczyć patrzenie na Zuzannę. Niby to samo, ale jednak nie do końca.

- Wiem, że jesteś nieszczęśliwa - powiedziała do siostry spokojnie; widok w lustrze zdecydowanie łagodził jej uczucia. - Ostrzegałam cię, Zuzanno, ale ty zawsze musisz postawić na swoim. Wszystkie kobiety są niestety bojaźliwe z natury i nic na to nie poradzisz... To doprawdy złośliwość losu, że mężczyźni nie mogą nas widzieć - w jej głosie było rozżalenie.

- Bojaźliwe? - prychnęła Zuzanna ze złością. - Nigdy w życiu nie byłam bojaźliwa! To ty zawsze udawałaś delikatną istotkę! Gdybym ja spotkała kobietę sprzed wieków, byłabym zachwycona przygodą! Rozczarowała mnie ta Kasia...

- Bo może nie powinnaś była pisać na tym czymś - Marianna wykonała pełen wdzięku dyg, a lustro wiernie powtórzyło jej ruch. - Może to ją najbardziej przestraszyło. Nie mówiła nic o tobie, tylko o myszy...

- Tam nie było żadnej myszy, tylko ja! - wrzasnęła Zuzanna gniewnie.

- Może lepiej się jej pokazać - zasugerowała Marianna, uśmiechając się słodko do swego odbicia. - Nie wydaje mi się, żeby nasz widok mógł kogoś przestraszyć.

- Zakonnice, owszem...

- Och, zakonnice są nietypowym gatunkiem kobiet - Marianna z wdziękiem machnęła dłonią. - Żyją w odosobnieniu, na co dzień chodzą w tych okropnych habitach... Widok eleganckiej kobiety rzeczywiście mógł ją wstrząsnąć... Spróbuj jeszcze raz.

- Nagle ci się odmieniło? - Zuzanna spojrzała na nią podejrzliwie. - Zaczęło cię pchać do ludzi?

- Po prostu doszłam do wniosku, że byłoby grzechem nie pokazać tej dziewczynie, jak wygląda piękna kobieta. Uważam, że stanowimy bardzo estetyczny widok. Piękno jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

- *Mon Dieu*, ty powinnaś chyba leczyć się u bonifratrów! - wykrzyknęła Zuzanna ze zgrozą. - Zakochałaś się we własnym odbiciu jak ten głupi Narcyz!

Kasia patrzyła przez chwilę za Markiem, który zostawił samochód przed dworkiem i, pogwizdując dziarsko, poszedł w stronę plebanii. Przeszła niepewnie z nogi na nogę, westchnęła ciężko i żałośnie pomyślała, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Przy Marcie czułaby się pewniej. No jasne, nie jej wina, że akurat teraz dziadek Michała musiał skrócić nogę, ale wszystkie plany diabli wzięli. W dodatku trochę się bała spotkać sam na sam z istotami, które - wszystko na to wskazuje - zeszyły z tego świata prawie dwieście lat temu. Jak, u licha, ma się do nich zwracać? Wasza wielmożność? No, nie. Chyba nie były aż takimi arystokratkami. Waćpanno? Waćpani? No i dlaczego tak niewiele wie o epoce napoleońskiej? Trzeba było zamówić sobie krótki wykład u Maryli...

W otwartych na oścież drzwiach sąsiedniego ganku pojawiła się Irmina i pokiwała do Kasi przyjaźnie.

- Dobrze, że jesteś. W razie czego przyłecę do ciebie po ratunek - powiedziała z wyraźną ulgą. - Do tych fachowców trzeba mieć świętą cierpliwość.

- Nie ma sprawy - odparła Kasia odruchowo i poweselała na myśl, że jednak nie będzie w dworku tak całkiem sama. - Chcesz kawy? U mnie jest ekspres.

- Może później. Oni mają przerwę o jedenastej, to wpadnę do ciebie - Irma westchnęła i wróciła do środka.

Kasia poczuła się nagle przeraźliwie samotna. Też westchnęła i, pokonując wewnętrzny opór, cichutko przemknęła korytarzem do swojego pokoju. Raz kozie śmierć - pomyślała z rezygnacją. - To nie jakiś horror. Do tej pory nic mi nie zrobiły...

Ostrożnie położyła na biurku dzinsową torbę, nastawiła ekspres i, czekając na kawę, z obawą w sercu włączyła komputer. Ekran rozjaśniło logo fundacji Nicińskiego wpisane w pęknięte serce. Kasia struchlała na moment, wspomniawszy wczorajsze wypadki, ale komputer zachowywał się jak zwykle. Odetchnęła. Ręce lekko jej się trzęsły, kiedy robiła kawę. Usiadła w końcu przy biurku i trochę bezradnie wpatrzyła się w monitor. Wzięła głęboki oddech i otworzyła notatnik.

Witaj, Zuzanno - napisała po długim namyśle. - Czy zechciałabyś ze mną porozmawiać?

Przez chwilę, która Kasi wydała się wiecznością, nic się nie działo. Potem przed jej oczami zaczęły pojawiać się słowa.

cieszę się że się nie przestraszyłaś

Kasia chwyciła powietrze cokolwiek spazmatycznie, ale opanowała strach i napisała:

Trochę. Tylko na początku. Czy wy jesteście siostrami? Nazywacie się Molnar?

skąd wiesz

Znalazłyśmy wasz grobowiec na cmentarzu - śmielej już wystukała Kasia. - I rozmawialiśmy z księdzem. Wasze nazwisko było w księdze zgonów. Dlaczego tu jesteście?

dokładnie nie wiemy chyba przez naszą głupotę zmarłyśmy w tym szpitalu z powodu kuraacji ojca hieronima

Zostałyście zamordowane? - Kasia z emocji zatrzęsły się ręce.

nie sadze ojciec hieronim próbował spędzić płod ale mu nie wyszło

Kasia z niedowierzaniem gapiła się na ekran. Co ten potworny Hieronim próbował? Co to jest „plod”?

Co to znaczy? - wystukała przejęta. - Co zrobił?

poił nas ziołami swojego wyrobu i obiecał papie że nie urodzimy bękartów nie byliśmy zamężne a papa nie chciał skandalu - wyjaśniła Zuzanna - co ty masz na sobie jesteś dziwnie ubrana

Kasia spojrzała z roztargnieniem na przewiewną bawełnianą bluzeczkę bez ramiączek i jasne szorty. Na dworze od rana panował potworny upał. Musiała coś na siebie włożyć, bo ostatecznie szła między ludzi, ale z całych sił starała się, żeby strój zredukować do minimum. W samym dworku było co prawda chłodniej, jednakże należało do niego dojść, a później jeszcze dotrzeć do domu.

Strasznie dziś gorąco - napisała niecierpliwie. - I co z tym Hieronimem? Umarłyście przy aborcji?

dostałyśmy krwotoku - odpisała Zuzanna - nie pamiętam dokładnie jak umierałyśmy pamiętam tylko egzekwie w kościele papa musiał okłamać proboszcza bo powiedział że pielęgnowałyśmy sluzaca i zaraziłyśmy się od niej

„Sluzaca” przytłoczyła Kasię, ale po chwili wpadła na to, że chodziło o służącą. Zanim zdążyła wymyślić następne pytanie, na ekranie ukazały się słowa:

opowiedz nam co teraz jest w rzeczypospolitej czytałyśmy leksykon ale nie rozumiemy wszystkiego

Wszystkiego to nikt nie rozumie - westchnęła odruchowo Kasia i nagle stanęła jej przed oczami syzyfowa praca, której musiałaby dokonać, by uświadomić owym eterycznym istotom zmiany zaszłe w ciągu tych prawie dwóch wieków. Jęknęła ze zgrozy. Nie czuła się na siłach

wyjaśniać siostrze zawilosci obecnej polityki. Poza tym z poplochem uprzytomnila sobie, ze zdazyła juz zapomniec historyczne koleje losow Polski miedzy Napoleonem a chwila obecna.

- Musialabym napisac wielotomowe dzieło! - wyrwalo sie jej na głos.

mozesz mowic widzimy i slyszmy wszystko co sie tu dzieje - zlitowala sie Zuzanna.

- Chyba zadzwonie do Marty - wymamrotala ciezko przerazona Kasia i siegnela po komorkę.

co to jest - zainteresowala sie natychmiast Zuzanna.

- Telefon - Kasia wypukiwala numer przyjaciolki. - Sluzy do rozmowy z ludzmi, z ktorymi nie mozna skontaktowac sie bezposrednio... Ja... No, nie pamietam wszystkiego po kolei. Moze Marta...

W ogrodzie pod parasolem siedzialy na wiklinowych fotelach trzy osoby: dziadek Aleksander z obandażowana noğa wyciagnieta na stoleczku, ojciec Michala - pan Roman i Marta. Obydwaj panowie z wielkim zainteresowaniem sluchali wesołych opowieści o wyczynach najmłodszych członków rodziny, wybuchajac od czasu do czasu śmiechem. Kiedy zadzwonila komorka, Marta rzucila dziadkowi przepaszajace spojrzenie i z westchnieniem siegnela po telefon.

- Slucham... - urwala nagle i oczy zrobily sie jej wielkie jak spodki. - Co?! O rany boskie! - rozpaczliwym gestem poczochrala sie po włosach. - Ale ja nie pamietam!... Zaraz, czekaj... - zrobila mine, jakby czynila straszliwy wysilek umyslowy i obaj panowie spojrzeli na nia zaintrygowani. - Czekaj... To by bylo to, co sie dzialo po tysiac osiemset pietnastym roku?... O, Jezu... To o Lipsku chyba juz slyszaly, nie? Bo nie tylko Napoleon dostal w tylke, ale i nasz piekny Jozio zakonczył zywtot w Elsterze... No, Poniatowski przeciez!... Kasia, nie mozesz byc az tak niedouczone!... - sluchala przez chwile z napieciem. - Dobra... To powinny tez slyszec, ze tego malego lobuza wyekspediowano na Elbe w nadziei, ze wiecej nie zdazy narozrabiac... A, wiedza? - ucieszyla sie wyraźnie i dodala ze zdziwieniem: - Chyba zaczy nam sobie powoli przypominac... To dalej bylo tak: ten mały drań dal nogę z wyspy i udalo mu sie wrócic do Paryża, ale pod Waterloo szczęście go opuścila Naciął sie na Wellingtona i paskudnie przegral. Tym razem przezorni Anglicy wywiezli go na Świętą Helenę, gdzie pod ich czula opieką w koncu wyzional ducha... O, kurczę, mam nadzieje, ze nie jestem niegrieczna... Zdaje sie, ze cesarzowi ktos pomogl opuścic ten swiat przy wydatnej pomocy arseniku... Czekaj... W tysiac osiemset pietnastym na Kongresie Wiedeńskim tamtejsi mądrale wymyslili Królestwo Polskie, ale to byl pic na wodę, bo tak naprawde rzadzili Rosjanie i robi-

li, co chcieli... - Marta zamyśliła się na chwilę, nie dostrzegając rozbawionych spojrzeń obu panów. - Zresztą, na króla koronował się car Mikołaj, a w Warszawie przez cały czas siedział ten potworny Konstanty ze swoją kompletnie zdewociałą Żanetką... No, księżna łowicka! Nie czytałaś tej książki? Wiesz, taka wzdychająca naprawiaczka świata cierpiąca dla dobra ogółu... A w trzydziestym roku wybuchło powstanie listopadowe! - ogłosiła tryumfalnie, ale zaraz mina jej zrzędła. - No i też jest się z czego cieszyć - mruknęła do siebie z niechęcią. - Jak zwykle dostaliśmy po tyłku, bo jak przyszło co do czego, to wszyscy zaczęli się kłócić o wszystko. Co, jak co, ale zrywy narodowe nigdy nam nie wychodziły... Ja nie wiem, jak to jest - zdenerwowała się nagle. - Nawet jak się wydaje, że już-już coś z tego wyjdzie, zawsze znajdzie się ktoś, kto wszystko spieprzy... Sorry, Kasia, już wracam do tematu... Czekaj... Po upadku powstania wiele zamożnych rodów opuściło kraj, bo Rosjanie kładli łapy na majątkach... W tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku w styczniu znowu wybuchło powstanie i znowu nic z tego nie wyszło. Potem zaczęły się tworzyć różne partie, oczywiście po cichutku, i jak zwykle, nie było im ze sobą po drodze. I tak się kotłowało w tym polskim tyglu, aż w czerwcu tysiąc dziewięćset czternastego roku w Sarajewie jakiś studencina wpadł na pomysł, że ukatrupi arcyksięcia Ferdynanda i wybuchła pierwsza wojna światowa... Przy okazji ukatrupił jego żonę, co mnie się osobiście nie podoba, bo choć wyszła za Habsburga, to jednak była Czeszką, czyli Słowianką... Wojna trwała do tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, w międzyczasie w Rosji objawił się niejaki Włodzimierz Iljicz Uljanow zwany potem Leninem. Wkurzył się na Mikołaja, bo ubił mu brata i postanowił go zdetronizować, co mu się udało. Carską rodzinę rozstrzelano, choć krzyk poszedł po całym świecie, bo byli spokrewnieni z połową wówczas panujących rodów, a Lenin ogłosił, że władza przechodzi w ręce ludu pracującego... Pic na wodę, fotomontaż! - prychnęła gniewnie. - Trzymali tę władzę wszystkimi kopytami dla siebie! Najpierw Lenin, a potem ten bandyta Stalin! Lud pracujący! Akurat dużo miał do gadania! - przez chwilę sapała z irytacji, nie dostrzegając, że teść i dziadek wymieniają rozbawione uśmiechy. - Dobra, już nic nie mówię... Nie rozumieją? Oj, Kasia, bo tego nikt normalny nie zrozumie... Czekaj, ja popytam Marylę. Może znajdzie u siebie jakąś książkę na temat tej najnowszej historii, coś takiego, żeby dało się strawić... Na razie postaram się streścić... Co tam było ostatnie? Aha, wojna... W Polsce też się spodobały idee komunizmu... O, Jezzu, jak? - zakłopotana się wyraźnie. - Teoretycznie - zaczęła z namysłem - komunizm to miało być takie чудо, że wszyscy ludzie są równi i po równo mają mieć... No, ja wiem, że utopia! - zdenerwowała się. - I dlatego g... guzik z tego wyszło... W każdym razie u nas też tak chcieli i jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać partie socjalistyczne, ale w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku w Warszawie objawił się Piłsudski, przejął władzę i

został Naczelnikiem Państwa. W tysiąc dziewięćset dwudziestym wybuchła wojna polsko-radziecka, w sierpniu był ten sławetny cud nad Wisłą... Zdaje się, że cuda to w ogóle polska specjalność... Rok później uchwalono konstytucję... A, czekaj. Pierwszym prezydentem został Narutowicz, ale miał pecha, bo w „Zachęcie” zastrzelił go niejaki Eligiusz Niewiadomski, malarz i nawiedzony endek... Ja nie wiem - zastanowiła się nagle. - Może gdybym miała na imię Eligiusz, to też by mi odbijało?... Dalej? Kurczę, dalej to za bardzo nie pamiętam. Coś tam po drodze dużo się działo, bo i przewrót majowy i sanacja, i pakt Ribbentrop-Mołotow, ale mnie się pcha druga wojna światowa... To już może sama im opowiesz?... Po wojnie? Oj, po wojnie to zaczęło być śmiesznie i tak jest do dzisiaj... Kasia, ja nie mogę mówić o polityce, bo mnie natychmiast szlag trafia! Wyjaśnij im to jakoś bezboleśnie... Wiesz, co? Najlepiej by było postarać się o jakiś telewizor. Jakby sobie pooglądały... Może tak od razu nie zwariują - pocieszyła się niepewnie. - Trzeba napuścić Rambo, żeby kupił coś niedużego, a ja postaram się wydrzeć od Maryli jakąś mądrą książkę... Pomogłam? Dobra. Trzymaj się, Kasia. Powiesz mi potem o wszystkim! - wyłączyła telefon i sapnęła z wyraźną ulgą.

- Co to było, Tusia? - nie wytrzymał rozweselony pan Roman. - Kogo wy tak douczacie? Jakiegoś obcokrajowca?

- Cóż, w zasadzie można tak powiedzieć - zgodziła się Marta ostrożnie. - Usiłujemy wytłumaczyć dwóm cudzoziemkom, jak wyglądała historia Polski.

- A dlaczego od Napoleona? - zainteresował się pan Aleksander. - To Francuzki?

- Niezupełnie - mruknęła Marta cokolwiek stropiona i pośpiesznie zmieniła temat: - Dziadku, jak noga? Może lepiej się połóżysz?

Teś spojrział na nią bystro, ukrył uśmiech i pokręcił głową w zadumie.

- Ciekawy jestem, jak by wyglądała historia Polski od pierwszych Piastów w twojej interpretacji...

Marta popatrzyła na niego z wyraźnym popłochem w oczach.

- Tato! Wyglądałaby tragicznie! Nie pamiętam już masy rzeczy!

Kasia wyłączyła komórkę i otarła pot z czoła. Sądząc z komentarzy Zuzanny wypisanych na ekranie monitora, przekazywane na gorąco słowa. Marty nie za bardzo uświadomiły siostrom historyczne przemiany w kraju. Jedyne, czego była pewna, to fakt, że dotarł do nich tragiczny koniec Napoleona, bo Zuzanna napisała z wyraźną satysfakcją: dobrze mu tak. Rany boskie, jak ma im teraz wytłumaczyć, że dziś już nie ma mowy o monarchii, że panuje równouprawnienie, że technika posunęła się naprzód, a krajem rządzi jakaś dziwaczna zbiera-

nina, która nazywa siebie parlamentem? Marta jednak ma rację. Nikt normalny nie zrozumie polskiej polityki.

Kasia westchnęła potężnie i popatrzyła bezradnie na monitor.

- Przecież życia mi zabraknie, żeby wam to wszystko wytłumaczyć! - jęknęła żałośnie. - Ręce mi odpadną od pisania, a wy i tak połowy nie zrozumiecie! Gdyby się dało jakoś inaczej...

Przez chwilę nie było żadnej reakcji, a potem ekran ożył.

jeśli sie nie boisz możesz nas zobaczyć tylko nie krzycz zakonnica uciekła

Ostatnie dwa słowa sprawiły, że Kasi dreszcz przeleciał po plecach. Przypomniała się jej opowieść księdza rektora. No tak. Zakonnica uciekła i była ciężko przerażona. Co zobaczyła? Dwie straszliwe zjawy obleczone w jakieś szczątki śmiertelnych całunów? Kościotrupy klekocące spróchniałymi kośćmi?

Przez chwilę strach walczył z przemożną ciekawością, jak też te zabytkowe duchy wyglądają. Ciekawość wygrała. Kasia wzięła głęboki oddech i cicho powiedziała:

- W porządku. Chcę was zobaczyć. Nie będę krzyczała.

Z determinacją zacisnęła dłonie na krawędzi biurka, zdecydowana zaniemówić bez względu na wszelkie okropne doznania wzrokowe i słuchowe. Najpierw usłyszała głos. Był melodyjny, wysoki, ale przyjemny dla ucha.

- Podnieś głowę i spójrz przed siebie.

Kasia posłusznie wykonała polecenie i prawie przestała oddychać z wrażenia. Powietrze przed nią, jakby zafalowało leciutko i na jej oczach zaczęły się formować dwie przejrzyste postacie. Wpatrywała się zachłannie w zjawisko, zapominając o strachu. Kiedy wreszcie zobaczyła siostry w całej okazałości, zamarła ze zdumienia. No i czegoż ta nieszczęsna zakonnica tak się przestraszyła? Duchy okazały się pięknymi, młodymi kobietami, w których z całą pewnością nie było nic złowrogiego. W dodatku były przyodziane w suknie, jakie do tej pory Kasia widywała jedynie na starych reprodukcjach. Wyglądały w nich kobieco, zalotnie i nieco staroświecko, co tylko dodawało im uroku. Kasia z nagłym szacunkiem pomyślała, że kiedyś kobiety były o wiele sprytniejsze niż obecnie. Obłudnie skromny ubiór skuteczniej przyciągał męski wzrok niż terażniejsze roznegliżowanie.

- Dlaczego ona się przestraszyła? - spytała impulsywnie z wielką pretensją w głosie. - Przecież obie jesteście piękne! I... Ojej! Dobrze zgadyśmy! Bliźniaczki! Jesteście takie same!

- Niezupełnie - odezwała się z lekką urazą jedna ze zjaw. - Ja jestem bardziej dystygowana. Zuzanna czasami zachowuje się jak plebejuszka.

- Nie zwracaj na nią uwagi - wtrąciła druga pośpiesznie. - Mariannie się wydaje, że pochodzi z arystokracji, a prawda jest taka, że obie jesteśmy córkami złotnika. Papie wprawdzie nie brakowało pieniędzy, ale herbu nie mieliśmy...

- O, przepraszam! - przerwała jej wyniośle Marianna. - Ciotka Teodora wyszła za herbowego szlachcica!

- Hreczkosieja z Urzędowa - prychnęła Zuzanna pogardliwie.

- Ale herbowego!

- Ciotka Teodora nie grzeszyła urodą - Zuzanna zlekceważyła siostrę i zwróciła się bezpośrednio do Kasi. - Nie miała zbyt wielu starających się, więc złapała pierwszego, który jej się oświadczył. Wuj Damazy był starszy o dwadzieścia lat, a cioteczka też już nie pierwszej młodości, kiedy za niego wychodziła, więc nie dziwota, że Pan Bóg nie pobłogosławił tego małżeństwa potomstwem. Wuj poczciwie zmarł po kilku latach pożycia i ciotka została bogatą wdową. Obawiam się jednak, że najlepiej na tym jej małżeństwie wyszedł tamtejszy kościół... Zawsze się zastanawiałam - dodała w zadumie - co takiego ciocia zmalowała w młodości, że tak bardzo się starała o zasługi na stare lata...

- Zuzanno! - w głosie Marianny było zgorzienie. Kasia z oszołomieniem słuchała tej rozmowy, wodząc oczami od jednej siostry do drugiej. Pomyślała, że obie wyglądają identycznie, ale wystarczy, że się odezwą, a łatwo je rozróżnić. Nagle coś jej wpadło do głowy.

- Słuchajcie - powiedziała z przejęciem. - Znalazłyśmy na cmentarzu wasz nagrobek i dzięki temu udało nam się ustalić wasze dane. Ale chciałybyśmy prześledzić dzieje waszej rodziny... Jak się nazywali wasi rodzice?

- Nasze co? - Zuzanna popatrzyła na nią z dużym zainteresowaniem.

- W księgach parafialnych kościoła znalazłyśmy wasze nazwiska, daty urodzin i śmierci - wyjaśniła cierpliwie Kasia. - Dzięki temu, że wcześniej znałam wasze imiona, byłam pewna, że to o was chodzi. Ksiądz mówił, że Molnar to węgierskie nazwisko... - spojrzała na siostry pytająco.

- Papa często powtarzał, że nasz przodek przybył z Węgier za panowania Jagiełły - oznajmiła dumnie Marianna. - Kiedy przejeżdżał przez Kraśnik, Tęczyński dowiedział się, że jest złotnikiem, a właśnie się żenił. Praca Molnara tak mu się spodobała, że pozwolił mu osiąść w mieście. Nasz przodek miał na imię Istvan...

- Papa nazywał się Stefan Molnar - przerwała bezceremonialnie Marianna - a *maman* Anna z Saczewskich. *Maman* była córką kupca bławatnego. Zmarła, niestety, niedługo po naszych narodzinach na suchoty... Papa zawsze nam pobłażał, bo podobno byliśmy żywym

konterfektem nieboszczki - westchnęła rzewnie. - A ciotka była z domu Molnar, a po mężu Dębicka. Teodora Dębicka.

Kasia pośpiesznie notowała na kartce wszystko, co mogło posunąć ich poszukiwania naprzód. Miała nadzieję, że Marek nie będzie miał nic przeciwko wizycie na urzędowskiej plebanii.

- Dlaczego właściwie tu jesteście? - zapytała ostrożnie.

- Nie mam pojęcia - Zuzanna wzruszyła ramionami. - Szczerze mówiąc, uważam, że powinien tu pokutować ojciec Hieronim. W końcu to on zrobił nam krzywdę...

- Zgrzeszyliśmy widocznie bardziej niż on - powiedziała smętnie Marianna.

- My?! - zaperzyła się Zuzanna. - Jeśli już, to najwyżej głupotą! On za to dobrze wiedział, co robi! Uważasz, że robienie po cichu tego, co Kościół głośno potępiał, było w porządku? To niesprawiedliwe! W dodatku tylko kobiety mogą nas widzieć!

- O, to rzeczywiście przykre - bąknęła Kasia, która miała cichutką nadzieję, że Marek wreszcie na własne oczy zobaczy coś, czego nie będzie umiał racjonalnie wytłumaczyć.

- Wiedziałam, że zrozumiesz - Marianna spojrzała na nią z wyraźną wdzięcznością. - Kobiety na nasz widok uciekały. To jednak przykre. A od dwóch wieków żaden mężczyzna nie popatrzył na nas z podziwem...

- Przestań! - fuknęła Zuzanna. - Nie zwracaj na nią uwagi, zawsze była kokietką... Ja bym chciała wiedzieć co innego. Co ty tu robisz, Kasiu?

- Pracuję - Kasia wyprostowała się dumnie. - Będzie tu świetlica dla dwóch fundacji. Jedna pomaga ludziom uzależnionym od narkotyków, druga - kobietom po przejściach...

- To znaczy: jakim? Upadłym? - Marianna z dezaprobatą zmarszczyła zgrabny nosek.

- Nie! - zaprzeczyła Kasia z urazą. - Chodzi o kobiety, które mają problemy w domu. Są maltretowane fizycznie lub psychicznie przez mężów, nie mają pracy ani środków do życia...

- Co to są narkotyki? - przerwała zaintrygowana Zuzanna.

- To takie środki farmaceutyczne, no, leki, które całkowicie uzależniają ludzi - próbowała wytłumaczyć Kasia możliwie przystępnie. - Widziałyście kiedyś pijanego?

Siostry spojrzały na siebie i jednocześnie skinęły głowami.

- Służba często się upijała, kiedy mieli wychodne, a i papie czasem się zdarzyło - mruknięła Zuzanna.

- Ludzie bardzo podobnie zachowują się po narkotykach - westchnęła Kasia. - Tylko dużo gorzej. Ktoś, kto bierze, nie potrafi przestać. Zrobi wszystko, byle dostać swoją działkę... porcję - poprawiła się, widząc kompletne niezrozumienie na twarzach sióstr. - Posunie się nawet do kradzieży, pobicia czy zabójstwa. Próbujemy temu zapobiegać.

Obie panny Molnar milczały przez dobrą chwilę, po czym Marianna postanowiła podjąć ciekawszy temat.

- Nie obraż się, moja droga Kasiu - zaczęła ostrożnie - ale chciałabym się dowiedzieć, czy twoja sytuacja materialna jest aż tak nieszczęśliwa, że musisz pracować? Bo wydaje mi się, że pochodzisz jednak z dobrej rodziny?

Zuzanna prychnęła z irytacją, a Kasia ukryła uśmiech.

- Czasy się zmieniły, panno Molnar - odparła uprzejmie. - Po drodze sufrażystki wywalczyły równouprawnienie. Dziś kobiety nie muszą skromnie siedzieć w domu i zależeć od humorów pana i władcy. Mają do dyspozycji wszelkie kierunki studiów, pracują na różnych stanowiskach i często zarabiają więcej od mężczyzn. Zdarza się, że to panowie zajmują się domem i dziećmi. - Marianna jęknęła z niedowierzaniem. - Kobiety bywają nawet ministrami, stają na czele państw, czy służą w armii - osłupienie na twarzy panny Molnar sprawiło jej satysfakcję.

- Moja babcia i mama były nauczycielkami, tata pracował jako taksówkarz. Dziś nie ocenia się ludzi po genealogii, tylko po tym, co sobą reprezentują - uznała, że się zagalopowała i pośpiesznie zmieniła temat: - Monarchii też już nie ma.

- To kto rządzi? - zainteresowała się Zuzanna.

- Teoretycznie parlament, czyli sejm i senat. W praktyce - Kasia westchnęła - ten, co ma pieniądze i układy. Za waszych czasów kupowało się tytuły, dziś ludzie kupują sobie władzę.

- Nic z tego nie rozumiem - stwierdziła Zuzanna po namyśle. - W tych książkach z biblioteki czytaliśmy o wojnach, ale tam było masę rzeczy, których nie mogliśmy pojąć.

- Spróbuję wam to wszystko przybliżyć - powiedziała Kasia niepewnie. - Moja przyjaciółka poradziła, żebym się postarała o jakieś pomoce naukowe, ale to trochę potrwa...

- Nam się nie śpieszy - mruknęła ironicznie Marianna.

- Możecie opuścić ten dworek? - spytała Kasia z ożywieniem.

- Niestety, nie - Zuzanna westchnęła. - Próbowaliśmy. Możemy poruszać się jedynie do żywopłotu. Dalej jest jakby ściana.

- Szkoda - Kasia posmutniała. - Miałam nadzieję... - urwała, bo usłyszała kroki w korytarzu. - Ktoś idzie! Lepiej, żeby o was nikt nie wiedział!

Siostry niechętnie skinęły głowami i rozpląnęły się w powietrzu. Kiedy do pokoju wszedł Marek, Kasia siedziała grzecznie przed komputerem, popijając zimną kawę.

Marta, zdopingowana przez przejętą Kasię, chwilowo nie mogąc sama brać udziału w fascynującej przygodzie, przygotowała dla niedoinformowanych zjaw krótki, w miarę przystępny skrót dziejowych perturbacji ojczyznianych. Udało jej się nawet wyciągnąć od Maryli reprodukcje starych sztychów przedstawiające co bardziej znane osobistości kolejnych epok, które ominęły siostrzyczki. Materiały, razem z płytą CD zawierającą skróconą wersję historii PRL-u oraz egzemplarz „Kroniki XX wieku” podała przyjaciółce przez Marka.

Zuzanna rada by natychmiast przejrzeć wszystkie materiały, ale pedantyczna Marianna uparła się przy odpowiedniej kolejności. Kłótnia trwała krótko, bo Zuzanna wyobraziła sobie ten groch z kapustą, jaki wywołać może nadmiar informacji i ustąpiła zadowolonej siostrze. W tej chwili miały za sobą charakterystykę epoki napoleońskiej, kolejne powstania i ciężkie czasy zaborów. Marianna z żywym zainteresowaniem przeglądała portrety pisarzy romantycznych.

- Ach! To ten od „Balladyny”! - krzyknęła z zachwytem. - Pamiętasz? Juliusz Słowacki. Czytałyśmy jego wiersze.

Zuzanna od niechcienia rzuciła okiem na reprodukcję i poczuła lekkie zdziwienie.

- No, no. A wygląda tak niewinnie...

- A jak ma wyglądać? To poeta! - zjeżyła się Marianna.

- A pamiętasz „Mazepę”? Jeszcze straszniejszy niż „Balladyna”. Dziwię się, że taki niepozorny mężczyzna potrafił wymyślić takie potworności.

- Niepozorny?! On jest piękny! - stwierdziła żarliwie Marianna.

Zuzanna przezornie zmilczała. Jej uwagę przykuł portret Mickiewicza.

- Spójrz - podetknęła go siostrze pod nos. - To jest prawdziwy mężczyzna. To ten od „Pana Tadeusza”. Mickiewicz... „Grażyna” też mi się podobała... - westchnęła. - Dobrze, że tu była ta biblioteka. Przynajmniej wiemy, o co chodzi...

- A to Krasiński - Marianna trochę krytycznie spojrzała na reprodukcję. - Dziwnie pisał. Chyba dlatego był sławny, że pochodził z tych Krasińskich... Tego Norwida też nie za bardzo rozumiałam...

- O, tu jest napisane, że potem zaczęła się w literaturze epoka pozytywizmu - Zuzanna w skupieniu czytała tekst z ekranu komputera, bo Kasia wytłumaczyła jej dokładnie, jak go obsługiwać. - To też znamy - ucieszyła się. - Zobacz: Orzeszkowa, Sienkiewicz, Prus, Kopnicka, Asnyk... Pamiętasz, jak się spłakałaś, kiedy zginął Podbiłęta? Albo jak w kościele po śmierci pana Michała ksiądz wołał, że larum grają?

- A ty to co? - burknęła Marianna. - Nie płakałaś, tylko oczy ci się pociły, jak Nel?

- Myślałam, że będzie gorzej - Zuzanna nie zareagowała na sarkazm. - Na razie wszystko rozumiem. W dziedzinie literatury nie mamy wielkich braków. O, te nazwiska też znamy: Wyspiański, Zapolska, Kasprówic, Staff, Reymont. .. Historycznie też rozumiem. Wybuchy powstania, pod zaborami ciężko się żyło, a - zajrzała do wydrukowanego przez Martę kalendarium - w tysiąc dziewięćset czternastym roku wybuchła pierwsza wojna światowa... Czekał, ona tu dopisała, żebyśmy od tego miejsca zaczęły czytać tę „Kronikę XX wieku”...

- To może sama przeczytaj, a potem mi opowiesz - zaproponowała skwapliwie Marianna, która wolała poezję od historycznych sensacji, a Kasia zostawiła im wybór wierszy z okresu XX-lecia międzywojennego.

Zuzanna rzuciła siostrze wymowne spojrzenie, ale ponieważ ssała ją, by dowiedzieć się jak najwięcej i jak najszybciej, skinęła głową bez słowa, wyłączyła komputer, powtarzając w duchu wskazówki Kasi, przytuliła czule do piersi „Kronikę” i zniknęła. Marianna poszła w jej ślady, dzierżąc w dłoni tomik wierszy.

Marta i Marek postępowali w milczeniu za Kasią, która prowadząc ich korytarzem ku swojemu pokojowi, czyniła wielki rumor. Miała nadzieję, że w ten sposób da do zrozumienia obu siostrze, iż powinny w tym momencie znaleźć sobie inne miejsce do wypoczynku. Dorosł nawet nie zwrócił uwagi na jej działalność, ale przyjaciółka spojrzała na nią ze zdziwieniem, bo Kasia sprawiała wrażenie, że składa się z samych rąk i nóg, których ma zdecydowanie za dużo.

- No to jesteście! - ryknęła Kasia dziarsko, otwierając drzwi gabinetu.

Marek, który podrzucił tylko Martę, a umówiony już był na rozmowę z urzędowskim proboszczem i wszedł bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby, pogrążony w zadumie, wzdrygnął się nieznacznie, ale Marta prawie podskoczyła.

- Kasia, chcesz, żebym tu padła na serce? - mruknęła zgryźliwie. - Mam dwoje dzieci, chciałabym jeszcze trochę pożyć... - zobaczyła siedzącą za biurkiem kobietę ubraną w nieco archaiczną suknię i aż się zachłysnęła z wrażenia. - O, kurczę... - westchnęła z zachwytem i nagle niespokojnie obejrzała się na Marka.

- On mnie nie widzi - powiedziała zjawą nieco zboląłym głosem.

- Aha... - Marta odzyskała natychmiast równowagę i wydała rozkazy: - Kasia, nastaw wodę na kawę. Muszę oprzytomnieć... Marek, nie wiem, po co ty tu wlełeś. Przecież miałeś jechać do Urzędowa. Myślisz, że proboszcz będzie na ciebie czekał?

- Co? - zamyślony Marek zamrugał nieprzytomnie. - Dobra, już jadę... Zaraz! - spojrzał nagle podejrzliwie na obie dziewczyny. - A dlaczego ja właściwie mam się w Urzędowie dowiadywać o Dębickich? Przecież szukamy Molnarów...

- Dębiccy to ich kuzyni ze strony ojca - wyjaśniła pośpiesznie Marta i niecierpliwie tupnęła nogą. - No, jedź w końcu, bo się spóźnisz!

- Ale skąd wy w ogóle... - zaczął Dorosz z uporem.

- Marek, proszę cię, dowiedz się jak najwięcej - przerwała mu Kasia, patrząc na niego z prośbą w oczach. - To dla mnie strasznie ważne - dodała żarliwie. - Jeśli ktoś może pomóc w udowodnieniu, że Dębiccy są powiązani z Molnarami, to tylko ty. Ty zawsze umiesz dokopać się prawdy.

Ogłupiały Dorosz wyprostował się mimo woli i, przygwożdżony blaskiem zielonych oczu, poczuł, że nie ma innego wyjścia, jak tylko rzucić Kasi pod nogi upragnione dowody. Mruknął coś pod nosem, zawinął się na pięcie i po chwili wszystkie usłyszały warkot odjeżdżającego samochodu.

- Kasieńko, nieźle sobie radzisz, jak na początkującą megierę - zachichotała Marta z satysfakcją i przysiadła z drugiej strony biurka, z uwagą przyglądając się pięknej zjawie. - No, nareszcie. Tyle się o was nasłuchiwałam od Kasi... Dlaczego jesteś sama?

Jedna z panien Molnar - nie miała pojęcia, która - przyglądała się jej wzrokiem lekko przyciszonym, a jej twarz miała wyraz niechęci pomieszanej z rezygnacją.

- Popatrzcie na mnie! - zażądała jękliwie po chwili milczenia. - Czy ja wyglądam na osobę niewykształconą?

- Ależ skąd! - uspokoiły ją jednocześnie Kasia i Marta.

- To dlaczego nie rozumiem niczego z tego, co przeczytałam? - zjawą spojrzała na nie zbolalym wzrokiem. - Widziałam te kolorowe obrazki w książce. Patrzyłam i nie rozumiałam, co widzę!

- Nie przejmuj się - Marta próbowała poklepać ją serdecznie po dłoni, ale jej palce przeszły na wylot przez przejrzystą rękę. - Och, przepraszam, zapomniałam... Domyślam się, że ty jesteś Zuzanna? - dojrzała potakujące kiwnięcie i kontynuowała pocieszająco: - Doskonale cię rozumiem. Strasznie dużo się zmieniło od twoich czasów. Przede wszystkim technicznie. Ja do tej pory nie rozumiem, na jakiej zasadzie działają różne rzeczy. Dobrze jeszcze, że umiem się niektórymi posługiwać... Kasiu, masz tę kawę? - odwróciła się do przyjaciółki. - Czeka nas długi babski posiad...

Po dwóch godzinach odpowiadania na pytania Zuzanny Marta poczuła, że zaschło jej w gardle, a w umyśle ma totalną pustkę. Natomiast panna Molnar zdecydowanie poweselała i nabrała wigoru.

- Kiedy będę mogła zobaczyć te wszystkie wynalazki? - zapytała niecierpliwie.

- Jeden już masz prawie opanowany - Marta niemrawo wskazała na komputer. - Przywiozłam kilka płyt, to sobie potem spokojnie obejrzyjecie i bardziej wam się rozjaśni.

- A co na nich jest? - zainteresowała się Kasia, patrząc na przyjaciółkę z prawie cielecym uwielbieniem.

- Różne rzeczy... Kasia, daj jakiejś wody albo co! - zażądała Marta rozpaczliwie. - Ojca znajomy ma bzika na punkcie najnowszej historii. Wybłągałam od niego na parę godzin kupę płyt i spróbowałam to zmieścić na kilku. Najważniejsze wydarzenia ostatnich lat... Dzięki - łąpczywie przytknęła do ust kubek z wodą.

Nagle obok Zuzanny zmaterializowała się identyczna postać, która z rozmarzonym westchnieniem położyła na biurku zniszczony tomik. Zaskoczona Marta zakrzuszyła się wodą i Kasia na wszelki wypadek rąbnęła ją w plecy.

- Katarzyno! - jęknęła Marta, kiedy udało się jej jako tako dojść do siebie. - Opanuj się! Mam trochę misterniejszą budowę niż ty!

- Kim jesteś? - zainteresowała się Marianna, siadając na parapecie okna.

- Przyjaciółką Kasi. Nazywam się Marta Artymowicz i właśnie przywiozłam wam kolejną porcję materiałów pomocniczych... A ty musisz być Marianną?

- Nie wiem, czy muszę, ale jestem - zjawa wyniośle skinęła głową. - Ile masz lat? Ty też pracujesz?

- Marianno! - sapnęła Zuzanna z irytacją.

- W porządku - Marta uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Mam trzydzieści jeden lat, męża, dwoje dzieci i, owszem, pracuję. Z zawodu jestem pielęgniarką, ale zajmuję się również medycyną alternatywną. Znęcam się głównie nad rodziną i znajomymi. A mój mąż sprzedaje komputery.

- Od dawna jesteś mężatką? - badała Marianna.

- Od... czekaj... sześciu lat. Syn ma cztery lata, córeczka rok - Marta zastanawiała się, do czego zmierza panna Molnar.

- To i tak późno wyszłaś za mąż - westchnęła z ubolewaniem Marianna. - No, ale przynajmniej wyszłaś... Widzisz, moja Kasiu - dodała pouczająco - gdybyś żyła za naszych czasów, uznano by cię już za starą pannę. Nie jesteś już najmłodsza, nie masz na co czekać...

- Marianno! - wrzasnęła Zuzanna ze złością i cisnęła w stronę siostry podniszczoną książeczką. Marianna uniosła rękę i tomik opadł na podłogę, nim miał szansę rozbić szybę. - Zachowujesz się dokładnie jak ciotka Teodora! Oprzytomniej! Czasy się zmieniły! Wiesz, że Polak był papieżem?

- Naprawdę? - zdziwiła się Marianna bez szczególnego przejęcia. - To miłe... Czy ten mężczyzna, który tu tak często przychodzi, to twój narzeczony? - spojrzała na Kasię przenikliwie. - Jeśli nie, to musisz bardziej się postarać...

- Przeciwnie! - warknęła Kasia, zła, że jej życie osobiste stało się przedmiotem ogólnej dyskusji. - Chcę, żeby to on się postarał... O ile się nie mylę, za twoich czasów dziewczyny też nie oświadczały się chłopakom!

- Ale umiały doprowadzić do ich oświadczeń - odbiła piłeczkę Marianna.

- Zostaw ją w spokoju! - zażądała gniewnie Zuzanna. - Piękna Helena się znalazła! Przepraszam cię, Kasiu. Moja siostra zawsze była głupia. Panicznie się bała, że zostanie starą panną i dlatego dała się omotać Franciszkowi...

- Ja?! - w głosie Marianny dźwięczała wyniosła obraza. - Omotać?! Był mną zauroczony! Oczu nie mógł oderwać!

- Ręk też - prychnęła Zuzanna pogardliwie. - Taki był zauroczony, że mu się zachciało tych uroków podwójnie...

- Jesteś podła! - jęknęła jej siostra ze łzami w oczach i, gnąc się jak złamana lilia, zniknęła.

- No i dobrze - mruknęła pod nosem Zuzanna, wzruszywszy ramionami. - Przynajmniej będziemy mogły porozmawiać.

- Odbiłaś jej faceta? - zainteresowała się Marta, która z uwagą słuchała tej wymiany zdań. - To znaczy, odbiłaś jej narzeczonego? - poprawiła się, widząc lekką dezaprobatę na twarzy panny Molnar.

- Zaraz odbiłam - Zuzanna wzruszyła ramionami. - Pchała się do tego Franciszka, jakby był jedyny na świecie. Chciałam jej tylko pokazać, jaki z niego bawidamek. Długo by jej wierności nie dochował... Gdyby go jeszcze naprawdę kochała...

- To dlaczego... - Marta urwała zakłopotana, szukając odpowiedniego słowa.

- ...dała mu się zniewolić? - dokończyła Zuzanna. - Zawsze o wszystko rywalizowałyśmy. Marianna chciała być pierwsza, żeby potem móc się pysznić przede mną, że postąpiła niemoralnie. Kiedy się zorientowałam, zrobiłam to samo, zanim miała okazję. Nie musiałam go długo namawiać - dodała z przekąsem.

- I co? Jesteś z siebie zadowolona? - w głosie Kasi dźwięczała lekka uszczypliwość.

- Nie bardzo - Zuzanna westchnęła. - W romansach to wszystko jakoś inaczej wyglądało. W naturze było dość przykre. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że ciotka Teodora miała rację, kiedy mówiła o małżeńskich powinnościach. To ciężki obowiązek dla kobiety.

Marta spojrzała na nią z nagłym rozbawieniem i uśmiechnęła się szeroko.

- Wybaczam ci, Zuzanno, albowiem nie masz pojęcia, o czym mówisz. Kiedy jesteś z mężczyzną, którego kochasz i który tak samo kocha ciebie, nie ma mowy o obowiązku. Niebo się przed tobą otwiera i skrzydła ci rosną.

- Naprawdę? - panna Molnar popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę - zapewniła Marta.

- Naprawdę - westchnęła smętnie Kasia i natychmiast spłonęła rumieńcem.

- A! To ty też prowadzisz się niemoralnie - Marianna wbiła w nią zaintrygowany wzrok.
- Bo przecież nie jesteś mężatką... To ten, który tu przychodzi, tak? Ten Marek?

- Zuzanno, mamy dwudziesty pierwszy wiek - Marta usiłowała wybawić przyjaciółkę z opresji. - Pojęcie moralności mocno się zmieniło. Ślub nie zapewnia wiecznego szczęścia. Bywa, że ludzie mieszkają ze sobą bez żadnych przysięg i są o wiele szczęśliwsi niż ci, którzy się pobrali. Nie liczy się papierek. Ważne jest to, czego od siebie oczekują i co mogą sobie wzajemnie dać... Chociaż... Boję się, że ciemnogród wciąż nie wypuszcza oręża - westchnęła.
- Niektórzy ciągle chcą być bardziej święci niż papież...

- Powiedz mi... - Marianna zawahała się na chwilę. - Jak to jest: wszystko móc?

Kasia spojrzała na nią ze zdumieniem, ale Marta natychmiast zrozumiała, co gnębi pannę Molnar.

- Wiesz - zaczęła, zakłopotana - ja w zasadzie nie mam pojęcia, jak to jest: nic nie móc. Mogę sobie wyobrazić wasze czasy, ale... Charakter chyba by mi został, a nie znoszę zakazów i nakazów. Poza tym nie umiem spojrzeć na wasze czasy z waszej perspektywy. Nie czuję się głupsza od mężczyzn i nie widzę powodu, żeby ktoś mi narzucał swoją wolę. Skoro dobry Bóg obdarzył mnie rozumem, dlaczego miałabym z tego nie korzystać? - zamyśliła się na moment. - To rzeczywiście musiało być koszmarnie...

- Było - Zuzanna ożywiła się wyraźnie. - Ciotka Teodora udawała stateczną matronę, ale do papy czasem jej się trochę wyrwało. Pamiętam, jak mówiła, że za życia Damazego czuła się jak Kopciuszek. Wuj trzymał pieniądze przy sobie i każdy grosz obrócił dwa razy, nim go wydał. Był chorobliwie skąpy. Ciotka donaszała przerabiane stroje po jego pierwszej żonie. Lubił dobrze zjeść, a awanturował się, kiedy w niedziele dysponowała świąteczne obiady. I pamiętam, że na Gody i Wielkanoc zawsze przyjeżdżali do nas. Wuj mógł się bezkarnie obżerać nie za swoje... - westchnęła. - Wiesz, papa nas kochał. Naprawdę. Miał tylko

nas. Ale miałyśmy całkiem okazałe posagi i wymarzył sobie, że znajdzie nam mężów z herbami. I byłyśmy wyedukowane, bo papa nie skąpił na naukę. Skończyłyśmy pensję w Lublinie, znałyśmy języki. Gdybyśmy chciały wyjść za jakichś biedaków, to by nas wydziedziczył bez pardonu... Ciekawe, co się z tym wszystkim stało - głos jej zadrżał. - Po mamie został złoty medalion wysadzany opalami. To był ślubny dar od papy. W środku była miniatura. Często ją oglądałyśmy. Wydawało nam się wtedy, że mama jest z nami. Kłóciłyśmy się nieraz, bo każda z nas chciała go mieć dla siebie...

- Och, Zuzanno - Marta spojrzała na nią ze zrozumieniem. - Po tylu latach i dwóch wojnach po drodze nie liczyłabym, że jeszcze go kiedykolwiek zobaczysz. Rabunki były na porządku dziennym. Bursztynowej Komnaty dotąd nie znaleziono... Chociaż... Miałyście jakichś krewnych? Kogoś, komu ojciec mógł zapisać majątek?

- Nie - Zuzanna potrząsnęła ufryzowaną główką. - Byłyśmy tylko my. Ciotka Teodora nie miała dzieci, Damazy zmarł bezpotomnie, więc po niej też miałyśmy dziedziczyć. Papa się martwił, że nie ma syna, któremu mógłby przekazać nazwisko, ale po śmierci mamy nawet nie chciał słyszeć o powtórny ożenku. Byłyśmy ostatnie z Molnarów...

- Marek jest jak buldożer - pocieszyła ją Marta. - Będzie rył, dopóki czegoś nie znajdzie. Zobaczymy, czego się dowie w Urzędowie.

- Co to jest buldożer? - spytała zbita z tropu Zuzanna.

- O, kurczę... Czekaj... To taka maszyna do kopania w ziemi... Kasia, pomóż - zażądała Marta. - Poszukaj w Internecie buldożera...

Marek wracał z Urzędowa głodny i zły. Stracił kupę czasu i nie dowiedział się niczego poza tym, że faktycznie w Urzędowie egzystowała ongiś rodzina Dębickich, a ostatni jej członkowie: Damazy i Teodora, pochowani zostali na tamtejszym cmentarzu. Urzędowski proboszcz w niczym nie przypominał kontaktowego, życzliwego księdza Stanisława. Marek właściwie tylko swoim uporem zdołał od niego wydębić tę garstkę informacji, pchając mu przed oczy dziennikarską legitymację. Ksiądz z widoczną niechęcią zgodził się pogrzebać w księgach parafialnych, po czym wydusiwszy z siebie potwierdzenie pochówku, nerwowo zasłonił się brakiem czasu i zmusił Dorosza do skrócenia wizyty.

Marek, mając przed sobą proszące oczy Kasi, porzucił nadzieje na wielkie odkrycia na plebanii i udał się na cmentarz. Przeszedł cały wszerz i wzdłuż, ale nie natrafił na grób Dębickich. W końcu zniechęcony zapytał o nich jakąś babinę, która akurat zapalała znicze. Dłu-

go kombinowała, o jakich Dębickich mu chodzi, wymieniając z pamięci całe genealogie mieszkańców, ale o Damazym i Teodorze nie słyszała.

Zdeterminowany Dorosz zawrócił na rynek i wszedł do gospody. Wpadł mu w oko siedzący w kącie staruszek kiwający się nad kuflem piwa. Przysiadł się do niego, zamówił sobie colę, która okazała się obrzydliwie ciepła i delikatnie zaczął sondować jego wiedzę na temat dawnych mieszkańców. Starowina chętnie narzekał na ciężkie czasy, ale o żadnych Dębickich nie słyszał. Zrezygnowany Marek postanowił pojechać do Kasi i przyznać się do porażki.

W pracy jej nie zastał. Irmina powiedziała, że Kasia miała wpaść do „Rambo”, by dostarczyć szefowi raport o stanie prac. Dorosz bez namysłu pojechał za nią. Niestety, na miejscu dowiedział się, że dziewczyna już wyszła. Arni stwierdził, że może ją jeszcze złapać w starym lokalu fundacji, bo tam miał być Niciński. Andrzeja, owszem, zastał. Kasi już nie. Coraz bardziej zły, ruszył do starej dzielnicy, zwalniając przy przystanku. W końcu dotarł do jej mieszkania. Pukał i dzwonił, ale nikt nie otwierał. Tym razem poczuł niepokój. Wsiadł do samochodu i oparł dłonie na kierownicy, zastanawiając się, co powinien zrobić. Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to telefon do Marty. Spędziły razem całe przedpołudnie. Kto, jak kto, ale Marta z pewnością wie, gdzie podziała się Kasia. Przemknęło mu przez głowę, że jeszcze mu się nie przydarzyło, by wydzwaniał po znajomych w poszukiwaniu jakiegokolwiek istoty płci żeńskiej i poczuł w sobie odruchowy opór, ale podczas rozmowy z Martą szybko o tym zapomniał. Ta mała jędrza sprawiała wrażenie tak przejętej jego nieudanymi poszukiwaniami i tak przyjaznej, że Markowi natychmiast zapikało w głowie na alarm. Zgodził się przyjechać do Michałów, przychylnie przyjął ofertę nakarmienia, obiecując sobie na wszelki wypadek dokładnie obejrzeć każdą potrawę i wyciągnąć z Marty wszystkie sekrety.

Po drodze przypomniał sobie swoje wcześniejsze podejrzenia. Skąd one wiedziały w ogóle o tych Dębickich? Gdy rozmawiał z księdzem Pawłem, o żadnych Dębickich nie było mowy. Tu Kraśnik, tam Urzędów; co ma jedno do drugiego? Muszą obie wiedzieć więcej, niż mówią. Pytanie tylko: skąd? Już on wytrząśnie to z Marty. Albo niech mówią wszystko, albo niech same sobie szukają.

Zatrzymał się przed domem Artymowiczów i zły jak osa wszedł na podwórko. Aleks siedział na schodkach i bawił się zdalnie sterowanym samochodem. W wózku ustawionym pod drzewem spała Nela, a nad obojgiem czuwał Michał przeglądający w skupieniu jakieś pismo.

Do Marka nie przemówiła idylliczna scenka. Rozejrzał się dokoła, ale Marty nie zobaczył.

- Cześć, Marek - Michał podniósł się na jego widok i uściśnął dłoń kolegi. - Idź do kuchni. Marta czeka na ciebie.

Dorosł w milczeniu skinął głową i w dalszym ciągu zły jak cholera wszedł do domu. Zdążył już sobie ułożyć listę zarzutów, ale nie miał okazji jej przedstawić, bo Marta na jego widok odwróciła się od kuchenki i ze współczującym uśmiechem powiedziała:

- Siadaj, biedaku. Musisz być w kiepskim nastroju. Wiem, jak to jest, kiedy człowiek czuje, że wali głową w mur. No i pewnie jesteś straszliwie głodny - poklepała go przyjaźnie po ramieniu. - Zaraz cię nakarmię.

Wcale nie ułagodzony, już otwierał usta, by oznajmić jej, że nie da robić z siebie durnia, ale szybko postawiła przed nim talerz apetycznie pachnącej zupy i poczuł wilczy głód. Zapomniał o złości i skupił się na jedzeniu. Ledwo odłożył łyżkę, Marta podsunęła mu drugie danie. Marek nawet nie pomyślał o odmowie. Przyrumienione zachęcająco mięso pachniało ziołami, kolorowa surówka kusiała. Smakowało tak, jak wyglądało. Przyszło mu do głowy, że Michał jednak dobrze wiedział, co robi, kiedy zenił się z Martą.

Ale gdy na koniec postawiła przed nim talerzyk z ozdobionym owocami sernikiem na zimno, tknęło go podejrzenie.

- Próbujesz mnie ugłaskać? - spojrzał na dziewczynę spode łba.

- Ja? - Marta zrobiła minę urażonej niewinności. - A mam jakiś powód? Przecież nic ci nie zrobiłam. Nakarmienie bliźniego uważam za miłosierny uczynek, a nie pokutę.

- A napuszczanie bliźniego na podejrzone poszukiwania? - spytał Marek zgryźliwie, ale nie wytrzymał i sięgnął po sernik.

- Możecie przejść do pokoju - w drzwiach kuchni stanął Michał. - Dzieci są obok - dodał pośpiesznie, widząc niespokojne spojrzenie żony. - Nela się obudziła i zwabiła babcie Helenę, a dziadek natychmiast zaanektował Aleksa.

- Jeśli znowu mnie zapyta, dlaczego politycy się kłócą, wyślę go do ciebie! - zagroziła Marta niezadowolona. - Znowu mu dziadek namąci w głowie.

- Wyślij - zgodził się Michał z roztargnieniem i zahaczył wzrokiem o Markowy talerzyk. - Mnie się też należy deser w tym domu?

Marta prychnęła śmiechem i sięgnęła po sernik.

- W tym domu przede wszystkim tobie należy się deser. Ale wydawało mi się, że jeden już zjadłeś - podała mu talerzyk. - Nie chcę, żebyś za szybko wyhodował sobie brzuszek, panie A.

- Muszę się dobrze odżywiać - bronił się Michał. - Potrzebuję trochę więcej kalorii niż ty, żeby normalnie funkcjonować.

- Idźcie do pokoju, chłopaki. Zrobię wam coś do picia i zaraz dojdę.

Michał pokiwał głową, ruchem łyżeczki wskazał Markowi drzwi i Dorosz niechętnie poszedł za nim. Usiedli na kanapie przy ławie i w milczeniu oddali hołd zimnemu deserowi.

- Ale cię pasie - Marek spojrzał na zadowoloną minę kolegi i nie wytrzymał. - Zawsze tak masz, czy tylko wtedy jak ma nieczyste sumienie?

- A ma? - zainteresował się Michał. - Nie zauważyłem.

- Ma, ma - mruknął Dorosz zgryźliwie.

- Marek, nie obgaduj mnie za plecami - Marta weszła do pokoju, niosąc tacę z dzbankiem i szklankami. - Jak masz coś do mnie, to melduj od razu.

- Gdzie jest Kasia? Boi się, że ją namierzę i zażądam wyjaśnień? - w głosie Marka dźwięczała złość.

- Na jaki temat? - zainteresowała się Marta uprzejmie.

- Skąd wiedziałyście o tych Dębickich? Ksiądz nie wymienił takiego nazwiska - wbił w nią podejrzliwy wzrok. - A ten z Urzędowa tak się motał, jakby ukrywał tajemnicę stanu.

- Ciekawe... - Marta zadumała się na chwilę i coś jej przyszło do głowy. - Przedstawiłeś mu się? Powiedziałeś, że jesteś dziennikarzem? Wyjaśniłeś, dlaczego ich szukasz?

- Co miałem wyjaśniać? - Marek wzruszył ramionami. - Owszem, przedstawiłem się, pokazałem wizytówkę, ale nic nie mówiłem. Co miałem powiedzieć? Że interesują mnie Molnarowie, a szukam Dębickich? Przecież to się kupy nie trzyma.

- Ciekawe - powtórzyła Marta w zamyśleniu i pokręciła głową. - Podobno tamtejszy kościół nieźle się wzbogacił dzięki Dębickim. Może księżulo się przestraszył, że ktoś z rodziny zechce im to wydrzeć?

- Darowiznę sprzed wieków? - Marek popukał się w czoło. - Zapomnij, koleżanko. Kto teraz dojdzie, jak tam naprawdę było. A poza tym... Jeszcze nie słyszałem, żeby Kościół oddał to, co raz zdobył.

- Pewnie masz rację - zgodziła się Marta bez większego przekonania.

- Słuchaj, Pcheła - Dorosz groźnie wytknął palec w jej kierunku. - Przestań mnie zagadywać i mów, skąd wiecie o tych Dębickich. Kto to w ogóle jest dla tych Molnarów? Mówiłaś, że linia skończyła się na bliźniaczkach?

- Bo się skończyła. Marianna i Zuzanna były jedynymi dziećmi Stefana Molnara. Jego siostra, Teodora, wyszła za mąż za Damazego Dębickiego i osiadła w Urzędowie, gdzie jej mąż miał majątek. Też nie mieli dzieci - Marta zmarszczyła brwi. - Mogło być jeszcze tak, że po śmierci bliźniaczek Molnar zamieszkał u siostry...

- Skąd, do diabła, wiesz to wszystko?! - Marek gapił się na nią ze zdumieniem.

Marta przygryzła usta, spojrzała niepewnie na Michała, który odstawił talerzyk i patrzył na żonę wyczekująco, wróciła wzrokiem do kolegi i uśmiechnęła się niewinnie.

- Chyba wolałbyś nie wiedzieć. To nie twoje klimaty.

- Jeśli mam szukać, to chcę wiedzieć wszystko! - wkurzył się Marek. - Robicie sobie obie zabawę moim kosztem?

- Ja też wolałbym wiedzieć - odezwał się nagle Michał, zyskując tym dozgonną wdzięczność Dorosza.

Marta spojrzała na kolegę złym okiem, zastanowiła się przez chwilę i uznała, że najlepsza będzie prawda. Marek i tak nie uwierzy, a Michał nie będzie mógł mieć pretensji, że skłamała.

- No, dobra - westchnęła. - Wiemy to wszystko od Marianny i Zuzanny. Postaramy się dowiedzieć jak najwięcej, żeby ci ułatwić poszukiwania - dodała życzliwie.

- Aha - powiedział Marek inteligentnie i nagle dotarło do niego, co usłyszał. - Jasne - uśmiechnął się kpiąco. - Urządziłyście seans spirytystyczny i duchy powiedziały wam, czego macie szukać.

- Coś w tym rodzaju - zgodziła się Marta ostrożnie, usiłując nie patrzeć na męża.

- Cholera! - Marek podrapał się po głowie i z pretensją spojrzał na kamiennie milczącego Michała. - Ja pytam poważnie, a ona dowcipy sobie robi! Duchy jej powiedziały! A nie mówiły, kiedy będzie koniec świata? - spytał zgryźliwie. - Michał, człowieku, jak ty z nią wytrzymujesz? Powinni ci dać medal za cierpliwość!

- Przyzwyczailem się - odparł Michał z filozoficznym spokojem, ale jego oczy wbite w żonę mówiły, że przesłuchanie jej nie minie.

Marta westchnęła w duchu, a głośno zaproponowała:

- Pojadę z tobą jutro do Urzędowa. Może uda nam się znaleźć grób Dębickich.

- Nie ma sprawy - Marek spojrzał na nią ironicznie. - A jak już znajdziemy, zapytaj ich o bliźniaczki. W końcu to rodzina, powinni coś wiedzieć.

- Nie lubię cię czasami...

- Nie musisz. Powiedz mi tylko, gdzie jest Kasia i spadam.

- Nie mam pojęcia - Marta wzruszyła ramionami. - Nie jestem jej niańką.

- Dobra - Dorosz wstał. - Sam ją znajdę, ale masz u mnie krechę. Dopóki nie zaczęła się z tobą zadawać bliżej, to była całkiem normalna dziewczyna, a teraz... - machnął ręką z rezygnacją.

- Normalna? - Marta zerwała się i podeszła do niego, dźgając go palcem w pierś. - Co to znaczy: normalna? Że siedziała na tyłku i czekała na twoje telefony? Że szła z tobą na każde

twoje skinienie? Że o nic nie pytała, tylko grzecznie czekała na twoje rozkazy? To jest ta normalność? Ile razy ona cię o coś prosiła? - zaskoczony Marek cofał się z każdym kolejnym zdaniem. - Spełniłeś tę prośbę? Spytałeś kiedykolwiek o jej plany czy problemy? Co jej z siebie dałeś? I jakim prawem teraz śmiesz czegokolwiek się od niej domagać? - oczy Marty błyszczały gniewem. - Kasia zasługuje na kogoś lepszego niż ty!

Dorosz otworzył usta, zamknął je bez słowa, spojrzął na dziewczynę z dziwnym żalem i wyszedł bez pożegnania. Po chwili usłyszeli odjeżdżający samochód.

- Chyba przegięłaś, skarbie - Michał pokręcił głową.

- Wcale nie. Dopiero teraz stanie na głowie, żeby ją zdobyć. Przedtem mu się wydawało, że nie musi - w głosie żony był tryumf.

- Ty, oczywiście, wiesz, gdzie jest Kasia? - zainteresował się Michał.

- Nie wiem. Poradziłam jej tylko, żeby zniknęła Markowi z oczu, bo wiedziałam, że sobie nie poradzi z jego pytaniami.

- A propos pytań...

- Michał, muszę pójść po dzieci - przerwała mu pośpiesznie.

- Posłuchaj, kotku - podszedł do niej i ujął ją pod brodę. - Marka możesz nabierać, ile chcesz. Ze mną ci to nie wyjdzie. Chcę zrozumieć to, co powiedziałaś do niego, bo nie wiem, czy mi się to podoba...

- Przesłuchasz mnie wieczorem, dobrze? - spojrzała na niego przymilnie. - Teraz naprawdę muszę pójść po dzieci...

W Marku aż buzowało. Słowa Marty dotknęły go do żywego tym bardziej, że jego nie do końca czyste sumienie popiskiwało mniej więcej to samo. Człowiek musi się bronić - przekonywał sam siebie. - To normalny, odwieczny odruch. Raz się zakochasz jak głupi osioł i masz przechlapane przez całe życie. Najmądrzejsi są ci, co myślą racjonalnie. Partnerskie układy bez żadnych cyrografów... Mamy dwudziesty pierwszy wiek, do cholery - wściekł się w duchu. - Kto mi zabroni żyć, jak chcę?... A Kasia też dobra - rozżalił się nagle. - Jak miała pretensje, mogła powiedzieć mnie, a nie latać do Marty... Dobra, Króliczku, sama chciałaś...

Skręcił w stronę „Rambo” i zaparkował przed kawiarnią.

Martę uratował przed przesłuchaniem telefon od Andrzeja. Michał zrobił dziwną minę, powiedział tylko krótkie: „Jasne”, popatrzył na żonę, która w skupieniu przeglądała książkę o ziołach i westchnął.

- Andrzej wysłała po mnie Stasia. Marek wylądował w jego kawiarni i próbuje leczyć rany alkoholem...

- Głupi głupek - mruknęła Marta z dezaprobatą. - Ja mu nie kazałam pić, tylko zastanowić się nad sobą.

- Wiem - Michał znowu westchnął. - Chyba ta kuracja wstrząsowa, którą mu zaserwowałam, za mocno podziałała - podniósł się z kanapy niechętnie. - Tym razem ci się upiekło, Marta, ale jutro porozmawiamy. Nie czekaj na mnie, wezmę klucz. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę...

- Nie czekaj! - fuknęła, ukrywając ulgę. - Przecież wiesz, że ciekawość mnie rozniesie.

- Uważaj, skarbie, żeby ta ciekawość nie zawiodła cię za daleko - powiedział Michał ostrzegawczo i ucałował ją szybko, bo usłyszał trąbienie Stasia.

Andrzej akurat siedział w kawiarni i przeglądał miesięczne rachunki, kiedy rozległo się pukanie i wszedł Arni.

- Szefie - zaczął niepewnie - chyba mamy problem...

- Co się dzieje? - Niciński rzucił okiem na monitor, ale niczego odbiegającego od normy nie dostrzegł.

- Nasz redaktor ma chyba strasznego doła, bo nieźle wlewa. Stasio mówi, że przyjechał swoim wozem, ledwie się trzyma, a dalej pije... Już drugą godzinę tak siedzi... No i tego... - Arni niepewnie przestąpił z nogi na nogę. - Krysia mówiła, żeby powiedzieć szefowi...

- Dorosz? - Andrzej ze zdziwieniem uniósł brwi. - Gdzie siedzi?

- Przy barze...

Niciński wcisnął jakiś przycisk i na ekranie monitora pojawił się kiwający się nad kieliszkiem Marek. Minę miał taką, jakby przed chwilą wrócił z pogrzebu.

- Dobra - zdecydował Andrzej z westchnieniem. - Zaraz go stamtąd zabiorę.

Kiedy Arni wyszedł, Rambo zadzwonił najpierw do domu, by uprzedzić Oleńkę, że wróci później, a potem po namyśle do Michała. Wezwał Stasia, kazał mu jechać po Artymowicza, a sam przeszedł do kawiarnianej sali.

- Witaj, redaktorze - usiadł obok chwiejącego się Dorosza i skinął na barmana, który natychmiast podsunął mu szklaneczkę z tonikiem. - Co to za stypa? Wylali cię z roboty?

Marek przeniósł na niego nieco zamglone spojrzenie, przez chwilę myślał intensywnie i wreszcie w jego oczach mignął błysk rozpoznania. Niezdarnie poklepał Nicińskiego po ramieniu i konfidencjonalnie, acz mocno niewyraźnie powiedział:

- Rambo, nigdy nie zro... zrozumiem, dlaczego Pan Bóg wymyślił... że na... na świecie potrzebne są ba... baby...

- Masz szczęście, przyjacielu, że Malutka cię nie słyszy - Andrzej uśmiechnął się z zabawieniem. - Widzę, że ktoś cię niezłe przydepnął. Nie martw się. Od tego się nie umiera.

- Malutka... - powtórzył Marek bełkotliwie i wykrzywił się paskudnie. - To j... jest czyista... złośliwość w ma... malutkim o... opakowaniu... Ona j... jest najgorsza ze... ze wszystkich... Za M... Michała - uniósł kieliszek w pijackim toaście. - To t... taki fajny ch... chłopak - rozrzewnił się - i m... musiał trafić a... akurat na nią...

- Nie słyszałem, żeby się skarżył - zauważył Andrzej pobłaźliwie.

- A w... wiesz, k... kto j... jest mądry? - Dorosz wytknął palec w kierunku barmana. - R... Ryba jest mą... dry... Geniusz j... jest... Kawaler, bbo po co mu b... baba?

- No wiesz, parę zastosowań by się znalazło - Rambo powstrzymał uśmiech. - Która ci tak nadepnęła na serce?

- Baby! - Marek postawił kieliszek, rozchlapując resztę wódki. - Takie n... niewinne... ci... cichutkie... króliczki t... takie... A tu kły - pokazał ręką rozmiary. - W... wampiry takie... I s... serce masz w st... szczę... w kawalkach...

Poprzytykał się z Kasią - odgadł Andrzej i dał barmanowi dyskretny znak. Mirek ukradkiem napełnił Markowy kieliszek wodą mineralną.

- Chciałem się n... napić k... koniaku - tłumaczył bełkotliwie Dorosz, tuląc się tkliwie do ramienia Nicińskiego. - A... ale r... rozumiesz... szkoda na b... baby... W... wódka w... wystarczy, n... nie?

- Co się dzieje, Andrzej? - za nimi rozległ się głos Michała. - O, rany boskie! Marek! Zabierzmy go stąd, zanim spadnie z tego stołka...

- M... Michał... k... kochany... P...po cco ci bbyła t... ta jędza...

- O czym on gada? - Artymowicz złapał kolegę pod ramię, bo Marek giął się jak trzcina na wietrze. - Weź go z drugiej strony... Do ciebie? - spojrzał pytająco na Andrzeja.

- Do mnie... Zdaje się, że Malutka go dopadła i wygłosiła przemówienie, bo nie może się oderwać od tematu - Rambo bez wysiłku poderwał pana redaktora do pionu i we trzech przeszli na zaplecze. - Mam wrażenie, że poszło o Kasię.

- A t... taki bbył k... króliczek... A t... teraz mmnie n... nie chce... - mamrotał Dorosz, przebijając nieporadnie nogami. - Nie dam się! - wrzasnął nagle. - N... nasi g... górą!

- Dobra, dobra - Andrzej posadził go w fotelu i wcisnął przycisk. - Krysiu, dzbanek mocnej kawy do mnie... Napijesz się czegoś, Michał?

- Wlej mi koniaku - Artymowicz z troską patrzył na kolegę. - Ale się zaprawił...

- N... nie pij k... koniaku - pouczył go Marek bełkotliwie. - N... nie warto... P... pamiętasz wtedy... Jjak Marta cię n... nie chciała? N... nie chcę ttak wyglądać - chwycił Michała za kurtkę. - M... miałaś rację... Nnie da się u...upić nna amen... - puścił go i uderzył się w piersi. - Ttu ją m... mam... Z... zamykam oczy... kkrę-ci się, a... ona ttu j... jest... Bbiedny Maciek - westchnął rozdzierająco. - Bbarman... j... jeszcze jeden! - przytknął palcami.

- Już się robi, redaktorze - Andrzej wlał do szklaneczki toniku i postawił przed Markiem. - Trzeba go doprowadzić do stanu używalności i odstawić do domu - powiedział do Michała. - Wiesz, gdzie mieszka?

- A w... wiesz, cco mnie b... boli? - Dorosz potoczył wokół maślanym wzrokiem. - T... ta wiedźma mmiała r... rację... T... trzymałem K... Kasię nna dystans... N... nie chciałem, jak ttty i Mmaciek...

- Napij się, Marek - Michał pocieszająco poklepał go po ramieniu i westchnął. - Wiem, gdzie mieszka... Cholera, zastanawiałem się zawsze, co on cierpi do Marty...

- A cierpi? - zainteresował się Andrzej.

- Na studniówce Marta nawet na mnie nie spojrzała. Uznałem, że zaprzepaściłem wszystkie szanse, poszliśmy do warsztatu Tomka i spiłem się, jak Marek dzisiaj - wyznał Artymowicz. - Z kolei na zjeździe w liceum Maciek był pod kreską przez Beatę. Widocznie Maruś wbił sobie do głowy, że tak jest zawsze, gdy się trafi na dziewczynę... Marta miała rację, że on się po prostu boi...

- B... baby są straszne - zapewnił go Dorosz z pijackim uporem.

Do gabinetu wsunęła się cichutko Krysia, postawiła na ławie dzbanek z kawą, obrzuciła dziennikarza zatroskanym spojrzeniem i wyszła bez słowa.

- Zmienimy asortyment, redaktorze - Andrzej sięgnął po szklanę i nalał do niej parującej kawy. - Spróbuj tego. Tylko się nie oblej, bo będziesz miał gorsze kłopoty niż masz teraz... Wiesz - popatrzył na Michała z nagłym zamyśleniem - w zasadzie wszyscy robimy to samo.

- Narzekamy na baby? - prychnął Artymowicz.

- Nie... Dotarło do mnie teraz, że każdy z nas, kiedy próbuje o czymś zapomnieć, sięga po butelkę. Malutka kiedyś przekonywała mnie, że kobiety są od nas silniejsze i właściwie jestem skłonny przyznać jej rację...

- Nie tak szybko - zaprotestował Michał. - One mają inne możliwości odreagowania. Mogą się wyplakać. Nam od pokoleń powtarzano: nie rycz, boś nie baba. To co nam zostaje?

- N... nigdy się nnie ożenię - oznajmił donośnie Dorosz. - Zawsze będę k... kawalerem... Baby ssą p... podstępne... Najpierw r... robiąttak... - przewrócił oczami. - A p... potem... kaputt... rozmazują... cz... człowieka ppo asfalcie...

- Dosyć obrazowe - mruknął Rambo z rozbawieniem. - Nie jest tak źle, redaktorze. Jeszcze całkiem nie polegliśmy... Michał, co się właściwie dzisiaj stało, że tak go zmogło?

- Kasia bała się, że zacznie jej zadawać niewygodne pytania i gdzieś przywarowała, a Marek uznał, że to Marta ją podpuściła - Artymowicz upił łyk koniaku.

- Wydawało mi się, że Kasia myśli o nim poważnie - zdziwił się Niciński.

- Chyba myśli. Ale chodziło o dworek. Obie z Martą napuściły Marka na zrobienie programu o Molnarach, ale...

- Zaraz - przerwał mu Andrzej, marszcząc brwi. - O czym ty mówisz? Co dworek ma z tym wspólnego?

Michał obejrzał się na Dorosza, który sennie kiwał się nad szklanką kawy i westchnął. Opowiedział Andrzejowi wszystko, co słyszał od Marty, a na koniec przytoczył to, co mówiła przy Marku.

- I co? O nic jej nie pytałeś?

- Nie zdążyłem, bo zadzwoniłeś - wyznał Michał ponuro. - Ale zapytam, nie martw się.

- Przy mnie chodziły na ten cmentarz - mruknął Niciński zamyślony i pokręcił głową. - Wolałbym wiedzieć, co w trawie piszczy... Myślisz, że ona rzeczywiście mówiła prawdę? Nie wygłupiała się, żeby go rozzłościć?

- Mówiła prawdę - oświadczył stanowczo Michał. - Znam ją. Opowiadałem ci, że Marcie przydarzają się różne dziwne rzeczy. Ale tym razem... Przycisnę ją, żeby mi wszystko powiedziała. Jutro.

- Poczekaj na mnie - zażądał Rambo. - Chcę wiedzieć, co się dzieje we dworku. To wszystko jest nieprawdopodobne. Daj mi znać, o której mogę wpaść.

- Dlaczego nie zapytasz Kasi?

- Nic mi nie powie - skrzywił się Andrzej. - Za każdym razem, kiedy z nią rozmawiam, odnoszę wrażenie, że czeka tylko, aż jej coś wytknę...

- K... Kasia... - rozrzewnił się nagle Dorosz. - K... Kró-liczku... - poderwał głowę i w oczach błysnęła mu głęboka uraza. - R... rude ssą f... fałszywe... U... uśmiecha ssie... a ppo-tem... na g... glebę...

Niciński zatrzymał się przed domem Artymowiczów, wysiadł z samochodu i oparł się o furtkę, obserwując z przyjemnością rodzinną scenkę: na schodkach werandy siedziała Marta pochylona nad dużą miską zielonych strączków, obok niej Aleks i Nela. Synek pracowicie pomagał matce wyłuskiwać zielone kuleczki, które z hałasem wpadały do drugiej miski, a najmłodsza latorośl obejmowała rodzicielkę za nogę i zachłannie wpatrywała się w jej twarz. Marta śpiewała na cały głos piosenkę o przepióreczce. Wtórowała jej siedząca na płocie bratanica, Alicja. Ona pierwsza dostrzegła przybysza.

- Ciociu! - krzyknęła ostrzegawczo. - Mamy publiczność! Wujek Andrzej przyjechał!

Marta urwała w pół słowa i poderwała głowę znad miski, patrząc na Nicińskiego ze zdziwieniem.

- Stało się coś? Co tu robisz o tej porze?

Nela, której nie przypadła do gustu ta nagła przerwa, najpierw ryknęła płaczem, a potem dojrzała Andrzeja. Łzy natychmiast obeschły, dziecko niepewnie stanęło na nóżki i zabawnie podrygując ruszyło w jego stronę.

- A kogóż my tu widzimy? - Rambo pośpiesznie wszedł na podwórko i chwycił małą na rękę, unosząc wysoko do góry. - No, widzę, że za parę lat będziesz miała spustoszenie w męskich sercach, panienko - uśmiechnął się, kiedy zapiszczała z radości.

- Już sieje - Marta stęknęła i podniosła się ze schodków. - Każdego faceta w rodzinie powala na kolana uśmiechem. Rozpuścili ją jak dziadowski bicz... Alicjo, słonko, zanieście to z Alekssem do kuchni... Przyjechałeś do Michała? To musisz poczekać - podeszła do gościa i odebrała protestującą córkę. - Spokój, moja droga. Choć przez chwilę bądź damą... Pojechał do Marka oddać mu klucze i sprawdzić, czy żyje... Napijesz się czegoś? Śniadanie jadłeś?

- Tusia! - z podwórka obok dobiegł głos czujnej pani Heleny, która akurat wyglądała przez okno i zobaczyła, że córka ma gościa. - Daj mi Nelę, zajmę się nią. A dla Alicji i Aleksa mam robotę. Przebiorą mi kaszę do obiadu... Dzień dobry, panie Andrzeju - wyciągnęła rękę po wnuczkę i skinęła na pozostałą dwójkę. - Chodźcie, kopciuszeki...

Niciński z rozbawieniem przyglądał się, jak Alicja i Aleks zwinnie przechodzą przez płot dzielący posesje, a potem przeniósł wzrok na Martę.

- Mają to w genach. A co z tobą? Zdarza ci się jeszcze skracać drogę, Malutka?

- Cóż - wzruszyła ramionami i spojrzała na niego wyniośle. - Jestem dorosłą, poważną kobietą, żoną i matką, której jednakże zdarza się czasem, że się śpieszy... Chodź do domu. Napijemy się kawy, zanim Michał przyjedzie...

W Markowy sen wdarł się nieprzyjemny dźwięk. Dorosz zamamrotał protestująco i machnął ręką, usiłując go odpędzić, ale nie pomogło. Usiadł gwałtownie na łóżku i jęknął. Objął dłońmi głowę, bo miał wrażenie, że odpadnie mu za chwilę. Przenikliwy odgłos nie znikał. Marek rozejrzał się nieprzytomnie i wreszcie dotarło do niego, że dochodzi z leżącej na podłodze komórki. Niezdarnie podniósł ją, odczekał moment, aż przestanie mu łomotać w głowie, oblizał spierzchnięte usta i wcisnął przycisk.

- Dorosz, słucham - głos, jaki wydobył się z jego krtani, przypominał skrzek zarzynanego koguta i lekko go przeraził.

- Cześć, Marek. Żyjesz? To pozbieraj się do kupy, bo zaraz do ciebie wpadnę - po intensywnym namyśle Marek rozpoznał Michała. - Mam twoje klucze. Podejrzewam, że mogą ci się przydać... Na razie...

Klucze... Jakie klucze? Co mnie obchodzą jakieś klucze? - pomyślał Dorosz z pretensją. - Taki sen miałem... Westchnął z zalem i poczłapał do łazienki, przypominając sobie po drodze szczegóły. Nie pamiętał dokładnie, co mu się śniło, ale główną rolę grała Kasia. Patrzyła mu w oczy z oddaniem i była taka...

Marek nagle spojrzął w lustro i zdrętwiał. Zaciśnął powieki, otworzył je ostrożnie, ale widok, niestety, nie uległ zmianie. Z lustra patrzył na niego mocno sterany życiem osobnik z imponująco rozczochranymi włosami, o przekrwionych oczach i poszarzałej cerze. Przełknął głośno ślinę i poczuł, że wszystko woła w nim o łyk wody. Z obrzydzeniem zdarł z siebie nieświeże ubranie, wziął prysznic, umył się, ogolił z wielką ostrożnością, bo ręce mu się trochę trzęsły i wrócił do sypialni, by się ubrać. Kiedy Michał zadzwonił do drzwi, był wprawdzie daleki od ideału, ale przynajmniej przypominał człowieka.

- Cześć, Marek - Artymowicz od razu podał mu pęk kluczy, który piastował w ręku. - Weź, bo zapomnę potem... Jak się czujesz? - obrzucił kolegę krytycznym okiem. - Wyglądało, że będzie gorzej... Dobra. Jadłeś coś? Tak myślałem - mruknął, kiedy Marek z obrzydzeniem pokręcił głową. - Masz - podał mu termos, który wydobył z siatki. - Marta ci przesyła żurek. Powinien być jeszcze gorący... Gdzie jest kuchnia?

Zaskoczony tą troskliwością Dorosz zaprowadził kolegę do kuchni. Michał sięgnął po pierwszy z brzegu kubek, napełnił go parującym barszczem i podał koledze. Z kieszeni wytrząsnął kartonik z tabletkami.

- To Alka-Prim - wyjaśnił. - Wypij żurek, potem weźmiesz ten cud medycyny i poczujesz się jak nowo narodzony.

- Co ona tam dodała? - Marek podejrzliwie powąchał zawartość kubka. - Arszeniku? - spróbował łyk i stwierdził, że ma cudownie kwaśny smak.

- Odczep się wreszcie od Marty, Marek - powiedział Michał niecierpliwie. - Wszystko ci się pomieszało. Wcale nie było tak, jak sobie wymyśliłeś...

- Czy ja coś mówię? - wymamrotał Dorosz, usiłując sobie przypomnieć, jak to się stało, że Michał miał przy sobie jego klucze i co się wczoraj działo. Ostatnie, co pamiętał, to przytulne wnętrze kawiarni. - Skąd się tu wziąłeś? - zapytał podejrzliwie. - I skąd Marta wiedziała, że mam kaca?

- Co pamiętasz? - Michał przysiadł obok.

- Byłem u was - powiedział Marek niepewnie. - Ta twoja wiedźma się do mnie przyczepiła. Potem... Potem pojechałem do „Rambo”... Cholera, co ja zrobiłem z samochodem? Nie pamiętam, żebym...

- Został na parkingu przy kawiarni - przerwał mu Michał miłosiernie. - Pamiętasz, co było dalej?

- Chyba... Chyba trochę wypilem... Zaraz, skąd masz moje klucze?

- Trochę! - prychnął Michał. - Andrzej po mnie zadzwonił i wyciągnęliśmy cię z sali, bo ledwie trzymałeś się na nogach. Próbował cię otrzeźwić kawą, ale padłeś mu na fotelu, więc odstawiliśmy cię do domu. Zamknąłem drzwi wejściowe, bo ty nie byłeś w stanie, a klucze zabrałem ze sobą... No i co ci strzeliło do głowy? Warto było? Upiłeś się, bo ci się nie spodobało to, co Marta powiedziała?

- I kto to mówi? - warknął Dorosz z urazą. - Zapomniałeś, jak...

- Marek, wszystko ci się poplątało! - powiedział z naciskiem Artymowicz. - Byłem młody, głupi i pewny siebie. Na litość boską, miałem dziewiętnaście lat! To nie była wina Marty. Nie powiedziałem jej, że ją kocham, tylko od razu postawiłem na to, że będzie zazdrośna o Sylwię i zrozumie, jaki jestem dla niej ważny - westchnął. - Sam sobie wszystko skopałem, bez jej udziału i niech to wreszcie do ciebie dotrze!

- Dotrze, dotrze... - wymamrotał Marek pod nosem, napił się żurku i zaatakował: - Wiesz, jaką miałeś wtedy minę? Jak skazaniec! Zapytaj Maćka, obaj cię odprowadzaliśmy. Prawie się bałem, że coś sobie zrobisz.

- Miałem na to ochotę - przyznał Michał. - Miałem ochotę urwać sobie głowę i walić nią w mur, żeby wybić z niej głupotę... Marek, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdybym wtedy powiedział Marcie, co do niej czuję. Przestań wreszcie cierpieć za mnie! To dlatego się nie żenisz z Kasią? Bo się boisz, że cię odrzuci?

- Cholera! Boję się, że mnie nie zechce! - wrzasnął Dorosz i złapał się za głowę, bo ten krzyk wyraźnie jej się nie spodobał. - Jezu...

- Masz - Michał wrzucił tabletkę do szklanki z wodą mineralną i podał mu. - A jak cię zechce, to co?

- To będę miał przechlapane jak wy wszyscy - mruknął Marek ponuro. - Nawet Rambo dał się omotać... Robią z wami, co chcą, a was to cieszy... Dzieciaki, pieluchy, obowiązki... - wstrząsnął się z obrzydzeniem.

- Rany boskie, Marek - westchnął Michał. - Naprawdę uważasz, że dzieje się nam krzywda? To był nasz wybór, nikt nas do niczego nie zmuszał. A dzieci... Wiesz, nigdy mnie specjalnie nie obchodziły, ale swoje to zupełnie co innego - zamyślił się na chwilę i uśmiechnął. - To niesamowite uczucie, kiedy po raz pierwszy bierzesz na ręce takiego malucha i uświadamiasz sobie, że to ty przyczyniłeś się do jego urodzin. Parę nieprzespanych nocy nic nie znaczy... Masz dziwnie skrzywione spojrzenie na życie we dwoje...

- We dwoje? - prychnął Dorosz ironicznie. - Gdybym chciał być szeregowcem, to poszedłbym do wojska!

Artymowicz nie wytrzymał i parsknął na cały głos.

- Marek, my też czasem wydajemy komendy. Małżeństwo jest jak zaprzęg. Żeby równo ciągnąć, trzeba się dogadać. Wierz mi, to nie takie trudne - poklepał kolegę po ramieniu. - A o wiele przyjemniej jest wracać do domu, w którym ktoś na nas czeka. Zresztą, co ty porównujesz. Ja i Andrzej mamy obok siebie dwa żywioły. Ciebie przy Kasi czeka spokojna przystań.

- Szkoda, że nie widziałeś, jak załatwiła tego złodzieja - mruknął Marek.

- Boisz się, że ci kiedyś dołoży? - zapytał kpiąco Michał. - Wypracuj sobie taktykę i będziesz miał spokój.

- Wy tak robicie? - zainteresował się Dorosz.

- Nie wiem, jak Andrzej, ale ja, owszem... Co mi przypomina - spojrzął na zegarek - że powinienem już być w domu. Muszę coś załatwić.

Marta usadziła gościa w fotelu i wypytała o całą rodzinę. Nie widziała Oleńki od tygodnia, bo przyjaciółka zamykała gabinet na lipiec i sierpień. Obie były z tego zadowolone, ponieważ całe wakacje mogły poświęcić dzieciom, przy czym pani doktor wychodziło to zdecydowanie lepiej. Martą szarpały wyrzuty sumienia, że wykrada czas dla dzieci na sprawy zna-

jomych, ale nie potrafiła odmówić. Zresztą, prawdę powiedziawszy, lubiła to urozmaicenie wokół siebie, a obie pary dziadków wręcz biły się o wnuki.

- Podobno podpuściłaś Dorosza, żeby zrobił reportaż na własną rękę - powiedział Andrzej zmienacka. - Rzeczywiście myślisz, że wyjdzie poza Kraśnik?

Po plecach Marty przeleciał niepokojący dreszcz, ale zignorowała go i spokojnie odparła:

- A dlaczego nie? Głupi nie jest i lubi to, co robi, a jak go temat wciągnie, umie zrobić naprawdę ciekawy program. Niech próbuje. Świat się nie zawali, jeśli mu nie wyjdzie.

- A co to za temat? - zainteresował się Niciński. W umyśle Marty zapaliło się ostrzegawcze światełko, kiedy przyjrzała mu się spod oka. Wyglądał absolutnie niewinnie, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pytanie nie zostało zadane ot, tak sobie. Z pozornym ożywieniem, niczego po sobie nie pokazując, zaczęła opowiadać o odkryciu na cmentarzu i fascynacji tajemniczymi lokatorkami grobu. Kiedy usłyszała głos wracającego Michała, poczuła prawdziwą ulgę. Poderwała się pospiesznie z kanapy, gotowa do wyjścia, i rzuciła w stronę męża:

- Och, dobrze, że jesteś. Andrzej ma coś do ciebie. Pogadajcie sobie spokojnie, a ja pójdę za płot. Później mi opowiesz, co z Markiem.

Michał chwycił ją wpół, zanim zdążyła się wymknąć, zawrócił do pokoju i z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie tak szybko, koziołku. Mieliśmy porozmawiać.

- Teraz? - zaprotestowała z widocznym popłochem. - Ale...

- Ja też chętnie posłucham, Malutka - Rambo poprawił się na kanapie i spojrzał na nią wyczekująco.

- Cholera! - stanęła na środku pokoju z zawziętą miną i rzuciła im złe spojrzenie. - Dwóch na jednego? Co to ma być? Przesłuchanie pierwszego stopnia? Mam sobie poszukać adwokata?

- Myślę, że nie będzie tak źle, o ile powiesz nam całą prawdę - uspokoił ją Michał i usiadł obok Andrzeja.

- Bo jak nie, to co? - rozzłościła się Marta. - Zakujecie mnie w kajdanki? Czy podłączycie do wrywacza kłamstw? Uprzedzam, że boję się prądu!

- Nie - Andrzej powstrzymał uśmiech. - Przyciśniemy Kasię.

- Przyciśnięcie... Cholera - Marta opadła na drugą kanapę i popatrzyła na obu z głęboką urazą. - Bandyci... Czulaam, że mnie dzisiaj spotka od was coś złego... Inkwizytorzy cholerni... No, dobra... O co wam chodzi?

- Powiedziałaś - zaczął Michał z namysłem - że chcecie dowiedzieć się jak najwięcej o Molnarach. Od księdza wiecie o bliźniaczkach: Mariannie i Zuzannie. A wczoraj powiedziałaś do Marka, że to Marianna i Zuzanna powiedziały wam o Dębickich... To co to znaczy? To, co myślę?

- Skąd mam wiedzieć, co myślisz? - burknęła nieprzyjaźnie Marta. - Strasznie dużo tych „powiedziałam”... A mówiła babcia, że najprościej jest trzymać język za zębami... Przyjmijmy, że to znaczy to, co myślisz. I co z tego?

- Zaraz, zaraz, Malutka - Niciński popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Czy ty chcesz powiedzieć, że rozmawiałaś z osobami, które zmarły dwa wieki temu?

Marta z rezygnacją skinęła głową.

- Jak to możliwe? - Andrzej pochylił się i wbił w nią przenikliwy wzrok.

- One wciąż tam są - wyznała ponuro Marta. - Nie wiem, dlaczego, choć mogę się domyślać...

Przez chwilę w pokoju panowała idealna cisza. Obaj panowie wyraźnie usiłowali oswoić się z tym, co usłyszeli. Michałowi przyszło to łatwiej, bo od dawna był oswojony z dziwnymi wybrykami małżonki,

- Spotkałaś je we dworku? - zapytał z napięciem. - Czy wtedy na cmentarzu?

- Co ty! Na cmentarzu była z nami Oleńka. Narobiłaby wrzasku na oba Kraśniki - prychnęła Marta. - One mieszkają w dworku. Już za pierwszym razem, kiedy tam byłam, wydawało mi się, że wyczuwam czyjąś obecność. Kasia też to mówiła. To ona pierwsza... Trochę się przestraszyła...

- Ta cholerna mysz! - powiedział nagle słuchający z uwagą Andrzej. - Byliśmy tam we trzech, kiedy wpadła do dużej sali. Wyglądała, jakby zobaczyła... ducha - dokończył niepewnie. - W biały dzień? - popatrzył bezradnie na Michała.

- Nikogo wtedy nie zobaczyła - Marta wzruszyła ramionami. - Zuzanna postanowiła się ujawnić i skorzystała w tym celu z komputera. Kasia się przeraziła, bo już wcześniej obie miałyśmy wrażenie, że ktoś nas obserwuje... Chyba też miałabym stracha, gdyby mnie to spotkało tak zniecka - przyznała.

- I co było dalej? - zapytał Michał niecierpliwie, nie odrywając oczu od żony.

- Miałyśmy to zrobić razem, ale akurat wtedy dziadek skręcił nogę i nie mogłam... Aż mnie skręcało z ciekawości - zignorowała potępiający wzrok męża i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. - Na szczęście Kasia do mnie zadzwoniła. Też użyła komputera i okazało się, że one są strasznie ciekawe, jak to teraz jest w Polsce, bo po Napoleonie właściwie mają czarną dziurę...

- I kto im wytłumaczył? - w głosie Artymowicza zadźwięczało rozbawienie.

- Ja - wyznała Marta z ciężkim westchnieniem. - Nie miałam pojęcia, że to może być takie trudne. Wolę nie myśleć, co by było, gdybym spotkała ducha z epoki kamienia łupanego... No, a potem - ciągnęła - Marek mnie zawiózł i mogłam je wreszcie zobaczyć na własne oczy...

- Widziałas je, Malutka? - Andrzej patrzył na nią z napięciem. - I Kasia też?

- Tak, jak ciebie teraz - zapewniła Marta. - Są rzeczywiście identyczne, ale wystarczy, że się odezwą, a łatwo je rozróżnić - ożywiła się wyraźnie, zapominając o urazie. - Marianna jest...

- Wy je widzicie i słyszycie?! - widać było, że Niciński próbuje pogodzić się z tymi rewelacjami i nie jest w stanie. - Chcesz powiedzieć, że na lokal fundacji wybrałem miejsce, w którym straszycie?! Księża o tym wiedzieli? Weronika o tym wie?

- Nie! - Marta prawie podskoczyła na kanapie. - Ksiądz Stanisław to bardzo uczciwy człowiek! Nie ma o tym pojęcia, a Nika... Nawet gdyby zobaczyła je na własne oczy, pewnie powiedziała, że to nieprawda. Ona wierzy tylko w słowo pisane - wydeła usta z dezaprobatą. - I nie mów, że one straszą! - rozłościła się. - To prawdziwe damy, nawet jeżeli są tylko córkami złotnika!

- Dobrze - Andrzej odetchnął głęboko i stanowczo zażądał: - Pojedziesz ze mną. Chcę je zobaczyć.

Marta rozparła się wygodnie na kanapie, założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się po błazliwie.

- Nic z tego, mój wielki bracie. Mogą je widzieć tylko istoty płci żeńskiej, czego obie bardzo żałują... Ale może to i dobrze - zastanowiła się nagle. - One są bardzo ładne. Lepiej nie kusić licha.

Rambo milczał przez chwilę, wreszcie rzucił jej podejrzliwe spojrzenie i z wahaniem zapytał:

- Malutka, jesteś pewna, że to wszystko to nie jakiś... psikus twojej wyobraźni?

Oczy Marty pociemniały z oburzenia, ale zanim zdążyła zareagować, obserwujący ją uważnie Michał powiedział stanowczo:

- Ja jestem pewien.

Marta złagodniała, rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Andrzeja. Wyglądał jak człowiek, który odkrywa nagle coś, czego nie jest w stanie zrozumieć i zaakceptować. Myślała przez chwilę intensywnie, wreszcie spokojnie powiedziała:

- Zanim zarzucisz mi kłamstwo czy bujną wyobraźnię, posłuchaj, co ci powiem. Do tej pory mówiłam o tym tylko Przemkowi, bo jest księdzem i dziadkowi Aleksandrowi. Nawet Michałowi się nie przyznałam... Bardzo trudno mówić o takich sprawach - dodała przeprasza-
jąco. - Kiedy rodziłam Aleksa, przeżyłam śmierć kliniczną - Michał i Andrzej znieruchomieli, wbijając w nią oczy. - Było prawie tak, jak w tych wszystkich opisach - zapatrzyła się przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Najpierw zobaczyłam Oleńkę z Alekssem w rękach i siebie na stole operacyjnym. Nie czułam strachu ani bólu, byłam po prostu zaskoczona i... chyba zaciekawiona. Potem znalazłam się w naszej sypialni - Michał wstrzymał oddech. - Widzia-
łam Michała i dokładnie wiedziałam, co czuje. A potem... Potem zobaczyłam światło i coś poniosło mnie w jego kierunku. Znalazłam się w jakimś pięknym miejscu... Było tak... Chcia-
łam tam zostać - wyznała szczerze. - Miałam wrażenie, jakbym wróciła do domu... Ale mię-
dzy mną a tym miejscem była niewidzialna ściana, której nie potrafiłam przekroczyć. Pamię-
tam, że płakałam, tak bardzo chciałam się tam dostać - westchnęła. - I wtedy za tą ścianą zo-
baczyłam swojego dziadka i twoją babcie, Michał. Znałam ją tylko z fotografii, ale od razu wiedziałam, że to ona. Byli oboje tacy... promieniejący, uśmiechnięci, machali do mnie... A
potem... Nie wiem, mam wrażenie, że ten głos odezwał się gdzieś we mnie, w mojej głowie...
Wiedziałam, że to dziadek do mnie mówi. Powiedział... Powiedział, że to jeszcze nie mój
czas. Że jeszcze nie dopełniłam swojego zobowiązania. Że to tylko przypomnienie, czego się
podjęłam i żebym się już nie wahała... A Nela... Uśmiechnęła się i pokazała mi małe świateł-
ko, które trzymała w dłoniach... Ona czeka na ciebie - powiedziała. - Urodzisz jeszcze có-
reczkę. Masz dużo do zrobienia... No i wróciłam... - uniosła głowę i spojrzała na nich dziwnie
świetlistym wzrokiem. - Inaczej się patrzy na świat i ludzi, kiedy się wie, że na śmierć też
trzeba sobie zapracować. Od tamtej pory wiem, że dostałam dar, który może pomóc innym.
Nauczyłam się samodzielnie przyrządzać olejki, ale przy masażu posługuję się też własną
energiją. Trochę to trwało, zanim zrozumiałam, jak ją kontrolować. Jeśli się wystarczająco
mocno skupię, widzę ludzką aurę. Nie mam problemów, żeby rozpoznać, kiedy ktoś kłamie...
Ale najważniejsze, czego się nauczyłam, to by nigdy nikogo nie oceniać. I was też o to pro-
szę. Nikomu nie powtarzajcie tego, co wam powiedziałam i nie szufladkujcie mnie tylko dla-
tego, że wydaję się wam inna. Jestem taka sama, jak wy, może tylko trochę inaczej patrzę na
świat...

Obaj patrzyli na nią w milczeniu. W oczach Andrzeja było oszołomienie, niepewność i
dziwna ulga. Marta natychmiast odgadła, że pomyślał o swojej zmarłej matce i uśmiechnęła
się do niego ze zrozumieniem, kiwając głową potakująco.

- Malutka, jesteś... - zabrakło mu słów.

- Wiem - powiedziała ze śmiechem.

Oczy Michała wyraźnie mówiły, że święcie wierzy w każde jej słowo i jest z niej dumny. Poczła ulgę i wdzięczność.

- Ale mówiłaś, że Kasia też... - przypomniał sobie nagle Niciński.

- Zgadza się - przerwała mu. - Kasia też je widzi. Kiedyś podobno widziała je zakonnica, która wzięła je za diabła. Mówiły, że mogą je zobaczyć tylko kobiety, więc... Czekaj! - Marcie błysnęły oczy. - Mam pomysł! Naprawdę chciałbyś je zobaczyć?

- Naprawdę - Andrzej zawiesił na niej wyczekujący wzrok.

- Porozmawiam z nimi i poproszę Ewunię, żeby je sportretowała! - oznajmiła Marta tryumfalnie. - Na pewno się zgodzi... A teraz opowiem wam, czego jeszcze się o nich dowiedziałyśmy...

Kiedy po godzinie Rambo opuszczał dom Artymowiczów, Marta przytrzymała go na chwilę.

- Andrzej, wiem, że jesteś dyskretny, ale... proszę cię, nie mów nikomu o tym, co ci powiedziałam. Nawet Oleńce - patrzyła na niego zakłopotana. - To nie jest miłe, kiedy ludzie patrzą na ciebie jak na cudaka...

- Masz moje słowo, Malutka - poklepał ją po dłoni. - I bardzo ci dziękuję, że dopuściłaś mnie do tajemnicy.

- A miałam wyjście? - fuknęła, odzyskując humor. - Czułam się, jakbym stała pomiędzy dwoma czołgami, które mnie zgmiotą za chwilę... A, i nie mów Kasi, że wiesz, dobrze? Będę cię informować na bieżąco.

- Nie powiem - przyrzekł; pożegnał się i odjechał.

- A teraz, panie A., ja przesłucham ciebie i może ci wybaczę, że powiedziałaś wszystko Rambo - Marta skinęła na męża. - Chodź. Powiesz mi, co tam u Marka...

Andrzej miał wcześniej zamiar wrócić prosto do domu po wizycie u Artymowiczów, ale rozmowa z Martą wstrząsnęła nim na tyle, że postanowił poukładać sobie wszystko w zaciszu swojego gabinetu. Dlatego pojechał do kawiarni, zapowiedział, żeby mu nie przeszkadzać i rozsiadł się za biurkiem z papierosem.

Wyrzucił na razie z umysłu sprawę duchów zamieszkujących dworek i skupił się na tym, co Marta mówiła o sobie. Przywołał w myślach jej drobną postać, jej zachowanie, które tak często go bawiło i w żaden sposób nie umiał tego pogodzić z jej słowami. Nie wyglądała na jakąś szczególnie uduchowioną istotę. Przeciwnie, zadziorność i dziecinny upór, które cza-

sem prezentowała otoczeniu, nie pasowały do kogoś obdarzonego nadnaturalnymi zdolnościami. Zawsze mu się wydawało, że takie osoby są bardzo wyciszone, opanowane, refleksyjne. W Marcie nie było śladu wyciszenia, szła przez życie jak burza.

Przed oczami przesunęła mu się wychudzona twarz matki i pochylona nad nią ciemnowłosa, mała pielęgniarka z kojącym uśmiechem na ustach. Prawie usłyszał miękki, cichy głos Marty. I przypomniało mu się, jak Michał opowiadał, że wszystko, co działo się na dyżurze, przeżywała dopiero w domu. Sam musiał przyznać, że cenił w niej tę siłę i brak tego histerycznego, babskiego rozmazania. Ale w tym momencie, po tych rewelacjach, które dziś usłyszał, poczuł się z tym dziwnie niewygodnie. Jakby był gorszy. Z mimowolną ulgą pomyślał, że przynajmniej dla Olinki jest wystarczająco dobry. Jak Michał sobie z tym radzi? - zastanowił się. - Ja bym nie umiał... To o tym ona wtedy mówiła - olśniło go. - Dlatego uważała, że byłaby ze mną nieszczęśliwa... Ale czemu tak jej zależy na tajemnicy? Nigdy nie obchodziło jej ludzkie gadanie. Może rzeczywiście ciężko żyć z takim darem? Nikt nie lubi, kiedy ktoś wie o nim coś, co wolałby ukryć przed światem. Ja też...

Andrzejowi przypomniało się nagle przerażenie Marty, kiedy zaczynała się burza, a potem jej strach, gdy Olinka powiedziała jej o zatruciu ciążowym. Poczuł dziwną ulgę, bo rozumiał, że Malutka przeżywa stresy tak samo jak zwykli ludzie. Nie przyznałby się do tego nikomu, ale ten fakt wzmocnił nieco jego nadszarpnięte ego.

Kasia przysła do pracy wesolutka jak szczygiełek, bo wczorajsze popołudnie spędziła ze znajomymi ochroniarzami na strzelnicy policyjnej. W dalszym ciągu plasowała się w czółówce, a uznanie dawnych kolegów dobrze jej zrobiło na samopoczucie. Zajrzała do pomieszczeń fundacji Niki, pogadała chwilę z Irminą, fachowym już okiem obejrzała postępy prac i poszła do swojego pokoju. Przy biurku urzędowała zapatrzona w ekran monitora Zuzanna.

- Cześć, Zuzanno - Kasia rzuciła torbę na stolik stojący w rogu i zajęła się parzeniem kawy, podśpiewując pod nosem.

- Jak mnie rozpoznałaś? - zainteresowała się panna Molnar, przerywając na chwilę fascynujące zajęcie.

- Marianna raczej nie pcha się do komputera - wyjaśniła Kasia pogodnie.

- No tak... Słuchaj, ten Internet to jest coś niesłychanego! - poprzedniego dnia Zuzanna została dokładnie poinstruowana, jak korzystać z sieci, bo obie z Martą uznały, że to najszybszy sposób, by przybliżyć jej dzisiejszy świat. - Obejrzałam sobie zdjęcia z całego świata, nie ruszając się z miejsca! Widziałam rakiety! I zdjęcia Księżycy!

Kasia usiadła naprzeciwko i z lekkim uśmiechem wysłuchiwała pełnych zachwytu okrzyków. Pomyślała, że ona pewnie zareagowałaby podobnie, gdyby role się odwróciły i nagle znalazłaby się w świecie Zuzanny. Też fascynowałoby ją wszystko. Co innego czytać o czymś, a co innego zobaczyć na własne oczy.

- Wy tłumacz mi - zażądała Zuzanna, marszcząc z namysłem brwi. - Przeczytałam o zamachach w Stanach Zjednoczonych. To jak to teraz jest? Kiedyś chrześcijanie organizowali krucjaty przeciwko niewiernym, a teraz jest odwrotnie?

- Nie. Teraz... Jakby ci to wyjaśnić... Te zamachy rzeczywiście organizują muzułmanie, ale ja bym ich nie nazwała niewiernymi. Przecież oni po prostu mają inne określenie, a Bóg pozostaje ten sam. W tej krucjacie, jak ją nazwałaś, wcale nie chodzi o religię. To nie Pan Bóg się obraża, tylko ludzie w Jego imieniu.

- No to o co?

- O co? O pieniądze, o wpływy, najprościej rzecz ujmując o władzę, o ten cholerny rząd dusz - westchnęła Kasia.

- Wiesz, czego wam zazdrościć? - Zuzanna pociągnęła w zamyśleniu ciemny pukiel. - Że możecie głośno mówić to, co myślicie. Wcale nie byłam głupsza od was, też miałam swoje zdanie na różne sprawy, ale trzymałam język za zębami, bo żaden mężczyzna nie chciałby się ze mną ożenić.

- Dlaczego?

- Bo panny miały umieć haftować, rysować, dobrze widziane były talenty muzyczne... Uczyłyśmy się zarządzania domem, umiałyśmy układać kwiaty do przystrojenia pokoiów... Marianna, dla przykładu, była wysoce uzdolniona artystycznie. Zdarzało się, że papa robił biżuterię wedle jej rysunków. Nikt o tym, oczywiście, nie wiedział i nie mogłaby w żaden sposób przejść pracowni po papie, bo była kobietą - Zuzanna westchnęła. - Mogłyśmy sobie czytywać poezję, dyskutować o książkach odpowiednich dla młodych panien, oczywiście, ale nie miałyśmy prawa zabierać głosu w poważnych sprawach, bo to już było źle widziane... No, mężatki mogły sobie pozwolić na pewne ekstrawagancje, ale panny najpierw musiały się sprzedać...

- Wiesz, to trochę... okropne, co mówisz - Kasia pokręciła głową. - Ale teraz jest chyba gorzej. Dziewczyny mogą wszystko i przesadzają w drugą stronę. Chodzą jak żywe reklamy własnych wdzięków... Wy wtedy musiałyście udawać głupsze od facetów, one niczego nie muszą. Są naprawdę głupie. Niektóre, żeby upolować tego wybranego, posuną się do wszystkiego... A prawda jest taka, że takich facetów, których rzeczywiście warto upolować, jest co-

raz mniej. Większość ma rozum ulokowany poniżej pasa, jak mawia Marta. I nie trzeba wielkiego wysiłku, żeby ich zachęcić... Może jednak ta wasza epoka nie była taka zła...

- Może... - Zuzanna zamyśliła się głęboko.

- Wiesz - zaczęła niepewnie Kasia - ty jesteś ciekawa naszych czasów, a ja chciałabym dowiedzieć się czegoś o waszych... Gdzie mieszkaliście?

- Zaraz za rynkiem. Naszą kamienicę nazywano Pod Wawrzynem, bo nad wejściem był wyrzeźbiony wieniec laurowy - Zuzanna podparła brodę rękami i w jej oczach błysnęła tęsknota. - Cała kamienica należała do papy. Na dole miał sklep i pracownię, na piętrze były jego prywatne pokoje, salon i jadalnia, a drugie piętro zajmowałyśmy my i najpierw nasza niania, a potem służące i guwernantki. Mimo sprzeciwu ciotki Teodory, która uważała, że poprzewraca nam się w głowach, skończyłyśmy pensję w Lublinie. Papa miał nadzieję, że łatwiej mu będzie wybrać nam odpowiednich mężów, jeśli będziemy miały wykształcenie przy dobrych posagach. Nie chciał, żebyśmy trafiły, jak ciotka Teodora. Nigdy nie przepadał za wujem Damazym.

Kasia słuchała z zajęciem, zapomniawszy o kawie.

- Mialiście w domu jakieś rozrywki?

- Różnie. Kiedy był post, musiałyśmy codziennie chodzić z ciotką, do kościoła - skrzywiła się Zuzanna. - Chciała, żeby wszyscy byli przekonani o naszej bogobożności. Czasem miałyśmy tego dosyć i, zamiast się modlić, przypominałyśmy sobie wszystkie ploteczki o dostojnych matronach zgromadzonych w kościele. Gdyby ciotka wiedziała... - uśmiechnęła się z satysfakcją. - Czasami papa pozwalał nam jeździć w odwiedziny do przyjaciółek z pensji. Rzadko, bo ciotka go buntowała i tylko za oficjalnym zaproszeniem. Bywałyśmy też na dożynkach w Urzędowie, bo ciotunia miała nadzieję, że wyda nas za któregoś sąsiada.

- A bale? - spytała Kasia niecierpliwie.

- No cóż - Zuzanna zrobiła kwaśną minę. - Bywałyśmy na balach urządzanych przez cech, a na jednym, w ułańskiej resursie, poznałyśmy Franciszka. Nie miałyśmy matki, więc jako najbliższa krewna matkowała nam cioteczka. Musiałyśmy staczać batalie, żeby pozwolono nam ubrać się tak, jak sobie zaplanowałyśmy. Ciotka uważała, że skoro jesteśmy bliźniaczkami, powinnyśmy nosić jednakowe stroje. Wyobrażasz sobie? Pokaż mi kobietę, która nie cierpi, gdy widzi na innej tę samą kreację. Na szczęście przekonaliśmy papę, że kawalerowie mogą się poczuć zaniepokojeni tą naszą podwójnością i zgodził się, byśmy ubierały się wedle naszego gustu. Postawił tylko warunek, że każdą toaletę mamy mu przedstawiać do akceptacji. Na szczęście był bardziej tolerancyjny niż ciotunia...

- Pamiętasz nasz miśnieński serwis na pięćdziesiąt osób? - za plecami Kasi rozległ się rozmarzony głos Marianny. - Ręcznie malowany, z monogramem A. S. M., pamiątka po *ma-man*. Dostała go w prezencie ślubnym od jakiejś bogatej kuzynki z Lublina, która wyszła za mąż za tamtejszego przemysłowca - Marianna westchnęła boleśnie. - Anna i Stefan Molnarowie... Miałyśmy kiedyś losować, która go dostanie. Ciotce się podobał, ale papa trzymał go dla nas...

- Do tej pory nawet skorupy po nim nie zostały - stwierdziła trzeźwo Zuzanna, ale oczy jej się zamgliły. - Po mamie został medalion, a na osiemnaste urodziny papa zrobił dla nas pierścionki z różowych pereł z piękną, złotą koronką. Też pewnie przepadły. A może ciotka je zabrała.? Była młodsza od papy o sześć lat, mogła po nim dziedziczyć...

- To pewnie zapisała wszystkim swojej parafii - mruknęła Marianna. - Chyba że ujawnili się jacyś dalsi krewni wujaszka... Naszej kamienicy też już pewnie nie ma - spojrzała pytająco na Kasię, podchodząc do okna.

- Nie wiem - odparła Kasia niepewnie. - Nigdy nie słyszałam o kamienicy Pod Wawrzynem. W którym miejscu stała?

- Powyżej rynku, w stronę dużego kościoła - Zuzanna skrzywiła się niechętnie. - Możemy ci wymienić, kto mieszkał obok, ale to się na nic nie zda. Po dwóch wojnach właściciele z pewnością się zmienili...

- A gdybyście tak spróbowały pokazać na planie miasta? - oczy Kasi błysnęły nadzieją.

- A skąd go weźmiemy? - zainteresowała się Zuzanna.

- Stąd! - Kasia podeszła do komputera. - Posuń się trochę, Zuzanno. Uprzedzam, że to będzie plan współczesnego Kraśnika, ale może rozpoznacie jakieś budynki, które stały za waszych czasów...

Marek postanowił unikać Kasi, dopóki nie podejmie jakiejś decyzji. Kiedy już doszedł do siebie dzięki troskliwości Michała, przemyślał uczciwie parę spraw i uznał, że ostatecznie Marta miała trochę racji. Kasia zasługiwała na kogoś lepszego. Ale w życiu nie ma tak, że człowiek zawsze dostaje to, co chce. Wszystkie znaki na niebie i ziemi, a także cokolwiek wytracone ze zwykłej równowagi uczuciowej serce Marka wskazywały na to, że przez resztę życia Kasia będzie męczyć się z nim. Nie to, żeby go pchało do małżeństwa. Po prostu za każdym razem, kiedy wyobrażał sobie, że jego miejsce u boku dziewczyny zajmuje inny facet, jego zęby same zaczynały zgrzytać. Powoli dochodził do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak ogłosić ewentualnym konkurentom, że obiekt jest już zajęty dożywotnio. A skoro

Kasia do pełnego szczęścia potrzebuje weselnych dzwonów, to już trudno. Będzie musiał jakoś to przeżyć.

Pogodziwszy się z nieuniknionym, Dorosz postanowił podnieść swoje notowania w oczach wybranki i rzucić jej do stóp jak najwięcej wiadomości o tych cholernych Molnarach. Udało mu się wymigać od powtórnej wizyty na urzędowskim cmentarzu, o którą telefonicznie upomniwała się Marta. Zacisnął zęby i wyruszył na bój z kraśnicką biurokracją.

Telefon zadzwonił, kiedy zmordowany Marek pożerał właśnie sprokurowane naprędce kanapki, myśląc z zazdrością o Michale, któremu żona podtyka pod nos same delicje.

- Co się z tobą dzieje, Mareczku? - w słuchawce usłyszał zaniepokojony głos matki. - Dzwoniłam do telewizji, powiedzieli mi, że masz urlop. Nie pokazałeś się w domu od tygodnia...

- Mamo - przerwał te biadania, przetykając pośpiesznie pożywienie - w domu to ja właśnie jestem. Już sobie nie wyobrażaj Bóg wie czego. Owszem, mam urlop, ale jestem bardzo zajęty...

- Kiedy ją poznamy? - natychmiast zainteresowała się matka.

- Kogo? - Marek nierozważnie dał się wciągnąć w temat.

- Tę osobę, która zajmuje ci tyle czasu, że nie masz go dla rodziny - w głosie pani Doroszowej nie było wyrzutu, tylko nadzieja i ciekawość.

- O rany! - zdenerwował się jej potomek. - Ty znowu swoje. Jestem zajęty zawodowo...

- Przecież masz urlop...

- Słuchaj, mamo - Marek zazgrzytał zębami, aż iskry poszły. - Mam urlop, ale jestem zajęty. Nie będę ci teraz tego tłumaczył, bo nie mam siły. Cały dzień spędziłem na łożeniu po różnych miejscach. Jak znajdę chwilę, to wpadnę do was, OK?

- Powiedz kiedy, to ugotuję coś, co lubisz - poddała się matka.

- Uprzedzę was odpowiednio wcześniej. No to pa, pa - Marek pośpiesznie odłożył słuchawkę i odetchnął z ulgą, przewracając oczami.

Zdażył ugryźć następną kanapkę, kiedy telefon zadzwonił ponownie. Zaklął soczyście i niechętnie sięgnął po aparat.

- Dorosz, słucham - warknął do słuchawki, mając nadzieję, że ten ton skutecznie zniechęci rozmówcę.

- Marek? - w głosie Kasi było wyraźne wahanie. - Dzwonię nie w porę? Przepraszam, może jutro wpadniesz i pogadamy...

- Skąd! - Marek miał ochotę naprać się po gębie.

Cholera - pomyślał z obrzydzeniem - już na starcie musiałem coś spieprzyć. - Przepraszam, Króliczku, myślałem, że to znowu ktoś z domu...

- Rozmawiasz z nimi takim tonem? - zapytała Kasia z mimowolnym chłodem.

Houston, mamy problem - pomyślał rozpaczliwie Dorosz, przypominając sobie jej przywiązanie do własnej rodziny.

- Ależ nie! Ja tylko... Matka ostatnio zadaje mi zbyt dużo pytań - usiłował się wytłumaczyć, by zatrzeć złe wrażenie. - Chyba jej się wydaje, że wciąż mam kilka lat...

- A może po prostu martwi się o ciebie? - podpowiedziała Kasia oschle. - Zadzwoń, kiedy będziesz w lepszym hu...

- Kasia! Ja... Wiem, że się o mnie martwi. Ja tylko... Słuchaj, cały dzień spędziłem dzisiaj w Muzeum Ziemi Kraśnickiej, w Urzędzie Miasta i na plebanii - jęknął Marek bezradnie.

- Nie mam ochoty na roztrząsanie przez rodzinę mojego prywatnego życia... W porządku - dodał nieoczekiwanie dla samego siebie. - Jutro kupię kwiatki i pójde ją przeprosić, tylko nie mówmy już o tym, dobrze? Powiedz lepiej, dlaczego dzwonisz?

- Dowiedziałeś się czegoś? - Kasia porzuciła oschłość i w jej głosie zadźwięczała zachłanna ciekawość.

Marek odetchnął z ulgą, zapomniał, że jest strasznie głodny i zaczął jej opowiadać o swoich odkryciach. Kiedy po godzinie się zegnali, czuł się, jakby otrzymał najwyższe odznaczenie państwowe. Podziw Kasi dla jego dokonań sprawił, że zupełnie go nie zainteresował powód, dla którego każe mu zdobyć jak największą wiedzę na temat jakiejś starej kamienicy.

- Rozmawiałaś z nimi? - dopytywała, niecierpliwie Marta, drepcząc za Kasią do jej pokoju. - Nie mają nic przeciwko temu?

- A jak ci się wydaje? Przecież poznałaś Mariannę. Uważasz, że nie uszczęśliwiłaby jej możliwość posiadania własnego portretu?

- No tak - Marta uspokoiła się i zachichotała. - Może przeżyje fakt, że znajdzie się na nim również jej siostra... Chodź, Ewunia - obejrzała się na bratową, która szła za nimi z poślizgiwą miną. - Mam nadzieję, że docenią twój kunszt...

Kiedy weszły do środka, obie siostry stały przed biurkiem, popatrując wyczekująco na drzwi. Ewuni na ich widok błysnęły oczy.

- Cudowne! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - Suknie w stylu cesarstwa! Uczesanie z epoki! Wspaniale!

Siostry przyjrzały się jej z uwagą i przeniosły pytający wzrok na Martę. Ta westchnęła.

- Ewunia, przedstawiam ci panny Molnar: Zuzanna i Marianna. Kiedy nic nie mówią, nie wiem, która jest która. Opowiadałam ci o nich, więc nie dziw się tak strasznie. One po prostu są ubrane stosownie do epoki, w której przyszło im żyć... To - wskazała okrągłym ruchem na bratową - jest żona mojego brata. Maluje piękne akwarele i jestem pewna, że będziecie zachwycone waszym portretem.

- Ona chyba ci nie wierzy - odezwała się Zuzanna, patrząc na twarz Ewuni, na której widniała rozpaczliwa chęć zrozumienia sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Marta, to nie był żart? - zapytała słabiutko bratowa.

- Podaj mi rękę - zażądała stanowczo Marianna i wyciągnęła swoją.

Ewunia niepewnie wykonała polecenie i zbladła, widząc, jak jej dłoń przechodzi bez wysiłku przez rękę panny Molnar.

- Siadaj! - czujna Marta popchnęła ją na krzesło i skinęła na Kasię. - Daj jej wody... Ewunia, czy ty mnie w ogóle słuchałaś? Mówiłam ci przecież, że one tu mieszkają od tysiąc osiemset piętnastego roku.

- Myślałam, że się wygłupiasz - szepnęła cichutko bratowa i pośpiesznie upiła łyk ze szklanki podsunętej przez Kasię. - Twoja wyobraźnia... Przecież pamiętam, jakie bajki wymyślałaś dla Alicji... Myślałam, że chcesz po prostu, żebym sportretowała kogoś w stroju z epoki napoleońskiej i chcesz mnie wprowadzić w nastrój...

- No to chyba cię wprowadziłam - mruknęła Marta. - Przestań się bać. One nie zieją ogniem ani nie straszą.

- Ja się nie boję - zaprzeczyła Ewunia energicznie. - Ja tylko nie rozumiem, co się dzieje.

- Nie jesteś od rozumienia, tylko od malowania - zniecierpliwiła się Marta. - Obejrzyj sobie pomieszczenia i zdecyduj, gdzie będziesz miała najlepsze światło...

- A można... W dużej sali jest kominek... Może na jego tle? - zaproponowała nieśmiało Marianna, patrząc z respektem na malutką malarzkę.

Ewunia niepewnie skinęła głową i panny Molnar powiodły ją do sali kominkowej. Marta popatrzyła za nimi, machnęła ręką i opadła na krzesło.

- No, dobra. To melduj, co tam Marek odkrył - spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

- Razem z księdzem Pawłem znaleźli w kościelnych księgach wpis o zaślubinach Anny z Saczyńskich i Stefana Molnara. A w kronikach miejskich Marek znalazł zapis o ufundowaniu przez Stefana Molnara chorągwi cechowej. To było w tysiąc siedemset pięćdziesiątym czwartym roku, więc musi chodzić o któregoś z przodków Zuzanny i Marianny. Mówiły, że najstarszy syn w rodzinie zawsze nosił imię Stefan - Kasia nabrała tchu i rzuciła Marcie try-

umfalne spojrzenie. - A ja dowiedziałam się, gdzie mieszkali Molnarowie. Na podstawie planu miasta z grubsza ustaliłyśmy miejsce i dziś Marek ma sprawdzić, czy coś tam jeszcze stoi... A, w jednej z ksiąg ksiądz Paweł odkrył zapis o sporej sumie wpłaconej przez Teodorę Dębicką na msze wieczyste w intencji Stefana Molnara. Pod datą pierwszy listopada tysiąc osiemset dwudziesty... Jednak Teodora przeżyła brata...

- To ciekawe - mruknęła Marta z zastanowieniem. - Marek mówił, że od urzędowskiego proboszcza niczego nie mógł wydusić. Może Teodora rzeczywiście odziedziczyła majątek po bracie i zapisała go tamtejszemu kościołowi? Była jego jedyną krewną... Jak to zrobić, żeby dopaść tamtych ksiąg... Szkoda, że nie ma tu mojego kuzyna Przemka. On jest księdzem i ma dar przekonywania...

- Myślisz, że mogło się zachować coś po Molnarach? - spytała Kasia z powątpiewaniem i pokręciła głową. - Wiesz, mnie by do szczęścia wystarczyło, gdyby przetrwała kamienica. Może wtedy dotarłoby do mnie, że to wszystko jednak działo się naprawdę...

- Działo się, działo. Jest takie fajne powiedzenie: wszyscy stoimy na ramionach naszych przodków... Ciekawe, czy Marek coś znajdzie... Chodź, zobaczymy, jak Ewuni idzie malowanie...

Dorosz zajechał pod Sosnowy Dworek, czując się, jakby miał skrzydła u ramion. Gdzieś w środku mignęła mu myśl, że normalne dziewczyny jednak łatwiej uszczęśliwić. Kasia była pod tym względem dość nietypowa i fanaberyjna. Tym bardziej czuł się z siebie dumny.

Wszedł do dworku, pogwizdując pod nosem. Przez uchylone drzwi dużej sali dojrzał Ewunię wpatrującą się z natężeniem w kominek. Miała w dłoni szkicownik i od czasu do czasu mówiła coś półgłosem. Pomyślał, że widocznie Kasia namówiła ją do obejrzenia zabytku. Zatrzymał się na moment, spojrzał krytycznym okiem na odnowiony kominek i wzruszył ramionami. No, owszem. Niczego sobie, ale żeby zaraz rwać się do rysowania...

- Cześć, dziewczyny! - radosny jak skowronek wszedł do pokoju Kasi, rejestrując obecność Marty. Dobrze, dwie pochwały to lepiej niż jedna. - No, Króliczku, zasługuję na kawę - ogłosił, siadając obok lepszej połowy Artymowicza. - Wykonałem zadanie na piątkę z plusem. Wiem wszystko o tej twojej kamienicy.

- Co?! - Kasia aż podskoczyła, a jej oczy jeszcze bardziej pozieleniały z ciekawości. - Co wiesz?!

- Wszystko ci powiem, tylko, błagam, daj mi coś do picia!

Kasia, jak ukłuta szpilką, poderwała się, szukając szklanek. Marta rzuciła mu uważne spojrzenie, a ponieważ widać było, że bije od niego blask, wstała, podeszła do półki z ekspressem i po chwili postawiła przed Markiem jednorazową tackę z dużymi kawałkami owocowego placka.

- Masz - oznajmiła łaskawie. - Trochę na wyrost, bo jeszcze nie znam nowin, ale znaj moje dobre serce.

- Nie pożałujesz - zapewnił ją kolega, łapiąc natychmiast najbliższy kawałek. - Zasluguję na tort, nie tylko na placek.

- Na razie tylko dużo gęgasz - zgasiła go Marta. - Jak cię przesłuchamy, to pomyślę.

- Mów! - Kasia postawiła przed nim szklankę z kawą i wbiła w niego oczy.

Dorosz przelknął pośpiesznie, z żalem odłożył ciasto, posłodził kawę, przymknął oczy, by się skupić i zaczął mówić:

- Plac, który cię interesuje, w tysiąc sześćset czterdziestym piątym roku został kupiony przez niejakiego Stefana Molnara. Zbudowano na nim drewniany dom, który spłonął w tysiąc siedemset pięćdziesiątym trzecim w czasie pożaru miasta. Widocznie właścicielom nic się nie stało, bo już pięć lat później stanęła w tym miejscu murowana kamienica nazywana powszechnie Pod Wawrzynem od rzeźbienia na froncie. Właścicielem był znowu Stefan Molnar... - urwał i otworzył oczy. - Dziwne, nie? Jakiś Cagliostro, czy co?

- Nie - powiedziała Marta niecierpliwie. - Po prostu imię ojca przechodziło z pokolenia na pokolenie na najstarszego syna - dojrzała podejrzliwe spojrzenie kolegi i pośpiesznie dodała: - No, co się tak dziwisz? To była powszechna praktyka. Wiem od Maryli...

Z tym twierdzeniem Marek wolał nie polemizować. Ostatecznie to Maryla była nauczycielką historii, on zaś o niebo lepiej znał się na współczesności.

- W tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym roku - podjął opowieść - kamienica przeszła na własność niejakiej - zerknął do notatek - Teodory Dębickiej. Zdaje się, mówiłyście, że to ktoś z rodziny... W tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym roku w księgach jako właściciel figuruje już Karol Blumenfeld i w rękach tej rodziny kamienica pozostaje aż do czasu drugiej wojny. Zmieniają się tylko imiona właścicieli. Po wojnie budynek przechodzi na własność miasta i powoli niszczeje, bo mieszkania w nim są rotacyjne. W tym czasie w Kraśniku dużo się buduje, więc lokatorzy szybko przenoszą się na nowe osiedla, w związku z czym nikt nie zwraca sobie głowy remontami. Obecnie... Aha - Marek podniósł głowę znad notesu i popatrzył na obie dziewczyny - parę lat temu pojawił się podobno potomek Blumenfeldów, ale kiedy zobaczył to, co zostało z kamienicy, dał sobie spokój. Remont kosztowałby mają-

tek... Od dwóch miesięcy budynek czeka na rozbiórkę. Obejrzałem go sobie z ulicy. Faktycznie wygląda, jakby za chwilę miał się zawalić - zamilkł i upił ze szklanki łyk kawy.

- Marek, jesteś wielki - oznajmiła uroczyście Marta. - Odejmę od ust rodzinie i zrobię ci ten tort.

Dorosz zerknął ukradkiem na Kasię. Dziewczyna nic nie mówiła, ale jej oczy patrzyły na niego z takim podziwem, że Marek zapomniał o tortach. Marta spojrzała na nich, uśmiech przewinął się po jej ustach i żywo podniosła się z krzesła.

- Pójdę powiedzieć Zu... - ugryzła się w język w ostatniej chwili - ...Ewuni - dokończyła i pośpiesznie wyszła.

Ani Kasia, ani Marek nie zwrócili na to uwagi. Z oczu Kasi prócz podziwu, była wdzięczność, że poświęcił tyle czasu dla jej kaprysu i Dorosz gotów był patrzeć w nie do końca świata.

- Marta, czy ty się kiedyś włamywałaś? - zapytała Kasia beznadziejnie, bo od kilku dni osobista wizytacja dawnego miejsca zamieszkania sióstr nie dawała jej spokoju.

- Niestety nie i, możesz mi wierzyć, bardzo cierpię z tego powodu - w oczach przyjaciółki błysnęły iskierki zainteresowania. - Raz byłam świadkiem, jak Rambo włamywał się do Oleńki, ale nie chciał mi pokazać, jak to zrobił... A masz w planach coś ciekawego?

- Widziałam tę kamienicę z ulicy - wyznała Kasia melancholijnie. - Tak strasznie bym chciała wejść do środka.

- A co stoi na przeszkodzie? Zły strażnik czy zły pies?

- Jest ogrodzenie z siatki i wielkie tablice informujące, że obiekt grozi zawaleniem...

- Z siatki? - Marta poderwała się żywo z ławki, na której siedziała i zaczęła spacerować po chodniczku przed domem, marszcząc czoło. - Zawsze byłam dobra w znajdowaniu tej jedynej dziury w ogrodzeniu. Jak się dobrze poszuka, nie ma siły, żeby na coś nie trafić. Nie ma siatki bez dziur - ogłosiła stanowczo. - A drzwi albo okna tam jakieś są? Znaczący, domyślałam się, że są, chodzi mi o ich dostępność.

Michał, który słyszał tę rozmowę przez szeroko otwarte okno pokoju, zdrętwiał. Od razu wyobraził sobie, jak jego małżonka przełazi w środku nocy na teren tajemniczej posesji grożącej w dodatku zawaleniem. Z żalem pomyślał, że niepotrzebnie wywiózł dzieci do dziadków na tydzień. Marta zaczęła nagle dysponować przerażająco dużą ilością czasu, który usiłowała zużytkować, bywając głównie poza domem.

- Są - odparła Kasia z westchnieniem. - Teoretycznie zabite deskami, ale tak naprawdę to trzymają się chyba na słowo honoru. W drzwiach, w każdym razie, tych desek brakuje. Można się wcisnąć... Marianna mi narysowała plan całej kamienicy. Nawet, jeśli wszystko poprzerałoby, to się zorientuję, gdzie co było... Tylko najpierw trzeba tam wleźć...

- A czego ty właściwie szukasz? - zainteresowała się Marta.

Kasia milczała długą chwilę, wreszcie wzruszyła ramionami i powiedziała niepewnie:

- Niczego konkretnego. Przecież wiem, że po tylu latach nic nie miało prawa ocaleć. Ja tylko... No, pcha mnie coś, żeby wszystko zobaczyć na własne oczy...

- Bardzo dobry powód - pochwaliła Marta z przekonaniem. - Powiem ci, że po tym, co powiedziałaś, mnie też zaczyna pchać. Tylko musimy pomyśleć, jak to zrobić, żeby nas nie potraktowano jak złodziei w razie czego. Trzeba zrobić rekoniesans... Co tam jest naokoło?

- Naokoło to z jednej strony jest pusty plac po kamienicy, którą wcześniej wyburzono - w oczach Kasi błysnęła nadzieja - a z drugiej parkingi zaraz za nim park.

- A! To nie powinno być takie trudne - ożywiła się Marta. - Musimy tylko postarać się o transport, porządne latarki, wygodne, stare ciuchy, żeby nie było żal, jak się rozedrą...

- Marta! Litości! - w oknie stanął Michał, patrząc surowo na zaskoczoną żonę, która zupełnie zapomniała o jego obecności w domu. - Czyś ty oszalała? Kasia, myślałem, że jesteś rozsądniejsza... Jak myślicie, dlaczego teren jest zagrodzony? Bo to w każdej chwili może się zawalić! Prędzej was zwiążę, niż pozwolę na takie eskapady!

Kasia spojrzała na Martę nieszczęśliwym wzrokiem, speszona i pełna poczucia winy, ale Marta tylko ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami i w jej oczach mignął upór. Zobaczmy, panie A. - pomyślała pobłaźliwie.

- Masz i podziwiał - Marta podała Andrzejowi oprawiony w ramki obrazek i usiadła skromnie naprzeciwko biurka, zakładając nogę na nogę.

Rambo podsunął portrecik do oczu i wpatrzył się w niego zachłannie. Przez chwilę nic nie mówił, wreszcie oderwał się od kontemplacji i spojrzał na dziewczynę.

- Ewunia namalowała to, co widziała? - upewnił się. - Miałas rację. Są rzeczywiście... - starał się znaleźć odpowiednie słowo - ...urocze. Aż żal, że nie można ich zobaczyć.

- Kto nie może, ten nie może - Marta rzuciła mu wyniosłe spojrzenie. - Teraz już wiesz, że one naprawdę tam mieszkają?

- A mam wyjście? Zbiorowej halucynacji nie dam sobie wmówić - Andrzej z trudem oderwał wzrok od obrazka. - No i co? Dowiedziałyście się czegoś nowego? Staram się tam nawet nie bywać, żeby nie płoszyć Kasi.

- Owszem. Dowiedziałyśmy się nawet sporo... - Marta poprawiła się na krześle i opowiedziała mu ostatnie nowiny.

Słuchał z uwagą, a kiedy skończyła, popatrzył na nią przenikliwie i z namysłem powiedział:

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coś kombinujesz, Malutka.

- A, cholera! Już ci Michał nakablował! - w oczach Marty błysnęła złość.

- Ja też umiem wyciągać wnioski. Rozumiem, że nie ma sensu tłumaczyć ci, że to może być niebezpieczna wyprawa? - kiedy dojrzał upór na jej twarzy, westchnął. - A wiesz przynajmniej, co chcesz tam znaleźć?

- Nie wiem - odparła niecierpliwie. - Kasię tam pcha i mnie też. Przecież nie ukradnę tych cegieł czy starych desek! Chcę tylko popatrzeć!

Andrzej przypomniał sobie rozmowę z Michałem i stanowczo oznajmił:

- Popatrzysz pod warunkiem, że będziecie miały eskortę. W przeciwnym razie Kasię wyleję z roboty, a ciebie Michał zamknie w domu i każe pilnować matce.

- To szantaż! - Marta wściekła poderwała się z krzesła.

- Jeśli tak chcesz to nazwać... - zgodził się Rambo spokojnie, z rozbawieniem przyglądając się, jak miota się po gabinecie, mamrocząc pod nosem jakieś wyszukane inwektywy, a z jej oczu sypią się iskry.

- Naprawdę wylałbyś Kasię? - zatrzymała się nagle.

- Sprawdź - poradził i westchnął. - Zrobiłbym to z przykrością, ale wolałbym ją wylać, niż być odpowiedzialnym w razie, gdyby stała jej się krzywda, której mogłem zapobiec.

Marta myślała przez chwilę intensywnie, wreszcie z niechęcią skinęła głową.

- Powiedzmy, że się zgodzę - powiedziała podejrzliwie. - To kto ma być tą eskortą?

- Zgodzisz się na moją osobę?

- Dlaczego mam wrażenie, że na tobie się nie skończy? - podejrzliwość nie zniknęła z jej oczu.

Andrzej parsknął śmiechem i rozłożył ręce.

- Uważasz, że Michał zostanie w domu i będzie spokojnie czekał na twój powrót? Ja na jego miejscu też nie puściłbym żony samej.

- Żandarmeria domowa, psiakrew - wymamrotała Marta ze wstrętem. - I to już wszyscy?

- Będziecie miały do dyspozycji fachowca od włamań i specjalistę do tłumienia nadmiernych emocji. Myślę, że to wystarczy.

Marta zmarszczyła czoło i oznajmiła po namyśle:

- Dobra. Niech ci będzie. To jeszcze zamawiam specjalistę od mediów. Niech Marek też z nami idzie. Może, jak poczuje atmosferę, bardziej przejmie się tematem. No i niech trochę podba o Kasię - dodała z przekąsem.

- Mam wrażenie, że ci podpadł - Andrzej spojrzał na nią pytająco.

- Chcę zobaczyć, jak się zachowa w sytuacji ekstremalnej - uparła się Marta.

Kasia dotrzymywała towarzystwa Marcie, która przebierała się na górze na nocną eskapadę, a trzech panowie siedzieli w jadalni, omawiając ostatnie szczegóły. Właściwie mówił głównie Andrzej. Michał mu przytakiwał z pełną aprobatą, a Marek przyglądał im się z dość mieszanymi uczuciami.

- Co tak zaniemówiłeś? - zainteresował się wreszcie Artymowicz.

- Usiłuję zrozumieć, jak one to zrobiły, że zgodziliście się na tę szopkę - mruknął Dorosz. - Akurat was miałem za twardzieli... Rany, Michał, znamy się od lat, zawsze byłeś ten rozsądny!

- Dalej jestem - zapewnił go kolega. - Dlatego właśnie biorę w tym udział. Wiesz, co by było, gdyby polazły tam same?

- Pewnie na drugi dzień wpłacalibyśmy kaucję - podsunął Andrzej z rozbawieniem.

- Rozumiem Michała, w końcu to jego ślubna, ale ty? Dlaczego miałbyś płacić kaucję za Kasię? - Marek spojrzał na niego nieprzyjaźnie.

- Bo to moja pracownica - wyjaśnił Rambo spokojnie, powściągając uśmiech. - Nigdy nie zostawiam swoich ludzi w potrzebie.

- A dlaczego nie wziąłeś ze sobą Oleńki? - dociekał Dorosz podejrzliwie.

- Nie tylko nie wziąłem, ale nawet nie wspomniałem jej o tej eskapadzie. Olinka jest zbyt praworządna... Uprzedziłem, że późno wrócę. Powody jej nie interesowały...

- Aż tak ci wierzy? Przy twojej reputacji? - w głosie Marka zadźwięczała wyraźna złośliwość.

- Rzekłbym, że pogłoski o mojej reputacji są mocno przesadzone - odparł Niciński uprzejmie, ale rzucił mu takie spojrzenie, że Dorosz czym prędzej porzucił dywagacje na ten temat.

- Dajcie spokój, chłopaki - załagodził pośpiesznie Michał. - Ja też się denerwuję. Marta zawsze umiała mnie namówić na różne dziwne rzeczy, ale jeszcze nigdy nie włamywałem się w środku nocy do walącej się rudery. W dodatku nie wiadomo po co...

- To może być ciekawe doświadczenie - przyznał Rambo z zadumą. - Nie wiem, jak ty, ale ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że z tym „nie wiadomo po co” to nie do końca prawda...

- Myślisz, że...

- Jesteśmy gotowe - przerwała im Marta, wpadając z impetem do pokoju i ciągnąc za rękę speszoną Kasię. - Nie bój się, Katarzyno. Nie dam ci zrobić krzywdy... Andrzej, no powiedz jej coś, bo wpadła w panikę, jak cię zobaczyła - spojrzała nagląco na Nicińskiego.

- Nie jestem taki straszny, jak ludzie mówią - odezwał się z rozbawieniem Rambo, patrząc łagodnie na zaczerwienioną jak wiśnia Kasię. - Musiałem po prostu trochę postraszyć Malutką, żebyście obie nie palnęły głupstwa. Nie mam do ciebie żadnych pretensji, Kasiu. Jedyne, co mi doskwiera, to nadmiar odpowiedzialności. Lubię dbać o swoich ludzi.

Zanim Kasia zdążyła coś powiedzieć, Marta podskoczyła, prychnęła jak rozjuszona kotka i wycelowała w niego palec, jakby to był pistolet.

- Postraszyć?! Mnie?! Czy ja się kiedykolwiek ciebie bałam, do diabła?! - oczy jej pociemniały ze złości i trzech panowie spojrzeli na nią z nagłym zainteresowaniem. - Gdybyście nie byli mi potrzebni na wszelki wypadek, to żaden z was nie miałby bladego pojęcia, co zamierzamy! Ja po prostu jestem realistką!... Postraszyć! Akurat! - sapnęła resztką złości i wrzuciła ramionami. - Przydadcie się do pracy fizycznej w razie czego i to wszystko...

Uśmiechy na ich twarzach zniknęły od razu i pojawiła się na nich podejrzliwość.

- Jakiej pracy fizycznej, Malutka? - zapytał cicho Andrzej, bo Michałowi słowa zamarzyły na ustach.

- Powiedziałam: w razie czego - burknęła zła. - Lubię być przygotowana na wszelkie ewentualności... Dostyc tego. Już prawie północ, najwyższy czas jechać. Jazda, zbierajcie się... Trzej muszkietierowie, cholera...

Kasia obserwowała wybuch przyjaciółki szeroko otwartymi oczami i Marek pomyślał z ulgą, że i tak trafiło mu się lepiej niż Michałowi. Nie wyglądało na to, żeby dziewczyna miała predyspozycje do wydawania rozkazów.

Przy Marcie, która - choć najmniejsza z całego zgromadzenia - wprowadzała właśnie porządek według własnego widzimisię, Kasia rzeczywiście wyglądała jak przestraszony króliczek.

Wyszli po cichu z domu, poganiani półgłosem przez Martę, i wsiadali po kolei do czarnego rovera. Marek syknął niecierpliwie, bo dziewczyna zniecierpliwiona zawróciła pędem na podwórko, nadeptując mu na nogę.

- Cholera, znajdź sobie kogoś innego dla rozrywki! - warknął donośnym szeptem.

Marta nie zwróciła na niego żadnej uwagi. Sapiąc, dźwigała przed sobą wypchaną torbę. Podała ją siedzącemu z przodu mężowi i zwinnie wsunęła się na siedzenie obok Dorosza. Michał zajął podejrzliwie i poczuł, jak zamienia się w kamień. Nie wiadomo, jak długo kontemplowałby tak zawartość torby, gdyby nie Andrzej, który zdziwiony jego miną, zerknął do środka i głośno wciągnął powietrze. Marek siedzący z tyłu między dziewczynami mało nie wyskoczył ze skóry zaintrygowany, bo obaj mu zasłaniaли i nic nie widział.

- Malutka, po co ci łom? - zapytał wreszcie Niciński, kiedy udało mu się odzyskać głos.

- Skąd go w ogóle wzięłaś?

- Od Januszka - przyznała, się Marta bez oporów. - Z warsztatu. Poprosiłam Mariusza i przyniósł mi wieczorem. Jutro mu oddam.

- To jest odpowiedź na drugie pytanie - stwierdził Rambo sucho. - Co powiesz na pierwsze?

- Mówiłam, że lubię być przygotowana na wszelkie ewentualności - zdenerwowała się Marta. - To rudera. A jak coś się zawali i trzeba będzie się wydostać? Jakoś mi nie wyglądasz na buldożery... Może wcale się nie przyda - dodała pocieszająco. - Ale lepiej mieć niż nie mieć.

- Bardzo odkrywczе - mruknął Michał bez przekonania i rzucił Andrzejowi spojrzenie pod tytułem: nie wierzę w ani jedno słowo.

Rambo odczytał je prawidłowo, skinął głową i odwrócił się do tyłu.

- Wiesz, Malutka, bardzo nie lubię być wpuszczany w maliny - powiedział głosem jak aksamit. Marek i Kasia zdrętwieli, patrząc w popłochu na niewinną minę Marty. - Kłamiesz, aż ziemia jęczy. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zamknąć was obu w domu i pojechać sami...

- Chyba żartujesz! - Marta aż podskoczyła na siedzeniu. - Wylazłabym przez komin! I możesz być pewien, że do końca życia bym się do ciebie nie odezwała!

- Boże, co za kara - w oczach Nicińskiego błysnęły wesołe ogniki. - Masz pecha, Malutka. Już od dawna groźby na mnie nie działają.

- A proszby? - Marta momentalnie zmieniła taktykę. Rzuciła mu błagalne spojrzenie i złożyła ręce jak do modlitwy. - Andrzejku, nie rób mi tego. Wiesz, jakie to frustrujące, kiedy

między ludźmi muszę zachowywać się, jakbym miała te trzydzieści lat? Bo coś tam już nie wypada? Tak strasznie chciałam przeżyć tę małą przygodę. Nie odbieraj mi przyjemności.

Rambo patrzył na nią w milczeniu, przygryzając usta, by się nie uśmiechnąć, ale Marta uznała, że jeszcze go nie przekonała.

- Cholera, wiesz, jak cię lubię - powiedziała z pretensją. - Dlaczego musisz być taki wredny?

Tu już Andrzej nie wytrzymał. Parsknął śmiechem na cały głos. Kasia za nim.

- Komediantka! - prychnął Marek z niechętnym podziwem.

Tylko Michałowi nie było do śmiechu. Przyglądał się żonie ze zmarszczonymi brwiami, a w oczach miał wyraźny niepokój. Spojrzała na niego i uniosła dłoń jak do przysięgi.

- Będę was słuchała - przyrzekła z westchnieniem. - Choć to mi odbierze połowę przyjemności...

- Nie martw się, przyjacielu - Andrzej poklepał go uspokajająco po ramieniu. - Nie spuszczę jej z oka. Tak się składa, że ja też przywiązałem się do tego twojego małego czorta...

Przez całą drogę Marta burczała na Dorosza, że akurat musiał wleźć między nią a Kasię i nie da się przez niego normalnie rozmawiać. Marek bronił się, twierdząc, że gdyby nie latała po jakieś łomy, siedziałyby teraz obok przyjaciółki, bo on jest jednak dobrze wychowany i do samochodu wpuszcza najpierw kobiety. Nawet te, które nie całkiem mają poukładane pod sufitem, jak podkreślił złośliwie. Na szczęście Marta była zbyt zaabsorbowana czekającą ją przygodą i nie podjęła kłótni.

Andrzej starał się uspokoić Michała, który nie wyglądał na uszczęśliwionego tą nocną wycieczką. Wyjaśnił mu, że razem z Markiem obejrzeliby otoczenie kamienicy w ciągu dnia i nie widzi wielkich problemów, by dostać się do środka. Zgodnie z przypuszczeniami Marty w siatce, nieco na tyłach, znajdowała się dziura, przez którą z łatwością da się przejść na teren ogrodzonej posesji. Poza tym nie przypuszczał, by ich wizyta spowodowała jakiś kataklizm, o ile Malutkiej nie przyjdzie do głowy osobiste rozwalanie ścian łomem. Michał słuchał go z pewną ulgą, bo wiedział, że Niciński nigdy nie dopuści, by Marcie stała się krzywda, ale znał też możliwości swojej żony i nie potrafił tak do końca wyzbyć się obaw.

Andrzej zjechał na mały parking tuż obok pustego o tej porze parku. Wysypali się wszyscy z samochodu, starając się nie hałasować. Michał usiłował zapomnieć o złowrogiej torbie ze złodziejskimi narzędziami, ale Marta popatrzyła na niego wymownie, więc zabrał ją z westchnieniem.

Marek wziął za rękę Kasię, która aż dygotała z przejęcia i poprowadził całą czwórkę na tyły rozwalającego się domostwa do miejsca, gdzie wcześniej zlokalizowali dziurę.

W pobliżu nie było żywego ducha. Po kolei prześlizgnęli się przez dość duży otwór i podeszli do okna na parterze, w którym ziała dziura po wyrwanych deskach. Rambo dał znak ręką, by się zatrzymali, a sam, trzymając w zębach latarkę, przemknął do środka. Po chwili usłyszeli jego zduszony głos:

- Podaj mi rękę, Kasiu.

Dziewczyna bez słowa wspięła się ku otworowi i, wspomagana przez silną dłoń szefa, zniknęła we wnętrzu rudery. Michał podsadził żonę, a potem obaj z Markiem weszli do środka.

Andrzej omiół latarką pomieszczenie. Był to obszerny pokój pełen śmieci i walających się po kątach butelek. Na ścianach widniały ślady kucia i platy łuszczącej się farby.

- Tu był kiedyś sklep Molnara - zaszemrała Kasia. - Za tymi drzwiami powinna być dawna pracownia i wyjście na klatkę schodową.

- Skąd wiesz? - nie wytrzymał Marek.

- Od duchów - wtrąciła złośliwie Marta i Dorosz postanowił powściągnąć język, żeby jakoś przeżyć tę wyprawę.

Rambo poprowadził ich we wskazanym przez Kasię kierunku i rzeczywiście natknęli się na schody wiodące na piętro. Na wszelki wypadek polecił, by nie zbliżali się do poręczy, która może być przegniła, więc wszyscy przytulili się do ściany, ostrożnie idąc za nim na górę. W półmroku słychać było tylko ich przyśpieszone od emocji oddechy.

- Andrzej, tu, na lewo - Kasia z wrażenia zupełnie zapomniała, że czuje przed szefem straszliwy respekt i Rambo uśmiechnął się pod nosem. - To były pokoje Molnara. Dziewczęta mieszkały na górze...

Marek gryzł się w język, bo kotłowała się w nim masa pytań. Działo się coś, czego nie mógł pojąć. Kasia zachowywała się, jakby знаła ten dom, jak własną kieszeń. Proszę bardzo, szanowna wycieczko, tu był sklep, tu pracownia, tu pokoje pana... Co jest, do licha?

Marta puściła dłoń Michała, którą ścisnęła kurczowo, wchodząc po schodach i stanęła pośrodku beznadziejnie pustego, odrapanego pokoju. Rozejrzała się wokół, zapalając własną latarkę i próbując zobaczyć całe pomieszczenie oczami jego dawnych mieszkańców. Usiłowała zmusić swoją wyobraźnię do współpracy, ale nic z tego nie wychodziło. Przymknęła oczy z nadzieją, że to pomoże. Wyciszyła podniecenie, skupiła się maksymalnie i zastygła jak posąg.

Pierwsze przyplęły zapachy. Poczwała wyraźnie ostrą, znajomą woń ziołowych medykamentów zmieszana z zapachem palącej się świecy. Potem zobaczyła przed sobą przytulne wnętrze pokoju. W wygodnym fotelu z podnóżkiem spoczywał starszy mężczyzna w domo-

wym stroju o twarzy ściągniętej cierpieniem. Mówił coś do stojącego przed nim w pozie pełnej szacunku młodego człowieka. Marta nie słyszała słów. Czuli się, jakby oglądała niemy film. Historyczny, bo stroje najwyraźniej pochodziły z epoki bliskiej siostrze Molnar.

Młody mężczyzna rzucił się ku znajdującemu się na przeciwległej ścianie kominkowi, usunął z niego pośpiesznie szczapy, wymiół popiół, starając się nie zostawiać śladów i uczynił gest, jakby chciał wpełznąć do środka, ale w ostatnim momencie spojrzął bezradnie na swój elegancki surdut i zawahał się. Na twarzy starszego odmalowało się zniecierpliwienie. Spojrzawszy z popłochem na drzwi pokoju, w końcu najwyraźniej zrozumiał, o co chodzi tamtemu, bo niecierpliwie wskazał na szafę. Młody człowiek podszedł niepewnie i, ponaglany przez gospodarza, zarzucił na siebie długi szlafrok z aksamitu, zawiązał go dokładnie i już bez oporów wsunął się w czeluście kominka. Po długiej chwili wypełznął stamtąd i pokiwał głową. Starszy pan rozjaśnił się zadowoleniem. Wskazał młodzieńcowi stojącą na biurku sporej wielkości szkatułę i gestem polecił ją zabrać. Chłopak uniósł ją z widocznym wysiłkiem i zawrócił ku kominkowi. Kiedy wysuwał się z jego głębi po jakimś kwadransie, jego ręce były puste tyle, że pobrudzone czymś szarym, co Marta po namyśle uznała za cement bądź coś podobnego. Pośpiesznie wetknął na miejsce szczapy i popiół, po czym z widoczną ulgą zdarł z siebie szlafrok. Starszy pan kiwnięciem przywołał go do siebie i podetknął pod nos złoty krucyfik. Marta domyśliła się, że ma to być sposób zmuszenia młodzieńca, by nie kłapał dziobem na temat pracy, którą właśnie wykonał. Chłopak posłusznie złożył stosowne śluby milczenia i ukradkiem wymknął się z pokoju. Pozostał w nim tylko starszy pan, na którego twarzy widniał teraz mściwy uśmiech pełen satysfakcji. W tym momencie drzwi do pokoju drgnęły i w szparze pojawiła się koścista kobieca dłoń...

- Marta! Co się z tobą dzieje?! - przerażony szept Kasi oderwał ją od kontemplacji.

- Malutka, oprzytomnij!

- Marta! Wracaj! - poczuła silne szarpnięcie i niechętnie otworzyła oczy.

Cała czwórka stała koło niej, patrząc na nią z napięciem.

Michał ścisnął jej rękę, jakby się bał, że zaraz mu zniknie, a z oczu Kasi prócz strachu wyzierała przemożna ciekawość.

- Przez was nie wiem, co to za baba - wymamrotała Marta z pretensją, mrużąc oczy przed światłem Andrzejkowej latarki. - Zabierz to ode mnie! - zażądała gniewnie. - Przestańcie się tak głupio miotać i dajcie przez chwilę pomyśleć...

Odsunęła ich niecierpliwie i omiotła wzrokiem puste ściany pokoju. Jej wyobrażenia meblowała go tak, jak widziała go przed chwilą.

- Tu! - oznajmiła nagle stanowczo. - Tu, w tym miejscu był kominek! Coś w nim chował! Sprawdźcie to!

Kasia bez namysłu rzuciła się do odrapanej ściany, a Marek popukał się w czoło i zarechotał półgłosem.

- Miałaś widzenie? - zapytał ironicznie. - Baba ci się pokazała? Może to była wiedźma albo...

- Tu jest puste! - Kasia z przejęciem opukiwała ścianę. Andrzej z Michałem podeszli do niej zaciekawieni. Niciński przesunął światłem latarki po odrapanym tynku.

- To może być ciąg kominowy - stwierdził spokojnie. - Dlatego puste. Wyraźnie widać, że przy tej ścianie coś stało. Może piec, bo kaloryferów raczej tu nie było. Ten budynek od lat stoi pusty.

- Wcześniej był tu kominek - uparła się Marta, nie zwracając uwagi na powątpiewającą minę Marka. - Dawajcie ten łom. Zaraz...

- Nic z tego, Malutka - zaprotestował gwałtownie Andrzej. - Żadnych robót rozbiórkowych. Obiecałaś!

- Zajrzysz tam, czy mam tu przyjść ukradkiem i w tajemnicy? - Marta spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli nikt z poprzednich lokatorów tego nie znalazł, to to schowane wciąż tam jest.

- Zajrzyj, Andrzej - poprosił Michał z rezygnacją. - Nie upilnuję jej przecież. Musiałbym ją do siebie przykuć.

Rambo spojrzał na Martę ciężkim wzrokiem, który mówił wyraźnie, że wystawia jego cierpliwość na ciężką próbę, westchnął, podał Michałowi latarkę i sięgnął po torbę.

- W którym miejscu według ciebie mam kuć? - zapytał niechętnie. - Sporo tu tego pustego. Mam rozwalać całą ścianę, żeby nas przysypało?

- Nie musisz - Marta pośpiesznie posunęła się ku niemu, oceniając w myślach rozmiary kominka i wyciągnęła rękę. - Tu. Przy samej podłodze. Wydaje mi się, że wystarczy odkuć parę cegieł na dole. Za nimi powinna być metalowa szkatuła. Chyba żelazna... Ciężka - dodała po namyśle.

- Widziałas? - Rambo wyprostował się raptownie, patrząc na nią przenikliwie.

- Widziałam - pokiwała głową.

Zaskoczony Dorosz patrzył, jak Niciński już bez dyskusji przymierza się do wskazanego przez dziewczynę kawałka ściany. Przeniósł wzrok na Michała, który przyświecał mu latarką, sam wyraźnie przejęty. Kasia stała obok, prawie nie oddychając i zachłannie czekając na efekty.

- Czy wyście wszyscy powariowali? - stęknął z niedowierzaniem. - Będziesz rozwał ścianę, bo ta mała wiedźma wymyśliła sobie przygodę?

Marta nie zareagowała na jego złośliwości. Korzystając z okazji, że pozostali zajęli się poszukiwaniami, odeszła na bok i przymknęła oczy. Przez chwilę stała w skupieniu, aż wszystkie niepotrzebne myśli odpłynęły i znowu znalazła się w tamtym pokoju.

Najpierw zobaczyła osłonięte żalobnym kirem lustro. Pokój był pusty, kominek wygaszony. Marta poczuła przeraźliwy chłód. Nagle w drzwiach stanęła koścista kobieta przyodziana w długie, żalobne szaty. Z jej oczu biła chciwość. Dopadła biurka, pękiem kluczy otwierała kolejne szuflady i na jej twarzy odbijała się coraz większa złość. Jak oszalała rzuciła się do szafy, przeglądała zawartość komody i sekretarzyka, odsuwała obrazy na ścianach. Posunęła się nawet do tego, że padła na kolana i przesunęła rękami pod łóżkiem. Widocznie nie znalazła, tego, czego szukała, bo uniosła z gniewem pięść do góry, jakby wygrażała niebiosom i z twarzą wykrzywioną złością opuściła pomieszczenie.

Na tym niemy film się urwał. Na próżno Marta wyteżała umysł, obraz zniknął i nic więcej nie była w stanie zobaczyć. Odprężyła się, otworzyła oczy i w tym momencie usłyszała dziwny odgłos. Kasia podskakiwała z emocji, wydając z siebie jakieś trudne do identyfikacji dźwięki i wskazując palcem przed siebie.

- No to przecież mówiłam - stwierdziła Marta z satysfakcją, patrząc, jak Andrzej z Michałem ostrożnie wysuwają z dziury w ścianie kutą skrzynkę.

Marek zastygł jak posąg, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Otworzył usta, zamknął je bez słowa i obejrzał się na Martę. W jego oczach był olbrzymi znak zapytania, odrobina zgrozy i kosmiczne niedowierzanie.

- Kasia, uszczypnij mnie - zażądał jękliwie. - Ja...

- To potem - przerwał mu stanowczo Andrzej. - Malutka, tyle tego, czy masz zamiar odkryć coś jeszcze? Bo, jeśli nie, to radziłbym się stąd zabierać. Tędy często jeżdżą patrole. Kogoś może w końcu zainteresować, co tu robi mój samochód w środku nocy...

- Możemy wracać - zgodziła się potulnie Marta. - A dokąd z tym pojedziemy? Może do nas? Mam was czym nakarmić i Kasia może spokojnie przenocować, a Marek ma blisko do domu, nie będziesz musiał ich rozwozić.

Andrzej skinął głową, prowizorycznie zatkał wybitą dziurę cegłami, po namyśle wstał, znalazł torbę i machnął ręką, by wychodzili. W milczeniu opuścili pomieszczenie, przemknęli przez schody i przywarowali na chwilę w cieniu za domem, kiedy ulicą przejeżdżało jakieś auto. Bez przeszkód przecisnęli się przez siatkę i pośpiesznie dopadli zbawczego samochodu. Kiedy Rambo ruszył, wszyscy jednocześnie wydali głośne westchnienie ulgi.

- Chyba wiem, co to za baba - Marta spojrzała tryumfalnie na Kasię.

- Nie! Czekaj! - podniecona Kasia szarpnęła ją za rękaw. - Mów od początku! Co widziałas?

Michał na przednim siedzeniu odwrócił się gwałtownie i wbił oczy w żonę. Andrzej bez zastanowienia zatrzymał samochód, nie gasząc silnika i też spojrzał wyczekująco na Martę. Nie zwracając uwagi na zwiększoną publiczność, złapała Kasię za rękę i opowiedziała o swoich wizjach.

- I wiesz, co? - stwierdziła na koniec. - Niech pękne z dzikim trzaskiem, jeśli on tego nie chował przed Teodorą. I to ona tak szukała po jego śmierci!

- Dlaczego z dzikim? - zapytał żałośnie Marek, którego sytuacja zaczęła przerastać; usiłował właśnie zrozumieć, jakim cudem Marta mogła wiedzieć o tej skrytce, a stanowczo nie dopuszczał do siebie działania sił nadprzyrodzonych.

- Bo zwykły to za mało - odparła Marta niecierpliwie i spojrzała na Andrzeja. - Dlaczego stoimy?

- Bo też byłem ciekaw twojej opowieści, Malutka - wyjaśnił uprzejmie, sprawdził, czy z tyłu nic nie jedzie i ruszył.

Resztę drogi przejechali w zupełnym milczeniu. Marta zestawiała w myślach opowieści bliźniaczek, fiasko Marka w urzędowskiej parafii oraz dzisiejsze wrażenia i uznała z satysfakcją, że jej domysły zaczynają nabierać wyraźniej sztywnych kształtów. Kasię roznosiła ciekawość, co też zawiera tajemnicze znalezisko i piastowała cichutką nadzieję, że może przetrwała choć jedna rzecz należąca ongiś do sióstr. Dorosz z kolei to podejrzewał Martę o potężną mistyfikację - bo może sama coś tam wetknęła, a teraz urządziła całe przedstawienie, by go ośmieszyć; to przekonywał sam siebie, że wszyscy ulegli zbiorowej halucynacji albo skrzynka zawiera jakieś pożydowskie mienie, a jej odkrycie było zupełnym przypadkiem. Jego umysł stanowczo odmawiał przyjęcia do wiadomości, że znalezisko mogłoby pochodzić sprzed dwóch wieków, a Marta widziała tamte czasy. Jedynie Michał i Andrzej pogodzili się natychmiast z zaistniałą sytuacją i spokojnie czekali na ciąg dalszy. Obaj nie wątpili, że interesujący.

Kiedy weszli do domu Artymowiczów, Marta zażądała stanowczo, by nie ważyli się otwierać znaleziska bez nich i pociągnęła Kasię do kuchni. Michał usadził przyjaciół, popatrzył na Marka i sięgnął do barku. Wyjął butelkę koniaku, nalał z rozmachem i wetknął mu w dłoń. Spojrzał pytająco na Andrzeja, ale ten pokręcił głową. Wobec tego nalał sobie.

- Wyobrazasz sobie, co by było, gdyby je obie puścić na żywioł? - popatrzył na Nicińskiego, wzdrygnął się i pociągnął spory łyk koniaku.

- Ta kamienica już by tam nie stała - stwierdził Rambo i namacał w kieszeni paczkę papierosów. - Mogę?... Choć powiem ci szczerze, zaczynam wierzyć, że Malutka jakoś by to przetrwała... Boże, jak to dobrze, że u mojej Olinki od czasu do czasu zapala się jednak to światełko ze znakiem stop...

- Jak myślicie? Co tam znajdziemy? - odezwał się nagle Dorosz, wskazując palcem na torbę ze znalezioną skrzynką. - Mienie pożydowskie? - w jego głosie była mimowolna nadzieja.

Obaj zagadnięci jednocześnie pokręcili przecząco głowami.

- Nie łudź się, Marek - Michał spojrzał na kolegę wyraźnym współczuciem. - Słyszałeś, co mówiła Marta? Ona jest pewna, że to należało do Molnarów. Nie wiem, co znajdziemy, ale wierzę, że ma rację.

Dorosz przeniósł wzrok na Rambo, który pokiwał tylko głową.

- Ty też? - jęknął z niedowierzaniem i urazą. - Co ona ma w sobie, że wszystkich ogłupia?

- Pamiętasz psa? Wtedy wiedziała i teraz wie - Michałowi zrobiło się żal kolegi.

- Jakiego znowu psa? - Marek popatrzył na niego zdezorientowany.

- Mojego. Byłeś z nią, kiedy go znalazła. Ktoś go zostawił na pewną śmierć w lesie, a ona wyczuła jego strach - Andrzej zaciągnął się papierosem. - Daj sobie spokój, redaktorze. Zrób to, co ja. Po prostu przyjmij do wiadomości, że ona trochę inaczej odbiera świat i pogódź się z tym.

- Chcesz powiedzieć - Marek gapił się na niego jak na zamorskie dziwo - że ty jej wierzysz? Ty wiesz, co ona mówiła? Że duchy jej powiedziały!

- No i cóż takiego? - Michał zbagatelizował sprawę, wzruszając ramionami. - Przeszkadza ci to?

- O Jezu... - Dorosz spojrzał na niego tępo i pośpiesznie napił się koniaku.

- No, jesteśmy - obie dziewczyny niosły przed sobą suto zastawione tace. - Najpierw jedzcie, potem pijcie - powiedziała z naganą Marta, patrząc wymownie na kieliszki.

- Na sucho tego nie idzie zrozumieć - mruknął Marek, rzucając jej podejrzliwe spojrzenie.

- Jedzcie szybko, bo jestem ciekawa, co tam jest w tej skrzynce - Marta z rozmachem postawiła tacę na ławie i pomogła Kasi. - Siadaj, Kasienko. Zasłużyłaś na posiłek. Gdyby cię tam nie pchało, to ominęłoby mnie tyle interesujących rzeczy...

Marek poczuł zapach zapiekanki i przypomniał sobie, że kolację jadł w jakichś przeraźliwie zamierzchłych czasach. Zapomniał o ogłupiających właściwościach kucharki i sięgnął po talerz.

Michał był głodny o każdej porze, więc nie miał zamiaru odmawiać sobie i teraz, a Andrzej zawsze doceniał kulinarne zdolności Malutkiej i, choć zwykle nie jadał w środku nocy, z przyjemnością myślał o przekąsce.

Kasia jadła swoją porcję, zupełnie nie czując smaku. Równie dobrze skonsumowałyby talerz zapiekanych wiórów, pod warunkiem że natychmiast po zjedzeniu będzie mogła poznać zawartość tajemniczej skrzyni.

Marcie nie chciało się jeść. Wrażeń miała dostatecznie dużo. Przepelniony żołądek nie był jej niezbędny do szczęścia. Przeczekiwała tę późną kolację, popijając sok z czarnej porzeczki i tłumiąc niecierpliwość.

- Ciekawe, jak to otworzymy - powiedziała w końcu zamyślona, wpatrując się w torbę kryjącą znalezisko. - Podejrzewam, że klucz przepadł przed wiekami...

Mimo woli spojrzała pytająco na Andrzeja, który odstawiał właśnie talerz. Uśmiechnął się z rozbawieniem i wstał.

- Widzę, że awansowałem na twojego osobistego włamywacza, Malutka.

Wyjął z torby skrzynkę, obejrzał ją dokładnie pod pełnymi napięciem spojrzeniami całej czwórki i po namyśle stwierdził:

- Nie widzę problemu. Nie mam przy sobie odpowiedniego sprzętu, ale może wystarczy spinka do włosów... - obie dziewczyny pośpiesznie podały mu swoje i przysiadły obok na dywanie. - Dziękuję... Nigdy tego nie robiłem przed publicznością - popatrzył rozweselony na ich podekscytowane miny. - Gdybyś tak jeszcze znalazła odrobinę oleju, Malutka... Może być spożywczy! - zawołał za nią, bo prawie wyfrunęła z pokoju. - Kasiu - popatrzył na dziewczynę z udawaną groźbą - nikomu ani słowa na temat moich przestępczych zdolności, bo będę musiał cię zabić.

- Nikomu nie powiem - przysięgła Kasia z taką żarliwością, że roześmiał się w głos.

Wpuścił do zamka parę kropli oleju przyniesionego przez Martę, rozproszając go wykałaczką owiniętą watką, którą przytomnie podsunął mu zaciekawiony Michał i ostrożnie wsunął w otwór spinkę Kasi. Obie dziewczyny wstrzymały oddech i spojrzały na niego z uwielbieniem, kiedy po chwili w kompletnej ciszy rozległ się szczeł puszczonej zapadki. Parsknął śmiechem na widok ich min.

- Macie swój skarb - powiedział z rozbawieniem i odsunął się na bok.

Rzuciły się do skrzynki jak wygłodniałe hieny. Zajrzały do środka i zamarły.

- Papiery - oznajmiła z nabożeństwem Marta, pokazując ostrożnie palcem. - Mam nadzieję, że się nie rozlecą pod wpływem powietrza - dodała z niepokojem i westchnęła. - Szkoda, że nie ma tu Ewuni. Ona by wiedziała... Na wszelki wypadek... No nic, spróbuję je jakoś wyciągnąć...

Z największą delikatnością, na jaką było ją stać, wydobyła zwinięte w rulony pergami-ny. Kasia, która uznała, że byłoby świętokradztwem kłaść je na dywan, błyskawicznie zdjęła z siebie sweter i rozłożyła go obok. Marta kiwnęła głową z aprobatą i ulokowała znalezisko sprzed wieków na współczesnym moherze, po czym zajrzała w głąb skrzyni.

Andrzej i Michał obserwowali ich poczynania z rozbawionymi uśmiechami, a Marek popukał się wymownie w czoło pewny, że chodzi o dokumenty z okresu drugiej wojny.

- Kasia... - głos Marty zdrzął z przejęcia, kiedy wydobyła ze skrzynki ozdobne safia-nowe pudełko. - To chyba... To może być... Cholera... - szepnęła, patrząc na przyjaciółkę z napięciem. - Otworzyć?

Kasi odjęło mowę z przejęcia. Jedyne, co była w stanie, to kiwnąć głową. Dorosz nie wytrzymał, poderwał się z wersalki i stanął nad nimi, wlepiając oczy w ręce Marty.

- Boże... Spójrz na te opale... - Marta trzęsa się jak w febrze. - Medalion Anny z Sa-czewskich Molnarowej...

- Otwórz go! - ponagliła Kasia. - Tam powinna być miniatura!

Marta nie była w stanie, ręce zbyt jej się trzęsły. Kasia przejęła go ostrożnie i delikatnie pociągnęła za koronkę. Ze środka spojrzała na nie młoda ciemnowłosa kobieta w białej sukni. Obie zastygły w bezruchu.

- Kto to jest? - spytał zdziwiony Michał, który podszedł do całej grupki i obserwował wszystko z góry. - Już gdzieś widziałem tę twarz...

- Na obrazku Ewuni - powiedział wolno Andrzej. - Na tym portrecie bliźniaczek... To musi być ich matka, tak?

Obie dziewczyny jednocześnie kiwnęły głowami, nie odrywając oczu od miniatury. Po-tem spojrzały na siebie i uśmiechnęły się rzewnie.

- Zuzanna się ucieszy - powiedziały razem.

Marek zrobił ruch, jakby chciał złapać się za głowę, ale zamiast tego potrzęsnał nią z wysiłkiem i popatrzył rozpaczliwie na całe towarzystwo. To nie może być prawda - pomyślał z uporem. - Albo to mi się śni, albo oni wszyscy oszaleli...

- Co tam jeszcze jest, Malutka? - zapytał zaciekawiony Andrzej.

Marta z trudem oderwała się od medalionu i sięgnęła w głąb skrzynki. W kolejnym pu-dełeczku znajdowały się dwa identyczne pierścionki z różowymi perłami ozdobionymi deli-

katną koronką. Przypominały jej się słowa Zuzanny. To musiał być prezent od kochającego ojca na ich osiemnaste urodziny.

Na samym spodzie leżały dwa większe pudełka. Marta otworzyła jedno i głośno westchnęła z zachwytu. Przed jej olśnionymi oczami w świetle współczesnego żyrandola mienił się błękitem i zielenią misternej roboty naszyjnik.

Kasia złapała drugie pudełko i otworzyła je pośpiesznie, ukazując wszystkim identyczną zawartość.

- O, cholera - głos Andrzeja był przytłumiony. - Turkusy... Boże, co za robota... To majątek... - nagle coś go zastanowiło. - Malutka, to już przestaje być tylko przygodą. Spadkobiercy Molnarów nie istnieją, według prawa to wszystko należy do państwa...

- No to przecież nie mam zamiaru tego kraść! - oburzyła się Marta i raptem podskoczyła jak oparzona. - Coś ty powiedział? Do jakiego państwa? Do tej kupy urzędniczych złodziei? Wierzysz w to, że ktoś z nich uczciwie odda to do muzeum? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal!

- A co potem? - zaprotestował Michał, któremu wszystko w środku się przewracało na myśl, że miałby postąpić wbrew prawu.

- Potem się zastanowię - mruknęła Marta i podniosła na obu pełne złości oczy. - Przecież nie możemy się przyznać, że znaleźliśmy to w zrujnowanej kamienicy. Najpierw nam to zabiorą, a potem wsadzą za naruszenie mienia państwowego, czy jak to się tam teraz nazywa. Wystarczy, że ktoś zapyta, po co tam poleźliśmy. Co im powiemy? Że mnie i Kasię pchało, bo wiedzieliśmy o Molnarach? Nie - pokręciła z uporem głową. - To trzeba inaczej załatwić. Pomyślę o tym, ale najpierw chcę zobaczyć te papiery. Niekoniecznie dziś, bo i bez tego wrażeń mam potąd - pokazała wymownie ręką.

Michał i Andrzej popatrzyli na siebie i zgodnie westchnęli.

- Masz trochę racji, Malutka - przyznał niechętnie Rambo. - No dobrze. Prześpij się z tym, a potem pomyślimy, co dalej. Pamiętajcie tylko, że to nie ma prawa się roznieść - dodał ostrzegawczo.

Odpowiedziało mu wymowne milczenie i pełne wyrzutu spojrzenia szarych i zielonych oczu. Jeden Marek stał jak słup soli, gapiąc się z niedowierzaniem na połyskliwe klejnoty rozłożone na dywanie.

- Co z tobą, redaktorze? - Niciński rzucił mu lekko zdziwione spojrzenie. - Mówiłem, żebyś na razie milczał na temat tego znaleziska, bo wszyscy możemy mieć kłopoty... No, co jest? - dziwna nieruchawość Dorosza zaniepokoiła go w końcu. - Nigdy nie widziałeś paru kamyków? - zapytał kpiąco.

Marek nagle oprzytomniał. Przesunął wzrokiem po otaczających go twarzach, raz jeszcze spojrzął na rozłożoną na dywanie zdobycz i nie wytrzymał.

- Co to ma być?! - wrzasnął, wskazując oskarżycielsko palcem pustą skrzynkę. - Kretyna ze mnie robicie?! To sztuczne, tak? Kto to tam schował?! Co ty mi tu pieprzysz - odwrócił się do Marty, która obserwowała go z pobłażliwym zaciekawieniem - że duchy ci powiedziały?! Duchy nie istnieją! Świat jest zbudowany z normalnej, uczciwej materii! Tego nie ma - oznajmił stanowczo, patrząc z obrzydzeniem na mieniące się klejnoty. - To jakiś gigantyczny przekręt, żeby mnie ośmieszyć... Zawsze się mnie czepiałeś! - Przeniósł na Kasię błagalne spojrzenie. - Nie słuchaj jej. Ja wcale nie jestem taki, jak ona mówi. Zrobię dla ciebie ten reportaż o Molnarach, ale nie dam się nabrać...

- O, kurczę - Marta popatrzyła na niego z troską i przeniosła wzrok na męża. - Padło mu na umysł... Daj mu koniaku albo co...

Michał pośpiesznie nalał pełny kieliszek i podał koledze, który opróżnił go, jakby to była woda. Andrzej przyglądał się temu z lekkim rozbawieniem przemieszonym ze współczuciem, a Kasia z niedowierzaniem.

- Kasia, on nie wie, co mówi - powiedziała półgłosem Marta, pochylając się ku niej. - Ja mu się nie dziwię. Nigdy nie widział bliźniaczek. Sama słyszałaś: duchy nie istnieją...

- To dlaczego Andrzej o nic nie pyta, jakby wszystko rozumiał? - zapytała Kasia z pretensją. - Też nie widział... Mówiłam ci, że Marek jest przeraźliwie przyziemny. On nigdy mnie...

- Hola, moja panno - przerwała jej Marta stanowczo, unosząc dłoń. - Tego nie mów. Jest przyziemny, ale nie przeraźliwie. Powinnaś mu współczuć, zamiast się złościć. I, wiesz... - pokręciła głową z zatroskaniem. - Coś mi się widzi, że on dzisiaj powinien mieć opiekę - ściszyła głos. - Tylko taką... No, wiesz...

- Nie wiem - powiedziała Kasia sucho.

- Nie bądź tępa, Katarzyno - skarciła ją Marta cicho. - Każdemu facetowi się wydaje, że to on jest naszą życiową podporą. Prawda czasami wygląda trochę inaczej, ale oni nie muszą o tym wiedzieć... No, co ci zależy poudawać, że go tak strasznie potrzebujesz? - zniecierpliwiła się, widząc sceptyczną minę przyjaciółki. - Wiesz, jak on okropnie chce, żebyś go podziwiała? Jak mu wtedy nie wyszło w Urzędowie, to się prawie upił z żalu - Marta zerknęła ukradkiem na nieszczęśliwego kolegę i w duchu powiedziała sobie, że to nie kłamstwo, tylko ubarwienie. - A co do Andrzeja - przypomniała sobie - to on faktycznie wszystko rozumie. Powiedziałam mu i widział obrazek Ewuni. Uwierzył.

- No widzisz sama! - w głosie Kasi dźwięczała ponura satysfakcja.

- Co: no widzę! - zdenerwowała się szeptem Marta. - Ty nie startujesz do Andrzeja, tylko do Marka! Już jest cały twój, ośmiel go trochę, bo się tak strasznie ciebie boi!

- On mnie?! - Kasia spojrzała na nią z osłupieniem.

- Dokładnie tak, jak kiedyś ja Michała - wyznała Marta z westchnieniem. - Boi się, że wsiąknie w ciebie na amen i broni się, jak może... Ale coraz gorzej mu wychodzi... Daj mu polec z honorem, a będzie ci wdzięczny do końca życia...

- Panienci, już późno - konwersację przerwał głos Andrzeja. - Chciałbym się pokazać w domu, zanim Olinka się obudzi... Chodź, redaktorze, odwiozę cię...

Marek rzucił Kasi pełne rozżalenia spojrzenie i w sercu dziewczyny pisnęła nadzieja.

- Marek, przenocujesz mnie? - zapytała pośpiesznie, nim zdążyła się rozmyślić. - Nie ma mowy, żebyś zasnęła z tym - wskazała na zawartość skrzynki - pod jednym dachem, a od ciebie będę miała jutro bliżej do Marty... Nie wyrzucisz mnie, jak tu rano przylecę? - upewniła się, zerkając na przyjaciółkę, która uśmiechnęła się tylko ze zrozumieniem. - To co? Przenocujesz mnie?

Dorosz spojrzał na nią, jakby nie rozumiał, co do niego powiedziała, a potem nagle rozjarzył się jak reaktor i zaczął kiwać głową. Z jego oczu biła taka ulga i nadzieja, że Kasine serce zmiękło jak wosk.

Andrzej przyjrzał się im z nagłą uwagą, rzucił krótkie spojrzenie na Martę, która usiłowała ukryć tryumfalny błysk w oczach, powściągnął uśmiech i zaproponował:

- Podrzucę was oboje.

- Nie ma potrzeby, szefie - Kasia potrząsnęła rudowłosą głową. - Świeże powietrze dobrze nam zrobi... Marta, możesz to zdjąć? - wskazała na dywan. - Zmarznę bez swetra...

- To już przestaliśmy być na ty? - zdziwił się Niciński z rozbawieniem. - Myślałem, że dzisiejsza przygoda zacieśniła służbowe więzy, ale widzę...

- Byle nie za bardzo - wyrwało się Markowi.

Kasia rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie, poczerwieniała i pośpiesznie wyciągnęła rękę do Andrzeja.

- Zacieśniła. Trudno mi to przechodzi przez gardło, ale się postaram... Jedź do domu, szefie, a my się przespacerujemy.

Droga do Markowego mieszkania upłynęła w milczeniu, bo Kasia dygotała z zimna i nadmiaru wrażeń, a Dorosz całym sobą chłonał dotyk jej dłoni zaciśniętej na jego ramieniu i ruch bioder, które przy każdym kroku ocierały się o niego. Na pierwszy plan przebijała eufo-

ria, że nie chciała nocować u Marty, tylko wybrała jego. Zupełnie zapomniał o swoim strachu i strzeżeniu własnych granic przed damskimi intruzami. Nareszcie miał ją tylko dla siebie. Ma całą noc, no, spory kawałek, żeby ją przekonać do siebie i zniweczyć wszelkie knowania tej małej diablidy. Obiecywał sobie, że wzniesie się na szczyty dyplomacji i rozsnuje wokół niej cały swój wdzięk, na jaki go będzie stać.

Kiedy dotarli do jego mieszkania, Marek zapalił światło, spojrzał na dygoczącą dziewczynę i zapomniał o swoich planach.

- Strasznie zmarzłaś - powiedział troskliwie. - Wiesz, co? Weź gorącą kąpiel, a ja zrobię herbaty. Musisz się rozgrzać, bo mi się przeziębisz.

Na Kasi to jedno małe słówko „mi” zrobiło większe wrażenie niż najpiękniejsze wyznanie miłosne. Serce jej zabiło jak na alarm, ale wzięła się w garść i zauważyła nieśmiało:

- Nic ze sobą nie wzięłam. Nie będę miała się w co przebrać... Zakurzyłam się trochę w tej ruderze...

Dorosz myślał przez chwilę intensywnie, pasąc wyobraźnię widokiem Kasi w samej bieliźnie, wreszcie zmusił się, by oprzytomnieć i oznajmił odkrywco:

- Poszukam ci jakiegoś podkoszulka.

- Ale żeby był długi - zażądała Kasia, czerwieniąc się.

- Jasne... - ruszył w stronę pokoju, mrużąc do siebie: - Trzymaj się, Marek...

Kasia weszła do przestronnej łazienki, odkręciła kran z gorącą wodą i spojrzała w lustro. Twarz miała czerwoną jak piwonia, bo mrużąc Marka dotarło do jej uszu i nie wątpiła, że przypomniał sobie tamtą noc. Marta miała rację - pomyślała ze zdumieniem. - On chce, tylko się boi... - zmarszczyła brwi w zadumie. - Nie będę nachalna - postanowiła. - Będę delikatna i miła, ale bez przesady. I nie ma mowy o wspólnym łóżku - przyrzekła sobie solennie.

Jej rozmyślania przerwało dyskretne pukanie do drzwi.

- Może być taki? - Marek podawał jej podkoszulek, nie zaglądając do środka.

- Może - zgodziła się Kasia z lekkim westchnieniem, bo nagle pożałowała, że nie dysponuje żadnym olśniewającym kobiecym łaszkiem, który rzuciłby go na kolana.

Dorosz, spłoszony tym westchnieniem, ewakuował się do kuchni. Nastawiając wodę na herbatę, pomyślał, że Kasia pewnie chętnie zrezygnowałaby z noclegu u niego i wróciłaby do Artymowiczów, gdyby nie było za późno. Może ją czymś uraził? Chyba niepotrzebnie kłapał tyle na Martę. One się lubią, na przyszłość musi panować nad językiem. Westchnął ciężko. Zwykle nie miał problemów z kobietami, ale w Marcie było coś, co sprawiało, że sam jej widok prowokował go do kłótni.

Usłyszał plusk z łazienki i uśmiechnął się z rozmarzeniem, wyobrażając sobie Kasię w kąpeli, a zaraz potem wykrzywił się do siebie i poszedł do pokoju, by rozłożyć wersalkę. Kładąc na nią pościel, pomyślał, że ściana, która będzie ich dzieliła tej nocy to wystarczające zabezpieczenie. Trzymaj się, stary - przykazał sobie w duchu. - Pomyśl o tym, jak o przyjacielskiej przysłudze. Mało razy nocowałeś u siebie Tomka czy Lolka?... Ba, tylko że Kasia nie przypominała, niestety, ani jednego ani drugiego.

Poderwał się na gwizd czajnika i pokłusował do kuchni. Zaparzył herbatę i przypomniał sobie nagle, że matka dała mu ostatnio jego ulubione wiśniowe konfitury. Tak, to pomyśl w dziesiątkę. Dziewczyna miała dzisiaj dużo wrażeń, a gdzieś słyszał, że cukier pomaga na szok. Konfitury są słodkie...

Kiedy Kasia weszła do kuchni, ubrana w sięgający jej sporo przed kolana podkoszulek, Dorosz w skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami nakładał na talerzyk jakąś gęstą maź. Zatrzymała się zdziwiona i spojrzała na niego niespokojnie. Wyglądał, jakby gnębił go straszliwy problem i Kasia pomyślała z popłochem, że chyba swoim zwyczajem już żałuje, że ją do siebie zabrał.

- Marek? - wyszemrała niepewnie. - Nie będę ci przeszkadzać. Pokaż mi tylko, gdzie mam spać, a rano sobie pójdę...

Dorosz odwrócił się gwałtownie, omal nie strącając szklanek z gorącą herbatą i oniemiał. Stał nieruchomo z łyżeczką w dłoni i nic nie mógł poradzić na to, że nie potrafił odebrać oczu od dziewczyny. Burza falujących, kasztanowych włosów skręconych po kąpeli okalała jej delikatną twarz, w której jak dwie latarenki żarzyły się zielone oczy w tej chwili pół przysłonięte rzęsami. Podkoszulek teoretycznie powinien był leżeć na niej jak bezkształtny worek - wybrał go, bo był za duży nawet na niego i wcale go nie nosił - a tymczasem umysł Marka doskonale wiedział, co i w którym miejscu się pod nim znajduje. Mało, że dla niego wyglądała w nim jak miss świata, to jeszcze odsłaniał przed jego olśnionymi oczami jakieś nieprawdopodobne kilometry nóg, a drobne bosc stopy z pomalowanymi na różowo paznokciami sprawiły, że wydała mu się bezbronna jak dziecko. Jego zahartowane przecież i odporne serce wezbrało czułością i Marek lekkomyślnie porzucił wszelką ostrożność. Miał szczerzy zamiar po prostu posadzić ją przy stole, napoić i nakarmić, ale w tym momencie Kasia podniosła na niego to swoje zielone, nieśmiałe spojrzenie. Spojrzał jej w oczy i to go zgubiło. Ta jej niepewność uderzyła go prosto w serce. Jest taka krucha - pomyślał rzewnie. - Tak łatwo ją skrzywdzić, a tyle już przeszła... Nie dam... Nie pozwolę nikomu - zapienił się w duchu i poczuł się nagle jak Superman.

- M... Marek? - Kasia patrzyła na niego niespokojnie, bo wyprostował się gwałtownie i w oczach mignął mu dziki błysk; nie miała pojęcia, czym go rozzłościła.

Dorosz bez słowa przyciągnął ją do siebie i przywarł do jej ust. Zaskoczona, przez chwilę stała nieruchomo w jego ramionach, aż poczuła, że oblewa ją gorąco, rozsądek przywarował gdzieś na uboczu i zaczęła odpowiadać na jego pocałunek. Oprzytomniała dopiero, gdy zabrakło jej tchu. Zdrętwiała. O, nie. Nie ma mowy. Drugi raz nie pozwoli na to, by ją odepchnął, jak wtedy. Zmusiła się, by odsunąć twarz i spojrzała na niego twardo, mimo że nogi się pod nią uginały.

- Marek... Nie... Przyszłam tu tylko przenocować...

Dorosz z wyraźnym trudem wrócił do rzeczywistości. Nie wypuszczając jej z ramion, zajrzał jej w oczy, bojąc się, że zobaczy w nich tryumf, ale był w nich tylko lekki smutek i ulżyło mu.

- Nie będę cię za to przepraszał - powiedział cicho i nieoczekiwanie dla siebie wyznał: - Marzyłem o tym, żeby cię znowu pocałować.

Kasia, poruszona tym wyznaniem, westchnęła i zwiesiła głowę.

- Ja też... Chociaż... Boję się, Marek...

- Mnie? - zapytał zdumiony.

- Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz - wyrzuciła z siebie, opuszczając głowę. - Nie mam ochoty być twoją zabawką i czekać, aż znowu będę ci potrzebna...

- Zabawką? - potrząsnęła nią i nagle ręce mu opadły: - Tak, wiem... Nie byłem w porządku... Ja... Jesteś dla mnie kimś... szczególnym... Bardziej niż bym chciał. Kasiu, daj mi trochę czasu, żebym to sobie poukładał - spojrzał na nią błagalnie.

- Dałam ci dużo czasu, Marek - odparła Kasia z przekąsem i w tym momencie dotarło do niej, co powiedział. Postanowiła, że ułatwi mu podjęcie decyzji i uniosła głowę. - Ja nie szukam przygody. Mam prawie trzydzieści lat. Chcę mieć normalną rodzinę. Powiedziałeś jasno, że ciebie to nie interesuje, dlatego uznałam, że lepiej będzie, jeśli zostaniemy przyjaciółmi. Nie psuj tego, Marek.

- I to ci wystarczy? - zapytał z napięciem.

- Chyba musi, prawda? - uśmiechnęła się smutno.

- A mnie nie - powiedział z nagłym rozdrażnieniem i zaczął chodzić po małej kuchence jak lew po klatce. - Myślałem, że tak. Byłem pewien, że tak... Tyle, że w którymś momencie złapałem się na tym, że twoje zdanie jest dla mnie ważne. I zaczęło mnie to, rozumiesz, wkurzać - przystanął i rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie. - Przeszkadzałaś mi! Zamiast skupić

się na pracy, myślałem o tobie! - powiedział ze złością. - A ty akurat zajęłaś się tym cholernym dworkiem i bardziej obchodziło cię zdanie Rambo niż moje!

Zdradzieckie serce Kasi stopniało jak wosk. Popatrzyła na niego jak matka na uparte dziecko i powstrzymała uśmiech. Daj mu polec z honorem - zadźwięczało jej w uszach ostrzeżenie Marty.

- Pomoże ci, jeśli powiem, że płakałam przez ciebie? - zapytała cicho.

- Nie, do diabła! - wrzasnął Marek i bezradnie potrząsnął głową. - Nie powinnaś płakać przez takiego drania jak ja!

- Nie mów tak o sobie - powiedziała łagodnie. - Nie jesteś większym draniem niż inni. Ja... Ja też nie byłam w porządku - przyznała wielkodusznie. - Od początku mówiłeś uczciwie, że nie myślisz o poważnym związku, a ja...

- To jest okropne, prawda? - przerwał Dorosz z udręką w głosie.

- Co? - spytała zaskoczona.

- Ta cholerna miłość, czy jak to tam zwać - wymamrotał z pretensją. - Spada na człowieka znienacka i nie wiadomo, co z tym zrobić.

- Okropne? - Kasia uśmiechnęła się pod nosem. - Marek, okropnie zaczyna być wtedy, gdy kocha się kogoś, kto nie jest tego wart... Dajmy spokój tej rozmowie. Oboje jesteśmy zmęczeni, a nie chciałabym, żebyś rano żałował tego, co powiedziałeś... Gdzie mam spać?

- Zaczekaj! - Dorosz przestraszył się nagle, że powiedział za dużo, a jednocześnie nie chciał zrezygnować z jej towarzystwa. - Napij się chociaż herbaty... Spróbuj - podsunął jej talerzyk. - To konfitury mojej matki...

Kasia najchętniej umknęłaby do pokoju, by przemyśleć to, co usłyszała, ale spojrzała na jego spłoszoną minę i z wahaniem opadła na taboret. Włożyła do ust łyżeczkę konfitur, pokiwała głową z uznaniem i przezornie zmieniła temat:

- Dlaczego ciągle tak się kłócisz z Martą?

Marek, wyrwany z zadumy, rzucił jej trochę nieprzytomne spojrzenie, usiadł obok i wzruszył ramionami.

- Bo lubię, jak się złości... - przeciągnął ręką po włosach i westchnął. - Ja wiem, że Marta jest trochę... nietypowa, ale... Kasia, ty wiesz, co ona mi próbowała wmówić? Drażni się ze mną, to nie wytrzymuję. Włazła na głowę Michałowi i Rambo. Wystarczy. Ja z siebie nie dam robić głupka.

- A co ci próbowała wmówić? - zainteresowała się Kasia delikatnie.

- Że duchy sióstr Molnar dostarczają jej informacji! - prychnął Dorosz pogardliwie. - I jeszcze wmawiała mi, że ty też z nimi rozmawiałaś! - dodał, podnosząc oczy ku sufitowi.

Kasia westchnęła, przełknęła kolejną łyżeczkę wiśniowych słodkości i popatrzyła na niego z powagą.

- Marek - powiedziała cicho - to prawda. Ona wcale nie kłamała.

- Jasne! Dowcip roku! Daj spokój, Króliczku. Nie musisz jej bronić, dobrze wiem, jaka potrafi być Marta i w gruncie rzeczy nawet ją...

- Marek! - powtórzyła Kasia z naciskiem. - Ona powiedziała ci prawdę.

Dorosz patrzył na nią przez chwilę ciężkim wzrokiem, z wysiłkiem opanował złość, pogłaskał ją po dłoni i łagodnie powiedział:

- Musisz być strasznie zmęczona po tej nocnej wycieczce. Pościeliłem ci w małym pokoju. Połóż się i wyśpij. Zbudzę cię, o której będziesz chciała.

- Uwierzyłbyś Ewuni? - zapytała nagle Kasia.

- O czym ty mówisz? - zdezorientowany Marek spojrział na nią zaniepokojony.

- Ewunia - powtórzyła dziewczyna wolno i wyraźnie. - Gdyby Ewunia coś ci powiedziała, uwierzyłbyś jej?

Dorosz zastanowił się uczciwie. Ewunia była nieśmiałym, filigranowym stworzeniem, które odzywało się rzadko, ale mądrze, patrzyło z podziwem i miłością na własnego męża, miało talent malarski i, o ile miał okazję zauważyć, zachowywało się normalnie, a nie jak intrygantka. Tak, słowa, które spływały z ust Ewuni, miały swoją wagę.

- Uwierzyłbym - powiedział krótko.

- Poczekaj. Coś ci pokażę - Kasia poderwała się z taboretu i żwawo jak sarna pomknęła do przedpokoju. Wróciła po chwili, dzierżąc w dłoni komórkę.

- Króliczku, jest trzecia w nocy! - Marek złapał ją za rękę. - Ona śpi! Wytrzymam do rana!

- Nie mam zamiaru do niej dzwonić - poinformowała go Kasia miłosiernie. - Ewunia przyjechała z Martą do dworku i namalowała portret. Chcę ci go pokazać. Zrobiłam sobie zdjęcie, bo rysunek zabrała Marta. Patrz!

Dorosz zaciekawiony pochylił się ku niej i spojrział na aparat. Zobaczył dwie identyczne młode kobiety ubrane w dziwaczne białe suknie. Miał wrażenie, że gdzieś już widział podobną twarz.

- Kto to? - zapytał niefrasobliwie.

- Zuzanna i Marianna Molnarówny - wyjaśniła Kasia i, zanim zdążył się naindyczyć, uniosła ostrzegawczo rękę. - Poczekaj... Marta poprosiła Ewunię, bo z jakichś powodów mogą je widzieć tylko kobiety. Poznajesz? Ewunia namalowała je w dużej sali przy kominku...

Namalowała to, co widziała - dodała z naciskiem. - Nie zmyśliłyśmy sobie tego. Sam widziałeś medalion. Są podobne do matki...

Dorosz z niedowierzaniem patrzył to na komórkę, to na nią. Przypomniawszy sobie, jak widział Ewunię w dworku i dziwił się, że tak ją zainteresował kominek. W dodatku odniósł wrażenie, że mówi do siebie... Oblało go zimno i wszystko w nim gwałtownie zaprotestowało przeciwko tej dziwacznej wiedzy, którą usiłowała przekazać mu Kasia.

Dziewczyna spojrzała na niego z niepokojem, bo Marek wyglądał, jakby coś go poraziło zniecacka. Jego oczy o mało nie wypadły z orbit, usiłując wyrazić wszystkie uczucia na raz. Otwierał usta i zamykał je bez słowa. Jak wyjęta z wody ryba. Twarz to czerwieniała, to bledła.

- Ani Marta cię nie okłamała, ani ja - powiedziała łagodnie. - One są. Tam, w dworku. To od nich wiemy o Dębickich i o kamienicy... Ksiądz Stanisław opowiadał nam, że zakonnica, którą wysłał do sprzątnięcia dworku, tak się przeraziła, że uciekła... Ja też się przestraszyłam za pierwszym razem i okropnie się bałam, że uznacie mnie za wariatkę, jeśli powiem prawdę - wyznała uciążliwie. - Dlatego najpierw powiedziałam Marcie...

- Ale przecież... - Marek usiłował jakoś się pozbierać. - Ja... Cholera... - potrząsnął głową, jakby chciał oprzytomnieć. - Króliczku, bardzo jesteś śpiąca? - zapytał nagle, oddając jej telefon. - Bo jeśli nie, to masz przed sobą uważnego słuchacza. Chciałbym to jakoś zrozumieć. Możesz od początku?

Kasia, rozjaśniona i ożywiona swoim ulubionym ostatnio tematem, poprawiła się na stołku i zaczęła opowieść. Dorosz nie spuszczał oka z jej twarzy, nie przerywając i starając się nie uronić ani jednego słowa. Zachowywał się tak, jak wtedy, gdy prowadził swoje sondy i dziewczyna nabrała nadziei, że nareszcie potraktuje całą sprawę z należytą powagą.

W efekcie położyli się spać po czwartej. Kasia zasnęła natychmiast, a Marek długo wiercił się w swoim pokoju, a kiedy zapadł wreszcie w sen, prześladowały go dwie białe zjawy, które szeptały Kasi do ucha, że nie jest dla niej dość dobry.

Kasia myślała w łazience, a Marek, pogwizdując mimo niewyspania, parzył kawę. Uznał, że po nocy pełnej wrażeń nie przeżyje kolejnego dnia bez porannej dawki kofeiny. Dzwonek do drzwi sprawił, że woda z czajnika chlapnęła na stół. Dorosz zaklął, z rozmachem odstawił naczynie i poszedł do przedpokoju, zastanawiając się, kogo też bogowie niosą akurat w tej chwili. Wpadł w popłoch, kiedy za progiem ujrzał własną matkę obładowaną siatkami.

- Dzień dobry, synku. Nie chciała góra do Mahometa, musiał Mahomet do góry... Przyniosłam ci trochę zapasów, bo pewnie nie pomyślałeś o zakupach...

W tym momencie z łazienki wyszła odświeżona Kasia. Markowi ulżyło, bo była już ubrana, ale i tak stał jak słup, nie mając pojęcia, co powinien teraz powiedzieć. Kasia podjęła decyzję za niego. Poczerwieniała lekko, ale podeszła do Doroszowej, która zdążyła wręczyć ciężary synowi, i wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Dzień dobry. Jestem Katarzyna Rawska, znajoma Marka. Był tak miły, że zgodził się mnie przenocować, bo dziś musiałabym dojechać ze starej dzielnicy, a bardzo mi się śpieszy do przyjaciółki - spojrzała na zegarek. - Myślałam, że wyjdę wcześniej, ale gadaliśmy wczoraj do późna i zasnęłam. Zaraz się pobieram i pójdę...

- A śniadanie? - nie wytrzymał Marek, patrząc na nią z troską.

- Marta mnie nakarmi - odparła Kasia niefrasobliwie.

- Niech pani nie ucieka - Doroszowa ukradkiem spojrzała na spłoszonego syna i postanowiła przeprowadzić matczyne śledztwo. - Mój syn jest dorosły i nie wtrącam się w jego życie - Kasia zarumieniła się, a Marek westchnął bezradnie. - Przyniosłam masę smakołyków, wystarczy dla was obojga... Zanieś to do kuchni - poleciła synowi i zagarnęła ze sobą dziewczynę, idąc za nim. - Odgrzeję wam gołąbków... A ty, mój drogi, zdążysz coś na siebie założyć, zanim siądziesz do stołu... - spojrzała wymownie na jego goły tors.

Kasia, okropnie speszona i niepewna, usiadła z wahaniem na taborecie, czując się, jakby siedziała na rozżarzonych węglach. Coś jej mówiło, że minie trochę czasu, nim matka Marka wypuści ją ze swoich rąk. W dodatku nie miała pojęcia, czy Marek nie będzie zły, że niechętnie wpakowała go w dwuznaczną sytuację.

Już po pierwszym dzwonku Marta dopadła drzwi, jakby leciała do pożaru. Miała błyszczące oczy i wypieki na twarzy.

- Co wyście robili tak długo? - rzuciła niecierpliwie. - Szliście na piechotę z Chin? Właźcie szybko...

- Dlaczego z Chin? - zainteresował się Marek, z ulgą porzuciwszy poprzedni temat, bo przez całą drogę przeproszał zakłopotaną Kasię za wścibstwo matki, nie zauważywszy, że dziewczyna jest jedynie rozbawiona.

- Bo to jest najdalej, co mi przyszło do głowy - Marta wepchnęła ich bez ceregieli do pokoju, w którym siedział Michał z Nicińskim. - Rany! Kasia! Nie uwierzysz, co tam było w tych papierach! - padła z rozmachem na kanapę obok męża. - Prawdziwy historyk chyba by się ślinił, gdyby je zobaczył!

Andrzej uśmiechnął się z rozbawieniem i zerknął na Dorosza, którego oczy błysnęły ciekawością.

- Już się pozbierałeś, redaktorze? - zapytał kpiąco.

- Wczoraj się bałem, że jesteś o krok od paranoi.

- A, bo to ona tak działa na normalnych ludzi - Marek ruchem brody pokazał na Martę, która tylko wzruszyła ramionami. - Kasia przekazuje wiadomości jakoś łagodniej...

- Powiedziałaś mu wszystko? - Marta spojrzała na przyjaciółkę z zainteresowaniem. - Że przeżył, to widzę, a jak z jego umysłem?

- Ciągle działa, koleżanko - skrzywił się Marek. - Jestem chłonny jak gąbka. Teraz już przyjmę wszystko.

- Ale z oporami? - w oczach Marty zabłyśły złośliwe ogniki. - Nie wierz nigdy kobiecie, dobrą radę ci dam - zanuciła grobowym głosem. - Nic gorszego na świecie nie przytrafia się nam...

- Ja niczego nie widziałem - zaperzył się Dorosz.

- Na razie postanowiłem uwierzyć wam. I nie zaczepiaj mnie, bo się rozmyślę.

- Czy wy tak musicie? - spytała Kasia żałośnie, wodząc bezradnie wzrokiem od jednego do drugiego.

- Nie przejmuj się, Katarzyno - Marta uśmiechnęła się uspokajająco. - My to po prostu lubimy. Prawda, kolego? - spojrzała na Marka roześmianymi oczami.

Dorosz sapał przez chwilę ze złości i nagle parsknął śmiechem. Poklepał Kasię po dłoni, usadził obok Andrzeja i sam usiadł obok.

- Wyjątkowo przyznam ci rację, koleżanko... No, dobra. Przestań mnie drażnić i mów, co znalazłaś.

Marta machnęła jeszcze ręką w kierunku ławy, demonstrując różnorodność jadła i napojów, po czym zrobiła skupioną minę. Uroczyście podniosła do góry sporej wielkości pergamin i z namaszczeniem powiedziała:

- Macie przed sobą testament Stefana Sebastiana Molnara własnoręcznie przez niego spisany czternastego października tysiąc osiemset dwudziestego roku...

Kasia zastygła ze szklanką, w dłoni, a Markowi dreszcz przeleciał po plecach.

- Przeczytałaś go? - zapytał gwałtownie.

- Po raz pierwszy w życiu z własnej i nieprzymuszonej woli wstała przede mną i zadekowała się w moim gabinecie, żeby nikt jej nie przeszkadzał - roześmiał się Michał. - Podejrzewam, że w ogóle nie mogła spać z przejęcia...

- Zamiast się śmiać, pochwal mnie za wrodzoną inteligencję - fuknęła wyniośle Marta i obrzuciła wszystkich tryumfalnym spojrzeniem. - Nie tylko przeczytałam, ale przepisałam na komputerze, żeby się nie zniszczył. W końcu to zabytek! - ostrożnie odłożyła pergamin i sięgnęła po komputerowy wydruk. - Jestem genialna!

Andrzej uśmiechnął się z rozbawieniem, Kasia rzuciła jej pełne uwielbienia spojrzenie, Michał zgodnie pokiwał głową, a Dorosz stwierdził z niechętnym podziwem:

- Może nie do końca, ale inteligencję rzeczywiście posiadasz.

- Bóg ci zapłać, Mareczku, za dobre słowo - prychnęła Marta i pomachała wydrukiem. - Mam przeczytać?

- Jasne! - Kasia aż zadygotała z przejęcia.

Marta poprawiła się na kanapie, nabrała tchu i zaczęła uroczyście:

- *Ja, niżej podpisany, Stefan Sebastian Molnar, acz osłabiony chorobą, jednak w pełni sił umysłowych, spisuję oto testament, którego kopię pozostawiam u notariusza swego Jana Rawicza. Nie wiem, ile mi jeszcze życia dobry Bóg przeznaczył, ale to wiem, że dzieciom swoim ciężką krzywdę uczynił, czego do śmierci żałować nie przestanę...*

Kasia wciągnęła głośno powietrze i zastygła jak posąg wpatrzona w usta Marty.

- *...W oczach świata nie mam krewnych za wyjątkiem siostry mojej Teodory, której jednak spadkobierczynią czynić nie chcę, gdyż na równi ze sobą obwiniam ją o śmierć ukochanych córek moich. Toteż wszystko, co zebrałem na tym świecie doczesnym, pozostawiam Henrykowi Rawskiemu, którego to młodzieńca znam od maleńkości, albowiem po kądzieli spokrewniony jest z Molnarami. Gdyby zaś siostra moja pokusiła się odebrać mu spadek, przedstawiam powody, dla których ją z testamentu wykluczam...*

- Jak powiedziałaś? - przecknęła się oszołomiona Kasia. - Rawski? Henryk?

- Myślisz, że to ktoś z twojej rodziny? - Marek spojrzał na nią z osłupieniem.

- Nie wiem... Dziadek pochodził z Rzeczycy... Nie, to tylko... Nie, to niemożliwe...

- Na razie słuchajcie - Marta popatrzyła na nich strofująco. - Na komentarze przyjdzie czas później... Gdzie to ja... Aha, mam... *Będąc młodą panienką, siostra moja zbłądziła, ku wielkiej rozpaczyc naszych bogobojnych rodziców. Wówczas to Anna, małżonka moja, pragnąc zapobiec skandalowi i nie chcąc niweczyć szans na zamążpójście siostrze męża, wywiozła ją do Rzeczycy...*

Kasia skamieniała.

- *...Ziemiańskiej do swych krewnych i tam, w tajemnicy przed światem Teodora powiła syna. Anna ofiarowała się przyjąć go za własne dziecko, lecz siostra moja nie chciała o tym słyszeć. Chłopiec miał na zawsze zniknąć jej z oczu. Na szczęście moja małżonka i rodzice*

przekonali Teodorę, by powierzyła dziecię na wychowanie bezdzietnym krewniakom Anny, którzy bardzo je pokochali. Tym oto sposobem mały Henryś otrzymał nazwisko Rawski i został jako ich ślubny syn ochrzczony po katolicku. Teodora nigdy się nim nie interesowała, ale Anna i ja często odwiedzaliśmy Henrysia, a kiedy żona moja umierała, na jej błagania złożyłem na ręce opiekunów chłopca fundusz, który miał mu zapewnić wykształcenie, gdy dorośnie. Obiecałem też, że zajmę się nim, gdy przyjdzie czas i słowa dotrzymałem. Córki moje traktowały Henryka jak krewnego, choć nie znały prawdy o jego pochodzeniu. Wyrósł na prawego młodzieńca, który przynosi chlubę swoim przybranym rodzicom, a ponieważ zdradzał talenta w sztuce złotniczej, każdego lata praktykował w moim warsztacie i z ufnością powierzam mu go na własność.

Już ta historia świadczy, że siostra moja nie zasługuje na spadek. Przy tym posiada własny majątek po mężu, więc nijakiej krzywdy jej nie czynię. Przed Henrykiem życie całe, przeto niech używa schedy Molnarów wedle swojej woli.

Po śmierci ukochanej mojej Anny światłem mego życia stały się córki Marianna i Zuzanna. Wszystko, co robiłem, robiłem dla nich. Niestety, przyszedł dzień, gdy nad miłością ojcowską wzięła górę ludzka pycha. I one, nieszczęsne, zblądziły. Niech będzie przeklęty po wsze czasy ten, który je niecznie skompromitował. Zmilczę jego nazwisko, bo nie zasługuje na to, by o nim wspominać. Nawet jego śmierć w kampanii napoleońskiej nie przynosi mu chwały, bo uciekł jak tchórz, by nie odpowiadać za swe obmierzłe czyny.

Gdyby żyła Anna, nigdy by nie dopuściła do rzeczy całej, ale ja, na swoje nieszczęście, posłuch dałem Teodorze. Ona to przyprowadziła któregoś dnia znajomego zakonnika, który obiecał kuracją swoją zbyć się kłopotu. I tak, zaślepiony ludzkimi osądami, oddałem obydwu swoje jagniątko, by ich już nigdy żywymi nie zobaczyć. Pan Bóg mnie pokarał srodze. Nie mam ni dzieci, ni wnuków. Jedyłą moją pociechą na stare lata Henryk, siostrzanek najmilszy, który oby nigdy nie poznał prawdy o swej prawdziwej matce.

Śmierć córek moich odebrała mi wszelką radość życia, ale jeśli uda mi się pomóc Henrykowi, to umrę szczęśliwy, bo tam w niebie może mi to policzyć za jaką zasługę i odnajdę najbliższych sercu.

Testament ten, dokumenty dotyczące historii rodu mojego i klejnoty należące ongiś do mych ukochanych córek zamykam w tej oto skrzyni, której miejsce ukrycia poza mną zna tylko Henryk. A czynię to dla ostrożności, bo Teodora z wiekiem stała się chciwa. Grzech młodości chce opłacić Panu Bogu pieniędzmi i wszystko, co jej wpadnie w ręce, znosi do księdza Tomaszka, urzędowskiego proboszcza. Mam w Bogu nadzieję, że przynajmniej tego nigdy nie odnajdzie.

O podpisanie tego testamentu poproszę dwóch swoich zaufanych klientów, którzy potwierdzą przed każdym sądem jego prawdziwość.

A ty, Teodoro, pamiętaj, jeśli wyciągniesz rękę po majątek, który zapisałem twemu synowi, wnukowi Zofii i Stefana Molnarów, przeklnę cię z za grobu.

Majątek doczesny rozdysponowałem, dla służby pozostawiłem u notariusza drobne legaty, a ducha mego oddaję w dyspozycję Najwyższemu i błagam o odpuszczenie grzechów u stóp Jego, bo w urzędników Jego straciłem już ufność. Podpisano: Stefan Sebastian Molnar. - Marta skończyła czytanie w zupełnej ciszy i zamyśliła się głęboko.

- A jednak to Teodora dostała w swoje łapy majątek Molnara - odezwał się wreszcie oszołomiony Marek. - Musiała po jego śmierci coś wykombinować...

- No i przeklął ją z za grobu - mruknęła Marta zadumana ponuro.

- Skąd wiesz? - zainteresował się Dorosz.

- Jak widać, nigdy nie odnalazła klejnotów i drugiego egzemplarza testamentu. Przez resztę życia musiała się bać, że ktoś ujawni prawdę - wzruszyła ramionami i niechętnie dodała: - Ona chyba wciąż tam jest. Prawie czułam jej wściekłość, kiedy wyciągnęliście tę skrzynię...

Marek wzdrygnął się i spojrzał na nią z lekką zgrozą. Niciński wahał się przez chwilę, wreszcie zdecydował się ujawnić najświeższe nowiny.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała rację. Zdaje się, że byliśmy ostatnimi gośćmi w kamienicy Molnarów.

- Jak to? - milcząca Kasia rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Nie chciałem nic mówić, żeby Malutka nie miała wyrzutów sumienia, ale... Ta kamienica już tam nie stoi. Zawaliła się.

- Co?! - Marek wybałuszył na niego oczy. - Kiedy?

- Dziś w nocy. No, nad ranem. Nikt niczego nie słyszał, a rano przechodnie zobaczyli tylko kupę gruzów...

- Ciekawe - skomentowała Marta i zwróciła wzrok na Kasię. - Mówiłaś, zdaje się, że twój ojciec pochodzi z Rzeczycy. Dużo tam tych Rawskich?

- Dawno tam nie byłam - powiedziała Kasia, skubiąc w zamyśleniu kosmyk opadających na ramiona włosów. - Młodzi puciekali do miast albo za granicę, ale ze dwie rodziny chyba zostały. Wszyscy byliśmy spokrewnieni, ale Henryka nie pamiętam.

- Trudno, żebyś pamiętała - mruknęła Marta i rozkazała: - Skontaktuj się z babcią, ona powinna coś wiedzieć o koligacjach rodzinnych... Kurczę, ale byłoby fajnie - ożywiła się nagle - gdyby się okazało, że odnalazłaś własny spadek!

- Coś ty! - Kasia aż podskoczyła. - To należy do Zuzanny i Marianny!

- Im już się raczej nie przyda - zauważyła Marta trzeźwo. - Poza tym ich ojciec zapisał to Rawskiemu...

- Nie chcę! - Kasia popatrzyła na nią rzetelnie przerażona. - Co ja bym z tym zrobiła? Jeśli już, to po dziadku dziedziczy babcia, po niej tata, a dopiero potem my z Inką... O, Jezu, Marta, no co ty mówisz? Dlaczego ja?

- Może się okazać, że jesteś kuzynką naszych duchów... - w oczach Marty zalśniły filiterne iskierki.

Kasia spojrzała na nią zaskoczona, otworzyła usta i zamknęła je bez słowa.

- Słuchajcie - Marta zmarszczyła brwi i poprawiła się na kanapie. - Musimy się zastanowić, co dalej. Że buzie na kłódki, to wiadomo. Na razie musimy czymś zająć Zuzannę i Mariannę, żeby nie pytały, czy byliśmy w kamienicy. Słyszysz, Kasia? Ani słowa na ten temat.

- A co mam powiedzieć, jak mnie zapytają? - przestraszyła się Kasia. - Nie umiem kłamać.

Cała trójka, poza nią, zarejestrowała nagły błysk w oczach Dorosza i popatrzyła na siebie z rozbawieniem. Marta, oczywiście, nie wytrzymała.

- Poproś Marka, to cię nauczy - podpowiedziała życzliwie. - On umie.

Dorosz aż podskoczył na kanapie, rzucił jej wściekle spojrzenie, sapnął rozeźlony i już miał otworzyć usta, ale Marta go ubiegła.

- Nie zapowietrzaj się tak. To żart, Mareczku. Przecież wszyscy mówią, że media kłamią - dodała niewinnie.

- Zrobię ci kiedyś krzywdę - obiecał naburmuszony Marek, kiedy Michał i Andrzej parsknęli śmiechem i niespokojnie popatrzył na Kasię.

Dziewczyna nie zareagowała na te przekomarzania. Myślała nad czymś intensywnie, w końcu westchnęła.

- No, dobrze. Powiem, że jeszcze nie miałyśmy czasu. Ty poszukasz dla Marianny jakichś poezji, a Zuzannę zajmę Internetem, niech się dokszałca... Albo może dać im dobry film do obejrzenia. Coś historycznego... Zaraz - zastanowiła się nagle. - Dlaczego właściwie nie chcesz, żeby się dowiedziały? Masz pojęcie, jak by je uszczęśliwiły te znaleźiska?

- Mam. Ale najpierw chcę wyjaśnić wszystko do końca - powiedziała Marta z uporem. - Chcę się dowiedzieć, czy jesteś spokrewniona z Henrykiem Rawskim, dlatego masz złapać swoją babcinę i wyciągnąć z niej wszystko, co wie o rodzinie. Chcę się dowiedzieć, jakim cu-

dem Teodorze udało się przejąć kamienicę i dlatego muszę pogadać z księdzem Stanisławem...

- A skąd on ma to wiedzieć? - wyrwało się Markowi.

- Znikąd. Poproszę, żeby mi ułatwił kontakt z urzędowskim proboszczem. Jestem pewna, że coś przed tobą ukrywał. A kiedy już wszystkie klocki układanki znajdą się na swoim miejscu...

- Jest jakaś szansa, żebyśmy przy tym byli? - zapytał nagle Andrzej.

- Chcesz jechać z nimi do Urzędowa? - zdziwił się Michał i pokręcił głową z powątpiewaniem. - Wydaje mi się, że im więcej będzie świadków, tym bardziej proboszcz będzie milczał.

Marta popatrzyła bystro na Nicińskiego i uśmiechnęła się szeroko.

- Jest szansa, mój wielki bracie, ale... - zawiesiła głos.

- Ale co? - spojrzał na nią podejrzliwie. - Czuję, że coś kombinujesz, Malutka.

- Zrobimy uroczyste spotkanie przy świecach i przy okazji zainaugurujemy otwarcie twojej świetlicy, ale musisz przyspieszyć prace. Tam nawet nie ma na czym usiąść - zrobiła żalostną minę. - W takich warunkach, sam przyznasz, trudno podejmować dziewiętnastowieczne damy...

- A! - załapał Michał i w jego oczach mignęło zainteresowanie. - Chcesz być przy tym, jak one będą z nimi rozmawiały... Też bym chciał zobaczyć. Nie widziałem tego dworku na oczy, a Marta cuda o nim opowiada.

- To ja też! - oświadczył twardo Marek. - Niech coś z tego mam, że mnie ganiacie, jak osobistego posłańca.

- Malutka - w oczach Andrzeja błysnęło rozbawienie - jestem szczęśliwy, że nie mam w tobie konkurenta w interesach. Poszedłbym z torbami... W porządku. Do końca tygodnia świetlica będzie skończona.

- No to mamy mało czasu - zauważyła Marta z troską i poderwała się żywo. - Dobra. Wy obaj - machnęła ręką w kierunku męża i Rambo - idźcie zarabiać na utrzymanie, a mnie i Kasię Marek zawiezie do dworku. Pójdę od razu do księdza Stanisława. Nie ma na co czekać.

Kiedy cała trójka w pośpiechu zniknęła za drzwiami, Andrzej i Michał popatrzyli na siebie i obaj parsknęli śmiechem.

- Jak wam się udało w tak krótkim czasie zebrać tyle wiadomości o Molnarach? - ksiądz Stanisław popatrzył z szacunkiem na Martę i Marka. - W księgach parafialnych nie było tego dużo...

Marta westchnęła ciężko i zakłopotana przygryzła usta.

- Nie chciałabym księdza okłamywać - wyznała wreszcie - a na razie nie mogę powiedzieć prawdy. Może umówmy się tak: jak się wszystko szczęśliwie skończy, przyjdę się wyspowiadać, dobrze?

- Że nie chcesz kłamać, moje dziecko, to ci się chwali - duszpasterz pogłaskał ją po ręce. - Ale teraz rozpałałaś moją ciekawość, choć to podobno grzeszna cecha... No, dobrze - uśmiechnął się. - Chcesz, żebym wam ułatwił porozumienie z księdzem Waławem? Zadzwoń do niego od razu - sięgnął po telefon.

Dorosz spokojnie czekał na efekty tej rozmowy, ale Marta czuła się, jakby siedziała na rozżarzonych węglach. Coś jej w środku mówiło, że urzędowski proboszcz mógłby rzucić światło, ba, fajerwerki, na tajemnicę Teodory.

- Dziwne - ksiądz Stanisław odłożył słuchawkę i w roztargnieniu pogładził się po policzku. - Ksiądz Waław wydawał się czymś zakłopotany czy przestraszony. Zasłaniał się brakiem czasu... Wiecie, co? - spojrzął na nich zamyślony. - Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Zbierajcie się do drogi. Pojadę z wami. Może uda mi się namówić księdza Waława, by uchylił rąbka tajemnicy. Co go tak denerwuje? Przecież cała historia miała miejsce dwa wieki temu...

- Widziałaś, jak spanikował na nasz widok? - Marek zamyślony spoglądał na imponujące mury urzędowskiego kościoła. - Nie mam pojęcia, co tu jest grane...

- Widziałam - Marta dreptała obok w tę i z powrotem, nie mogąc ustać w miejscu. - Mam nadzieję, że ksiądz Stanisław go przekona... Widziałeś kiedyś te wały? - machnęła ręką na rozległe pagóry za świątynią. - Legendy mówią, że pod nimi były tunele, którymi można było furmanką dojechać do samego Lublina.

Dorosz popatrzył we wskazanym kierunku i skrzywił się sceptycznie.

- Do Lublina? Normalne drogi im nie wystarczały?

- To było na wypadek oblężenia, ignorancie - fuknęła Marta z naganą. - Od czasu do czasu na te tereny wpadali z wizytą Tatarzy. A Urzędów miał kiedyś prawa miejskie, nie zawsze tu było tak nijako...

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zainteresował się Marek. - Jakoś nie pamiętam, żebyś była orłem z historii.

- Może bym była, gdybym miała porządnego nauczyciela - Marta westchnęła. - Zawsze lubiłam słuchać ciekawych opowieści, a dziadek Aleksander zna ich naprawdę wiele... Może to faktycznie tylko legenda, ale fajna. Lubię sobie wyobrazać, co było kiedyś...

- Wejdźcie, moje dzieci! - w drzwiach plebanii stał ksiądz Stanisław, machając ku nim zachęcająco.

Spojrzeni na siebie z nagłym błyskiem w oczach i prawie popędzili w jego kierunku. Zagarnął ich ze sobą i poprowadził do pokoju proboszcza.

- Poręczyłem za was, że nie wykorzystacie tego, co tu usłyszycie, przeciwko Kościołowi - ksiądz Stanisław przybrał srogą minę, ale w jego niebieskich oczach błyszczała wesołość.

- Oczywiście, że nie! - powiedziała stanowczo Marta, spoglądając ukradkiem na urzędowskiego proboszcza, który wyglądał na znękanego. - Nie zamierzamy prowadzić podchodów przeciwko księżom. Chcemy się tylko dowiedzieć, dlaczego wyznaczony w testamencie Henryk Rawski nie otrzymał swego spadku i jakim cudem wpadł on w ręce Teodory Dębickiej. Reszta nas nie obchodzi.

- Będzie pan nagrywał? - ksiądz Wacław rzucił Markowi podejrzliwe spojrzenie.

- Jeśli ksiądz sobie nie życzy, to nie - odparł przytomnie Dorosz, czując przyjemny dreszczyk emocji, który dopadał go, ilekroć udało mu się odkryć jakieś fascynujące tajemnice. Co prawda z reguły dotyczyły one współczesności, ale okazywało się właśnie, że przeszłość też bywała ciekawa.

- To dobrze - ksiądz odetchnął z ulgą, wskazał im miejsca na krzesłach pod ścianą i zaplótł dłonie, które wyraźnie drżały. - Nasza świątynia jest bardzo stara. Zachowało się wiele ksiąg metrykalnych, na podstawie których można prześledzić historię urzędowskich rodzin osiadłych tu od wieków. Porządkując je któregoś dnia, znalazłem wciśnięty między półki a książki plik papierów. Były złożone byle jak i już miałem je odłożyć, ale zobaczyłem, że pismo na nich wygląda na dość stare. Początek był po łacinie, ale cała reszta już po polsku. Były to zapiski jednego z księży, który wysłuchał ostatniej spowiedzi księdza Tomasza... Marta i Marek drgnęli, starając się nie patrzeć na siebie.

- ...Ksiądz Tomasz, nie podam wam jego nazwiska, bo już od wieków nie żyje, prosił go podobno, by spisał wszystko i spróbował odnaleźć potomków Henryka Rawskiego, by wiedzieć im prawdę o ich pochodzeniu...

- Ale jego skrucha nie sięgała tak daleko, by zwrócić im majątek, który zagarnęła Teodora? - głos Marty był oschły.

- Nie mógł tego zrobić, nawet gdyby chciał - proboszcz westchnął. - Kiedy umierał, z majątku już nic nie zostało... Może ja to opowiem po kolei, jak przeczytałem - wyraźnie speszony, unikał ich wzroku. - Teodora z Molnarów Dębicka po śmierci swego męża wspomagała urzędowski kościół znacznymi sumami. A były to czasy - dodał usprawiedliwiająco - gdy zaborcy na wielu terenach nękali świątynie i kasowali zakony, obawiając się, że mogą być ośrodkami konspiracji. Przed śmiercią brata Teodora zmusiła jego notariusza do pokazania sobie testamentu i gdy usłyszała, że zamierzał wszystko zostawić jej nieślubnemu synowi, wpadła w szal. Myślę, że ona... że była chyba nie całkiem zdrowa na umyśle - powiedział z wahaniem. - Z początku chciała za wszelką cenę pozbyć się konkurenta na zawsze i przyszła nawet do księdza Tomasza, by upewnić się, że dostanie rozgrzeszenie. Ksiądz się przeraził i zaczął jej tłumaczyć, że majątek zdobyty za cenę ludzkiego życia nie ucieszy Pana Boga. Na szczęście udało mu się wyperswadować jej ostateczne rozwiązanie. Ale Teodora i tak uparła się, że nie dopuści, by syn przejął spadek. Wedle tego, co zapisał ksiądz Jan, ona chyba uważała, że to przez niego jej życie tak się skomplikowało. Ze spowiedzi księdza Tomasza wynika, że była tam jakaś wielka miłość, która skończyła się, gdy panna została skompromitowana i możliwe, że właśnie o to obwiniała syna. W każdym razie zmusiła księdza Tomasza, by zaświadczył przed notariuszem po śmierci brata, że ten był pod koniec życia niespełna rozumu i nie wiedział, co robi, a żaden Henryk Rawski nie jest ich krewnym - ksiądz westchnął. - Z zapisków wynika, że Teodora była bardzo wścibską kobietą. Starła się zbierać plotki o wszystkich. W ten sposób zamknęła usta notariuszowi i świadkom testamentu. Z synem poszło jej łatwo, bo nic nie wiedział o testamencie, a po śmierci brata, Teodora zakazała mu wstępu do domu pod pretekstem, że zamyka zakład i sklep. Chłopak podobno wrócił do Rzeczycy, gdzie mieszkali jego krewni i zajął się prowadzeniem gospodarstwa...

- A co się stało z majątkiem Stefana Molnara? - zapytała niecierpliwie Marta, bo Marek zaniemówił, sprawiając wrażenie, że zamienił się w wielkie ucho.

- Po śmierci brata Teodora rzeczywiście zlikwidowała sklep, ale chyba stan jej umysłu się pogorszył. Zamieszkała w rodzinnej kamienicy, a po kilku tygodniach przyjechała rozhisteryzowana do księdza Tomasza, żądając, by odprawił w jej domu egzorcyzmy, bo tam jest diabeł. Ksiądz nie miał do tego uprawnień, ale by ją uspokoić, pojechał do Kraśnika i pokropił wszystkie kąty święconą wodą. Niewiele to pomogło. W końcu Teodora sprzedała kamienicę i przeniósła się do swojego majątku po mężu. Nachodziła księdza Tomasza, domagając się, by spisali umowę, na mocy której ona po swojej śmierci przekaze majątek na rzecz urzędowskiej parafii, a on za to ufunduje w kościele tablicę pamiątkową, na której wymieni wszystkie jej zasługi i podkreśli, jaką była bogobojną parafianką...

- Nie widziałem w kościele niczego takiego - Marek wyrwał się wreszcie z zasluchania i rzucił księdzu podejrzliwe spojrzenie.

- Bo tej tablicy nie ma - przyznał proboszcz zakłopotany i przetarł spocone czoło. - Ja to teraz opowiadam po kolei, ale dochodziłem do całej historii latami, budując jej kolejne elementy na podstawie zapisków w księgach kościelnych. W księgach dotyczących inwentarza znalazłem wzmiankę o świadectwie niejakiego Antoniego Rembisza, że odmawia wykonania usługi na rzecz kościoła i zwraca zaliczkę. Był kamieniarzem i dobrym rzemieślnikiem. Podobno trzykrotnie próbował ryc litery i za każdym razem płyta pękała. Uznał, że to jakaś siła nieczysta i zrezygnował z tej pracy. To było już po śmierci Teodory, która zmarła w tysiąc osiemset dwudziestym piątym roku. Niedługo potem zmarło się księdzu Tomaszowi. Przed śmiercią wyspowiadał się u księdza Jana, każąc mu odszukać prawowitych spadkobierców, ale tak się złożyło, że przyszło powstanie. Ksiądz zginął od przypadkowej kuli, kiedy śpieszył opatrzeć rannego i pozostały tylko te papiery. I wzmianka w księgach kościelnych z poleceniem, by w każdy Dzień Zaduszny szczególnie polecać Bogu duszę świętej pamięci księdza Tomasza. To wszystko, co wiem - ksiądz odetchnął z prawdziwą ulgą i spojrzał na nich niespokojnie.

Przez chwilę w pokoju panowało głucho milczenie. Marta myślała nad czymś intensywnie, wreszcie wzięła głęboki oddech i spokojnie, acz stanowczo, powiedziała:

- Bardzo księdzu dziękujemy za wyjaśnienia. Znaleźliśmy testament i dlatego próbowaliśmy zrozumieć, jak to się stało, że go nie wykonano. Chciałabym wiedzieć tylko jeszcze jedną rzecz: co się stało z dziedzictwem Molnarów?

Urzędowski proboszcz, wyraźnie pocieszony, podniósł się żywo z miejsca i wskazał na drzwi.

- Chodźcie. Wszystko wam pokażę.

W milczeniu poszli za nim. Marta bez zdziwienia przyjęła fakt, że prowadzi ich do kościoła, ale Dorosz zrobił zaintrygowaną minę. Czyżby resztę ukryto w świątyni?

Gospodarz, przyklęknąwszy na chwilę w głównej nawie, poprowadził ich w kierunku ołtarza. Wskazał dłonią wiszący nad nim olbrzymi obraz i powiedział ściszym głosem:

- Ksiądz Tomasz go zamówił zaraz po śmierci Teodory. To tabernakulum też zostało kupione za te pieniądze. Tę ambonę - obrócił się w lewo - odnowiono z tych samych środków. Zakupiono nowe ławki do kościoła, odnowiono stalle i konfesjonały, wyremontowano boczne kaplice... Jeśli chcecie, pokażę wam kielichy i monstrancję kupione przez księdza Tomasza - spojrzał na nich prosząco i z naciskiem oświadczył: - Ksiądz Tomasz nie przywłaszczył sobie tych pieniędzy. Przeznaczył je dla swego kościoła, a to, co zostało, przekazał

na łożu śmierci w ręce księdza Jana, który wydał resztę na wsparcie urzędowskich biedaków i powstańców... Ksiądz Jan - dodał po namyśle - chyba dowiadywał się po cichu o tych Rawskich, bo w papierach, które po nim zostały, znalazłem notatkę, że Henryk ożenił się z Elżbietą z Górskich i przejął dwór w Rzeczyicy po przybranych rodzicach. Myślę, że zamierzał się z nim spotkać, ale nie zdążył - rozłożył smutno ręce. - To wszystko, co wiem... Nie oceniajcie surowo księdza Tomasza. Zbłądził, ale niczego nie wziął dla siebie.

- Dobrymi chęciami piekło brukowane - mruknęła Marta zgryźliwie, bo przypomniało się jej to, co o księdzu napisał Stefan Molnar. Po chwili jednak uśmiechnęła się przepraszająco do proboszcza. - Trudno osądzać tych, co żyli w zupełnie innych czasach. Łatwo zapamiętać o okolicznościach... Molnar nie lubił księży, bo ich oskarżał o śmierć córek. Chyba łatwiej mu było z tym żyć. A ludzie są tylko ludźmi. Mają prawo do błędów... Może byłoby lepiej na świecie, gdybyśmy przestali traktować Pana Boga jak naszego kumpla - westchnęła.

Proboszcz spojrział na nią zaskoczony, a Marek zapytał ze zdziwieniem:

- Co masz na myśli?

- Zawsze nam się wydaje, że On będzie zadowolony z tych samych rzeczy, co my - powiedziała Marta, wodząc zamyślnym wzrokiem po bogato zdobionych ścianach świątyni. - A On wcale nie potrzebuje do szczęścia naszych pieniędzy. Biegamy do Niego z każdym problemem i modlimy się w nadziei, że nam pomoże. A kto myśli o Nim, kiedy jest szczęśliwy? Wiecie, jakie są dla mnie najmądrzejsze słowa w Biblii? Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie. To - zatoczyła krąg dłonią - nie jest boskie...

Marek zagapił się na nią z mimowolnym szacunkiem. W oczach proboszcza błysnęła uraza, ale ksiądz rektor spojrział na dziewczynę z dobrotliwym uśmiechem i żartobliwie pogroził palcem.

- Tylko nie zaczynj przypadkiem schizmy, moje dziecko.

- Nie mam zamiaru, proszę księdza. Przecież ci, co to kiedyś budowali, myśleli jednak o wielkości Boga...

Kasia dostała przymusowy urlop i, poganiana przez Martę i coraz bardziej zainteresowanego Marka, zajęła się ustalaniem drzewa genealogicznego swojej rodziny. Babcia, zapytana telefonicznie o Henryka, zamilkła na dobrą chwilę, wreszcie poradziła:

- Jeśli masz czas, kochanie, pojedź do Rzeczyicy. W tamtejszym kościele powinni mieć kolejnych Rawskich w księgach metrykalnych. Długo tam siedzieli. Dopiero twój dziadek zdecydował się przenieść do Kraśnika, kiedy dostał pracę na kolei. A poznaliśmy się właśnie

w Rzeczy cy na chrczinach u wspólnych znajomych... Skąd ci się wzięło to nagłe zainteresowanie historią rodziny?

- A... Bo... - Kasia w popłochu zastanawiała się, co odpowiedzieć. - Znalazłam przypadkiem wzmiankę o Henryku Rawskim i ciekawa jestem, czy to był jakiś nasz przodek - wybrnęła, pocieszając się w duchu, że nie skłamała.

Minę miała przy tym tak nieszczęśliwą, że siedzący obok Marek rozpromienił się jak latarnia morska na myśl, że trafił na żeński egzemplarz, który ma jakiś defekt w genach i nie potrafi kłamać. Po chwili spochmurniał trochę, bo dotarło do niego, że znowu ma odwiedzić kolejny kościół, ale uznał, że jakoś to przeżyje w towarzystwie Kasi. Zadzwoił wcześniej do Lolka, poprosił, by przekazał szefowi, że przedłuża urlop o parę dni i teraz z niecierpliwością myślał o zakończeniu tego historycznego śledztwa.

- Co z tą Kasią? - Marianna wydeła usta, spoglądając z niezadowoleniem na własne odbicie. - Chciałabym wiedzieć, dlaczego przewieszono to lustro znad kominka.

- To ci dopiero ambaras! - prychnęła Zuzanna, która nie mogła się doczekać, aż wszyscy sobie pójdą, bo ssało ją do Internetu. Było to doprawdy fascynujące zajęcie.

Ostatnio w dworku panował wzmożony ruch, bo Andrzej serio potraktował obietnicę złożoną Marcie i ostro zabrał się do prac wykończeniowych w świetlicy. Na odnowionym parkiecie położono wykładzinę dywanową, pod ścianami ustawiono stoliki, a przy nich składane krzeselka. Na bocznych ścianach zamocowano kinkiety idealnie dobrane do żyrandola, a parapety i kominek pokrył gąszcz zieleni. Ogólnie siostróm podobał się nowy wystrój, jednakże lustro przewieszone znad kominka na jego lewą stronę denerwowało Mariannę. Lubiła symetrię.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i spłoszone siostry umknęły w kąt sali, popatrując na siebie z niepokojem. Dochodziła dwudziesta. O tej porze rzadko ktoś jeszcze przesiadywał w dworku.

- Ostrożnie, chłopcy - powiedział ostrzegawczo Andrzej. - Nie stłuczcie tego. Tu jest wysoki próg.

- Spoko, szefie - sapnął Arni, piastując w objęciach owinięty w papier prostokąt. - Ciężkie to, psia kostka. Z czego te ramy? Z żelaza?

- Kondycja ci wysiada? - zakpił Stasio obładowany podobnie jak kolega. - Jestem starszy, a nie zipię jak stara ciuchcia... Gdzie to postawić, szefie?

- Na razie pod ścianą... Stasiu, w korytarzu po tej stronie powinna być drabina. Przynieś ją... Nika! - zdziwiony Andrzej spojrzał na smukłą blondynkę, która stanęła w drzwiach zważona hałasem. Zza niej wyglądała ciekawie ciemnowłosa głowa Irminy. - Co tu robicie o tej porze?

- Sprawdzaliśmy, czy wszystko jest gotowe - Weronika Wojnarowa popatrzyła z uśmiechem na współlnika. - Pogoniłeś nam kota w tym tygodniu. Co ci się nagle stało?

- Obiecałem Malutkiej, że świetlica będzie gotowa na koniec tygodnia...

- No tak. Powinna się była domyślić, że to sprawka Marty - Weronika pokręciła głową z dezaprobatą. - Uznała, że ten termin przyniesie nam szczęście? - zapytała kpiąco.

- Coś w tym stylu - uśmiechnął się Andrzej. - Odwiń ten papier, Arni - polecił ochroniarzowi.

- Potrzebny wam będzie młotek - zatroszczyła się Irmina, widząc lustro identyczne jak poprzednie. - Zaraz przyniosę...

- Spoko, Irma! - krzyknął za nią Arni. - Mam wiertarkę i hak. Gwóźdź by tego nie utrzymał... Dawaj, Stasiu, tę drabinę - kiwnął na kolegę, który wrócił z lekką aluminiową drabinką.

- Drugie lustro! - zdumiała się cichutko Marianna, spoglądając ze zdumieniem na siostrę, która nie mogła oderwać oczu od postawnej sylwetki Nicińskiego. - A, może to i dobrze - uznała po namyśle. - Każda będzie miała swoje...

- Po co ci to drugie lustro? - zdziwiła się jednocześnie Nika. - To nie ma być dom mody, tylko świetlica.

- Chciałem zachować symetrię, bo nad kominkiem będzie wisiało co innego - powiedział Andrzej enigmatycznie.

- Chodź, Irma - Weronika złapała szwagierkę za rękę. - Teraz jestem ciekawa. Zobaczmy, co oni tu knują.

Przesunęły obie dwa krzeselka na środek pokoju i usiadły, przyglądając się pracującym mężczyznom. Weronika kątem oka zarejestrowała jakiś ruch w rogu sali, ale nie poświęciła temu większej uwagi. Ciekawa była, co znajduje się w drugim pakunku.

Kiedy bliźniacze lustro zostało umocowane po drugiej stronie kominka, Andrzej kazał Stasiowi przesunąć drabinę i delikatnie odwinął papier z drugiej paczki. Przy pomocy Arniego podał Stasiowi wielki prostokąt, który ten zawiesił na ścianie.

- To obraz! - krzyknęła zdumiona Weronika. - Jaki piękny! Kupiłeś go do świetlicy? Przecież musiał kosztować majątek... Dziwne... Ten kominek jest taki sam, jak tutaj...

Z dużego płótna spoglądały na salę dwie identyczne młode kobiety ubrane w białe suknie w stylu empire. Wspierały się po obu stronach kominka, trzymając w dłoniach wachlarze i patrząc na obecnych spod długich rzęs.

- Zobacz! - pisnęła przejęta Marianna i pociągnęła zaskoczoną siostrę za ramię. - To my! Mamy prawdziwy portret!

Weronika usłyszała ten pisk i obejrzała się do tyłu. Przez chwilę miała wrażenie, że dwoi jej się w oczach. Potrząsnęła głową, przesunęła ręką po czole i przeniosła spojrzenie na obraz. Wciąż tam był. Znowu popatrzyła w kąt pokoju. Był pusty. Przywidziało mi się - pomyślała z ulgą. - Jestem zmęczona po całym dniu pracy...

- Stało się coś? - Andrzej przyjrzał się jej z zainteresowaniem, bo na jej twarzy mignęło zdumienie.

- Nie, nic - potrząsnęła stanowczo głową. - Dobrze, że nie ma tu Marty. Zaczęłyby mi... Przez chwilę myślałam, że te kobiety z obrazu stoją w rogu pokoju - zaśmiała się i wzruszyła ramionami. - Robi wrażenie...

- To dzieło Ewuni - wyjaśnił Niciński, ukrywając uśmiech. - Nie bardzo chciała się zgodzić na malowanie, bo bała się, że nie da sobie rady z olejem, ale wyszło wspaniale... - popatrzył w zadumie na obraz, a potem przeniósł wzrok w kąt pokoju i uśmiechnął się tajemniczo. - Inna rzecz, że modelki są czarujące, prawda?

- No! - przytaknęli jednocześnie Arni i Stasio.

- Kim one są? - zainteresowała się Weronika, nie mogąc oderwać oczu od delikatnych twarzy obu kobiet. - Wyglądają jak bliźniaczki.

- Bo to są bliźniaczki... No, chłopcy, koniec na dziś... A wy? - spojrzał na Nike i Irminę. - Wracacie?

- Jasne - podniosły się obie z krzeseł. - Późno już...

Kiedy tylko ucichł warkot odjeżdżających samochodów, Marianna nie wytrzymała. Zerknęła tylko, czy okiennice są szczelnie zamknięte i skupiła myśl na żyrandolu, który natchmianem rozblysnął światłem. Podbiegła do kominka i z zachwytem spojrzała na obraz.

- Mamy własny portret! - zawołała uszczęśliwiona. - Słyszałaś? To ta Ewunia malowała. Nie wiedziałam, że ma taki talent - stwierdziła z szacunkiem. - Musi być wielką malarką... No, co tak stoisz? - obejrzała się niecierpliwie na siostrę, która z dziwną miną tkwiła w rogu świetlicy.

Zuzanna ani drgnęła i Marianna poczuła się w obowiązku doprowadzić ją do przytomności. Zniknęła sprzed kominka i nieoczekiwanie pojawiła się tuż za siostrą, wydając z siebie nieartykułowany wrzask. Zuzanna przestała udawać posąg i podskoczyła nerwowo.

- Odbiło ci? - syknęła ze złością. - Upiora udajesz? Czy strzygę?

- Zuzanno! - Marianna rzuciła jej wyniosłe spojrzenie pełne dezaprobaty, które podpatrzyła kiedyś u ciotki Teodory. - J ak ty się wyrażasz? Całkiem sprościłaś przez ten cały komputer...

- Dama się znalazła - burknęła Zuzanna i, nie bez przyjemności, przyjrzała się obrazowi. - Ta mała Ewunia naprawdę ma talent, namalowała różnice między nami...

- Różnice? Przecież jesteśmy takie same - Marianna wpatrzyła się w portret z uwagą. - Ach, widzę... - szepnęła do siebie. - Oczy... Patrzymy inaczej... inaczej mamy ułożone ręce... Ta z prawej to ja...

- Zgadza się - Zuzanna pokiwała głową z wyraźną satysfakcją. - Charakter ci wylazi z tych oczu i rąk...

- Tobie też! - warknęła Marianna.

- Ja jestem zadowolona ze swojego charakteru...

- A kto powiedział, że ja nie?

- To nie rozumiem, czemu się złościysz... Daj spokój, Marianno. Słyszałaś, co powiedział ten mężczyzna?

- Że modelki są czarujące - zacytowała Marianna z rozmarzonym uśmiechem. - Nie chcę być nieskromna, ale uważam, że ma rację...

- Nie o to mi chodzi! - zniecierpliwiała się Zuzanna. - Jestem pewna, że ta kobieta dostrzegła nas, kiedy wrzasnął i on o tym wiedział. Wiedział, że tu jesteśmy - podkreśliła z naciskiem.

- Nie wrzasnąłam, tylko wyraziłam zaskoczenie niespodzianką - sprostowała natychmiast Marianna. - Porzuć nadzieje, sestro. On nas nie widział.

- Nie mówię, że widział, tylko że wiedział o nas. Mógł się dowiedzieć tylko z dwóch źródeł: albo od Kasi, albo od Marty. Dlaczego mu powiedziałły?

- Kasia mówiła, że to jej pryncypał. Może miał do niej jakieś pretensje i musiała mu powiedzieć? - Marianna wzruszyła ramionami. - Może coś złego zrobiłaś temu komputerowi i miała kłopoty przez ciebie?

- Dlaczego tu nie przychodzi? - zdenerwowała się Zuzanna. - Co się z nią dzieje? Mam tyle pytań, ale przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć, czy widziała naszą kamienicę i jak ona teraz wygląda.

- To ci dopiero ambaras - przygadała jej złośliwie Marianna i odskoczyła, bo siostra najwyraźniej szukała wzrokiem czegoś odpowiednio ciężkiego.

Andrzej upewnił się, że tego dnia część należąca do fundacji Weroniki będzie pusta i wspólnie z Doroszem i Michałem przewieźli przygotowany przez Kubę prowiant i ulokowali go w pokoju Irminy. Potem pojechali po Martę, a Marek miał wziąć własny samochód i dostarczyć na miejsce Kasię. Spotkali się wszyscy przed dworkiem.

- Kasia, idź do swojego pokoju i zajmij czymś siostrzyczki - rozkazała Marta, wyskakując z rovera Andrzeja. - A wy ze mną, proszę. Przydacie mi się do pomocy.

Kasia weszła do środka, z trudem opanowując podniecenie, i pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to Zuzanna siedząca przed komputerem.

- No, jesteś nareszcie! - panna Molnar rzuciła jej pełne wyrzutu spojrzenie. - Gdzie się podziewałaś? Widziałaś naszą kamienicę? Stoi jeszcze?

- Wszystko ci opowiem, tylko daj mi jeszcze chwilę - obiecała Kasia i usiadła naprzeciwko. - O, witaj, Marianno - przy oknie pojawiła się druga z bliźniaczek. - Zaprosiliśmy gości. Oni o was wiedzą, ale was, niestety, nie widzą...

- Mężczyźni? - Marianna popatrzyła na nią z błyskiem w oku i westchnęła. - Co za zmarnowana okazja...

- Kogo? - zapytała jednocześnie Zuzanna, odrywając oczy od monitora.

- To mój szef, mąż Marty, Michał i Marek...

- To ten twój prawie narzeczony? - przerwała Marianna.

- Jest dziennikarzem i dzięki niemu wiele się dowiedziałyśmy o waszej rodzinie - wybrnęła Kasia, ukrywając zakłopotanie. - Przejdziemy do świetlicy, kiedy Marta wszystko przygotuje...

- Pójdę zobaczyć - Marianna natychmiast posunęła się ku drzwiom.

- Siadaj, Marianno - powiedziała stanowczo Kasia, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - To ma być niespodzianka dla was. Daj nam szansę.

Oczy Zuzanny błyszczały z ciekawości, kiedy w milczeniu przyglądała się Kasi.

- Naprawdę się czegoś dowiedziałyście?

- Och, Zuzanno - Kasia westchnęła. - Nigdy bym nie uwierzyła, że przytrafi mi się coś takiego... Szkoda, że nie możemy zaprosić was na prawdziwe przyjęcie, szef podobno przywiózł masę jedzenia, bo to spotkanie ma być jednocześnie otwarciem świetlicy.

- Nie szkodzi - powiedziała spokojnie Zuzanna. - Jeść nie muszę, wystarczy mi wiedza... Oni naprawdę uwierzyli, że my tu jesteśmy?

- Oczywiście. Marta przekonała Michała i Andrzeja, a ja Marka. No, ja miałam trochę trudniej, bo on jest... Marta mówi, że w jego mózgu jest jakieś łyse miejsce i dlatego nie działa, jak należy - uśmiechnęła się Kasia. - On uważa, że jeśli czegoś nie da się dotknąć, to to nie istnieje...

- Dobry wieczór, moje panie - do pokoju wbiegła roześmiana Marta. - Zapraszam na salony. Wszystko przygotowane, proszę jaśnie panienek. Chodźcie.

Przepuściły podekscytowane bliźniaczki i poszły za nimi.

- Och, jej - Zuzanna zatrzymała się w progu i oczy jej zwilgotniały. - To wszystko ze względu na nas?

- Jak najbardziej - zaśmiała się Marta. - To są wasze miejsca - wskazała ręką dwa zsunięte stoliki na środku świetlicy. - Nasi panowie nie będą nam przeszkadzać. Chcą tylko udowodnić sobie samym, że ich nie oszukałyśmy... Siadajcie, moje drogie.

Trzej panowie siedzieli skromnie pod ścianą przy suto zastawionym stole i kamiennie milczeli. Jeśli wydawało im się dziwne, że obie dziewczyny mówiły do pustej przestrzeni, ukrywali to umiejętnie. Jedyne Marek nie potrafił opanować lekkiego wytrzeszczu, jakby miał nadzieję, że uda mu się dostrzec to, co się faktycznie na jego oczach rozgrywa.

- *O, mon Dieu* - westchnęła Zuzanna z wyraźnym żalem. - Jacy oni przystojni.

- Opanuj się, Zuzanno - Marta zrobiła groźną minę. - Wszyscy trzej są już zakontraktowani. Ostrzegam, że w twoim przypadku byłaby to recydywa.

- Co to znaczy? - w oczach panny Molnar mignęły iskierki zadowolenia.

- Recydywa jest wtedy, kiedy tego samego przestępstwa dokonuje się po raz drugi - wyjaśniła uprzejmie Kasia.

- Uważasz, że mogłabym? - Zuzanna zrobiła niewinną minę.

- Oj, mogłabyś, mogła - mruknęła Marta, obrzucając ją wymownym spojrzeniem.

Zuzanna splonęła rozkosznym rumieńcem i porzuciła temat.

O czym one, do diabła, rozmawiają? - Marek oddałby wszystko, by usłyszeć niewidzialne interlokutorki.

- Który jest który? - zainteresowała się Marianna, zerkając spod rzęs ku ozdobionej męskimi okazami ścianie.

- Nie wysilaj się. Oni cię nie widzą - burknęła Zuzanna.

- Ten po lewej to Marek. Znaćcie go, bo przychodził często do Kasi. Ten w środku to Andrzej, szef Kasi. To on wpadł na pomysł, żeby zainwestować w ten dworek. A ten z prawej to moja osobista własność, mój mąż, Michał...

Niciński i Artymowicz uśmiechnęli się na tę prezentację. Dorosz siedział jak trusia.

- No, dobrze - Marta poprawiła się na krześle. - To teraz opowiem wam, czego się dowiedziałyśmy. Wasz ojciec zmarł w tysiąc osiemset dwudziestym roku, pięć lat po waszej śmierci. Do końca życia miał wyrzuty sumienia, że zgodził się na tę nieszczęsną kurację brata Hieronima. I to nie był jego pomysł. Zrobił to za poradą waszej ciotki, która za młodu miała podobny problem...

- Zawsze mówiłam, że musi coś mieć na sumieniu! - pisnęła podekscytowana Zuzanna.
- Ludzie nie dewocieją bez powodu!

- Tyle, że ona nie posunęła się do takiej terapii - mruknęła Marta. - Wasza matka wywozła ją do swoich krewnych na wieś i tam Teodora spokojnie urodziła dziecko i beztrudno oddała je na wychowanie.

- Biedny papa - w oczach Zuzanny zaszklily się łzy. - Gdybyśmy wiedziały... Nasza... kompromitacja musiała go strasznie zabołec... Gdybym wiedziała, że ciotka Teodora... Już bym dała spokój temu głupiemu Franciszkowi. Niech by go sobie Marianna wzięła...

- Co?! - wrzasnęła oburzona do żywego Marianna. - Niech bym?! Był mój, zanim się wtrąciłaś!

- Spokój, moje panny - Marta spojrziała na nie stanowczo. - Chyba, że reszta historii was nie obchodzi?

Siostry popatrzyły na siebie z urazą, Zuzanna wzruszyła ramionami, Marianna sapnęła resztką złości i obie kiwnęły głowami.

- Znałyście Henryka Rawskiego? - zapytała Marta.

- Oczywiście - Zuzanna uśmiechnęła się z sympatią. - Był naszym kuzynem ze strony matki. Był starszy tylko o dwa lata i praktykował u papy w warsztacie. Papa mówił, że będzie z niego dobry złotnik... Skąd o nim wiecie? - przesunęła podejrzliwym wzrokiem po obu dziewczynach. - Nie mówiłyśmy wam o Henrysiu...

- On nie był kuzynem ze strony matki - powiedziała dobitnie Marta.

- Nie? - zdziwiła się Marianna. - A kim?

- Zaraz! - Zuzanna wyprostowała się gwałtownie i zmarszczyła brwi, myśląc intensywnie. - Rawscy byli krewnymi mamy... Teodora... - złapała się za głowę i zaczęła się śmiać jak szalona. - Teodora!... Kuzyn!... Boże, on był jej synem!... Co za hipokrytka!

- Co? - Marianna pociągnęła ją za ramię. - Co ty mówisz? Kto był czyim synem?

Zuzanna odetchnęła głęboko i poklepała ją uspokajająco po dłoni.

- Nie martw się, siostrzo. Nie oszalałam. Henryś był naprawdę naszym kuzynem, tyle że bliższym niż nam się zdawało. Był nieślubnym synem ciotki Teodory - oświadczyła z satysfakcją.

Do Marianny dotarło i osłupiała. Przez chwilę patrzyła na siostrę wielkimi oczami, nie mogąc wydać z siebie głosu.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęła wreszcie ze świętym oburzeniem. - Jak ona mogła! A pamiętasz, ile razy nam dokuczała, że nie zachowujemy się jak dobrze wychowane panny? Nieślubny syn! To jakim prawem wmawiała nam, że będziemy przeklęte z powodu tej kompromitacji? Tak strasznie się bałam tego zabiegu, a ona nawet nie próbowała mnie pocieszyć! Była jeszcze gorsza niż ta cała Balladyna Słowackiego! Piorun to na nią za mało!

Marta i Kasia spojrzały po sobie, kryjąc uśmiech. Skojarzenie z Balladyna im się nie nasunęło.

- Dlaczego pytasz o Henryka? - Zuzanna spojrzała podejrzliwie na Martę.

- Wasz ojciec zapisał mu w testamencie cały swój majątek łącznie z kamienicą, pracownią i sklepem. Znalazłyśmy ten testament - wyjaśniła Marta.

- Gdzie? - w oczach Zuzanny płonęła ciekawość.

- W waszej kamienicy. Wasz ojciec obawiał się swojej siostry i najważniejsze rzeczy kazał Henrykowi ukryć w skrytce w kominku.

- Boże! - Marianna nie potrafiła ukryć mściwej satysfakcji. - Ależ ciotka musiała być wściekła! Pamiętam, jak się oburzała, że papa robi biżuterię specjalnie dla nas!

- Skąd wiedziałaś, gdzie szukać? - Zuzanna nie spuszczała oczu z twarzy Marty.

- Trudno to wytłumaczyć - Marta pokręciła głową z zakłopotaniem. - Mam wrażenie, że wasz ojciec bardzo chciał, żebyśmy to znaleźli... A co do Teodory... Pewnie była wściekła, ale natychmiast zaczęła działać. Henryk nie miał pojęcia, co chowa. Po prostu spełnił prośbę starszego krewniaka, którego podziwiał i szanował i któremu wiele zawdzięczał. Nie wiedział również, że Teodora jest jego prawdziwą, matką. To ułatwiło sprawę waszej ciotce. Zmusiła notariusza do zmiany testamentu na swoją korzyść, zakazała Henrykowi wstępu do domu i zagarnęła wszystko. No, nie wyszło jej to na dobre... Proszę, tu macie oryginalny testament waszego ojca - Marta z namaszczeniem podała im zwinięty w rulon pergamin.

Trzej panowie siedzący skromnie pod ścianą z zapartym tchem obserwowali unoszący się w powietrzu dokument. Marek otworzył usta, by zaprotestować przeciwko głupim sztuczkom, ale popatrzył na Kasię, która z miną pełną współczucia utkwiała oczy w przestrzeni przed

sobą i zamknął je bez słowa. Przysięgł sobie tylko w duchu, że nigdy w życiu nie puści na ten temat pary z gęby, bo rodzina zafunduje mu lokum w Abramowicach.

- Biedny Henryś - westchnęła z żalem Zuzanna, zwracając pismo Marcie. - Gdyby odziedziczył pracownię, mógłby kontynuować rodzinną tradycję...

- Zawsze wiedziałam, że ciotka Teodora ma w sobie coś ze zmił - mruknęła Marianna i z satysfakcją dodała: - Dobrze, że chociaż tego nie znalazła.

- To nie wszystko, co ukrył wasz ojciec - Marta starannie zwinęła pergamin. - Zachował dla Henryka papiery dotyczące rodziny. Nie brałam tego ze sobą, bo bałam się, że może się uszkodzić. Dla naszego pokolenia to prawdziwy skarb. Jeśli się zgodzicie, oddamy to do muzeum - spojrzała pytająco na siostry.

- Ależ oczywiście - Zuzanna wyprostowała się z zadowoleniem. - Przeczytałam w Internecie, że w czasie wojny zaginęło wiele historycznych pamiątek. Jeśli to się na coś przyda... - westchnęła rozszalona. - Papiery przetrwały, a z naszych rzeczy nic nie ocalało...

- I tu się mylisz, moja droga - Marta uśmiechnęła się szeroko. - Na początek pokażę wam to - tryumfalnie otworzyła pudełeczko z medalionem i zobaczyła niedowierzanie na twarzach sióstr.

- Medalion mamy - szepnęła Marianna z nabożeństwem. - Boże...

Audytorium pod ścianą ujrzało, jak klejnot podnosi się z rąk Marty i przesuwa od prawej do lewej, jakby nie mógł się zdecydować, w którym miejscu będzie wyglądał okazałej. Panowie nie mieli pojęcia, że siostrzyczki wrywają go sobie wzajemnie, bo każda z nich chce pierwsza zobaczyć twarz matki ukrytą w środku. Marek na wszelki wypadek zdecydował się znieczulić, ale napojów wysokowych nie było, więc sięgnął po jakiś nieszkodliwy soczek.

- Zdążycie obydwie - skarciła siostry Marta i podała im bliźniacze pudełka z pierścionkami. - Proszę. O to już nie musicie się bić.

- Nasze pierścionki! - Marianna natychmiast wsunęła swój na palec i wyciągnęła przed siebie rękę, podziwiając klejnocik. - Papa je zrobił wedle mojego wzoru - pochwaliła się z dumą. - Wymyśliłam jeszcze naszyjnik. Miał zrobić dwa takie same i dać nam, kiedy będziemy wychodziły za mąż - westchnęła rzewnie.

- Zrobił - Marta podała jej większe pudełko, a drugie szybko podsunęła Zuzannie.

Z ust bliźniaczek wyrwał się okrzyk zachwyty. Natychmiast wyjęły klejnoty z opakowań i założyły na smukłe szyje. Marianna nie wytrzymała.

- Mogę? - spojrzała błagalnie na milczącą Kasię i uśmiechniętą Martę. - Umrę, jeśli się teraz nie zobaczę!

Zuzanna prychnęła i zrobiła pogardliwą minę.

- Już raz umarłaś, ty Narcyzico. Że też ty bez lustra nie wytrzymasz pięciu minut... - widząc, że siostra w ekspresowym tempie zmierza do wiszącego przy kominku zwierciadła, podniosła się z wahaniem. - A, co tam. Jak ona może, to ja też...

Audytorium pod ścianą w kamiennym milczeniu i starannie unikając patrzenia na siebie, obserwoowało sunące w powietrzu klejnoty. Nagle trzech panowie jednocześnie pochylili się do przodu i na ich twarzach ukazał się wyraz kompletnego osłupienia. Z ust Marka wyrwał się ni to jęk, ni to stęknienie, co sprawiło, że zaniepokojona Kasia odwróciła się gwałtownie. Spojrzała na trzech mężczyzn, a potem na przepychające się przed jednym lustrem siostry.

- Marta - powiedziała ze zdziwieniem - oni je widzą. W lustrze.

- Właśnie byłam ciekawa, czy to możliwe - wyznała Marta spokojnie. - Skoro one same widziały swoje odbicia... Marianno! - zawołała ze śmiechem. - Oni was widzą! Widzą wasze odbicia!

Bliźniaczki odwróciły się nerwowo ku sali i teraz panowie mogli podziwiać misterne pukle spływające na wysmukłe szyje opięte naszyjnikami.

- Co za szczęście, że pierwsze duchy, jakie mi przyszło w życiu spotkać, są tak mało przerażające - stwierdził z rozbawieniem Andrzej, gdy już udało mu się dojść do siebie.

- Masz rację - uśmiechnął się Michał. - Może to i dobrze, że nie tak łatwo je zobaczyć. Połowa męskiej populacji Kraśnika miałaby kłopoty sercowe.

Siostry popatrzyły na siebie i zarumieniły się z zadowolenia, słysząc te komplementy. Stałyby przed lustrem w nieskończoność, pozwalając się podziwiać, gdyby nie Marta, która dość kategorycznym gestem wezwała je do stolika. Z żalem porzuciły przyjemne zajęcie i zasiadły naprzeciwko.

- To jeszcze nie wszystko, co mamy wam do powiedzenia...

- Znalazłyście coś jeszcze? - zainteresowała się umiarkowanie Marianna, gładząc z upodobaniem naszyjnik.

- Owszem. Odnalazłyśmy potomków Henryka - oznajmiła Marta.

- I co? - Zuzanna spojrzała na nią z niechęcią. - Trzeba im to oddać? Przecież my tu jesteśmy. To wszystko byłoby nasze, gdyby papa wiedział...

- Zuzanno - powiedziała Marta łagodnie - nikt oprócz nas nie wie o tym znalezisku. Chciałyśmy, żebyście najpierw wy to zobaczyły. Nie zrobimy nic bez waszej zgody. Wiemy, że dla was to przede wszystkim pamiątka. Jeśli uznacie, że chcecie to zatrzymać, to tak będzie...

- Chcemy! - oświadczyła stanowczo Marianna i obrzuciła obie dziewczyny wyniosłym spojrzeniem. - Papa robił to dla nas i to nasza własność! Nie mam zamiaru oddawać jej komuś, kogo nie znam i kto nic mnie nie obchodzi!

- Ale... Papa zapisał to Henrysowi... - załamała się Zuzanna.

- Bo myślał, że my umarliśmy!

- No co ty pleciesz! Przecież umarliśmy!

- Ale jesteśmy tutaj!

Marta była pewna, że na widok swoich klejnotów siostry zapomną o wszystkim i będą się upierały, by je zatrzymać dla siebie. Dlatego już wcześniej starannie opracowała strategię i przygotowała argumenty.

- Przestańcie się kłócić. Wasz ojciec zapisał to wszystko, co uznał za najdroższe dla siebie waszemu kuzynowi nie tylko dlatego, że miał żal do Teodory. Również dlatego, że uważał Henryka za człowieka honoru, który przykłada wielką wagę do rodzinnej tradycji - słowa same płynęły z jej ust, zupełnie, jakby je ktoś podpowiadał. - Jemu zostawił rodzinne papiery. Wiedział, że je przechowa. Jemu zostawił wasze klejnoty. Wiedział, że to doceni i że z tymi klejnotami zostawia mu pamięć o was, bo Henryk był przy tym, jak je robiono. Swoim potomkom przekazałby legendę rodzinną o dwóch siostrach bliźniaczkach, o identycznych pierścionkach urodzinowych, o ślubnych naszyjnikach, które nie doczekały tego wydarzenia, o pięknych, młodych dziewczętach, które urodziły się i odeszły razem. Ale Henrykowi nie było dane dotrzymać słowa, bo Teodorze udało się obalić testament. Dziś nikt nie pamięta o rodzinie Molnarów. Gdyby nie my, nikt by nie wiedział, do kogo należy zaniedbany grób na cmentarzu. A mimo to - ciągnęła bez tchu - macie szansę na nieśmiertelność. Marek chce zrobić program o rodzinie Molnarów. Ja zadbam o odnowienie waszego grobu. Ewunia uwieczniła was na portrecie... Spadkobiercy Henryka żyją i nie zamierzają wrywać wam z rąk niczego...

- Skąd wiesz? - przerwała Marianna z niechęcią, pieszczotliwie gładząc naszyjnik.

- Bo ja jestem jednym z nich - wyznała cichutko milcząca dotąd Kasia. - Henryk był moim... cztery razy pradiadkiem. Po ojcu. Sprawdziłam to w rzeczywistej parafii i mogę wam pokazać kopie dokumentów - nabrała tchu i spojrzała siostrą prosto w oczy. - Nie potrzebuję waszych klejnotów. Wystarczy mi, że was widziałam i poznałam waszą historię. Tego nigdy nie zapomnę.

Bliźniaczki milczały, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

- Jak myślicie - odezwała się Marta łagodnie - dlaczego tu jesteście? Dlaczego nie możecie stąd odejść?

- Bo zgrzeszyliśmy podwójnie. Nie cudzołóż i nie zabijaj - mruknęła. Zuzanna.

- Słyszałam o większych grzesznikach niż wy, a jednak nie tkwią na wieki w miejscach, w których grzeszyli - Marta potrząsnęła głową. - Nie wydaje mi się, żeby to był główny powód.

- No to dlaczego? Znasz inny? - Marianna wzruszyła ramionami.

- Myślę, że tak... - Marta zadumała się na moment. - Zgrzeszyliście nie bardziej niż inne lekkomyślne dziewczęta z waszych czasów. Decyzja o usunięciu ciąży została podjęta za waszymi plecami i bez waszego udziału. Przynajmniej taką samą, jeśli nie większą, odpowiedzialność ponosi za nią Teodora i wasz ojciec. Umarliście nagle, zupełnie nieprzygotowane do przejścia na tamten świat. Podejrzewam, że przez jakiś czas w ogóle nie zdawałyście sobie sprawy z tego, że coś się zmieniło...

- To prawda - wyrwało się słuchającej uważnie Zuzannie. - Strasznie się zdenerwowałam, kiedy brat Hieronim kazał nas przykryć jakimś całunem. Potem snułyśmy się obie po całym szpitalu, ale nikt nas nie widział. Próbowaliśmy wrócić do domu, ale okazało się, że nie możemy opuścić tego miejsca. Nie miałyśmy pojęcia, co się stało i czułyśmy się jak w jakimś koszmarze. Dopiero po paru dniach znalazłyśmy się nagle w kościele, zobaczyłyśmy papę i ciotkę z żałobnymi tasiemkami na ubraniach i... Chciałyśmy do nich podejść, zapytać, co się dzieje, ale jakaś siła nam nie pozwalała. A kiedy zrozumiłyśmy, że właśnie odbywa się nasz pogrzeb... Och, to było straszne... - łzy stanęły jej w oczach.

- Dostałam ataku nerwowego - wtrąciła ponuro Marianna. - Krzyczałam, tupałam, płakałam, ale nikt mnie nie słyszał. Coś nas zaniósło na cmentarz, widziałyśmy, jak papa zasłabł nad grobem...

- Chciałyśmy mu powiedzieć, że jesteśmy obok, że nic nam się nie stało - widać było, że Zuzanna na nowo przeżywa tamtą chwilę. - Nie widział nas i nie słyszał... A potem... Potem znowu znalazłyśmy się tu...

- Był w was strach i gniew - powiedziała miękko Marta. - To trzymało was w tym miejscu. Gdybyście potrafiły się pozbyć tego balastu, znalazłybyście się tam, gdzie już dawno powinnyście były trafić. Naprawdę do końca świata chcecie tutaj tkwić?

- A co nas czeka gdzie indziej? - zapytała z żalem Zuzanna. - Tu przynajmniej coś się wreszcie dzieje. A tam? Czy tam w ogóle coś jest?

- A jeśli pójdziemy do piekła? - w oczach Marianny błysnęła obawa.

- Piekło jest dla wybranych - uśmiechnęła się Marta. - Tworzą je najpierw tutaj, a potem po drugiej stronie. Wy się nie kwalifikujecie... Naprawdę pozostawanie tu wydaje wam się szczytem szczęścia? Będą przemijały kolejne pokolenia, a wy będziecie tu tkwić? Wieczność to długo.

- Mnie się tu podoba - mruknęła z uporem Zuzanna.

- A jeśli ktoś tam na was czeka? - zapytała Marta cicho.

- Chyba Belzebub z widłami. Pamiętam, co ciotka mówiła... - Marianna wstrząsnęła się z wyraźnym strachem.

- Wierzysz w piekło, a nie wierzysz w niebo? - zdziwiła się Marta. - Skąd ta selekcja? Naprawdę uważacie, że cokolwiek was tam czeka, będzie dla was gorsze niż to? - zatoczyła dłonią wymowny krąg, pokazując na ściany sali. - Wasi bliscy odeszli dawno temu. Czemu nie chcecie dołączyć do nich?

- Co się tak uparłaś?! - wrzasnęła zdenerwowana Zuzanna, kręcąc się niespokojnie na krześle. - Nikomu nie robimy krzywdy! Po prostu jesteśmy! Dlaczego chcesz nas stąd wyrzucić? - rzuciła rozżalone spojrzenie na obie dziewczyny.

- Nie chcę was stąd wyrzucać - powiedziała Marta łagodnie. - Po prostu nie mogę pozbyć się wrażenia, że to nie jest miejsce, do którego należycie. Co was tu spotkało dobrego? Tylko ból i strach...

- Spotkałyśmy was - weszła jej w słowo Zuzanna. - To było dobre. I dzięki wam mogliśmy poznać współczesny świat.

- To miło, że tak mówisz, ale widzicie... Odkąd weszłam do waszej kamienicy... - Marta zamyśliła się na chwilę. - Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś po drugiej stronie posługuje się nami, by zabrać was do siebie. W jednym z pokoi widziałam wtedy wydarzenia sprzed wieków. Widziałam waszego ojca, Henryka, potem ciotkę Teodorę i... O, kurczę... - urwała i wpatrzyła się jak zahipnotyzowana w przestrzeń za siostrami. - Kasia, widzisz to, co ja? - szepnęła z przejęciem.

Kasia wytężyła wzrok, ale niczego nie dostrzegła i potrząsnęła głową z rozczarowaniem. Trzej panowie pod ścianą poruszyli się niespokojnie, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Nie zauważyli niczego, poczuli tylko nagły chłód w pokoju.

- Boże! Widzę! - Kasia pochyliła się do przodu, wpatrując się z niedowierzaniem w mgliste zarysy, które wolno przekształcały się w sylwetkę mężczyzny odzianego w jakiś dziwaczny strój.

Marianna i Zuzanna odwróciły się niepewnie i zastygły w bezruchu. W następnej chwili jednocześnie zerwały się z krzeseł i runęły ze szlochem ku niespodziewanemu gościowi.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Kasia i Marta zobaczyły, jak siostry zatrzymują się nagle, przesuwają rozpaczliwie dłońmi przed sobą, a wreszcie z płaczem osuwają się na podłogę.

- Tu jest ściana! - na twarzy Zuzanny był szok i zawód. - Nie możemy go dotknąć! Mówi coś do nas, ale go nie słyszymy! Papo!

Kasia wyglądała, jakby miała rozplakać się za chwilę i Marek już był gotów biec jej na ratunek, ale powstrzymał go spokojny głos Marty.

- Ja go słyszę - powiedziała powoli i wyraźnie. - Mówi, że bardzo długo na was czekał. Że bardzo tęsknił. Że chciałby was zabrać ze sobą...

- Ale my też chcemy! - zapłakała Marianna. - Papo, my chcemy być z tobą! Nie chcemy tu znowu zostać same! Zabierz nas!

- Same musicie przejść przez ścianę - Marta powtórzyła słowa, które zadźwięczały w jej głowie.

- Nie możemy! - Zuzanna rozpaczliwie uderzyła pięściami w niewidzialną zaporę. - Zrób coś! Proszę! Chcę być z papą!

- Zuzanno - głos Marty był łagodny, ale stanowczy - tylko wy obie możecie spowodować, że ta ściana zniknie. Macie przy sobie coś, co nie należy do was. Wasz ojciec chce, by jego testament został wykonany.

Bliźniaczki spojrzały łzawo na ojca, który wyciągnął ku nim ręce i jednocześnie zdarły z siebie biżuterię. Przez chwilę trzymały ją w wyciągniętych dłoniach, potem zgodnie ruszyły w stronę Kasi. Siedziała jak wmurowana, kiedy na jej podolek upadły dwa naszyjniki i pierścionki. Siostry uśmiechnęły się przez łzy, wzięły się za ręce i ostrożnie, niepewnie zawróciły.

- Zaczekajcie! - Kasi nagle wróciła zdolność ruchu. Zsunęła klejnoty na stolik i zerwała się z krzesła. - Ja naprawdę... Zuzanno, jesteś pewna, że chcecie mi to zostawić? Może wolicie inaczej? Zrobię wszystko, co będziecie chciały - przyrzekła żarliwie. - Ja... Nie muszę tego mieć...

- Papa zapisał to Henrysiowi - westchnęła Zuzanna i uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Nie zostawimy tego nikomu obcemu. Jesteś naszą kuzynką... Miałaś rację - zwróciła się do Marty. - Tęskniłyśmy. Chcemy iść z papą. Chyba... Chyba się pożegnamy - szepnęła łzawo i wyciągnęła ręce do Kasi. - Bardzo cię polubiłam, kuzynko. Nie zapomnij o nas. Pomyśl czasami... Życzę ci, żeby te klejnoty przyniosły ci szczęście. Noś mój pierścionek i przyrzeknij mi, że na swój ślub założysz naszyjnik. Przecież z tą myślą papa go zrobił...

- Przyrzekam - zapłakana Kasia pozwoliła się objąć, a po chwili poczuła na policzku chłodny pocałunek. - Nigdy was nie zapomnę. Będę za wami tęsknić...

- My też będziemy cię miło wspominać - Marianna porzuciła na chwilę swoją zwykłą wyniosłość i ucałowała ją serdecznie. - Dziękujemy za wszystko - przesunęła wzrokiem po sali. - Nasz portret tu zostaje. Nie znikniemy tak bez śladu.

- Na pewno nie - Marta uśmiechnęła się ciepło. - Zajmiemy się pomnikiem na cmentarzu, a Marek, tak jak obiecałam, nakręci swoją opowieść. Zawsze będziemy o was pamiętać.

- Dziękujemy ci za wszystko - Zuzanna uściśniła ją serdecznie. - Jak wy to mówicie? Na razie. Do zobaczenia kiedyś.

- Do widzenia - głos Kasi był drżący, Marty spokojny. Siostry wolno ruszyły w stronę ojca, nie do końca pewne, czy znów nie natrafią na przeszkodę. Nagle Marianna zawróciła pędem i na szyję Kasi opadł medalion z opalami.

- Dbaj o niego. Ta nasza najdroższa pamiątka...

Kasia była w stanie jedynie kiwnąć głową.

Panny Molnar wzięły się za ręce i ostrożnie podeszły do ojca, którego postać zajaśniała nagle blaskiem. Z płaczem wpadły w jego ramiona, machnęły jeszcze na pożegnanie i cała trójka zaczęła się rozpląwać.

Przez pokój przeszedł chłodny powiew. Świece ustawione na stolikach zamigotały i zgasły jednocześnie. Panowie siedzieli przez chwilę w kamiennym bezruchu, po czym wszyscy trzej zerwali się w poszukiwaniu kontaktu. Pierwszy dopadł go Dorosz.

Kiedy błysnęło światło, zobaczyli szlochającą w głos Kasię, którą Marta tuliła do siebie, tłumacząc coś szeptem.

Kasia popatrzyła z żalem na Martę i Marka, którzy zaplanowali na dziś wizytę na sąsiedniej plebanii, westchnęła i niechętnie weszła do dworku. Nic się nie zmieniło. Zajrzała do sali kominkowej, przez chwilę zapatrzyła się na portret i znowu westchnęła. Wchodząc do gabinetu, miała irracjonalną nadzieję, że znowu przed komputerem zobaczy zafascynowaną twarz Zuzanny, ale pokój był pusty. Rzuciła torbę na biurko, usiadła, podparła się łokciami i tępo zagapiła przed siebie, mrugając oczami, by się znowu nie rozpląkać. Wczoraj zrobiła z siebie fontannę. Ryczała przez całą drogę, kiedy Marek odwoził ją do domu. W głębi duszy miała straszny żal do Marty, że pomogła siostronom opuścić ich dotychczasowe schronienie. Wiedziała, że to głupie, wiedziała, że z pewnością lepiej im, gdziekolwiek się teraz znajdują, ale nie mogła poradzić na to, że tęskni za nimi. Brakowało jej dystygowanej wyniosłości Marianny i zabarwionych niekiedy złośliwością błyskotliwych uwag Zuzanny.

Spojrzała na połyskujący na palcu pierścionek Zuzanny, westchnęła z głębi serca i sięgnęła po telefon. Musiała wrócić do współczesności, która nagle przestała być tak atrakcyjna, jak dawniej i zająć się sprawami służbowymi. Andrzej zostawił jej treść zawiadomienia o otwarciu nowej świetlicy. Miała je przekazać lokalnej prasie i kablówce.

- Ależ to niesamowite, co opowiadasz, moje dziecko - ksiądz Stanisław w skupieniu wysłuchał słów Marty i teraz dał upust swoim wrażeniom.

- Ksiądz mi wierzy? - zapytała z ulgą.

- Oczywiście, moja droga. Na świecie wciąż zdarzają się rzeczy, o jakich się filozofom nie śniło. No i przecież masz świadków, bo i twoja przyjaciółka je widziała... Co zamierzacie zrobić z tym spadkiem?

- No, właśnie... - Marta zakłopotana się wyraziła i spojrzała na niego niepewnie. - Obawiam się, proszę księdza, że teraz mogą zacząć się schody. No bo tak - zgięła jeden palec. - Bezprawnie wleźliśmy na cudzą posesję. Mało, że cudza, to jeszcze groziła zawaleniem. W dodatku zdewastowaliśmy mienie należące do miasta, bo bezczelnie grzebaliśmy w ścianach - zagięła drugi palec i westchnęła. - Nie wiem, co mówi na ten temat Kodeks Karny, ale chyba trochę paragrafów udało nam się zaliczyć... Kurczę - spojrzała niepewnie na księdza, który z wysiłkiem powstrzymywał wesołość. - Mam męża i dzieci. I nie lubię, kiedy mi ktoś ogranicza przestrzeń życiową. Nie podoba mi się myśl, że jakiś palant zgodnie z przepisami wsadzi mnie za kratki... Wie ksiądz - oświadczyła z nagłą złością - ja czasem wierzę w słowo pisane. I dlatego uważam, że testament Molnara powinien zostać wypełniony, a ponieważ znaleźliśmy spadkobierców... No, dlaczego jakieś głupie, pazerne hieny miałyby na tym położyć łapę? - popatrzyła z pretensją na księdza i Marka.

- A możesz udowodnić, że to, co znaleźliście, rzeczywiście należy do twojej przyjaciółki? - zapytał po namyśle ksiądz Stanisław.

- Jasne, że mogę! - prychnęła Marta. - Tylko komu i po co? W dzisiejszych czasach panuje dziwny nieurodzaj na uczciwych ludzi. Po co mam ich kusić do złego? Niech sobie diabeł radzi bez mojej pomocy. Czego oczy nie widziały, tego sercu nie żal.

- Tu masz trochę racji - przyznał kapłan niechętnie. - To co zamierzacie zrobić? Mówiłaś, że pan redaktor - wskazał wzrokiem milczącego Dorosza - chce nakręcić film o historii rodziny Molnarów...

- Chce. Pyta ksiądz, co zamierzamy? Cóż, gdyby to zależało tylko ode mnie, to trochę bym zmieniła tę opowieść - powiedziała ostrożnie Marta. - Może tak od razu nie pójdę do

piekła. Nie przyznałabym się w ogóle, że ktokolwiek z nas słyszał o kamienicy Molnarów, to raz. Dwa: miejscem odnalezienia skrzynki zrobiłabym dworek - wyliczała jednym tchem. - A po trzecie: w ogóle nie przyznałabym się, że znalazłam cokolwiek poza testamentem i papierami...

- Ale Molnar wspomina w testamencie o klejnotach - przerwał jej Marek. - Będą podejrzewać, że przywłaszczyliśmy je sobie.

- A jak wytłumaczysz, skąd rzeczy Molnara wzięły się na terenie byłego szpitala? - zapytał równocześnie ksiądz.

- Wcale nie mówiłam, że to będzie łatwe - mruknęła z uporem Marta, marszcząc brwi. - Kurczę, co to za dziki kraj, że trzeba wymyślać jakieś science fiction, zamiast uczciwie powiedzieć prawdę! - zamyśliła się głęboko i nagle podskoczyła na krześle. - Wiem! - rozsiadła się wygodnie i spojrzała na obu mężczyzn z błyskiem w oczach. - Opowiem wam pewną historię... Dawno, dawno temu pewien pogrążony w bólu ojciec, schorowany i mocno zniechęcony pazernością swojej siostry, czując, że koniec się zbliża, postanowił rozliczyć się ze swego doczesnego majątku. Zapisał to, co miał najcenniejszego ulubionemu krewniakowi, który zastępował mu rodzinę po śmierci córek i kazał schować w swoim pokoju. W ten sposób miał pewność, że za jego życia siostra nie położy na tym łapy. Ale nowa właścicielka nie zamierzała mu niczego ułatwiać, i biedny chłopak musiał wydostać swój spadek ukradkiem. Pewnej nocy - Marta sugestywnie ściszyła głos i obaj panowie pochylili się ku niej z nagłym napięciem - kiedy wszyscy w domu spali, Henryk, który świetnie orientował się w rozkładzie kamienicy, zakradł się do dawnego pokoju Molnara, po cichu wydobył skrzynię i prawie mu się udało umknąć, ale jakiś odgłos zbudził Teodorę i narobiła wrzasku, że w domu straszy... Pamiętacie, co pisał ksiądz Tomasz... No i Henryk musiał szybko pomyśleć o jakiejś kryjówce na wypadek, gdyby Teodora próbowała go oskarżyć o kradzież. Najpewniejsze miejsce, jakie znał, nie było daleko. Dowlókł się ze swoim ciężarem do szpitala... Mówił ksiądz, że tam zawsze było prawie pusto... Ukrył skrzynię w kominku, zabierając tylko pudełka z klejnotami, bo były łatwiejsze do schowania pod ubraniem. A papiery zostały w skrzyni... W tysiąc osiemset trzydziestym roku wybuchło powstanie i Henio jako patriota spieniżył kosztowności, by wspomóc rodaków. W ten sposób po rodzinnych precjozach ślad zaginął - zakończyła tryumfalnie.

- Ciekawa opowieść - przyznał ksiądz z uznaniem. - Ale nie masz na jej poparcie żadnych dowodów, moje dziecko.

Marek nic nie powiedział, bo patrzył na Martę z lekką zgrozą w piwnych oczach. Ocknął się w końcu, odchrząknął i z determinacją oznajmił:

- Jakby się uparła, to ma. W rzeczywistej parafii znaleźliśmy kwity. Dotyczyły darowizny, jaką na ręce tamtejszego księdza złożył Henryk Rawski w lutym tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku. Była to spora suma jak na tamte czasy. Rzecz jasna, mógł sprzedać na ten cel ziemię, a nie klejnoty, ale tego nie da się udowodnić.

Marta, jakby wyczerpana historyczną produkcją swojego umysłu, zaniemówiła, opierając łokcie na biurku, a ksiądz rektor złożył ręce jak do modlitwy i zamyślił się głęboko.

- Otóż, jeśli... - zaczął po chwili z namysłem. - Nie pochwalam kłamstwa, ale bywają przypadki szczególne... No i ten program, który chce pan zrobić... Sugerowałbym, żeby trzymać się jak najbliżej prawdy. Z tą kamienicą macie rację. Mówiłaś, że Teodora ją sprzedała? - popatrzył pytająco na Martę, która kiwnęła głową. - No, właśnie. Cokolwiek tam znaleźliście, stanowiło według prawa własność ostatniego legalnego właściciela. Na waszym miejscu w ogóle nie wspominałbym o żadnym skarbie. Lokalni poszukiwacze z pewnością wyruszyliby na łowy.

- Ale jak ja zrobię... - zaczął Dorosz.

- Ma ksiądz rację - przerwała mu Marta stanowczo. - Papiery przekazemy naszemu muzeum, jak tylko dorobimy legendę co do ich znalezienia, a o reszcie będziemy kamiennie milczeć... Cieszę się, że już ksiądz wie o wszystkim i bardzo dziękuję za radę... Chodź, Marek. Nie będziemy przeszkadzać. Aha, Andrzej prosił, żeby przekazać, że zawsze będzie ksiądz mile widzianym gościem w świetlicy.

- Dziękuję, nie omieszkać skorzystać - uśmiechnął się kapłan i przesunął w jej stronę kartkę papieru. - Proszę. Podpisałem to pismo do konserwatora zabytków. Możesz działać, moja droga.

- Już zaczęłam - zapewniła go Marta. - Z konserwatorem na razie jestem umówiona na gębę. To znaczy, mam jego zgodę bez podpisu. Kamieniarz, który się zna na takich renowacjach, też jest już ugadany. Jak tylko na tym piśmie znajdzie się właściwy podpis, wszystko ruszy z kopyta - wstała, ciągnąc za sobą milczącego Marka. - Nie żegnam się za bardzo, bo jeszcze księdzu nadokuczam.

- Wytrzymam. Szczęść Boże, moje dziecko...

Dorosz posłusznie poszedł za Martą, ale kiedy znaleźli się na alejce prowadzącej do dworku, przystanął raptownie i złapał ją za ramię.

- Jak mam, do diabła, zrobić ten reportaż? - zapytał ze złością. - Co ty kombinujesz? Mam zafałszować fakty? A co z prawdą historyczną? Nie mam zamiaru kręcić filmu kostiumowego!

- Nie panikuj - mruknęła Marta. - Chciałam tylko chronić Kasię i nasze tyłki. Musiałam się upewnić, że ksiądz da nam wolną rękę i lepiej, że to wyszło od niego, nie ode mnie. Nie będzie mógł powiedzieć, że w coś wmanewrowałam Kościół.

Dorosz zaniemówił. Patrzył na nią, jakby jej wyrosły dwie głowy i w myślach przebiegało mu wszystko, co mówiła na plebani. Zastygł nagle, oczy mu się zaokrągliły jak u sowy i z niedowierzaniem powiedział:

- Ani przez chwilę nie wierzyłaś, że kupi twój scenariusz o Henryku! Obiecałaś, że wszystko mu powiesz, ale nie chciałaś, żeby się wtrącał! Cholera, Marta! Jesteś...

- Wiem - przerwała mu niecierpliwie i ruszyła w stronę dworku. - W sumie to dobrze, że mnie nie zawiódł. Lubię wierzyć, że bywają jeszcze uczciwi księża. No i lubię księdza Stanisława... Nie martw się. Zrobisz ten reportaż...

Widząc, że małżonek, który już od dłuższej chwili przyglądał się jedzącemu synowi, otwiera usta, Adela Doroszowa posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i powiedziała półgłosem:

- Daj dziecku zjeść spokojnie. Ma taki apetyt, jakby od tygodnia nic nie miał w ustach.

Rozparła się wygodnie na krześle i z tkliwością patrzyła, jak jej jedynak zmiata z talerza dokładkę drugiego dania. Nie miała pojęcia, że Marek nawet nie bardzo wie, co pożera. Jadł siłą rozpędu albo z przyzwyczajenia, bo umysł miał zajęty rozmyślaniami o ostatnim pracownym tygodniu. Mimo wszystko nie mógł się pozbyć niechętnego podziwu, kiedy myślał o Marcie. Wszystko przemyślała. Wciągnęła nawet w swoje machinacje Bogu ducha winną babcię Kasi. Po prostu kazała przyjaciółce zadzwonić do Włoch i sama streściła całą historię, wywołując po tamtej stronie serię „achów” i „ochów”, a w końcu wydebiła od niej informację, że resztki dworku Rawskich znajdują się na polu, które należało do dziadka Kasi, a obecnie jest w dzierzawie. To Marcie wystarczyło. Natychmiast zażądała, by Marek zawiózł je obie do Rzeczycy, dokładnie obejrzała pozostałości fundamentów i starych piwnic, a po paru dniach kazała im opracować całe przedstawienie. Nie darowała nawet Michałowi i Rambo. Oni obaj ukryli ukradkiem skrzynię z papierami w czeluściach jednej z ocalałych piwnic, a Kasia, Marta i Marek dokonali następnego dnia „przypadkowego” odkrycia. W ten oto prosty sposób dokumenty legalnie, bo przy świadkach, wróciły do Kasi. Wszyscy widzieli, że żadnych kosztowności tam nie było, wszyscy się zgodzili, że dawno musiały zostać sprzedane bądź skradzione i wszyscy głośno żalowali Rawskich, że skarb im przeszedł koło nosa. Teraz Marek mógł już bez problemów wykorzystać historyczne rekwizyty w swoim reportażu. W dodatku pod naciskiem Marty nagrał to całe odkrycie na taśmie.

Marek odsunął talerz i zapatrzył się tępo przed siebie, rozmyślając o machiawelicznym umyśle lepszej połowy Artymowicza, i nagle dotarło do niego, że chyba ojciec coś do niego mówi. Z wysiłkiem odsunął od siebie widok Marty, która ze złośliwą satysfakcją przedstawia Kasi minusy jego charakteru i trochę nieprzytomnie przesunął wzrokiem po rodzicach.

Umknęło jego uwadze, że matka dała ojcu jakiś znak i dopiero wtedy powiedziała tonem towarzyskiej pogawędki:

- Jak spotkasz tę Kasię, co wtedy u ciebie nocowała, pozdrów ją ode mnie. Bardzo miła dziewczyna...

- Jasne... No, pewnie... - Marek zamrugał oczami, nie mogąc się pozbyć z umysłu podejrzenia co do złośliwego nastawienia Marty do jego osoby. No, nie - pocieszył się w duchu niepewnie. - Ona nie jest taka. Mówi, co myśli, ale nie powtarza plotek i sama ich nie robi. Jak się wtedy wściekła, to miała trochę racji - przyznał niechętnie. - Na wszelki wypadek dobrze byłoby z nią uczciwie pogadać...

Nagle dotarł do niego głos ojca.

- ...że jest ruda, prawda? I że pracowała jako ochroniarz? Daj spokój, Adziu. Nie pchaj chłopaka w jakieś toksyczne związki. Co to za dziewczyna dla Marka? Ma czas, znajdzie sobie lepszą.

Marek usilnie starał się zrozumieć, o co chodzi i wreszcie odkrył, że ojciec mówi o Kasi. Zagotowało się w nim. Zerwał się od stołu, jakby go ktoś dźgnął, spojrzał wściekle na swojego rodziciela, którego do tej pory miał za rozsądnego człowieka i wrzasnął dotknięty do żywego:

- Ruda?! Wcale nie jest ruda! Ma piękne rdzawo-kasztanowe włosy! A że ochroniarz?! Praca jak każda inna! Pracowała też jako wolontariuszka w fundacji na rzecz pomocy narkomanom! Pracowała w banku! A teraz jest kierowniczką świetlicy dla dwóch fundacji! Niściński i Wojnar! Mówi wam to coś?! Nie zatrudniają byle kogo! Toksyczne związki! To jest najlepsza dziewczyna na świecie! - spojrzał na oboje rodziców z obrzydzeniem. - Dziękuję za obiad! - wrzasnął jeszcze siłą rozpędu i jak strzała wypadł z rodzinnego domu.

- No, to mamy pełny obraz - stwierdziła pani Doroszowa po wyjściu syna.

- A już się bałem, że faktycznie zostanie starym kawalerem - odetchnął z ulgą Dorosz senior. - Spróbuj coś zrobić, żeby ją tu przyprowadził. Też chciałbym zobaczyć dziewczynę, która zrobiła takie wrażenie na moim synu.

- Może być trudno - zatroskała się pani Adela. - Będzie się bał, że zrobisz jej przykrość... Porozmawiam z Martą Artymowiczową. Mówiła mi ta Kasia, że się przyjaźnią...

Dorosz wrócił do pracy. Odwalał swoje sondy bez zwykłego zaangażowania, trochę per noga, ale przynajmniej zupełnie przestało go obchodzić, co szef ma do powiedzenia na jego temat. Zdarzało się, że jeździł z Lolkiem na sesje rady miejskiej, robił nudne, grzeczne wywiady z kraśnickimi włodarzami i nie zaczepiał złośliwie rozmówców, bo właściwie pracował siłą rozpędu. Lolek chwalił siebie za to, że wysłał go na urlop, a jego, że wreszcie zrozumiał, co jest dobre dla kariery. Marka nie obeszły te pochwały i nie zauważył nawet, że jego wywiady miały większą oglądalność niż zwykle, bo rozmówcy, nie przypierani do muru, rozgadywali się przesadnie, podsuwając ludziom przed oczy swoje prawdziwe „ja”. Dorosz jedynie uczciwie opracowywał pytania, a reszta robiła się sama. No, Lolek jej pomagał, bo kręcił i montował materiał.

Cały wolny czas Marek poświęcał na rzadkie spotkania z Kasią, bo była zajęta, i pisanie konspektu do swojego autorskiego reportażu. Na papierze wyglądało to nawet niezłe, ale czuł, że czegoś mu brakuje. Któregoś dnia przejrzał nakręcony materiał i uznał, że nie ma wyjścia. Musi pokazać to Marcie i może ona wyłapie, co jest nie tak. Długo się ociągał, w końcu postanowił chwycić byka za rogi, zaopatrzył się w stosowne kwiecie i wybrał do Artymowiczów.

- Cześć. Jest Marta? - spojrzał niepewnie na Michała, który otworzył mu drzwi.

- Owszem. Wejź - Artymowicz powstrzymał uśmiech na widok dorodnej wiązanki róż i uniósł brwi. - Zamierzasz się jej oświadczyć?

- Zwariowałeś?! - Marek popatrzył na niego z niesmakiem. - Czy ja wyglądam jak samobójca? Chciałem z nią pogadać.

- Siadaj - Michał zaprowadził go do pokoju. - Musisz poczekać, bo usypia dzieci... Napij się czegoś?

- Nie... Albo daj - zdecydował się Marek, pomyślawszy o czekającej go rozmowie. - Może być wino...

- Jak ci idzie robota? - zapytał Michał z ciekawością, sięgając do barku. - Po tych paranormalnych przeżyciach naprawdę jestem ciekaw, jak ten twój film będzie wyglądał. Marta mi mówiła, że nie wszystko możesz wykorzystać.

- Rozmawiałem z Radkiem. Tak teoretycznie. Przedstawiłem mu wymyśloną sytuację i okazało się, że Kasia musiałaby udowodnić swoje prawa do spadku, zapłacić podatek jak stąd do Ameryki i za ciężkie pieniądze ubezpieczyć kosztowności na wypadek kradzieży. Nie mówiąc o tym, że byłaby narażona na jakiś bandycki napad. Ludzie zabijają dla mniejszych sum... Jak mi idzie? - Marek westchnął. - Nie będę się wyrażał. Na razie mam zbitki nakręco-

nego materiału i ogólny konspekt, ale zupełnie nie wiem, jak to poskładać do kupy. Może Marta... - wzruszył bezradnie ramionami.

- A! To stąd ten bukiet - uśmiechnął się Michał i pochwalił: - Dobrze kombinujesz. Czym, jak czym, ale wyobraźnią to ona mogłaby obdzielić połowę Kraśnika... O, chyba schodzi...

Marta weszła do pokoju i zatrzymała się zdziwiona na widok kolegi. Dojrzała leżący na ławie bukiet i na jej twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

- O, rany - popatrzyła na Dorosza podejrzliwie. - Coś ty narozrabiał, że przyszedłeś z kwiatkami? Chyba że wpadłeś po drodze, a to dla Kasi?

- Dla ciebie - Marek rzucił jej ponure spojrzenie i westchnął. - Przyszedłem po ratunek, bo nie bardzo mi idzie. Mogłabyś...

- Marek! Ja się nie znam na robieniu filmów!

- To jak ty się uchowałaś? Jeszcze do ciebie nie dotarło, że dzisiaj nie trzeba być fachowcem, żeby coś robić? Wystarczy mieć plecy.

- Ja nie mam - mruknęła Marta i uznała, że najlepiej będzie zrejterować do kuchni, gdzie czuła się zdecydowanie pewniej. - Zrobię wam coś do jedzenia - obiecała pośpiesznie, złapała kwiaty i umknęła.

- Cholera, a myślałem, że będzie zadowolona - powiedział rozczarowany Dorosz. - Na zasadzie: przyszła koza do woza... Ja chyba faktycznie nie łapię komunikacji damsko-męskiej.

- Poczekaj. Na razie ją zaskoczyłeś. Posiedzi chwilę w kuchni, pomyśli i na pewno rzuci ci parę pomysłów - pocieszył go Michał. - A jak tam z Kasią? Dalej będziecie się tak obwąchiwać czy już dojrzałeś do deklaracji?

- Można powiedzieć, że dojrzałem - wyznał Marek po namyśle. - Ale najpierw chciałbym zrobić ten reportaż. Żeby jej czymś zaimponować.

- No, to już masz chyba odpracowane - zaśmiał się Michał.

- Myślisz? - Dorosz spojrział na niego sceptycznie. - Nie wydaje mi się, żeby zrobiło na niej wrażenie to, co jej zaprezentowałem do tej pory.

- Ale jeśli mimo wszystko nie ucieka na twój widok, to chyba ciągle masz szansę - stwierdził Artymowicz, ukrywając rozbawienie.

- Może... - Marek westchnął i pogrążył się w zadumie.

Michał przyglądał mu się ukradkiem i pomyślał, że kolega sam niepotrzebnie wszystko sobie komplikuje. Doszukuje się na siłę problemów tam, gdzie w ogóle ich nie ma i, zamiast

iść prostą drogą, robi jakieś dziwne podchody. Jednak wierny swoim zasadom, postanowił się nie wtrącać.

- No, jestem - do pokoju weszła Marta, niosąc tacę z kanapkami. - Jedzcie, chłopaki - usiadła obok męża i zapytała ostrożnie: - A właściwie to czego ode mnie oczekujesz?

Marek natychmiast porzucił niewesołe myśli i spojrział na nią z nadzieją.

- Żebyś obejrzała te kawałki, które już nakręciłem i podpowiedziała mi, jak z tego ułożyć całość, żeby miała ręce i nogi.

- No, dobra. To pokaż, co tam masz...

Dorosz włączył kamerę cyfrową i podał jej, przysiadając obok. Marta w skupieniu oglądała siebie i Kasię na cmentarzu, bo na prośbę Marka odtworzyły przypadkowe odnalezienie nagrobka Molnarów; wnętrze dworku z wyeksponowanym portretem; rzekome odnalezienie skrzyni z dokumentami w ruinach dworu Rawskich; wreszcie zbliżenie na rodzinne dokumenty. Potem Marek podał jej pokreślony scenariusz filmu. Ona czytała z wypiekami na twarzy, on - zachęcony przez Michała zajął się jedzeniem, popatrując z napięciem na swojego pierwszego krytyka.

- Powinieneś zacząć historycznie - powiedziała Marta po głębokim namyśle. - To, co wiemy od sióstr połączyć ze znalezionymi dokumentami i listami i polecieć przez kolejne wieki aż do śmierci bliźniaczek, Molnara i Teodory. Przejść do Henryka tak, jak to ustaliliśmy, a potem... Potem powinieneś pokazać rodzinną pamiątkę Kasi, przekazywaną wraz z opowieściami, z pokolenia na pokolenie, czyli medalion Anny Molnarowej i nawiązać do dworku. Kasia podejmuje w nim pracę i któregoś dnia postanawia zwiedzić najbliższą okolicę... Tu się przyda to, co nakręciłeś na cmentarzu... Nakręć rozmowę z księdzem Stanisławem na temat poszukiwań w księgach parafialnych... A, wiesz, ksiądz Paweł odnalazł wpis chrztu Teodory - przypomniała sobie. - Potem możesz pokazać te niby-poszukiwania w Rzeczycy, a na koniec odnowiony nagrobek bliźniaczek. Kamieniarz mi obiecał, że skończy w ciągu dwóch miesięcy. Najdłużej mu zejdzie ze zrobieniem porcelanki. Ewunia namalowała miniaturę portretu i na tej podstawie zrobi. W sepii, żeby było oryginalniej... No, i to by było wszystko... A, możesz jeszcze dołożyć, jak Kasia przekazuje odnalezione dokumenty do muzeum...

- Marta - Michał pochylił się ku żonie i ostrożnie zapytał: - Kto zapłaci za tę renowację?

- Zgadnij! - prychnęła z kpiącym uśmiechem. - Chciałam ja, ale ktoś inny się uparł. Nie każdy ma węża w kieszeni, jak ty.

- Nie jestem skąpy i dobrze wiesz, że gdybyś nikogo nie znalazła, sam bym to zrobił - oburzył się Michał. - Nie chciałbym tylko, żeby się rozniosło, że mam coś na zbyciu.

- Wiem, wiem - poklepała go pojednawczo po ręce. - Ten mój sponsor też nie chce i dlatego kazał mi trzymać gębę na kłódkę...

- Andrzej! - Michał uderzył się w czoło. - Mogłem się domyślić!

- Ja nic nie mówiłam, a wy nic nie słyszeliście - powiedziała ostrzegawczo Marta i spojrzała na Dorosza, który notował coś pośpiesznie. - I co? Pasuje ci taki scenariusz?

- Jasne - mruknął Marek trochę nieprzytomnie.

- Słuchaj - uniósł głowę i zamyślił się na chwilę. - Sam nie dam rady wszystkiego zrobić. Potrzebuję fachowca. Co myślisz o Lolku? Pomógłby mi w montażu. Ma chody w Lublinie, a wołałbym, żeby u mnie w firmie nikt na razie nie wiedział...

- A umie milczeć? - w głosie Marty była nieufność.

- Umie. Ale i tak pozna tylko wersję dla postronnych... I jeszcze jedno - Marek zawahał się, ale dokończył: - Chciałbym, żebyś napisała komentarz do tego filmu. Mogłabyś?

- Dlaczego ja? - zdumiała się Marta.

- Bo ty bardziej niż ja czujesz ten klimat. Ja jestem dobry na krótkie dystanse, ty umiesz opowiadać. Mogłabyś?

- Spróbuję - powiedziała niepewnie. - Najwyżej powiesz, że robota do kitu i wywalisz mnie z posady.

- Gdyby mi się udało sprzedać ten film, podzielimy się uczci...

- A, do diabła! - Marta zerwała się z wersalki jak furia i oczy jej błysnęły. - Co ty do mnie mówisz?! Prosisz o pomoc i chcesz za nią płacić?! Szkoda, że nie umiem rzucać, jak Oleńka, bo już miałbyś rozbity łeb!

- Marta, albo mi się zdaje, albo Nela popłakuje - powiedział nagle Michał i jego żona zamilkła raptownie, a po chwili pośpiesznie wypadła z pokoju. - Spadaj, Marek. Nie martw się. Do jutra jej przejdzie.

- Dzięki - Dorosz z wdzięcznością uściśnął mu dłoń i strategicznie wycofał się do wyjścia. W drzwiach nie wytrzymał i szeptem zapytał: - Naprawdę słyszałeś płacz? Bo ja nie.

- Powiedziałem tylko, że mi się zdaje - wyjaśnił Michał niewinnie i puścił do niego oko.

W sali kominkowej Sosnowego Dworku, chwilowo zamienionej na projekcyjną, przez chwilę panowała głucha cisza, a potem wybuchły entuzjastyczne oklaski.

Widownia nie była liczna, ale sztukę klaskania miała opanowaną do perfekcji, a prym wiedli wypróbowani przyjaciele ze szkolnych lat.

Dorosz zapalił światło i z napięciem przesunął wzrokiem po znajomych twarzach. Jego rodzice wyglądali na przejętych i dumnych. W oczach rodziny Kasi, którą - poza jej babcią - widział na oczy po raz pierwszy, było uznanie i zaskoczenie historią własnego rodu, o której nie mieli pojęcia. Uznanie zabarwione lekką kpina dostrzegł również w oczach Nicińskiego i zgadł, że chodziło o tę całą plątaninę półprawd i całkowitej fikcji, której rangę absolutnej prawdy nadał ostatecznie wygłoszony ciepłym głosem komentarz Marty.

- Brawo, Marek! - Michał podszedł do niego i serdecznie poklepał po plecach. - Fantastycznie sobie poradziłeś. - Pochylił się ku niemu i ściszym głosem dodał: - Mamut już upolowany. Kiedy zamierzasz go rzucić pod nogi wybrance?

- Rodzina w komplecie, to chyba jak najszybciej - wymamrotał speszony Dorosz.

- Marek! - Marta odsunęła niecierpliwie męża i rzuciła się na szyję koledze. - Jesteś wielki! Poryczałam się! Zupełnie zapomniałam, że to ja czytam!

Stał cierpliwie, przyjmując pochwały, ale nie mógł się powstrzymać od zerkania w stronę Kasi. Siedziała ze zwieszoną głową obok babci i manipulowała chusteczką przy oczach. Była z niego zadowolona czy nie?

Uściskał dłoń Wojnara, który składał mu gratulacje z Niką u boku i nerwowo zapytał:

- Przyniosłeś?

- Przyniosłem - Radek uśmiechnął się szeroko. - Leży na biurku w gabinecie Niki... A ty nie zapomniałeś o rekwizytach?

- Nie... Rany! Zapomniałem o kwiatkach! - spanikowany Marek zdrętwiał.

- Na oknie w wazonie stoi bukiet róż - powiedziała spokojnie Weronika i uśmiechnęła się, dodając mu otuchy. - I nie dziękuj. Zrobiłeś mi reklamę. Szyldy obu fundacji widać na twoim filmie. To ja jestem twoją dłużniczką...

Dorosz z trudem przetrwał gratulacje od Maćka i Nicole, wesołe przytyki Tomka i pisk zachwyconej Hanki. Wytrzymał poklepywania Kamila, nie zwrócił zupełnie uwagi na ironiczne aluzje Doroty o załatwieniu Marcie posady prezenterki w rodzimej kablówce. Z zadowoleniem przyjął pochwały z ust obu zaproszonych na pokaz księży, pełne uznania poszturchiwania Jacka i zachwyty Maryli, spokojnie przetrzymał uściski rodziców i entuzjazm rodziny Kasi i wreszcie stanęła przed nim ona sama. Podniosła na niego łzawe spojrzenie i już był pewien, że zrobił dobrą robotę. Kiedy wyciągnęła do niego rękę, nie zważając na publiczność, po prostu przytulił ją do siebie i powiedział cicho:

- Zrobiłem ten film tylko dla ciebie. Żebyś była ze mnie dumna.

Kasia znieruchomiała na moment i w jej sercu drgnęła cichutka nadzieja, że może wreszcie coś się wyklaruje. Wzięła głęboki oddech i oznajmiła stanowczo:

- Jestem. Bardzo. I dziękuję.

Z nagłym żalem pomyślała, że Zuzanna i Marianna nie mogły obejrzeć Markowego dzieła i z jej oczu znowu trysnęła fontanna.

- Sugerowałbym, żebyś znalazł jakieś dyskretne miejsce, gdzie będziesz mógł ją uspokoić - rozległ się obok zabarwiony kpiną głos Rambo. - Zdaje się, że gabinet Niki jest wolny.

Dorosz skinął głową i, zanim zakłopotana Kasia zdążyła zapewnić szefa, że zwykle się tak nie zachowuje, wyprowadził ją z sali. Za nimi pobiegły spojrzenia kilkorga spiskowców płci mieszanej, a Marta na wszelki wypadek zacisnęła kciuki.

- Przepraszam państwa na chwilę - Andrzej podniósł głos, przekrzykując zgiełk rozmów. - Proszę przejść pod ścianę. Moi ludzie zaraz rozstawią krzesła i stoliki. Przygotowaliśmy niewielki poczęstunek z okazji tej prezentacji...

- To ty dlatego tak mnie męczyłaś! - Maryla chwilowo porzuciła męża i dopadła Marty. - I słowem nie wspomniałaś, po co ci te wszystkie informacje! A przez chwilę myślałam, że zamierzasz napisać dzieło historyczne!

- Bałam się, żeby Markowi nie zrobić obciachu z tym komentarzem - wyjaśniła Marta przepraszająco.

- No proszę - obok nich stanęła Dorota. - Na naszych oczach rośnie nowa gwiazda telewizyjna - przygadała złośliwie.

- Ty przechodzisz klimakterium? - zainteresowała się Marta. - Nie za wcześnie?

Maryla i Oleńka, która dobiła do grupki, parsknęły śmiechem, a Dorota skrzywiła się i powiedziała z pretensją w głosie:

- Ja się po prostu zastanawiam, jak ty to robisz, że wszędzie cię pełno. Pracujesz z Oleńką, robisz te swoje masaże, zajmujesz się domem i jeszcze masz czas na takie ekscesy. A ja ledwo daję radę z pracą i jednym dzieciakiem. Najchętniej wyjechałabym na długi urlop.

- Przyjdź do mnie po niedzieli - zaproponowała przyjaciółka pojednawczo. - Zrobię ci masaż relaksujący i poczujesz się jak bogini.

- Chcielibyśmy się pożegnać - za jej plecami rozległ się głos księdza Stanisława. - Cieszymy się, że dopomogliśmy w rozwiązaniu tajemnicy rodziny Molnarów i bardzo jesteśmy wdzięczni za zaproszenie, ale...

- Żadne ale, księżo Stanisławie - Marta stanowczo ujęła obu kapłanów pod ręce i pokręciła głową. - Impreza się jeszcze nie skończyła. Najlepsze przed nami. Wytrzymajcie jeszcze trochę, a zobaczycie ukoronowanie tych poszukiwań. Przydadzą nam się tacy świątobliwi świadkowie... - odeszła, prowadząc ich do stolika.

- Co ten mały zwierzak knuje? - Oleńka spojrzała pytająco na pozostałą dwójkę.

- Sama jestem ciekawa - mruknęła Maryla. - Chodźcie, poszukamy sobie miejsca...

Marek wprowadził zapłakaną Kasię do gabinetu Niki i poczuł, że w gardle mu zaschło ze zdenerwowania. Przez chwilę miał w głowie zupełną pustkę. Odetchnął głęboko i kątem oka dostrzegł zadrukowaną kartkę papieru leżącą na biurku. Otworzył usta, ale żadne słowo nie chciało przez nie przejść. Ogarnęła go panika i najchętniej zniknąłby stąd bez śladu, tyle że nogi też nie miały ochoty na współpracę. Spojrzał na Kasię, która usilnie unikała kontaktu wzrokowego, mnąc w rękach chusteczkę i coś w nim drgnęło. Ty dupku - pomyślał z pogardą dla samego siebie. - Na co czekasz? Druga taka okazja może ci się nie trafić. A jeśli nawet da ci kosza, to przynajmniej nie będziesz pluł sobie w brodę do końca życia, że nie próbowałeś.

Odwrócił dziewczynę ku sobie, wziął głęboki oddech, jakby za chwilę miał skoczyć w przepaść i trochę nieswoim głosem zapytał:

- Kasiu, wyjdiesz za mnie?

Katarzyna Rawska, która do tej pory zawsze świetnie sobie radziła w niebezpiecznych sytuacjach, doznała szoku. Skamieniała, wlepiła w Marka szeroko otwarte zielone oczy, usiłując zrozumieć, o co mu chodzi. No, pewnie, po nocach marzyła, żeby to usłyszeć, ale przecież to nie może być prawda. Znała go. W najlepszym przypadku pogodziłby się z wolnym związkiem, bez żadnych cyrografów, żeby w każdej chwili mógł się wycofać. Zawsze powtarzał: nie chcę małżeństwa, nie chcę dzieci. To jak to teraz... To co to teraz... O, Matko Boska, to co on teraz miał na myśli?!

- C... co p... powiedziałaś? - spytała głosem umierającej łabędzicy.

Marek miał straszliwie uwierającą go gulę w gardle, ołów w nogach i ściśnięte na kamień serce. Przemknęło mu przez głowę, że cholernie dużo w człowieku tych dokuczliwych elementów, kiedy sytuacja go przerasta. Wziął się w garść i z duszą na ramieniu powtórzył pytanie, na wszelki wypadek zamykając oczy.

- Ale... Ale ty mówiłaś... Marek, ale ja bym chciała mieć dzieci - powiedziała Kasia z rozpaczą, czując, jak wszelkie jej nadzieje odbiegają truchcikiem w siną dal.

- No to będziemy mieli - Dorosz otworzył oczy i spojrzał na nią błagalnie. - Ja... Nie obiecuję ci złotych gór. Nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci, wiem tylko, że wprowadzają totalny chaos i przewracają życie do góry nogami, ale się postaram...

- Marek, co ty mówisz? - zaskoczona Kasia złapała go za rękę. - Kto ci nagadał tych głupot?

- Ja się boję dzieci - wyznał Marek niepewnie. - Takich małych, bo potem to już... Kiedyś byłem u Lolków i Lucyna mi dała do potrzymania ich najmłodszego. Boże, jak on się darł. Było mi strasznie głupio, bałem się, że zrobiłem mu krzywdę...

- To normalne, że się darł - powiedziała Kasia łagodnie. - Jego matka zrobiła głupotę, nie ty. Nie wtyka się małego dziecka obcej osobie. Ono się boi. Zareagowałby tak na każdego, nie tylko na ciebie.

- Może - w głosie Marka nie było przekonania. - Ale jeśli ty chcesz... W każdym razie postaram się być dobrym ojcem...

- Jeszcze się nie zgodziłam - zauważyła nagle Kasia i uśmiechnęła się leciutko na widok paniki w jego oczach. - Widzisz jakiś powód, dla którego miałabym wyjść za ciebie? Poza tym, że chciałabym mieć rodzinę?

- Mówiłaś, że ci na mnie zależy - Dorosz popatrzył na nią spłoszony. - Pamiętasz, jak nam było razem? Ja nie mogę zapomnieć.

- To jeszcze ciągle za mało, Marek - Kasia pokręciła głową.

Zrozpaczony Marek poczuł, że wszystko wymyka mu się z rąk. Zrobił dla niej ten cholerny film, proponuje małżeństwo, zgadza się nawet na te cholerne dzieci. Czego ona chce więcej?

Nerwowo poklepał się po kieszeni w poszukiwaniu papierosów i natrafił na mały szescianik. Olśniło go.

- Nie, Króliczku - wydobyl z kieszeni pudełeczko i wyjął z niego pierścionek z okrągłym turkusem. - To w sam raz. Bo, widzisz, jak ten idiota, zapomniałem ci powiedzieć o najważniejszym. Ja cię kocham. Nigdy tego nie mówiłem żadnej dziewczynie, dlatego nie mam wprawy. I, jeśli mi teraz odmówisz - spojrzał jej prosto w oczy - to już wiem, że nigdy więcej nikomu tego nie powiem. Ja wiem - powiedział uczciwie - że czasami trudno ze mną wytrzymać. Ale jedno mogę ci obiecać: będę się starał, żebyś nie musiała przeze mnie płakać. Może nie zawsze mi wyjdzie, bo przyzwyczailem się, że działam w pojedynkę, ale będę się starał... Przyjmiesz go? - podał jej niepewnie pierścionek.

Olśniona Kasia wysunęła drżącą dłoń i z rozczeniem przyglądała się, jak nieporadnie zakłada jej pierścionek na palec. Nagle puścił jej rękę i rzucił się do wazonu z kwiatami. Wyszarpnął je, o mały włos nie przewracając naczyń i, ociekające wodą, podał dziewczynie.

- To też dla ciebie...

Roześmiała się przez łzy, a potem spojrzała ze zdziwieniem, bo podsunął jej leżącą na biurku kartkę.

- Przeczytaj i podpisz. Radek to przygotował na moją prośbę. Chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę chodzi mi tylko o ciebie. Żebyś była tego pewna - powiedział, wycierając ukradkiem spoczone ręce.

Kasia niepewnie podniosła kartkę do oczu. Był to rodzaj intercyzy, krótkie oświadczenie, że cokolwiek wniesie w to małżeństwo, pozostanie jej wyłączną własnością. Od razu zrozumiała, o co mu chodziło i oczy jej się zaszklily.

- Marek... - głos odmówił jej posłuszeństwa i musiała wziąć głęboki oddech. - Nawet mi nie przyszło do głowy, że mógłbyś mi kiedykolwiek odebrać klejnoty Molnarów. Powiedziałeś, że mnie kochasz i tylko to się liczy... Nie podpiszę tego. Wierzę i bez papierka.

- A jeśli kiedyś nagle się okaże, że nic nas nie łączy? - Marek potrząsnął głową z uporem. - Podpisz to, Króliczku. Ludzie pobierają się z miłości, a potem różnie bywa. Teraz jestem uczciwy. Nie wiem, jaki będę za dwadzieścia lat...

Kasia spojrzała na niego z pobłażliwą czułością, a potem spokojnie przedarła kartkę na pół na oczach zaskoczonego Dorosza.

- Dlaczego...

- Bo ja też nie wiem, jaka będę za dwadzieścia lat - przerwała mu stanowczo. - Może to ciebie trzeba będzie żałować, nie mnie. Ale jedno wiem na pewno. Jeśli ja sama na to nie pozwolę, nikt nie odbierze mi mojego dziedzictwa. Nie potrzebuję ochrony w postaci urzędowego papierka. Sama sobie poradzę - wyprostowała się dumnie. - I lepiej o tym pamiętaj.

Marek spojrzał na nią z zachwytem, przypomniał sobie jej błyskawiczną akcję na stadionie, ale - o, dziwo - wszelkie obawy pierzchły daleko i poczuł nagłą dumę, że będzie miał obok siebie tę skomplikowaną istotę o anielskim sercu i umiejętnościach wojownika. Nie zważając na kapiące wodą róże, przytulił ją do siebie.

- A, co tam - mruknął niewyraźnie. - Najwyżej poproszę Rambo o lekcje karate... - a potem z całym zaangażowaniem, na jakie było go stać i z wielką przyjemnością zajął się całkowaniem narzeczonej.

Kiedy wrócili na salę, rozmowy nagle ucichły. Marek promieniał niczym latarnia morską, zarumieniona i przejęta Kasia dzierżyła w dłoniach bukiet róż. Andrzej ukradkiem obejrzał się na Martę, która odetchnęła z ulgą, a zaraz potem zerwała się z krzesła i rzuciła ku wchodzącym.

- Nareszcie! - oznajmiła tryumfalnie. - No i na co tak długo czekałeś? Wszystkiego najlepszego!

Do większości dopiero teraz dotarło, co się wydarzyło. Zapanowało pandemonium. Wszyscy pchali się do świeżo zaręczonej pary z uściskami i życzeniami. Obie rodziny bez skrępowania wyrażały swoją radość, Kasia płakała ze szczęścia, a Marek dumnie przyjmował gratulacje, nie reagując na zaczepki i przytyki kolegów.

- Malutka, jesteś jak tornado - mruknął Andrzej na boku. - Biedak nie miał żadnych szans.

- Nie miał - przytaknęła Marta radośnie i szturchnęła go w ramię. - No i co go tak żałujesz? Wyświadczyłam mu przysługę. Sam był za tępy, żeby zrozumieć, co jest dla niego najlepsze.

- Jak nam dzieci podrosną, to ją ubezwłasnowolnię - zaśmiał się Michał. - Na razie mamy trochę spokoju. Pożeniła już wszystkich, może zwolni obroty.

Marta tylko prychnęła, ale w tym momencie odciągnęły ją Oleńka i Maryla, które zapragnęły wiadomości u samego źródła, a nie miały najmniejszej wątpliwości, gdzie też ono bije.

Na cmentarzu panowała cisza, choć poniżej była ruchliwa ulica. Kasia i Inka szły wolno alejką, chłonąc z przyjemnością każdy najmniejszy powiew, bo dzień był upalny.

- Daleko jeszcze? - sapnęła Inka i przełożyła siatkę ze zniczami z jednej spoconej ręki do drugiej.

- Już prawie jesteśmy.

W samym kącie cmentarza tkwił znajomy nagrobek, ale jakże odmieniony. Kasia westchnęła z zachwytem. Wypolerowany kamień lśnił w słońcu, przytwierdzona śrubami tablica przyciągała wzrok. Napis głosił: „Tu spoczywają Marianna i Zuzanna Molnar. Proszą o westchnienie do Boga”. Nad nim widniała porcelanka z wizerunkiem dwóch identycznych postaci, a pod spodem była data urodzin i śmierci.

Kasia, posłuszna prośbie, zmówiła krótką modlitwę, po czym odebrała siostrze siatkę, wyjęła znicze i zapaliła je kolejno. Potem wyprostowała się i powiedziała cicho:

- Jestem pewna, że mnie słyszycie. Przyprowadziłam ze sobą moją siostrę, o której wam opowiadałam. To jest Inka...

- Ruda, no co ty? - Inka spojrzała na nią niepewnie. - Teraz to już ich chyba w ogóle tu nie ma.

- Ja wierzę, że są - uparła się Kasia i ciągnęła półgłosem: - Już nie musicie się martwić, że zostanę starą panną. Marek mi się w końcu oświadczył. Pobierzemy się w święta Bożego Narodzenia... I zrobił ten film o rodzinie Molnarów. Marta mu pomagała i dlatego jest naprawdę świetny. Wzięła tytuł z jednego z listów, które wasz ojciec ukrył w skrzyni. Stefan Molnar, wasz dziadek, pisał go do swojej narzeczonej, a waszej babki, Wandy - wysupłała z kieszeni dzinsów zmiętą karteczkę, rozprostowała ją i przeczytała: - „Nie mam tytułów i nie

jestem bardzo znamienity. Możesz Waćpanna myśleć, że Jej nie wart. Ale tyłu było znaczniejszych przede mną, a przecie czy zawsze ich życie było zacne? Światy przemijają, a dla prostego człeka familia rzeczą świętą, i to dla niej chce żyć i godnie pracować. Także to Ci, Waćpanno, przysięgam...” - głos Kasi drgnął, ale opanowała się szybko. - I tak właśnie Marta zatytułowała film - „Światy przemijają”...

- One naprawdę tak wyglądały? - zapytała cicho Inka, wskazując na porcelankę z podobiznami bliźniaczek.

- Dokładnie - Kasia uśmiechnęła się melancholijnie. - Widziałas przecież ten portret w dworku. Są jak żywe.

- To kim my dla nich jesteśmy? Albo one dla nas?

- Mówiłam ci przecież. Ich cioteczny brat był naszym przodkiem ze strony ojca. Dla nas był cztery razy pradziadkiem.

- To one są naszymi cztery razy prakuzynekami - zachichotała Inka i podskoczyła, kiedy w ramię uderzyła ją modrzewiowa szyszka. - O, Jezu... Ale się przestraszyłam...

- Na twoim miejscu zastanowiłabym się, co mówię - Kasia spojrzała na nią znacząco. - Widziałas portret. One są młodsze od nas i już zawsze takie będą. Poza tym nie lubią, kiedy ktoś sobie z nich kpi... Zachowuj się, Inka. Ostatecznie dziedziczysz po nich... Do widzenia, siostrzyczki - uśmiechnęła się do sepiowego portreciku. - Obiecuję, że niedługo znów was odwiedzę. A już na pewno zajrzę do was po ślubie, bo będę go brała w tym kościele... Chodź, Inka.

W ogrodzie Nicińskich panował przeraźliwy rejwach, który skutecznie i z dużym zaangażowaniem podsycali dzieci. Jedyne Nela, absolutnie nieczuła na ten nadmiar decybeli, spała słodko w hamaku rozpostartym na dwóch słupkach między basenem a łąką.

Marek usiłował porozumieć się z Radkiem, ale okazało się to niemożliwe. Nie miał ochoty wrzeszczeć do kolegi, a jego wiedza była mu potrzebna, bo właśnie robił reportaż na temat ustawianych przetargów i bardzo chciał wiedzieć dokładnie, jak to funkcjonuje i jak wygląda od strony prawnej.

Otarł pot z czoła i rzucił dokoła rozpaczliwym wzrokiem, zastanawiając się, jak to możliwe, na Boga, że nikomu te wrzaski nie przeszkadzają. Przez chwilę przerażenie zjeżyło mu włosy, gdy pomyślał, że to samo może go czekać w niedalekiej przyszłości. Nie dysponował ogrodem. Co będzie, jeśli jego latorośle zechcą kiedyś uprawiać ten hałaśliwy proceder w mieszkaniu? Odruchowo obejrzał się na Kasię. Siedziała z Niką nad brzegiem basenu, zanu-

rzając zgrabne kończyny w przezroczystej wodzie i, pochylone ku sobie, rozmawiały o czymś z zajęciem. Od czasu do czasu marszczyła brwi, spoglądając z lekkim zniecierpliwieniem w stronę szalejącej na łące gromadki. Ulżyło mu. Najwidoczniej tak samo, jak on, nie była zachwycona tym pandemonium.

Andrzej z Michałem sterczeli przy grillu i gestykulowali żywo, z czego wywnioskował, że w ogóle nie zwracają uwagi na działalność swoich pociech. Marek westchnął i zastanowił się, kto wreszcie przywoła do porządku te rozpuszczone bachory.

Pierwsza nie wytrzymała Oleńka, która usiłowała rozmawiać z Martą, siedząc pod ogrodowym parasolem. Zerwała się z krzesła, wrzasnęła ostrzegawczo i pogroziła dzieciom ręką. Pomogło na chwilę. Dzieciaki przycichły, skupiając się w zwartą gromadkę, ale zaraz temperamenty zagrały znowu. Na czoło wybił się pełen protestu głos Milki. Dołączył do niego rozkapryszony głosik Zosi Wojnarówny.

Marta usiłowała powiedzieć Oleńce coś, co niekoniecznie chciałaby wykrzyczeć pełną pierś, ale stwierdziła, że inaczej się nie da. Przez chwilę nie wiedziała, co jej przeszkadza. Nagle w jej uszy uderzył wrzask dobywający się z czworga gardeł i poczuła w sobie odruchowy protest. Zerwała się z krzesła, bez namysłu włożyła palce w usta i wydała z siebie przeraźliwy gwizd.

Marek miał wrażenie, że obserwuje kadr z zatrzymanej pilotem kasety. Wszyscy zastygli na swoich miejscach i nagle zapanowała głucha cisza. Poczuł mimowolny podziw dla tej niepozornej drobiny, która potrafiła dokonać rzeczy, wydawałoby się, niemożliwej.

- No i czego tak wrzeszczycie, potworki? - Marta z pretensją spojrzała na zapatrzonych w nią dzieci. - Własnych myśli nie słyszę. Mam was zakneblować?

Daniel i jej własny syn gapili się na nią z podziwem, ale Mila oświadczyła z urazą:

- Bo oni nie chcą nas słuchać inaczej - wskazała na brata i Aleksa.

- No bo w życiu nie ma lekko - westchnęła Marta i spojrzała na nią ze zrozumieniem, wywołując tym uśmiech na twarzach Andrzeja i Michała. - Trudno tak od razu przekonać do czegoś płęć męską. Krzyk nie jest wskazany - pouczyła małą. - Oni mają od urodzenia jakiś taki mechanizm, który sprawia, że natychmiast głuchną, jeśli się do nich mówi podniesionym głosem... Zgaduję, że obie z Zosią planowałyście zabawę w dom? - na potakujące skinienie uśmiechnęła się z pobłażaniem i poradziła: - Macie do dyspozycji cały ogród. Nie moglibyście pobawić się w chowanego? Najwidoczniej Daniel i Aleks nie planują jeszcze zakładania rodziny, a mąż z przymusu to nic przyjemnego. Idźcie do ogrodu, tylko uważajcie - pogroziła im palcem. - Nie deptajcie kwiatów. I bez tego macie tam masę miejsca do zabawy. Jeśli coś zniszczycie, to się z wami osobiście policzę.

Mila popatrzyła na kłębiącą się w ogrodzie gęstwinę i z niewinną miną zauważyła:

- Tam nas nie zobacysz. Skąd będziesz wiedziała, na kogo ksyceć?

- Będę wiedziała - zapewniła ją Marta.

- Mama zawsze wie takie rzeczy - przyświadczył Aleks. - Tata wie wszystko o komputerach, a mama całą resztę.

Całe dorosłe towarzystwo parsknęło śmiechem na to wygłoszone z lekkim rozżaleniem oświadczenie, a Milka z powątpiewaniem wyduła usta.

- To niemożliwe. Ludzie czasem kłamają i co wtedy?

- Moja mama wie - uparł się Aleks i z nagłą dumą dodał: - Moja mama wszystko wie. I skąd się bierze deszcz i co mówią do siebie ptaki, i gdzie słońko chodzi spać, i w ogóle wszystko. I zawsze wie, kiedy Nela albo tata, albo ja mamy zamiar chorować i od razu zaczyna nas leczyć. I jak tata chce coś przed nią ukryć, to też wie. I wie, jak ja coś zrobię złego.

- To jak ty tak wytsymujesz? - zapytał ze współczuciem zaszokowany Daniel.

- Przyzwyczailem się - stwierdził Aleks filozoficznie, czym wywołał kolejny wybuch śmiechu.

- No! To już wiecie, że nic się przede mną nie ukryje - Marta zrobiła groźną minę i zamachała rękami. - A teraz sio, potworki. Jazda do ogrodu. I nie wrzeszczcie tak strasznie, bo wszystkie rośliny uciekną ze strachu... Malutki - obejrzała się na psa, który wyraźnie miał zamiar pobiec za ruchliwą gromadką - wiem, że wolałbyś być z nimi, ale proszę, popilnuj mojego maluszka, co?

Olbrzymi, czarny pies przez chwilę odprowadzał wzrokiem dzieci, a potem szczeknął krótko i ułożył się pod hamakiem, w którym spała Nela.

- Dzięki - Marta, uspokojona, usiadła przy stoliku i pochyliła się ku Oleńce.

- Ona już się nie zmieni - Nika obrzuciła przyjaciółkę pobłażliwym spojrzeniem i wróciła do rozmowy z Kasią. - Jeszcze raz dziękuję, że pomagasz Irmie mimo tylu obowiązków. Mówi, że zginęłyby bez ciebie.

- Daj spokój, Nika - speszyla się Kasia. - Przecież ja pracuję dla Rambo od paru dobrych lat, mam praktykę. Ona też się wciągnie... Dużo macie podopiecznych, bo widzę, że coraz większy ruch u was?

- Zmniejsz się, zobaczysz - Weronika roześmiała się niewesoło. - Poszła fama, że pomagamy samotnym matkom i co sprytniejsze uznały, że przychodząc do nas, zapewnią sobie dopływ łatwej gotówki. Na szczęście mam kontakty w opiece społecznej i dokładne informacje na ich temat. Będziemy pomagać tylko tym, które rzeczywiście chcą odmienić swoje życie... Wiesz, Radek mnie uprzedzał, ale nie myślałam, że będzie tak ciężko.

- W jakim sensie? - Kasia spojrzała na nią z dużym zdziwieniem.

- Nawet jeśli wiem, że każde pieniądze, które by dostały do ręki, oddałyby tym obibokom, z którymi żyją, albo i same przepiły, to i tak trudno mi przychodzi odmawiać - Nika westchnęła. - Ale wiem, że mam rację. Mogę pomóc tylko tym, które naprawdę z tego skorzystają... Wiesz, co? Znajdźmy jakiś przyjemniejszy temat... Jak ci się układa z Markiem? Zrobiliście już jakieś plany w związku ze ślubem?

- Nie do końca. Marek ma sto pięćdziesiąt pomysłów na godzinę, a ja wyrzuty sumienia, bo muszę go gasić... Wiesz, jak byś go posłuchała, to w życiu byś nie uwierzyła, że jeszcze parę miesięcy temu upierał się przy kawalerstwie - powiedziała Kasia z przekąsem. - Jedno wiem na pewno: wesele będzie w kawiarni, bo szef się uparł wynająć nam salę w ramach ślubnego prezentu. No i ślubu udzieli nam w małym kościółku ksiądz Stanisław. A reszta... To się zaczyna robić uciążliwe - poskarżyła się. - Obie rodziny mówią tylko o weselu. Rodzice Marka chodzą koło mnie na paluszkach, bo już prawie nie wierzyli, że on kiedykolwiek się ożeni i doczekają wnuków. No, a moi uwielbiają Marka, bo też im się zdawało, że zostaną starą panną. Inka koniecznie chce, żebyśmy pojechali do Włoch w podróż poślubną. Oboje z mężem prowadzą pensjonat i już nam zaoferowali miejsce u siebie. Babcia i mama poganiają mnie, żebym kupiła wreszcie suknię ślubną... Gdyby to było takie proste. Wymarzyłam sobie ten ślub, chcę wyglądać tak, jak sobie wymyśliłam, ale to musi trochę potrwać. Nie wiem, może pojedę do Warszawy, tam jest większy wybór...

- A jaką byś chciała sukienkę? - Nika z zainteresowaniem pochyliła się ku niej i obie zapomniały o całym świecie.

- Czy te wasze dzieciaki zawsze są takie akustyczne? - zapytał Marek, podchodząc do grilla, przy którym urzędowali Andrzej i Michał.

- A ty w ich wieku byłeś niemową? - zdziwił się Radek, stając za nim. - Przyzwyczajaj się lepiej, bo jak będziesz miał swoje, przeżyjesz to samo.

- Mój ojciec mawia, że w pewnym wieku dzieciom nie zamykają się usta. i rodzice zaczynają marzyć o chwili spokoju - uśmiechnął się Michał. - A potem przychodzi czas, kiedy chcieliby, żeby mówiły jak najwięcej, ale wtedy akurat one zaczynają milczeć.

- Gdzieś czytałem, jak ojciec dorosłych dzieci rozmawiał z zięciem o małym wnuku - powiedział zamyślony Rambo. - Wtedy mnie to śmieszyło, teraz uważam, że miał sporo racji. Mówił, że pierwsze kilka lat rodzic spędza na uczeniu dziecka sztuki chodzenia i cieszy się z każdego nowego słowa, a po kilkunastu następnych krzyczy, żeby siadło na tyłku i zamknęło się.

- Coś w tym jest - przyznał rozweselony Michał.

- No, ty chyba nie masz problemów - zauważył Radek. - Aleks mógłby cię już prawie zastąpić w sklepie. Jacek mi mówił, że twoi pracownicy traktują go jak maskotkę.

- Ta maskotka czasami trochę dołuje mi dorosłych klientów - mruknął Michał. - Niektórych dobija fakt, że taki skrzat wie więcej od nich, a Aleks uwielbia popisywać się swoją wiedzą, więc muszę go pilnować, żeby mi nie wystraszył wszystkich. Poza tym dziadek Ludwik zaszczerpił w nim zainteresowanie polityką, i też ma dużo do powiedzenia na ten temat. Na szczęście Marta uznała, że mały nie może powtarzać, jak papuga wszystkiego, co mu dziadek mówi, wygłosiła Aleksowi pogadankę, wjechała mu na ambicję i teraz na rodzinnych spotkaniach cała rodzina ma uciechę, kiedy obaj zaczynają się spierać - Michał parsknął śmiechem.

- Nie wiem, czy dziadek jest bardziej zachwycony, że ma takiego inteligentnego wnuka, czy przerażony, że wyhodował węża na własnym łonie...

- No to masz geniusza w rodzinie - mruknął złośliwie Marek. - Rozum ma pewnie po tobie, ale wygadanie wziął po matce.

- Wszystkie dzieci są teraz wygadane - Radek stanął w obronie przyjaciela. - I za szybko dorastają - westchnął. - Bartek już zaczyna mówić, że zostanie prawnikiem i podpytuje mnie o różne sprawy, o których gdzieś usłyszał. Basia ciągle chodzi z głową w chmurach i melduje nam co tydzień imię nowego ukochanego, a Zosia zrobiła się uparta jak osioł i czasami sam nie wiem, jak Nika sobie z nią radzi.

- A ty? - Andrzej kpiąco zmrużył oczy.

- Ja najczęściej ustępuję - przyznał się Radek zakłopotany i wzruszył bezradnie ramionami. - No, nie umiem jej odmówić, kiedy zaczyna płakać, a jest jeszcze za mała, żeby jej coś wytłumaczyć... A ty nie mów, że twoja mała nie jest córunką tatusia - rozżościł się nagle.

- Pewnie jest - zgodził się Andrzej spokojnie. - Kiedy na nią patrzę, widzę małą Olinkę z podwórka. Jest tak samo uparta i tak samo zdeterminowana, kiedy czegoś chce. Z kolei Danek do wszystkiego podchodzi filozoficznie. Najpierw robi to, na co miał ochotę, a potem bez zdziwienia przyjmuje karę... Na szczęście Olinka jest bardziej stanowcza niż ja. Ale na głowę mi jeszcze nie wchodzi. Oboje wiedzą, że są pewne granice - zasępił się nagle, bo przypomniał sobie Rafała. - Wasza Nela to idealne dziecko - zmienił temat. - Spać w takim hałasie... Wygląda jak klon Malutkiej, jest wszystkiego ciekawa jak ona, tylko ciężko z niej wydobyć słowo.

- Zależy komu - uśmiechnął się Michał. - Do ciebie milczy, do mnie milczy, ale przy Marcie buzia jej się nie zamyka. Coś do niej świergoli po swojemu i cichnie tylko wtedy, gdy Marta śpiewa albo opowiada Aleksowi bajkę. Jeszcze do niedawna budziła się z wrzaskiem, bo nie widziała przy sobie mamy, a teraz... Któregoś dnia oboje z Martą podsluchiwaaliśmy za

drzwiami, jak leży w łóżeczku i gaduła coś do siebie. A jak usłyszy muzykę, natychmiast zaczyna tańczyć... Nie bój się, Marek - poklepał kolegę po ramieniu. - Dzieci naprawdę dają wiele radości...

Nela otworzyła oczy i zamiast sufitu ujrzała nad głową błękitne niebo. Zdziwiona wyciągnęła rączki, żeby go dotknąć, ale było za wysoko. Zanim zdążyła wydać z siebie pełen urazy wrzask, tuż obok zmaterializował się wielki kudłaty psi łeb z bystrymi brązowymi ślepiami. Widok ją zaintrygował. Przyjrzała się bestii z namysłem i spróbowała konwersacji.

- Ti - powiedziała przyjacielsko i dotknęła rączką czarnego futra.

Zadziwiający stworzenie wywaliło z widocznym zadowoleniem wielki ozór i przymrużyło oczy, pozwalając się głaskać.

Nela usiadła w hamaku, który zachybotał się niebezpiecznie i stwierdziła, że stabilne podłoże znajduje się stanowczo za daleko jak na jej możliwości. Przytuliła buzię do czarnego łba i poprosiła ufnie:

- Ti. Tam. Tup, tup.

Olbrzym ustawił się przy hamaku i Nela bez namysłu przelazła z chybotliwego łoża na jego grzbiet, po czym zwinnie zsunęła się na ziemię i zlustrowała otoczenie. Byстрыm okiem wyłowiła natychmiast siedzącą pod parasolem matkę, a nieco dalej dostrzegła pogrążonego w rozmowie ojca. Uspokojona, rozejrzała się wokół i jej olśnione oczy dostrzegły połyskującą w promieniach słońca przejrzystą tafłę basenu. Rzecz jasna, nie miała pojęcia, że to basen, ale te urokliwe refleksy na wodzie przyciągały ją jak magnes. Natychmiast postanowiła obejrzeć cudo z bliska.

- Tam. Tup, tup - wyjaśniła psu, który warknął ostrzegawczo i zastawił jej drogę.

Zastanowiła się chwilę, wreszcie opadła na czworaka, przelazła pod zaskoczonym psem, wstała i runęła ku basenowi. Malutki szczeknął alarmująco, rzucił się za nią i dopadł jej w ostatniej chwili, chwytając zębami za sukienkę. Nela, pozbawiona rozrywki i przestraszona upadkiem, bo pociągnięta do tyłu klapnęła na pupę, zaprezentowała natychmiast przeraźliwy ryk, który wszystkich poderwał na nogi.

Pierwsza dopadła ich Marta. Poderwała dziecko do góry, obejrzała uważnie, szukając ewentualnych obrażeń, podała przestraszonemu Michałowi, po czym trzęsącymi się rękami objęła psa za szyję, mocząc mu sierść gorącymi łzami.

- Boże... Malutki, dziękuję... Gdyby nie ty... Nigdy ci tego nie zapomnę...

Oleńka popatrzyła na przyjaciółkę, na psa, który z zadowoleniem oblizywał jej zapłakaną twarz i bez słowa poszła do domu.

Michał, zdenerwowany, usiadł z dzieckiem na krześle i zaczął mu coś cicho tłumaczyć, popatrując kątem oka na roztrzęsioną żonę.

- Mało brakowało - mruknął Marek do przejętej Kasi. - Dobrze, że ja nie mam do dyspozycji basenu... Jak ten Rambo pilnuje swoich? Uwiązuje je na smyczy? Bałbym się, że się potopią.

- Mówiła mi Oleńka, że nauczył je pływać - odparła Kasia drżącym głosem. - I przez cały czas pilnuje ich Malutki. Jak widać, skutecznie. To cudo na czterech łapach, nie pies.

- Malutka, proszę - Andrzej pomógł wstać Marcie i podał jej wysoką szklanekę. - Napij się. Niewiele w tym alkoholu, ale nerwy ci ukoi.

- Malutki! Chodź! - z domu wybiegła Oleńka, dzierząc w ręce przeraźliwej wielkości kość. - Należy ci się. Powinnam jeszcze obwiązać wstążką, ale nie chciałam ci dokładać roboty. I tak będziesz wiedział, że to nagroda.

Pies ostrożnie wyjął gnata z jej rąk, machnął dziękczynnie ogonem, ułożył się na trawie i po chwili usłyszeli, jak miażdży prezent potężnymi zębami.

- Posiadanie dzieci to frustrujące zajęcie - Marek pokręcił głową.

- Posiadanie dzieci to szczęście - poprawiła go Kasia i pociągnęła go w stronę ogrodu. - Chcesz się wycofać?

- Nie, ale nie chciałbym przedwcześnie osiwieć.

- Postaram się, żebyś nie musiał - obiecała Kasia z takim uśmiechem, że zapomniał o frustracji.

W domu Artymowiczów spożywano właśnie kolację, kiedy do drzwi ktoś gwałtownie zapukał. Marta przekazała Nelę Michałowi, pokazując gestem, by dokończył karmienie i poszła otworzyć.

- Kasia! - na widok przyjaciółki uśmiechnęła się szeroko, ale zaraz spoważniała, widząc jej minę. - Ajajaj... Dlaczego go po prostu nie zabijesz?

- Skąd wiesz, że chodzi o Marka? - spytała Kasia płaczliwie.

- Bo wszystkie dziewczyny wyglądają tak samo, kiedy facet im dokopie... Wchodź - wprowadziła ją do przedpokoju. - Będziesz musiała poczekać, dopóki nie wyekspediuję dzieci na górę - powiedziała przepraszająco. - Aleks ma gumowe uszy i z zacięciem wyłapuje wszystko to, czego nie powinien... Zjesz z nami?

- Niczego nie przelknę - Kasia ze wstrętem pokręciła głową. - Cześć, Michał. Smacznego, dzieciaki - uśmiechnęła się blade i usiadła skromnie z boku.

Michał, który karmił córkę bułeczką z twarożkiem, skupiony na tym, by uniknąć kontaktu z jej zębami, kiwnął tylko głową, ale Aleks spojrzał na gościa, przełknął pośpiesznie kanapkę i uśmiechnął się pocieszająco.

- Oj, ciociu, chyba masz kłopoty. Dobrze, że przyszedłeś do nas. Mama mówi, że jak się głośno powie, co boli, to od razu jest człowiekowi lepiej - stwierdził tonem doświadczony osoby. - Ja też ci pomogę. I tata. Bo Nela jeszcze za mała.

- Świetnie, ekspercie - Marta rzuciła synkowi ostrzegawcze spojrzenie. - Ciocia powie wszystko, kiedy pójdziecie spać. To są kłopoty dla dorosłych.

- Ale ja lubię ciocię Kasię i też bym chciał pomóc - zaprotestował Aleks.

- Nie tym razem - w głosie matki była stanowczość. - Zjedz kolację i połóż się spać. Zanim przebiorę Nelę, zdążysz się umyć.

- Ale bajkę opowiesz? - spytał z nadzieją. - Ciocia wytrzyma?

- Ciocia wytrzyma - Marta odebrała Nelę od męża, bo córka krzykliwie oznajmiła, że na dziś ma dość bliskiego kontaktu z twarożkiem. - Zjadłeś, Aleks? To brykaj do łazienki. Skontroluję efekty twojej działalności - obiecała, zagarniając syna przed sobą. - Michał, zajmij się Kasią, żeby nie uciekła, zanim nie zejdziesz... No, chodźcie, moje skarby...

Michał przełknął pośpiesznie resztki bułki wzgardzone przez córkę i wskazał Kasi zastawioną ławę.

- Zjedz coś - zatrzymał wzrok na jej twarzy i zaproponował pocieszająco: - A może napijesz się czegoś mocniejszego?

- Nie mam zamiaru upijać się z powodu mężczyzny - mruknęła Kasia i westchnęła rozdzierająco. - Michał - zapytała niepewnie - czy ty jesteś zazdrosny o Martę?

- A co uważasz za zazdrość? - zainteresował się Michał ostrożnie, sięgając po kanapkę.

- Robisz jej awanturę, kiedy rozmawia z kimś dłużej?

- A, nie. U mnie to działa inaczej. Ona ze wszystkimi rozmawia dłużej, musiałbym się awanturować przez całe życie. To męczące. Ale, jak każdy myśliwy, lubię pilnować swojego rewiru i kłusownicy mnie denerwują - przyznał uczciwie.

- I wy wszyscy tak macie? - spytała zdeglustowana Kasia.

- Przeważnie. Odrobina zazdrości dodaje małżeństwu pikanterii.

- Ale się nie kłócicie? Nicińscy też się nie kłócą. Nika i Radek też nie - wyliczyła Kasia jednym tchem. - Dlaczego Marek musi?

Michał parsknął śmiechem.

- Dziewczyno, kup sobie okulary. Znasz Martę od paru lat. Naprawdę uważasz, że mam w domu anioła? Byłaś wiele razy świadkiem, jak kłócili się oboje z Markiem. Marta wybucha

bez ostrzeżenia, wykrzyczy się, a za chwilę już wszystko wraca do normy. Ona po prostu nie umie milczeć, kiedy coś ją wkurza. I to jest dobre. Kłótnia odświeża atmosferę. Wiesz, ile związków rozpadło się przez niedomówienia? Nicińscy się nie kłóca? Szkoda, że nie widziałaś Oleńki w akcji. Jak jest wściekła, rzuca, czym popadnie i wrzeszczy jak przekupka. U Wojnarów faktycznie jest inaczej - przyznał. - A wiesz, dlaczego? Bo Nika już wyczerpała limit na kłótnie w poprzednim małżeństwie, a Radek boi się podnieść głos, żeby nie obudzić koszmarów. Wypracowali sobie metodę pertraktacji w sprawach spornych. Ostatecznie Radek nie darmo jest prawnikiem.

- Ale ty i Andrzej...

- Obaj wybraliśmy kobiety z temperamentem - uśmiechnął się Michał. - Obaj znaleźliśmy je od dziecka. Doskonale wiedzieliśmy, co nas czeka... Kasiu, ludzie często dobierają się na zasadzie przeciwieństwa. Ty i Marek też jesteście różni. Ty jesteś spokojna, Marek narwany. Dotrzecie się, tylko dajcie sobie trochę czasu.

Zamyślona Kasia bezwiednie sięgnęła po kanapkę i zaczęła ją przeżuwać, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Michał obserwował ją spod oka. Nie był pewien, czy pomógł Markowi, czy właśnie definitywnie zaszkodził, toteż z ulgą powitał powrót żony.

- No, jestem - Marta z rozmachem klapnęła obok niego i niespokojnie popatrzyła na milczącą przyjaciółkę. - Podobno byliście na jakimś spędzie z okazji pięciolecia kablówki - przypomniała sobie. - Kiedy ten bałwan zdążył narozrabiać?

Kasia zamrugała oczami, wracając do rzeczywistości, westchnęła, skupiła się i powiedziała melancholijnie:

- Byliśmy. Nie powiem - przyznała ucziwie - uprzedził mnie odpowiednio wcześniej. Miałam dość czasu, żeby pomyśleć o fryzurze i ciuchach. Zależało mi, żeby przyzwoicie wyglądać. Nie chciałam, żeby jego znajomi zastanawiali się, co mu strzeliło do głowy, że akurat mnie sobie upatrzył... No i...

- No i co? - ponagliła Marta, kiedy dziewczyna zamilkła.

- Przyjechał po mnie i... - Kasia spojrzała na nią bezradnie. - Najpierw mi się wydawało, że mu się podoba to, co zobaczył. Patrzył, jakby mu się podobało - uściśliła. - A potem... Miałam wrażenie, że nagle się rozżłościł - powiedziała niepewnie. - Kiedy przyjechaliśmy na tę imprezę, większość gości już była. Po drodze mi wytłumaczył, że ominą nas nudne przemówienia i laurki... Znałam większość ludzi, bo przecież nie pierwszy raz z nim byłam na takim spędzie, ale Marek trzymał się przy mnie jak przyklejony. Zdziwiło mnie to trochę, ale było miłe - wyznała. - Ale potem ktoś go zawołał i do mnie przyczepił się jego szef. Najpierw żartował, że upolowałam jednego z jego najlepszych pracowników, a potem... Wiesz, o co mu

naprawdę chodziło? Dowiedział się, że pracuję dla Rambo i między wierszami dał mi do zrozumienia, że byłby zachwycony, gdyby mój szef zechciał nawiązać jakąkolwiek współpracę z kablówką. Zdaje się, że drażni go fakt, że Rambo trzyma się na uboczu i nie korzysta nawet z ich reklamy... Boże, co to za uparty człowiek! - przewróciła oczami z dezaprobatą, wywołując tym domyślne kiwnięcie Michała, który dobrze pamiętał Markowego szefa. - Jak już myślałam, że za chwilę go uduszę, żeby tylko przestał wreszcie mówić, zjawił się Marek i powiem wam, że z ulgą porzuciłam dalszą konwersację. Miałam nadzieję, że teraz w końcu będę mogła dobrze się bawić, ale... Nagle okazało się, że Marka coś ugryzło - powiedziała ze złością. - Najpierw zrobił mi awanturę, że daję się obmacywać jakimś dinozaurom - przytaczam jego słowa - ledwo mnie spuści z oczu, a potem takim wrednym tonem stwierdził, że karierę to on już zrobił i nie muszę mu pomagać!

- Dupek - skomentowała Marta z politowaniem i zapytała: - I co ty na to?

- Powiedziałam, że guzik mnie obchodzi jego kariera, a jak mu się nie podoba, to każdego następnego faceta, który do mnie podejdzie, rzucę na glebę - wyznała Kasia nieszczęśliwym głosem. - No, nerwy mnie poniosły...

- I co? Pokłóciliście się i odstawił cię do domu? - badała Marta.

- Nie od razu. Powiedział, żebym się przynajmniej postarała udawać, że mi na nim zależy, bo on nie ma zamiaru robić za sensację wśród tych wszystkich plotkarzy. Och, Marta, to było okropne! Oboje mieliśmy przyklejone uśmiechy i zmienialiśmy temat, kiedy tylko ktoś zaczynał dopytywać o ślub! W końcu odwiózł mnie do domu, powiedział, żebym sobie przez noc przemyślała parę spraw i dała mu znać, co postanowiłam.

- Rozmawiałaś z nim już?

- Nie! Bo nie mam pojęcia, jak powinnam się teraz zachować! Przecież ja go Kocham! Mam zamiar wyjść za niego! O co mu chodzi? Daje mi do zrozumienia, że nic z tego nie będzie? - Kasia rozplakała się serdecznie.

- Dupek do kwadratu! - nie wytrzymała Marta i objęła czule płaczącą przyjaciółkę. - Nie becz, Króliczku. To wcale nie tak. Widzisz, już po wieży Babel można było przewidzieć, że różnorodność języków nie prowadzi do niczego dobrego - westchnęła i pogładziła kasztanową grzywę Kasi. - U nas jest tak, że mówimy to, co myślimy. Oni najpierw myślą głupio, potem mówią, a potem zaczynają myśleć normalnie i żałują tego, co powiedzieli... Michał, ty to znasz z autopsji. Wyłumacz jej, o co Markowi chodziło - poleciła mężowi.

- Dzięki Bogu, że mam twardy kręgosłup, bo przy twoim widzeniu świata popadłbym w kompleksy - mruknął Michał i pocieszająco poklepał Kasię po ramieniu. - Nie płacz. Ja ci to przełożę z naszego na wasze... Dokładnie wiem, co cierpiał Marek, bo to samo dzieje się ze

mną, kiedy gdzieś wychodzimy z Martą - jego żona prychnęła z rozbawieniem. - Patrzysz na kobietę, o której przyzwyczaiłeś się myśleć, że należy do ciebie, widzisz, że zrobiła się na bóstwo i od razu zaczynasz się zastanawiać, ilu rywali będziesz dzisiaj musiał trzymać od niej z daleka - Kasia uniosła głowę i zaskoczona wlepiała w niego oczy. - I doskonale wiesz, co będą sobie myśleli, bo wiesz, o czym ty myślisz, kiedy na nią patrzysz... Chyba się trochę zaplątałem - stwierdził samokrytycznie. - Ale łapiesz, o co mi chodzi? - Kasia skinęła głową. - No, właśnie. I kiedy już to wszystko przeleci ci przez głowę, uświadamiasz sobie, że masz problem. Bo, po pierwsze - musisz się starać, żeby odstraszyć rywali, a po drugie - musisz opanować własne chęci, szczególnie, jeśli wiesz, że na razie nie możesz się posunąć za daleko...

- I co wtedy robisz? - wyrwało się słuchającej uważnie Kasi.

- No, od paru lat mam większe pole manewru - uśmiechnął się Michał. - Rywali już nie muszą odstraszać, a po powrocie z przyjemnością, oddają hołd wyglądowi mojej żony...

- Michał! - warknęła Marta, rumieniąc się jak wiśnia.

- Sama chciałaś, żebym jej wytłumaczył - spojrzał na nią niewinnie. - Marek jest w gorszej sytuacji, dlatego zamiast opieprzyć szefa, zaatakował ciebie.

- To znaczy, że mi nie ufa - powiedziała dobitnie Kasia.

- Nie. To znaczy, że ciągle jeszcze nie wie, na czym stoi - poprawił Michał. - Ja zakochałem się w Marcie, kiedy byłem nastolatkiem. Kiedy się pobieraliśmy, wiedziałem już, że to miłość na całe życie. Marek na razie jest na tym pierwszym etapie. Przed drugim jeszcze się chyba broni, żeby nie popaść w uzależnienie...

- Musisz go bardziej oswoić - zdecydowała Marta. Michał pokręcił głową.

- Nie, skarbie. To nie ten typ. Musisz się na nim wesprzeć, Kasiu. Żeby ciągle miał wrażenie, że jest dla ciebie niezastąpiony. To go uwiąże bardziej niż... Boże, Marta - spojrzał na żonę z komicznym przestachem. - W co ja się wpakowałem? Może zamiast sklepu powinienem prowadzić kącik porad dla zakochanych? Dlaczego ja zawsze przy tobie tak głupieję?

Marta zaśmiała się perliście, cmoknęła go w czoło i powiedziała do przyjaciółki:

- Zrób, jak mówi. Okazuje się, że mam bardzo mądrego męża...

Kasia przetrzymała godziny pracy z lekkim roztargnieniem, bo głowę miała nabitą myślami, jak przekonać tego swojego uparciucha, że do szczęścia potrzebuje tylko jego i nikogo więcej. Im dłużej zastanawiała się nad słowami Michała, tym bardziej była pewna, że miał rację. Pomysły miała różne. Niektóre kazałyby jej szefowi zwątpić w zdrowy umysł jego pra-

cownicy. Przemknęło jej przez głowę na przykład, by uszkodzić kran w łazience, a potem zadzwonić do Marka po ratunek. Na szczęście dla Nicińskiego nie była pewna, czy Dorosz poradziłby sobie z katastrofą i odpuściła. Potem wyobraziła sobie, że ktoś ją napada i Marek występuje w roli obrońcy. To też odrzuciła, bo wszyscy wiedzieli, że w takich sytuacjach doskonale radzi sobie sama. Mogłaby jeszcze spotkać się z nim i opowiedzieć z rzewnym rozżaleniem, jak strasznie dokopuje jej własna rodzina, ale, niestety, Marek ich znał i nie uwierzyłby w opowieść, a jej niewdzięczność mogłaby go zniechęcić.

Ze zgrozą pomyślała, że przez niego zaczyna popadać w dziwną paranoję i zrezygnowała z wyobraźni na rzecz zwykłego rozsądku. Zadzwoniła do Marka i, wstrzymując oddech, zaproponowała spotkanie. Zgodził się, jakby z ulgą i Kasia błysnął promyczek nadziei przepleciony niepokojem. Trochę za nią tęsknił, czy też uznał, że to ona będzie miała pretensje i zerwie? O, nie - pomyślała z uporem. - Tak łatwo ci nie pójdzie, kochany. Jak masz dość, to sam mi to powiedz...

Wpadła do domu jak burza, pośpiesznie zjadła obiad, nie reagując na zaniepokojenie rodziny, przebrała się starannie, mając nadzieję, że dziś Marek nie uzna jej wyglądu za wyzywający i pognała na przystanek. Umknęły jej uwadze pełne aprobaty spojrzenia osobników płci przeciwnej czekających na busa. Kasia się śpieszyła i nie miała czasu na układanie efektownej fryzury. Przeczesała tylko rozpuszczone włosy, podpinając je po bokach, by nie leciały jej na oczy. Ich nietypowy kolor, do tego zgrabna sylwetka opięta džinsami przyciągały wzrok.

Dorosz czekał na przystanku niedaleko kawiarni, chodząc niespokojnie w tę i z powrotem. Trochę się bał tego spotkania, bo już tej samej nocy, kiedy wszystko sobie przemyślał, uznał, że jednak się zagalopował. Nie miał pojęcia, dlaczego jego szef przyczepił się do jego dziewczyny, ale z pewnością Kasia nie była nim zainteresowana. Nie imponowały jej stanowiska i medialna władza. Tylko dlaczego, do cholery, pozwalała na te obmacywanki? Nie przeszkadzała jej ta tłusta łapa na ramieniu?

Postanowił, że w delikatny, ale zdecydowany sposób da jej do zrozumienia, że takie zachowanie mu nie odpowiada. W końcu od swojej przyszłej żony ma prawo wymagać czegoś więcej.

Kiedy podjechał w końcu bus, wszelkie przemyślenia wyleciały mu natychmiast z głowy, bo zobaczył Kasię i aż się zachłysnął z wrażenia. Nie zauważyła go, bo zawędrował aż pod kiosk i mógł się jej przyglądać do woli. Złapał się na tym, że najchętniej zarzuciłby ją sobie na ramię i powlókł do jakiegoś ustronnego miejsca. W tej eleganckiej sukience, którą założyła wtedy, trochę go onieśmiałała, ale ten strój, mimo że widywał ją w nim wiele razy,

obudził w nim instynkt jaskiniowca. No i te rozpuszczone włosy. Schował ręce do kieszeni, bo prawie poczuł między palcami ich jedwabistą miękkość.

- Jesteś! - Kasia dojrzała go wreszcie i w jej głosie usłyszał ogromną ulgę. - Tak dzisiaj ładnie. Może się przejdziemy? - zaproponowała niepewnie.

- Pewnie cały dzień przesiedziałaś przy komputerze - Dorosz popatrzył na nią z troską. - Możemy się przejść kawałek po lesie.

- Świetnie! - oczy jej błysnęły z radości. - Tobie też się przyda spacer. Pewnie siedziałeś za biurkiem.

- Więcej siedziałem na dywaniku u szefa - skrzywił się Marek. - Dowiedział się, że Lublin chce kupić mój film i szlag go trafia. Kombinował, jak mi udowodnić, że zrobiłem go na telewizyjnym sprzęcie. Guzik mu wyszło, bo na wszystko miałem papiery, a kamera była moja. Poza tym pracowałem na własny rachunek na urlopie, a montaż zrobiliśmy z Lolkiem w Lublinie, bo nie chcieliśmy, żeby się za wcześnie wydało. Nie udało mu się niczego udowodnić, więc zarzucił mi nielojalność wobec firmy. Bo, jego zdaniem, jak już mnie naszło, żeby coś zrobić samodzielnie, to powinienem złożyć ofertę najpierw macierzystej kablówce. Wkurzył mnie i powiedziałem, że nawet jeśli sprzedam film Lublinowi, to i tak może mi zapłacić za pokazanie go u siebie... Wiesz, co? - w oczach błysnęła mu przekora. - Mam cholerną ochotę pokazać go najpierw w naszym kinie na darmowym seansie...

Kasia roześmiała się serdecznie i uściskała go spontanicznie.

- Więc zrób to! Mam chody w drukarni, mogę załatwić plakaty z reklamą.

- Zdaje się, że nie przepadasz za moim szefem - zauważył Marek najbardziej neutralnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

- Nie bardzo - przyznała Kasia z westchnieniem. - Ten facet ma kalkulator zamiast serca. Koniecznie chciał przeze mnie znaleźć doskok do Rambo. Szuka jeleni do sponsoringu... Rany, gdyby on wiedział, ile Andrzej wydaje rocznie na charytatywność!

- A ty skąd wiesz? - Marek poczuł ulgę, że sprawa się wyjaśniła.

- No, przecież sama pracuję w fundacji - Kasia wzruszyła ramionami. - Oj, jak dawno nie byłam w lesie. Ostatnio jesienią, kiedy zgłosiłam się na dodatkowe szkolenie. Ale to nie był relaks. Po paru godzinach błoto miałam wszędzie...

- Po co to robisz?

Weszli między drzewa i natychmiast poczuli jedyny w swoim rodzaju zapach lasu.

- Bo lubię. I mam frajdę, kiedy wciąż okazuje się, że nie odstaję od mężczyzn. Jestem jedyną dziewczyną w tej grupie. Zapraszają mnie po znajomości koledzy ze straży miejskiej. Dzięki nim mogę od czasu do czasu postrzelać sobie na policyjnej strzelnicy.

- Wychodzi na to, że jesteś samowystarczalna - mruknął Dorosz z mimowolną goryczą.

Kasia przypomniała sobie słowa Michała i w jej głowie natychmiast zapaliło się alarmowe światełko. Co mu powiedzieć? - pomyślała w popłochu. - Że żaden człowiek nie jest samowystarczalny? Truizm, nie uwierzy mi.

- Wcale nie - powiedziała spokojnie i przystanęła, patrząc mu prosto w oczy. - Może śmiesznie to zabrzmie, ale jest parę rzeczy, których się boję. Jestem tylko człowiekiem. Mam swoje lęki i strachy jak każdy, choć próbuję z nimi walczyć... Ja... Nie to, że się boję, ale... Brzydzę się pajaków i takich włośchatych gąsienic - wyznała z desperacją. - Nie wrzeszczę na ich widok, ale staram się trzymać od nich jak... - urwała nagle, popatrzyła gdzieś za Marka i zbladła, a jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. - To niemożliwe - szepnęła, potrząsając głową. - Mam omamy... To nie może być prawda. U nas nie ma... O, Jezu, za tobą jest wąż! - pisnęła z przerażeniem.

- Nie ruszaj się! - polecił Dorosz i odwrócił się powoli. Na widok pocziwego zaskronca, odetchnął z ulgą. - Króliczku, on się ciebie boi bardziej niż ty jego. Nic ci nie robi. Wiesz? Już sobie poszedł. To zwykły zaskroniec. U nas nie ma żmij.

Kasia przez chwilę dygotała, wpatrując się przerażonymi oczami w miejsce, gdzie zniknął wąż, a potem nagle padła Markowi na tors i, ściskając go kurczowo za szyję, wyszlochała:

- Nie wiedziałam, że węży też się boję...

Dorosz poczuł się jak Superman ratujący z opresji dziewczycę. Przytulił ją, czule pogładził po włosach i z mocą powiedział:

- Przecież nie dałbym ci zrobić krzywdy, Króliczku.

- W... wiem - Kasia podniosła na niego zapłakane oczy, w których była absolutna pewność i Marek zastygł bez ruchu.

- Ty naprawdę w to wierzysz - powiedział zaskoczony.

- A ty nie? - zdziwiła się Kasia, ocierając oczy dłonią. - Każdy ma gorsze dni, problemy, o których musi komuś opowiedzieć. Wybrałam sobie ciebie, żebyś wtedy przy mnie był i jestem pewna, że będziesz. Uważasz, że się mylę?

- Nie. Ja wszystko opowiadam tobie - przyznał po namyśle.

- No, właśnie. I za to cię kocham... - rozejrzała się niespokojnie po lesie. - Chyba mam dosyć spaceru. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tu są... - wzdrygnęła się wyraźnie. - To był pierwszy wąż, którego widziałam w naturze. Że też musiało trafić akurat na mnie - mruknęła z urazą i w tej samej chwili poczuła uderzenie w ramię.

Krzyknęła i mocniej wtuliła się w Marka.

- Hej, to tylko szyszka - uspokoił ją ze śmiechem. - Jak na przeszkolonego ochroniarza, trochę jesteś nerwowa.

- Szyszka? - Kasia ostrożnie otworzyła oczy i niepewnie spojrzała na ziemię.

Znieruchomiała, kiedy zobaczyła tuż obok swoich nóg modrzewiową szyszkę. Ukradkiem przesunęła wzrokiem po okolicznych drzewach. Przysięgłaby, że w pobliżu nie rósł ani jeden modrzew.

- Ale tu... - zaczęła i nagle urwała. - Lepiej już chodźmy - szepnęła niespokojnie.

Dzięki, siostrzyczki - pomyślała ciepło, przypominając sobie, jak w pracy skarżyła się przed ich portretem na swoje problemy. - Ale z resztą już sobie poradzę.

- Wiesz, co? - Marek popatrzył na nią z nowo odkrytą pewnością siebie. - Pójdziemy do mnie. Zjemy jakąś kolację i opowiem ci, co mi się ostatnio śni. Może się nade mną zlitujesz, zamiast dać mi w gębę. W moim przypadku zachodzą okoliczności łagodzące: serce mi wysiadło...

- Wszystko już macie dopięte? - rzucił mimochodem Lolek, kiedy siedzieli obaj w montażowni, przeglądając nakręcony dzisiaj materiał.

- Co mamy dopięte? - spytał Marek nieuważnie.

- Hej! Podobno się żenisz! Zapomniałeś?

- Nie zapomniałem - mruknął Dorosz i wzruszył ramionami. - Co mam dopinać? Wesele w kawiarni, ślub w kościele... Obie matki uzgadniają resztę, ja się na tym nie znam... Ty, to chyba wytniemy, co?

- Można wyciąć - zgodził się Lolek i popatrzył na niego dziwnie. - Co ty taki kamień jesteś? Ja już miesiąc przed ślubem dostawałem drgawek... Garnitur już masz?

- Jaki kamień - mruknął Marek niecierpliwie. - Robotę mamy, coś się czepił wesela? Przeżyli inni, przeżyję i ja.

- Garnitur masz? - przycisnął Lolek.

- O, rany! - Dorosz oderwał wzrok od ekranu i z niechęcią popatrzył na kolegę. - Co tak przeżywasz? Ty się żenisz czy ja? Mam w szafie trzy garnitury, któryś się nada... Może byśmy to wreszcie skończyli? Umówiłem się dzisiaj z Kasią..

Operator nic już nie powiedział, tylko natychmiast po wyjściu z pracy zadzwonił do Maćka, którego dobrze znał i błagał, żeby przemówił Markowi do rozumu. Maciek się uśmieł, ale obiecał, że sprawy dopilnuje. Skontaktował się z Michałem i obaj postanowili zabrać kolegę na zakupy do Lublina.

Marek wyraźnie czuł, jak jego cudownie nieuporządkowane życie zamienia się w koszmar rodem z amerykańskiego filmu. Najpierw jego dwaj wypróbowani przyjaciele porwali go do Lublina i zmusili do zakupu garnitur, którego wcale nie chciał i nie potrzebował. O komunii zapomniał już dawno, maturę też odpracował, po cholere mu czwarty garnitur? Życia mu nie starczy, żeby zużyć to, co ma w szafie. Wybaczył im dopiero, gdy Michał rozmieszył go do łez, opowiadając o perypetiach Marty, kiedy usiłowała nabyć ślubną suknię. Wyobraził ją sobie w akcji i złość mu przeszła.

Potem jego własna matka podstępnie, pod pozorem przygotowania mieszkania dla synowskiej połowicy, odebrała mu jedyny azyl, jaki miał. Jak wszystkie kobiety, do perfekcji opanowała harmonijną współpracę rąk i języka, zadając mu setki kłopotliwych pytań. W końcu udręczony Marek uznał, że woli pracę niż te przesłuchania i wzbudził powszechny podziw, biorąc wszystkie zlecenia, jakie wpadły mu w ręce.

A dzień ostateczny zbliżał się wielkimi krokami. Uświadomił to sobie, kiedy Michał oderwał go od katorżniczej pracy i siłą zawiózł do przedślubnej spowiedzi. Na widok konfesała miał ochotę natychmiast uciec, ale zrezygnował na widok dobrotliwej twarzy księdza Stanisława. Kiedy w końcu udało mu się dobrać do końca i na sztywnych nogach wyjść z kościoła, Michał zapakował go do samochodu i powiózł do kawiarni, gdzie na delikwenta czekała męska część dawnej szkolnej paczki plus Rambo i Lolek. Nazwali to wieczorem kawalerskim. Nie obyło się bez głupawych przemówień i toastów. Tomek w peruce i wypchanej, seksownej bluzeczce, gnąc się przy filarze niczym trzcina na wietrze, wykonał coś, co nazwał tańcem brzucha i wszyscy popłakali się ze śmiechu. Potem wniesiono wielką pakę i Maciek donośnie oznajmił, że za chwilę oczom zebranych ukaże się najpiękniejszy króliczek Playboya. Marek o mało zawału nie dostał, kiedy z pudła wyskoczył mocno przestraszony brązowo-rudy miniaturowy królik. Ale ci idioci mieli uciechę. Tomek ze śmiechu na widok Marka miny dostał czkawki, a pozostali zaczęli się zastanawiać, czy poradzi sobie z dwoma króliczkami.

Dobrze po północy Stasio porozwoził wszystkich do domu, a Michał na pożegnanie obiecał, że już za kilka dni jako družba podtrzyma go na duchu.

W tym samym czasie, o czym Marek nie miał pojęcia, kobieca część paczki dokonała porwania Kasi. Wieczór panieński odbył się w Sosnowym Dworku przy akompaniamencie śmiechów, przestrog dla przyszłej pani Doroszowej i opowieści o ślubach. Marta ze śmiertelną powagą opowiedziała o perypetiach swojej matki, która w ślubnej sukni zatrzasnęła się w

wychodku, czym doprowadziła całe towarzystwo do ataku śmiechu nie do opanowania. Jedna Nicole nigdy przedtem nie słyszała słowa „wychodek”, ale kiedy jej wyjaśniono jego znaczenie, przyłączyła się do ogólnej wesołości.

Nika przypomniała sobie kościelny występ Be-Be, Ewunia opowiedziała, jak Januszek z przejścia w ogóle nie zauważył, że ksiądz czeka, by powtarzał za nim słowa przysięgi i dopiero potężny kuksaniec drużby przywrócił mu świadomość, a ona, biedna, przeraziła się, że pan młody się rozmyślił. Hanka z chichotem przyznała się, że przy odchodzeniu od ołtarza zaczęli się oboje z Tomkiem szarpać, bo każde chciało pociągnąć drugie w swoją stronę, i o mało nie poleciała na twarz w pokornym pokłonie, bo obcas zaplątał jej się w suknię. A kiedy Dorota opowiedziała, jak ze zdenerwowania pomyliła się w przysiędze i w strategicznym miejscu oznajmiła zdumionemu zgromadzeniu, że nie dopuści Kamila aż do śmierci, wszystkie, łącznie z Nicole, parsknęły na cały głos.

W końcu Oleńka, Nika i Maryla wyszły na chwilę ze świetlicy i powróciły z naręczem kolorowych torebek. Kasia była tyleż wzruszona, co zażenowana. Dostała bieliznę, jakiej sama nigdy w życiu nie odważyłaby się kupić i koszulę nocną, która sprawiła, że zaczerwieniła się po korzonki włosów. Pierwszy raz w życiu zobaczyła na oczy podwiązkę, błękitną, rzecz jasna, i została poinstruowana, że koniecznie musi ją mieć na sobie podczas ślubu. Ewunia, Nika, Marta i Oleńka z przekonaniem zaświadczyły, że to działa.

Przed północą Oleńka odwiozła uszczęśliwioną i wzruszoną Kasię do domu, a pozostałe uczestniczki zabawy zabrały się za sprzątanie. Zmęczone, ale bardzo z siebie zadowolone, umówiły się, że w pierwszy dzień świąt spotkają się w tym samym miejscu, by przygotować dworek, w którym miało się odbyć błogosławieństwo młodych przed wyruszeniem do pobliskiego kościółka.

Marek błogo przespał całą noc w rodzinnym domu, bo przezorna matka podsunęła niczego nie podejrzewającemu synowi tabletkę nasenną, wmawiając mu, że to witamina. Wstał w pogodnym nastroju i dopiero na widok Michała doznał szczękościsku, uświadamiając sobie z popłochem, że to już. Dziś zasili szeregi nieszczęsnych osobników płci męskiej ujarzmionych przez żeńskie demony. Zanim zdążył się zastanowić, czy aby na pewno nie da się Kasi zatrzymać w żaden inny sposób, dorwała go matka, troskliwie sprawdzając wygląd potomka i wyrzucając z siebie setki przestróg, których nawet nie silił się zapamiętać, bo jego spanikowany umysł odmawiał współpracy. Uratował go Michał, który z wprawą przerwał ten potoczny wywód i przypomniał, że za pół godziny mają być w Sosnowym Dworcu.

Marek przez całą drogę milczał jak głaz, pozwalając matce mówić i nie dostrzegając rozbawionego wzroku ojca. Wsiadł, kiedy wszyscy wysiedli. Gdy ruszyli w stronę ganku, automatycznie poszedł za nimi, ale przez cały czas miał wrażenie, że stoi z boku i obserwuje coś, co jego samego absolutnie nie dotyczy.

Rodzina Kasi była już na miejscu. Obok Inki stał jej włoski mąż, ale Marek nawet go nie zauważył, bo do jego zmaltretowanego umysłu dotarło nagle, że nie widzi nigdzie Kasi. Stał jak wryty, nie mając pojęcia, że jego twarz nabrała interesującej bladości.

W tym momencie Marta, która była druhną, wprowadziła spowite w biel zjawisko i Marek przestał dostrzegać cokolwiek innego. Głosy i postacie zebranych odpłynęły w siną dal. Wbił olśnione oczy w tę niebiańską istotę i nagle zrozumiał, że musi natychmiast wykorzystać to Kasine zaślepienie wobec siebie. Jeśli się opamięta, nigdy nie zgodzi się wyjść za niego.

Zdecydowanym krokiem podszedł do dziewczyny, niecierpliwie odsuwając rzetelnie rozbawioną Martę, która posłała mężowi porozumiewawcze spojrzenie. Nie widział wielkiej uciechy na twarzy kolegi z pracy, który nie spuszczał z niego oka kamery, ani uśmiechów obu rodzin. Przetrzymał mężnie ceremonię błogosławieństwa, nie reagując na pochlipywanie matek. Przetrwał rodzinne uściski. Drżąc w duchu z niecierpliwości, przeczekał, aż Marta zarzuci pannie młodej futrzaną etolę, by nie zmarła w drodze do kościoła i wreszcie wyszli.

Na widok księdza Stanisława przy ołtarzu, napięcie trochę go opuściło. Pomyślał, że teraz już Kasia chyba nie zrobi mu afrontu, uciekając z kościoła. Jeszcze większą ulgę poczuł, kiedy okazało się, że Michał nie zapomniał o obrączkach, a gdy w końcu ceremonia dobiegła końca, wszystko w nim śpiewało z euforii. Spojrzał w zielone, zamglone łzami oczy i uświadomił sobie, że od tej chwili należą do niego tak, jak ich właścicielka.

Potulnie zgodził się pójść z Kasią na cmentarz, na jej prośbę zapalił znicz na grobie sióstr, wysłuchał jej łzawego podziękowania za wszystko, co dla niej zrobiły, a kiedy wracali, wziął ją na ręce, żeby nie przemoczyła nóg w ślubnych pantofelkach i przeprosił, że nie wpadł na to wcześniej. Kasia w odpowiedzi objęła go za szyję i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kiedy wsiedli do przystrojonego samochodu, który miał ich zawieźć do kawiarni, Marek był już gotowy nie tylko na wesele, ale i na całe życie ze swoją nieśmiałą, obcującą z zaświatami małżonką. Natomiast Kasia, w prostocie ducha, to dziwaczne ogłupienie, które objawiał nowo zaślubiony mąż, przypisała magicznemu działaniu błękitnej podwiązki i całkiem poważnie zastanawiała się, czy nie powinna nosić jej na co dzień.

Copyright © Małgorzata J. Kursa
Copyright © Wydawnictwo Prozami Sp. z o.o.
Projekt okładki: Janina Spicha-Konarzewska
Redakcja: Sylwia Drożdżyk-Reszka Korekta: Małgorzata Majewska
Skład i łamanie: Agnieszka Miksa
Druk i oprawa: Drukarnia Narodowa S.A. ul. Półnoki 18, Kraków
Dystrybucja: Platon Sp. z o.o. www.plnton.com.pl
Wydawnictwo Prozami Sp. z o.o. www.prozami.pl
Warszawa 2010
ISBN 978-83-928657-7-3